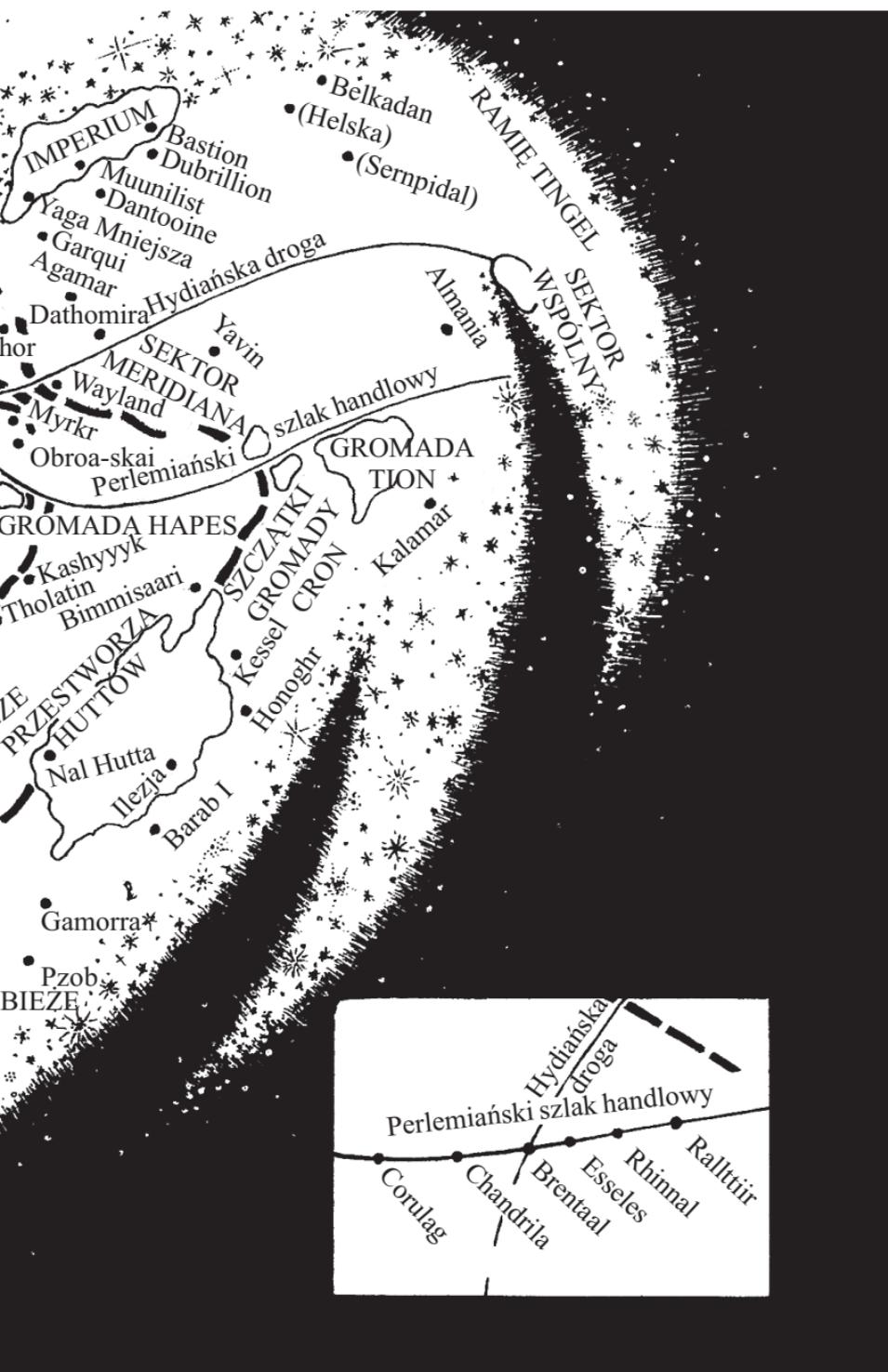


James Lucerno - Próba bohatera

Mojemu synkowi Jake'owi  
i *Nowej erze Jedi*





# Gwiezdne Wojny: Powieści

44 lata przed  
Nową nadzieją  
Uczeń Jedi  
część I i II

32 lata przed  
Nową nadzieją  
Gwiezdne Wojny  
część I:  
Mroczne widmo

22 lata przed  
Nową nadzieją  
Gwiezdne Wojny  
część II

20 lat przed  
Nową nadzieją  
Gwiezdne Wojny  
część III

3 lata po  
Nowej nadziei  
Gwiezdne Wojny  
część V:  
Imperium  
kontratakuję  
Opowieści łowców  
nagród

3,5 roku po  
Nowej nadziei  
Cienie Imperium

4 lata po  
Nowej nadziei  
Gwiezdne Wojny  
część VI:  
Powrót Jedi  
Opowieści z pałacu  
Hutta Jabby  
Wojny łowców nagród:  
Mandaloriańska zbroja  
Spisek Xizora  
Twardy towar  
Pakt na Bakurze

6,5–7,5 roku po  
Nowej nadziei  
X-skrzydłowiec:  
Eskadra Łobuzów  
Ryzyko Wedge'a  
Pałapka z Krytos  
Wojna o bactę  
Eskadra Widm  
Żelazna Pięść  
Dowódca Solo

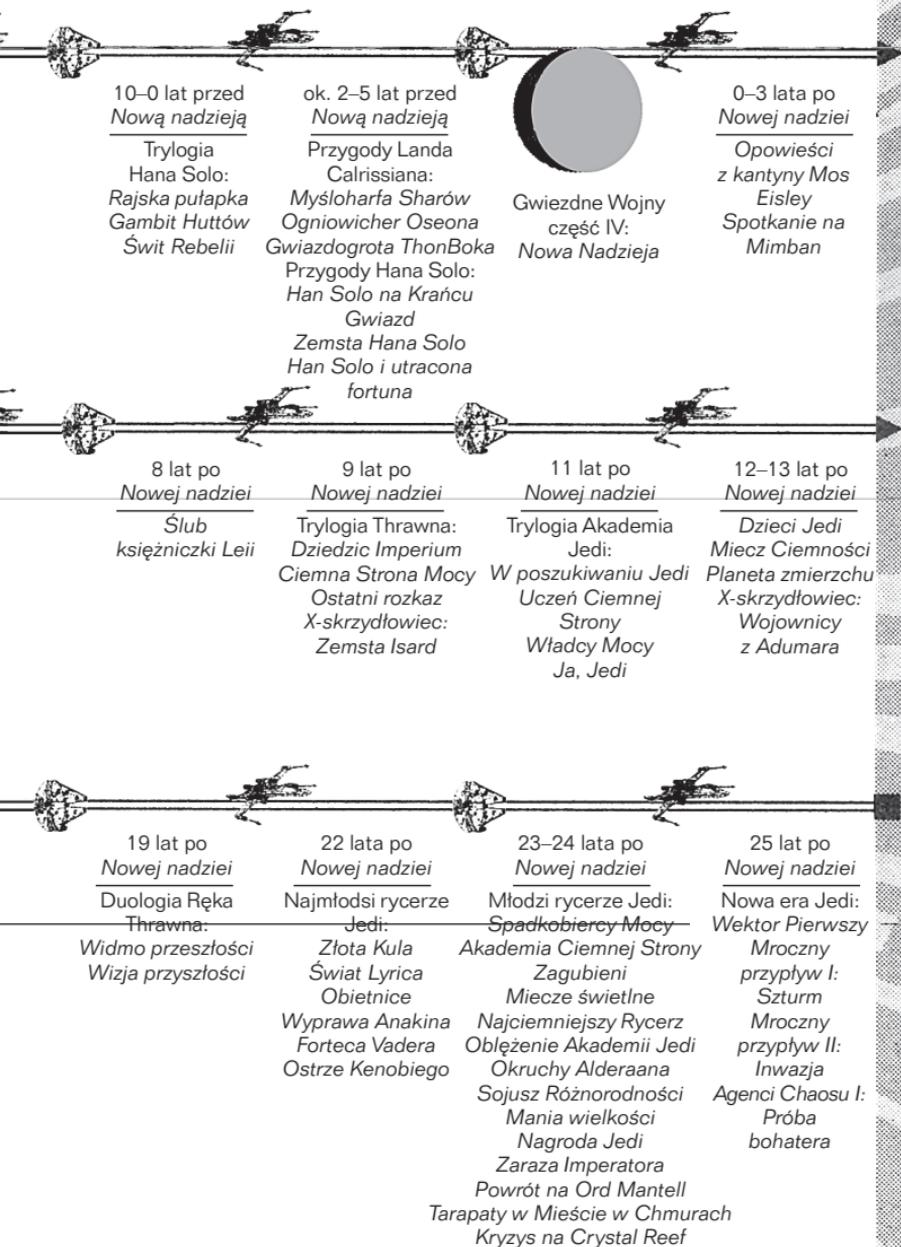
14 lat po  
Nowej nadziei  
Kryształowa  
gwiazda

16–17 lat po  
Nowej nadziei  
Trylogia Kryzys  
Czarnej Floty:  
Przed burzą  
Tarcza kłamstw  
Próba tyrana

17 lat po  
Nowej nadziei  
Nowa rebelia

18 lat po  
Nowej nadziei  
Trylogia koreliańska:  
Zasadzka na Korelli  
Napaść na Selonii  
Zwycięstwo na  
Centerpoint

# Kiedy co się wydarzyło





# ROZDZIAŁ

## I

Jeżeli słońce systemu było zaniepokojone tym, co działo się na powierzchni i w przestworzach wokół czwartej planety, nie dawało niczego po sobie poznać. Wypełniając atmosferę ciepłym złocistym blaskiem, świeciło równie spokojnie i jasno jak wówczas, kiedy bitwa dopiero się zaczynała. Cierpiał tylko ujarzmiony świat, czego dowodziły skąpane w słonecznym blasku rany na jego powierzchni. Okolice, które kiedyś mieniły się zielenią, błękitem lub bielą, przybrały teraz barwę rudobrunatną albo popielatoszarą. Spomiędzy przerażonych chmur wznosiły się kłęby dymu ze spustoszonych miast i czarnych ścieżek, wypalonych w ciemnej zieleni iglastych lasów. Dna wysuszonych górskich jezior i płytkich mórz kryły się w obłokach przegrzanej pary.

W głębi otaczających planetę chmur popiołów i wyrzuconych w powietrze szczątków unosił się gwiazdny okręt, główny sprawca wszystkich zniszczeń. Wyglądał jak gigantyczne jajo wykonane z koralu yorik. Jego szorstką czarną powierzchnię zdobyły tu i ówdzie błyszczące niczym wulkaniczne szkliwo gładkie plamy. W mrocznych wgłębieniach chropowatej powłoki kryły się wyrzutnie raket i działa plazmowe. Inne, jeszcze głębsze, podobne do kraterów jamy mieściły dovin basale, które nie tylko napędzały okręt, ale także chroniły go, pochłaniając energię laserowych strażów. Z dziobowej i rufowej części jednostki wystawały krwistoczerwone i błękitne ramiona. Niczym skorupiaki przyczepiły się do nich, podobne do asteroid, gwiazdne myśliwce. Wokół okrętu roiło się od mniejszych statków. Piloci jednych usuwali odniesione w trakcie bitwy uszkodzenia; inni uzupełniali zapasy energii systemów uzbrojenia, kilku zaś transportowało łupy ze spustoszonej planety.

Nieco dalej od miejsca bitwy unosił się o wiele mniejszy okręt. Jego fasetkowa powłoka sprawiała wrażenie wypolerowanej powierzchni klejnotu. Od czasu do czasu niektóre fasetki rozjaśniały się albo gasły. Wyglądało to, jakby jedne sektory przekazywały sąsiadom ważne informacje.

W dolnej części kanciastego dziobu okrętu, na poduszkach kryjących podobny do grzędy stojak, siedziała ze skrzyżowanymi nogami posępna chuda istota. Obserwowała unoszące się w przestworzach przedmioty i szczątki, pędzone przez grawitacyjne siły w okolicy jej jednostki. Spoglądała obojętnie na fragmenty rozerwanych okrętów liniowych i myśliwców Nowej Republiki. Nie okazywała żadnych uczuć na widok ubranych w próżniowe skafandry ciał, zastygłych w najróżniejszych pozach. Chyba nie widziała pocisków, które nie wybuchły, bo nie dotarły do celu. W pewnej chwili jej uwagę zwrócił podziurawiony kadłub cywilnego statku. Napis na burcie głosił „Rozpadlina Pengi”.

W niewielkiej odległości unosił się szkielet obronnej platformy. Nieopodal przewalał się bezwładnie z burty na burtę wypalony wrak gwiazdowego krążownika. Już wkrótce miał roztrzaskać się o powierzchnię planety. Wysysane przez próżnię, z jego wnętrza niczym z siewnika wysypywały się różne przedmioty. W innym miejscu wypełniony uchodźcami transportowiec został pochwycony przez szpikulec pękatego zdobywczego statku, który wciągał go do wnętrza gigantycznego okrętu.

Siedząca istota patrzyła na to wszystko, nie okazując ani radości, ani współczucia. Zniszczenia były podyktowane najzwyczajszą koniecznością. Musiało się tak stać.

W tylnej części grzędy dowodzenia stał młody akolita. Przekazywał najnowsze informacje, jakie otrzymywał od cienkiego stworzenia, przyczepionego sześcioma cienkimi nogami do wewnętrznej powierzchni jego prawego przedramienia.

– Zwyciężyliśmy, eminencjo – odezwał się w pewnej chwili. – Nasze siły powietrzne i lądowe opanowały główne skupiska ludności, a koordynator wojenny zainstalował się w płaszczu. – Akolita zerknął na przytwierdzonego do przedramienia odbiorczego villipa, którego łagodny bioluminescencyjny blask rozjaśniał pomieszczenie chyba bardziej niż skąpe oświetlenie grzędy dowodzenia. – Wojskowy taktik komandora Tli jest przekonany, że przechowywane tam astrogacyjne mapy i historyczne dane okażą się podczas naszej kampanii bardzo cenne.

Kapłan Harrar przeniósł spojrzenie na wielki okręt.

– Czy taktyk powiadomił komandora Tłę o swojej opinii?

Akolita zawahał się, zanim się odezwał, co samo w sobie wystarczyło za odpowiedź. Ale Harrar i tak pragnął ją usłyszeć.

– Nasze przybycie nie wprawiło komandora w zachwyt, eminencko – odrzekł w końcu akolita. – Co prawda, dowódca nie oświadczył wprost, że uważa składanie ofiar za coś zbytecznego; stwierdził jednak, że dzięki pomyślnemu przebiegowi dotychczasowej kampanii nie musi uciekać się do pomocy religijnych nadzorców. Obawia się, że nasza obecność może tylko utrudnić jego zadanie.

– Komandor Tla nie potrafi pojąć, że angażujemy wroga na różnych frontach – oznajmił Harrar. – Przeciwników można bardzo łatwo zmusić do posłuszeństwa. Nikt jednak nie zagwarantuje, że wrogowie nawrócą się na naszą wiarę.

– Czy mam przekazać tę opinię komandorowi, eminencko? – zapytał akolita.

– To nie twoje zadanie – burknął kapłan. – Sam się tym zajmę.

Harrar, samiec w średnim wieku, wstał i podszedł do przeczystego wieloboku. Stał tam jakiś czas ze splecionymi z tyłu głowy trójpalczastymi dłońmi. W religijnym zapale pozostałe palce poświęcił podczas różnych rytualnych ceremonii. Jego szczupłe ciało okrywała luźna szata o pastelowych barwach, a długie czarne włosy ukrywała starannie spleciona chusta. Na karku widniały wycięte w skórze i wypchnięte przez kości kręgosłupa znaki, które poruszały się przy każdym ruchu głowy.

Harrar chwilę spoglądał na obracającą się tarczę planety.

– Jak nazywa się ten świat? – zapytał w końcu.

– Obroa-skai, eminencko.

– Obroa-skai... – powtórzył kapłan, jakby myślał głośno. – Co oznacza ta nazwa?

– Na razie tego nie wiemy – odrzekł akolita. – Bez wątpienia odkrywamy to, kiedy zapoznamy się ze zdobytymi informacjami.

Harrar uczynił prawą ręką gest na znak, że jego rozmówca może odejść.

– To i tak nie ma najmniejszego znaczenia – powiedział.

Ujrzał kątem oka jakiś błysk i odwrócił głowę w kierunku planety Obroa-skai. Z jej cienia wyłoniła się koralowa kanonierka. Ruffowe działka okrętu pluły ogniem w stronę czwórki ścigających ją gwiazdnych myśliwców typu X, które z pewnością ukryły się w mroku

zacienionej strony. Niewielkie X-skrzydłowce bardzo szybko zmniejszały odległość dzielącą je od większej jednostki. Ryzykując przeciążenie silników swoich gwiazdnych maszyn, czterej ludzie zasympywali kanonierkę błyskawicami laserowych strzałów. Harrar słyszał, że piloci Nowej Republiki opanowali całkiem niezłe sztukę wywodzenia dovin basali w pole, zmieniając częstotliwość i siłę ognia laserowych działek. Ci czterej ścigali kanonierkę, opanowani prze-możną żądzą mordy. Ich pewność siebie i skupienie uwagi na jednym celu znamionowały cechy charakteru, o których Yuuzhanie nie powinni zapominać podczas dalszej kampanii. Tymczasem wojownicy rasy Yuuzhan Vong nie przejmowali się takimi drobiazgami. Musieli się jednak nauczyć, że pragnienie przetrwania odgrywa w psychice wrogów równie ważną rolę jak śmierć w wierzeniach Yuuzhan.

Piloci kanonierki zmienili wektor lotu i skierowali się ku wielkiemu okrętowi. Zapewne zamierzali skorzystać z osłony, jaką mogły im zapewnić działa jednostki komandora Tli. Czterej piloci myśliwców nie zrezygnowali z pościgu. Złamali szyk i jeszcze bardziej przyspieszyli. Zaatakowali kanonierkę z czterech stron równocześnie.

Wykonali swój manewr ze zdumiewającą precyzją. Usiłując pokonać opór dovin basali dużej jednostki, nie przestawali razić jej laserowymi błyskawicami i jaskraworóżowymi smugami protonowych torped. Mniej więcej połowę strzałów pochłaniały wytwarzane przez dovin basale czarne mikrodziury, ale co najmniej drugie tyle trafiało do celu. Raz po raz w kadłubie szturmowej jednostki pojawiały się ogniste dziury. W przestworza szybowały bryły czerwono-czarnego koralu yorik. Zaskoczona zaciekłością ataku załoga kanonierki kulila się za osłoną tarcz. Zapewne czekała na chwilę wytchnienia, ale napastnicy nie rezygnowali. Uciekającą jednostkę raz po raz trafiały energetyczne ciosy, które zmuszały ją do zmiany kursu. W końcu dovin basale zaczęły dawać za wygraną. Ujrzawszy, że elementy obronne słabną, załoga większej jednostki postanowiła przesłać energię do systemów uzbrojenia.

Rozpaczliwie chwytając się ostatniej szansy ocalenia, przystąpiła do kontrataku. Z dziesiątków stanowisk artylerii pomknęły w przestworza mściwe nitki złocistego ognia. Myśliwce Nowej Republiki były jednak szybsze i zwrotniejsze. Atakując raz po raz, ich piloci przeorywali ognistymi smugami kadłub bezbronnej kanonierki. Z głębokich ran i wypalanych przez lasery bruzd strzelały fontanny zwęglonych tkanek. W pewnej chwili zniszczenie wyrzutni

plazmy zapoczątkowało łańcuchową eksplozję stanowisk ogniowych sterburty. Ogniste rozbłyski przewędrowały od dziobu do rufy. Stopione bryły koralu yorik ciągnęły się za kanonierką niczym smuga dymu. Z rdzenia zaczęły się wydobywać błyski oślepiającego światła. Skazany na zagładę okręt zmniejszył prędkość i zaczął wirować wokół osi. W końcu, wstrząśnięty ostatnim paroksyzmem, zniknął w kuli ognia, która płonęła zaledwie kilka sekund.

Wyglądało na to, że w zapale walki zdecydowani na wszystko piloci X-skrzydłowców zamierzają zaatakować wielki okręt. W ostatniej chwili jednak zawrócili. Salwy z potężnych dział przecięły pobliskie przestworza, ale żaden pocisk nie trafił do celu.

Poznaczona bliznami twarz Harrara była nieprzenikniona jak maska. W pewnej chwili kapłan odwrócił głowę i spojrzał nad ramieniem na akolitę.

– Zaproponuj komandorowi Tli, żeby jego żarliwi artylerzyści pozwolili tym małym uciec – odezwał się, ani na chwilę nie tracąc opanowania i pewności siebie. – Mimo wszystko ktoś musi przeżyć, żeby opowiedzieć, co się tu wydarzyło.

– Niewierni walczyli mężnie i zginęli jak bohaterowie – zaryzykował akolita.

Harrar odwrócił głowę jeszcze bardziej i popatrzył na rozmówcę. W głęboko osadzonych oczach kapłana zabłyśły iskierki zdziwienia.

– Czyżbym usłyszał w twoim głosie cień szacunku?

Akolita poważnie kiwnął głową.

– To była tylko uwaga, eminencjo. Gdyby chcieli zasłużyć na mój szacunek, musieliby z własnej woli przyjąć prawdę, którą im głosimy.

Na grzędzie pojawił się młodszy stopniem posłaniec. Oddając wojskowe honory, skrzyżował ręce na piersi i uderzył pięściami w przeciwległe barki.

– *Belek tiu*, eminencjo – oznajmił. – Przynoszę wiadomość, że zgromadzono wszystkich jeńców.

– Ilu?

– Kilkuset, różnych ras. Czy życzysz sobie osobiście dokonać wyboru tych, których złożymy w ofierze?

Harrar wyprostował się i poprawił fałdy eleganckiej szaty.

– Uczynię to z prawdziwą przyjemnością.

Przezroczyta pieczęć gardzieli transportowca otworzyła się i ukazała oczom kapłana olbrzymią ładownię. Wypełniali ją po brzegi jeńcy, pochwyceni na powierzchni i w przestworzach wokół planety Obroa-skai. Do pomieszczenia weszli najpierw towarzyszący Harrarowi strażnicy i słudzy. Dopiero za nimi wpłynął sam kapłan. Podkuliwszy jedną nogę i zwiesiwszy drugą, siedział na unoszącej się poduszce. Utrzymywał ją w powietrzu niewielki pulsujący dovin basal o kształcie serca. Reagując na wydawane przez Harrara rozkazy, mógł przyczepić się do sufitu, gdyby kapłan życzył sobie znaleźć się jeszcze wyżej. Potrafił także pozełgować w stronę którejkolwiek odległej grodzi, gdyby Harrar wydał polecenie lotu w przód, w prawo albo w lewo.

Ładownię zalewało jakrawe światło. Wydobywało się z bioluminescencyjnych łąt, rozmieszczonych w nieregularnych odstępach na suficie i ścianach. Pomieszczenie zostało podzielone na dwa równoległe rzędy, liczące po dwadzieścia odizolowanych od siebie krępujących obszarów. Za wytwarzanie ich i utrzymywanie odpowiadały większe dovin basale. W każdym obszarze stali, stłoczeni ciasno obok siebie, naukowcy i badacze z różnych planet: ludzie, Bothanie, Bithowie, Quarrenowie i Caamasjanie. Bełkotali coś głośno w ojczystych językach, jakby starali się przekrzyczeć wszystkich pozostałych. Selekcji mieli pilnować odziani na czarno strażnicy uzbrojeni w amphistaffy. Służące zazwyczaj do transportu zaopatrzenia koralowych skoczków, ogromne pomieszczenie cuchnęło teraz krwią, potem i wyziewami ciał istot z różnych planet.

Przed wszystkim w powietrzu wyczuwało się jednak przerażenie.

Harrar unosił się na poduszce, kierując osłonięte kapturem oczy coraz to w inną stronę. Członkowie jego świty zostali z tyłu, tak by kapłan mógł unosić się nad biegnącym środkiem ładowni przejściem i przyglądać więźniom, stłoczonym po obu stronach. Zanim jednak mógł dotrzeć w pobliże pierwszej pary krępujących obszarów, musiał ominąć ogromny stos skonfiskowanych automatów. Setki robotów i androidów, rzuconych byle jak jedno na drugie, tworzyło płataninę kończyn, wysięgników, wypustek, manipulatorów i innych mechanicznych podzespołów.

Kiedy Harrar wydał rozkaz zatrzymania się obok góry automatów, te spośród nich, które spoczywały na wierzchu, zadrżały pod jego bezlitosnym spojrzeniem. Rozległo się brzęczenie przeciążonych serwowatorów. Obróciły się czerepy w kształcie kopulek,

prostopadłościaków i ludzkich głów. Z obudów wyłoniły się czujniki dźwięków. Niezliczone fotoreceptory nastawiły się na największą czułość i ostrość. Chwilę później ze szczytu ruszyła niewielka lawina. Kilka automatów, tocząc się i koziołkując, spoczęło u stóp stosu, głęboko pod powierzchnią pokładu.

Harrar skierował zdumione spojrzenie na wykrzywionego protokolarnego androida. Górną prawą kończynę automatu zdobiła przepaska z wielobarwnej tkaniny. Kapłan rozkazał, aby poduszka podpłynęła w pobliże unieruchomionego mechanizmu.

– Dlaczego niektóre z tych błuznierstw noszą ubrania? – zapytał szefa swojej świąty.

– Wygląda na to, eminencjo, że pełnili obowiązki pomocników naukowców – wyjaśnił służący. – Do bibliotek planety Obroa-skai mieli dostęp tylko ci, którzy zawarli kontrakt z wykwalifikowanymi badaczami. Opaska na ręce tej maszyny wskazuje, że pracowała ona w tak zwanym Obroańskim Instytucie.

Harrar sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

– Chcesz powiedzieć, że szanowani naukowcy traktowali te przedmioty jak równych sobie?

Służący kiwnął głową.

– Wszystko na to wskazuje, eminencjo – powiedział.

Kapłan ułożył twarz w wyraz pogardy i obrzydzenia.

– Pozwólcie maszynie myśleć, że jest równa żywej istocie, a nie długo zacznie uważać siebie za kogoś lepszego. – Wyciągnął rękę i zerwał opaskę z kończyny androida, po czym rzucił kawałek materiału na pokład. – Dopilnujcie, żeby złożono w ofierze reprezentatywną próbkę tych błuznierstw – rozkazał władczym tonem. – A pozostałe wrzucicie do ognia.

– Jesteśmy zgubieni – z głębi stosu rozległ się stłumiony syntetyzowany głos.

Kiedy siedzący na poduszce Harrar skierował się do najbliższego krępującego obszaru, wyciągnęły się ku niemu w błagalnym geście żywe kończyny różnych długości, barw i kształtów. Niektórzy więźniowie prosili go o zmiłowanie; większość jednak milczała i tylko patrzyła na niego z przerażeniem. Kapłan zachowywał się obojętnie, dopóki jego spojrzenie nie spoczęło na człekokształtnej istocie porośniętej długą sierścią. Z wystającego czoła stworzenia wyrastała para rogów w kształcie stożków. Na obnażonych dłoniach i stopach widniały ślady ciężkiej fizycznej pracy. Odciski i zgrubienia skóry nie mogły jednak ukryć inteligencji w kryształowo przejrzystych

oczach. Człękokształtna istota była ubrana w pozbawiony rękawów, podobny do worka strój, opadający do kolan i przewiązany w pasie sznurem splecionym z jakichś roślin.

– Do jakiej należysz rasy? – zapytał Harrar, zwracając się do istoty w nienagannym basicu.

– Jestem Gotalem.

Harrar wskazał przewiązany w pasie strój przypominający worek.

– Twoje ubranie przystoi bardziej pokutującemu grzesznikowi niż naukowcowi – zauważył. – Kim jesteś?

– I jednym, i drugim, a zarazem żadnym z nich – odparł Gotal. – Jestem h'kigiańskim kapłanem.

Harrar energicznie obrócił się na poduszce i popatrzył na członków swojej świty.

– Mamy szczęście – powiedział. – Znaleźliśmy jakiegoś świętego. – Przeniósł spojrzenie z powrotem na Gotala. – Opowiedz mi coś o swojej religii, h'kigiański kapłanie.

– Dlaczego interesujesz się moimi wierzeniami?

– Ach, ja także jestem wykonawcą rytuałów – oznajmił Yuuzhanin. – Jeżeli wolisz, możesz zwierzyć mi się jak kapłan kapłanowi.

– My, H'kigianie, wierzymy, że największą wartość ma cnotliwe życie – odparł szczerze Gotal.

– To prawda, ale jakiemu celowi ma to służyć? – zapytał Harrar. – Zapewnieniu obfitych plonów, wywyższeniu siebie czy też może zapewnieniu odpowiedniego miejsca w przyszłym życiu?

– Cnota jest nagrodą samą w sobie.

Na twarzy yuuzhańskiego kapłana odmalowało się zainteresowanie.

– Tak oświadczyli ci twoi bogowie?

– Tak przedstawia się nasza prawda – odparł więzień. – Jedna z wielu.

– Jedna z wielu – powtórzył Harrar. – A z jaką prawdą zapoznali cię Yuuzhanie? Jeżeli oświadczysz, że uznajesz naszych bogów, może zastanowię się i daruję ci życie.

Gotal spojrział na niego z niezmaconym spokojem.

– Tylko fałszywy bóg mógłby żądać śmierci tylu istot i zniszczeń tylu światów – powiedział.

– A zatem to prawda – stwierdził Yuuzhanin. – Obawiasz się śmierci.

– Nie boję się zginąć w imię prawdy – oznajmił Gotal. – Nie boję się, jeżeli moja śmierć przyniesie ulgę w cierpieniu albo położy kres złu i nienawiści.

– Cierpienie? – Harrar pochylił się złowieszczo ku jeńcowi. – Pozwól, że powiem ci coś o nim, kapłanie. Cierpienie jest esencją życia. Ci, którzy uznają tę prawdę, rozumieją, że tylko śmierć uwalnia ich od cierpienia. Pogodziliśmy się z tym i dlatego nie boimy się śmierci. – Wyprostował się, powiódł spojrzeniem po więźniach i podniósł głos tak, aby mogli usłyszeć go wszyscy w wielkiej ładowni. – Nie żądamy od was więcej niż od siebie. Chcemy tylko, żebyście odwdzięczyli się bogom za ofiary, jakie ponieśli podczas stwarzania kosmosu. Składamy im w ofierze ciało i krew, aby ich dzieło mogło przetrwać.

– Nasi bogowie nie wymagają od nas niczego oprócz dobrych uczynków – odezwał się Gotal.

– Uczynków, które wzbudzają niechęć i nienawiść – parsknął pogardliwie Yuuzhanin. – Jeżeli wymagają od was tylko tego, nic dziwnego, że opuścili was w potrzebie.

– Nie czujemy się opuszczeni – zaprotestował więzień. – Mamy rycerzy Jedi.

Przez tłum więźniów przetoczyła się fala potakujących pomruków. Z początku ledwie słyszalna, po chwili przybrała na sile i przekonaniu.

Harrar powiódł spojrzeniem po stojących pod nim istotach. Zaskoczyło go, jak różne mieli twarze: pomarszczone albo gładkie, porośnięte sierścią albo bezwłose, z guzami, rogami albo głębokimi brzdami o mięsistych albo cienkich wargach. Zamieszkujące inną galaktykę istoty rasy Yuuzhan Vong starały się kiedyś wyeliminować taką różnorodność. Wybuchły wojny, które trwały całe tysiąclecia. Kosztowały śmierć tylu ofiar i spowodowały zniszczenie tylu światów, że nie dałoby się wszystkich zliczyć. Tym razem jednak Yuuzhanie zamierzali być przezorniejsi. Planowali unicestwić tylko te ludy i planety, które były niezbędne do dokończenia czystki.

– Czy ci Jedi to wasi bogowie? – zapytał w końcu Harrar, zwracając się do więźnia.

Gotal zastanawiał się chwilę czy dwie, zanim odpowiedział.

– Rycerze Jedi są strażnikami sprawiedliwości i pokoju.

– A ta Moc, o której mi mówiono – dopytywał się Yuuzhanin.

– Jak mógłbyś ją opisać?

Gotal rozciągnął usta w lekkim uśmiechu.

– To coś, czego nigdy nie dotkniesz – odparł cicho. – Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, powiedziałbym, że wyskoczyliście z jej ciemnej strony.

Zainteresowanie Harrara wyraźnie wzrosło.

– Chcesz powiedzieć, że ta Moc ma jasną i ciemną stronę?

– Jak wszystko inne na tym świecie.

– A którą ty zajmujesz w stosunku do nas? – zapytał Yuuzhanin.

– Jesteś taki pewien, że stoisz po jasnej stronie?

– Wiem tylko to, czego uczy mnie serce.

Harrar zastanawiał się chwilę nad tym, co usłyszał.

– A zatem ta walka to coś więcej niż zwyczajna wojna – stwierdził po chwili. – To zmagania bogów, a wy i my jesteśmy tylko narzędziami.

Gotal uniósł dumnie głowę.

– To możliwe – powiedział. – Ale ostateczny wynik już został ustalony.

Harrar prychnął.

– Niech to przekonanie przyniesie ci ulgę w ostatnich chwilach życia – burknął. – Zapewniam, nie zostało ci ich wiele. – Podniósł głos i zwrócił się do stłoczonych jeńców. – Aż dotąd istoty waszych ras miały do czynienia tylko z yuuzhańskimi wojownikami i politykami. Dowiedźcie się, że dzisiaj przybyli prawdziwi architekci waszego przeznaczenia.

Odwrócił głowę i gestem zachęcił członków świty, żeby do niego dołączyli.

– Ta Moc to tylko dziwaczne, irracjonalne wierzenia – powiedział cicho do służącego, który stanął obok podtrzymywanej przez dovin basala poduszki. – Jeżeli jednak naprawdę zamierzamy nad nimi panować, powinniśmy zrozumieć, w jaki sposób jednoczy miliardy tak odmiennych istot. Musimy także unicestwić wszystkich Jedi. Skutecznie i raz na zawsze.

# ROZDZIAŁ

## 2

Mimo iż galaktyka obfitowała w wiele cudów i dziwów, skupiska potężnych drzew i krzyżujących się gałęzi podtrzymujących miasto Wookiech – Rwookrro – cieszyły się zasłużoną sławą. Oglądane z góry, na tle ciemnej zieleni bezdenne lasu, miasto sprawiało niezwykle wrażenie. Wyglądało, jakby ocalało ze straszliwych, najniższych poziomów dżungli Kashyyyka i jako przykład doskonałej harmonii przyrody i techniki, zostało powierzone opiece zachmurzonego nieba.

Na skraju miasta – z daleka od okrągłych domów, które wyrastały z gąbczastego podłoża i trzymały się pni gigantycznych wroshyrów – na wierzchołku wielkiego konaru łączącego korony kilku drzew trwała uroczysta ceremonia ku czci nie kończącego się cyklu narodzin i śmierci.

Uczestniczyło w niej dwadzieścioro kilkoro Wookiech i istot ludzkich obojga płci. Wszyscy tworzyli krąg wokół drewnianego stołu, który także był okrągły. Jedni stali, inni kucali, a jeszcze inni siedzieli, ale na twarzach wszystkich malował się taki sam wyraz smutku i powagi. Jedyne wyjątki stanowiły dwa automaty, C-3PO – Threepio i R2-D2 – Artoo-Detoo. Im także pozwolono wziąć udział w ceremonii, ale bez względu na okoliczności, na ich metalowych obliczach nie mogły się odmalować żadne uczucia.

C-3PO stał z głową przekrzywioną na bok i rękami zgiętymi pod kątem rzadko spotykanym u istot, na wzór których go skonstruowano. Dziwaczna postawa nie wydawała się jednak złocistemu androidowi niczym niestosownym. Stanowiła konsekwencję szczegółów konstrukcyjnych i wiecznie zmieniających się wymagań narzucających serwowomom, które pozwalały mu poruszać się i wykonywać

różne gesty. Obok androida tkwił nieruchomo jak posąg jego baryłkowaty partner, robot Artoo-Detoo. Wciągnął środkowy wspornik, a dwa boczne unieruchomił na powierzchni konara.

Threepio zauważył, że z miejsca, gdzie stał, roztaczał się niezwykły widok. Konary pobliskich drzew ledwo majaczyły w gęstej mgłę; nie było nawet widać kręgu pobliskich żłobków, szkół i przedszkoli. Przez gęste chmury tylko z trudem przedzierały się pierwsze promienie słońca, rozproszone i rozszczepione jak przez pryzmat. Threepio doszedł do wniosku, że ten widok z pewnością wielu – ale nie jemu – zapiera dech w piersi.

[Zgromadziliśmy się, żeby uczcić pamięć Chewbaccy, czcigodnego syna, ukochanego męża, oddanego ojca, lojalnego przyjaciela i towarzysza broni, mistrza i bliskiego krewnego wszystkich członków klanu... przynajmniej w duchowym, jeżeli nie w tradycyjnym znaczeniu.]

Wookie, który wypowiedział te słowa, nazywał się Ralrrachen. Threepio jednak słyszał, że najczęściej nazywano go po prostu Ralrra. Był stary i wysoki, nawet jeżeli porównało się go z innymi istotami rasy Wookie. Od pozostałych odróżniało go jednak coś więcej niż tylko niezwykły wzrost czy siwa sierść na twarzy. Ralrra miał dziwną wadę wymowy, dzięki której istoty ludzkie mogły rozumieć wszystko, co mówił. Gdyby mowę wygłaszał inny Wookie, poproszono by Threepia, aby służył ludziom jako tłumacz. Tego poranka jednak żadna uczestnicząca w ceremonii istota ludzka nie musiała korzystać z jego umiejętności protokolarnego androida-poligloty.

[To właśnie w nim płomień buntu płonął z największą siłą] ciągnął Ralrra. Jego czarny nos drżał, a ręce zwisały luźno wzdłuż torsu. [Czy to na Kashyyyku, czy gdzie indziej, Chewbacca był zawsze odważny i nieprzekupny. Miał serce jak dziesięciu, a siłę i odwagę jak pięćdziesięciu Wookiech.]

Chewbacca zginął sześć standardowych miesięcy wcześniej, podczas zakończonej katastrofą operacji ratunkowej. Stracił życie na planecie Sernpidal, którą wybrali do zniszczenia najeźdźcy rasy Yuuzhan Vong. Wszyscy ubolewali, że ciała Chewbaccy nigdy nie znaleziono. Gdyby udało się przetransportować zwłoki na rodzinny Kashyyyk, odbyłaby się uroczysta ceremonia pogrzebowa. Uczestniczyć w niej mogliby tylko najbardziej poważani członkowie rodziny. To, co istoty rasy Wookie robiły ze zwłokami ziomków, stanowiło pilnie strzeżoną tajemnicę. Jedni eksperci twierdzili, że Wookie kremują ciała swoich zmarłych. Inni uważali, że zwłoki są albo grzebane w gąszczu gałęzi wroshyrów, albo opuszczane za

pomocą pędów winorośli kshyy w mroczne głębiny dżungli, skąd istoty się wywodziły. Jeszcze inni utrzymywali, że ciała zmarłych Wookiech są krojone na kawałki przy użyciu świętych ostrzy ryyyk i pozostawiane na wybranych gałęziach wroshyrów, skąd zabierają je drapieżne katarny albo ptaki kroyie.

C-3PO uważał, że nawet gdyby odbywała się ceremonia pogrzebowa, i tak nikt nie pozwoliłby mu wziąć w niej udziału. Uczestnicy ceremonii ku czci Chewbaccy byli członkami jego licznej i szeroko rozumianej rodziny. Chyba nikt jednak nie mógłby zaliczyć do ich grona złocistego androida – a już w żadnym wypadku jego baryłkowatego partnera, Artoo. Chociaż istoty z krwi i kości bardzo często stykały się z automatami, inteligentnymi i innymi, to w sprawach dotyczących więzów rodzinnych albo pokrewieństwa potrafiły być wyjątkowo drażliwe.

Obok Ralrry przykucnął ojciec Chewbaccy, Attichitcuk, a obok niego siostra zabitego bohatera, brązowowłosa Kallabow. Nieco dalej siedziała wdowa po Chewbacce, Mallatobuck, i ich syn, Lumpawarrump. Kiedy młodzieniec pomyślnie przebył ceremonię wkroczenia w wiek dojrzały, przybrał imię Lumpawaroo – w skrócie Waroo. Inni Wookiee byli przyjaciółmi, kuzynami, bratankami i siostrzeńcami zabitego. Do grona tych ostatnich zaliczał się Lowbacca, rycerz Jedi.

W ceremonii ku czci Chewbaccy uczestniczyło tylko sześćoro ludzi: pan Luke, pani Leia, pan Solo i trójka dzieci Solo: Anakin, Jacen i Jaina. Rzucała się w oczy nieobecność Landa Calrissiana. Ciemnoskóry mężczyzna – ku wielkiemu zaniepokojeniu pana Hana – przysłał wiadomość, że udział w uroczystości uniemożliwiają mu nieoczekiwane, choć bliżej niesprecyzowane okoliczności. W ceremonii nie uczestniczyła także żona pana Luke’a, Mara. Z pewnością wzięłaby w niej udział, gdyby nie nagłe pogorszenie stanu zdrowia. Jej organizm wyniszczała tajemnicza choroba, wskutek czego kobieta musiała pozostać na Coruscant.

Artystycznie rzeźbiony stół pośrodku kręgu uczestników ceremonii spoczywał na kobiercu z liści wroshyrów. Jego podstawę opłatały ciemnozielone pędy winorośli kshyy, a okrągły blat zdobiły kwiaty kolvissha, jagody wasaka, korzenie orga i błyszczące jaskrawożółte płatki syreniowca. W chłodnym powietrzu unosiła się aromatyczna woń żywicznych kadzideł.

[To właśnie tu, na Kashyyyku, charakter Chewbaccy ujawnił się już we wczesnym okresie jego życia] ciągnął Ralrra. [Razem ze zmarłym przyjacielem Salporinem] mówca przerwał na chwilę,

żeby rzucić spojrzenie na wdowę po Salporinie, Gorrlyn [Chewbacca opuścił szkolny krąg, żeby podążyć w dół, Szlakiem Rryatta do Studni Zmarłych; do samego serca Lasu Cieni. Uzbrojony jedynie w ostrze ryyyk, stawiał czoło fałszywym shyrrom, mchom jaddyk, igłopluskwom, pułapkostawom, cieniowórrcom i wielu innym zagrożeniom. W końcu zdobył pasmo włókien ze środka mięsożernego syreniowca, dzięki czemu uzyskał prawo noszenia baldrica, broni i imienia, pod którym chciał, żeby znali go wszyscy inni. To właśnie tu, na Kashyyyku, Chewbacca zapuścił się w głąb wielkiej jamy Anarrad – i to nie rraz czy dwa, ale pięć razy. Trzykrotnie upolował szponiastego katarna i tylko raz dopuścił, żeby bestia zadała mu lekką ranę.] Ralrra wskazał miejsce na swoim kosmatym torsie. [ Właśnie tu, po lewej stronie piersi.]

[Przygotowując się do zawarcia małżeńskiego związku, w który wstąpił tu, na tej gałęzi, Chewbacca zapuścił się w głąb dżungli aż na piąty poziom. Korzystając tylko z siły mięśni własnych rąk, upolował quillarata i podarował go Mallabutock jako dowód swojej miłości. A kiedy nadszedł czas, żeby jego wkraczający w wiek dojrzały syn Waroo wyruszył, by upolować płochliwego roślinożercę, Chewbacca wspierał go i zachęcał].

Chociaż Threepio słyszał o niektórych czynach, jakich Chewbacca dokonał na swej ojczyściej planecie, nie miał w pamięci informacji na ich potwierdzenie. Postanowił zatem przypomnieć sobie, co sam przeżył i zapamiętał, gdy spotykał się z rosnym Wookiem. Natychmiast zalała go fala wspomnień. Wiele miało aż dwadzieścia pięć standardowych lat.

Kiedy ujrzał go pierwszy raz, Chewbacca stał niczym żółtobrązowa wieża na skraju lądowiska dziewięćdziesiątego czwartego w kosmoporcie Mos Eisley na planecie Tatooine... Potem sromotnie przegrywał w holograficznej planszowej grze zwanej dejarikiem... W Mieście w Chmurach na planecie Bespin nieprawdłowo przytwierdził głowę złocistego androida do tułowia po tym, jak ci paskudni Ugnaughtowie bawili się nią w grę zwaną „Wookie w Środku”... Pan Han stwierdził kiedyś, że Wookie myśli tylko brzuchem... Wiele, bardzo wiele razy nazywał go „zapchlonym futrzakiem”, „przerośniętym kudłaczem”, „chodzącym dywanikiem” czy też „hałaśliwym brutalem”... Często tak samo nazywał go Threepio – rzecz jasna, naśladował ludzi. Zważywszy jednak na nienaganny charakter i wielką siłę Chewbaccy, zawsze mówił to na tyle ciepłym tonem, aby istoty nie urazić.

Nagle Threepia przeniknęło dziwaczne drżenie. Złocisty android uświadomił sobie, że nie potrafi przywołać dalszych wspomnień. Jego obwody ogarnęło nienaturalne i w najwyższym stopniu niepokojące ciepło. Skłoniło go to do przeprowadzenia procedury auto-diagnostycznej. Wyniki badań nie pozwoliły jednak odkryć przyczyny niezwykłego stanu.

Tymczasem Ralrra nie przestawał warczeć, ryczeć i poszczekiwać.

[Wrodzona ciekawość sprawiła, że Chewbacca opuścił Kashyyyk w bardzo młodym wieku. Wkrótce jednak, jak większość z nas, został niewolnikiem Imperium. Na szczęście szybko odzyskał wolność. Stało się to za sprawą człowieka... mężczyzny o podobnej szlachetności i sile charakteru, naszego czcigodnego brata, Hana Solo. Chewbacca przysiągł, że odda za niego życie. Dopiero w jego towarzystwie mógł odegrać w Rzebelii bardzo ważną rolę. Uczestniczył w wydarzeniach, które w końcu przyczyniły się do upadku Imperatora Palpatine'a.]

C-3PO skierował fotorecep  
mężczyzny otaczały czerwone obwódki. Prawa ręka spoczywała między dłońmi pani Jaiiny. Pan Han włożył na tę okazję ciemnoniebieskie spodnie wojskowego kroju. Trochę przypominały podniszczoną parę, którą miał nadzieję zachować dla potomności. Poprzedniego dnia jednak, kiedy chciał się w nie ubrać, okazało się, że ostatnio nieznacznie przytył. Stare spodnie zdecydowanie odmówiły posłuszeństwa. Rozdarły się tak bardzo, że nie nadawały się do naprawy. Threepio był świadkiem tego wydarzenia – jednej z przyczyn niezwykłego rozdrażnienia i utrapienia pana Hana. Pomagał mu później przytwierdzać do zewnętrznych szwów nowych spodni podwójne krwistoczerwone ozdoby zwane koreliańskimi lampasami.

Po drugiej stronie kręgu, naprzeciwko ojca i córki, stali pan Jacen i pani Leia. Kobieta oparła głowę o ramię syna, a na jej twarzy błyszczały ślady łez. Obok nich przykucnął panicz Anakin. Miał ponurą minę i sprawiał wrażenie pogrążonego w myślach. Tuż za nim stał pan Luke. On także wyglądał na przygnębionego, a przecież niejednokrotnie przeżywał śmierć bliskiej osoby. Stracił i własnych, i przybranych rodziców, nie wspominając o dwójce nauczycieli Jedi, mistrzach Obi-Wanie Kenobim i Yodzie.

[W końcu Chewbacca został żołnierzem Nowej Republiki] grzmiał i pomrukiwał Ralrra. [Kiedy Bitwa o Endorr dobiegła końca, miał swój udział w oswobodzeniu Kashyyyka. Mimo to poświęcił

życie przede wszystkim Hanowi Solo... jako przyjaciel i dożgonny dłużnik, a także opiekun i obrońca jego żony i trójki dzieci.] Ralrra odwrócił się w stronę Hana. [Kilka rrazy miał zaszczyt przybywać na ratunek i wyciągać z oprresji swojego przyjaciela, na przykład w trakcie ostatniego kryzysu, którego sprawcami byli Yevethowie. Chewbacca uwolnił wtedy Hana Solo z celi więzienia, urządzonego na pokładzie yevethańskiego okrętu.]

Threepio ponownie skierował fotoreceptory na pana Hana. Ogarnięty rozpaczą mężczyzna zwiesił głowę. Jego córka gładziła go po plecach. Złocisty android pomyślał, że łączące pana Hana i Chewbacce stosunki trochę przypominały te, jakie łączyły jego i Artoo. Czasami jednak odnosił wrażenie, że spędził w towarzystwie astromechanicznego partnera więcej czasu niż pan Han w towarzystwie Wookiego.

Widocznie baryłkowaty robot również obserwował pana Hana, bo w pewnej chwili obrócił kopułkę i skierował samotny fotoreceptor na złocistego towarzysza. Wydał całą serię cichych gwizdów i świstów. Zachowywał się, jakby i jego korpus przenikało to samo dziwne drżenie.

Threepio zmienił kąt pochylenia głowy.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy miał wiele okazji obserwować zachowanie zasmuconych istot ludzkich. Mimo tych wszystkich obserwacji nadal nie rozumiał, dlaczego ludzi ogarnia smutek – podobnie jak nie pojmował tego, zanim Chewbacca stracił życie na tamtej paskudnej planecie. Wcześniej czy później umierały przecież wszystkie żywe istoty – w wyniku naturalnego procesu starzenia, wypadków czy rozmaitych chorób, których było chyba zbyt wiele, żeby wszystkie poznać i zapamiętać. Pod pewnymi względami śmierć przypominała wyłączenie albo skasowanie zawartości pamięci. Pod innymi wszakże była czymś zupełnie odmiennym... utratą świadomości, kresem wszystkich przeżyć i przygód. Zastanawiając się nad tym spostrzeżeniem, C-3PO doszedł do przekonania, że może nie miał racji, kiedy rozmyślał o własnym losie. Jeżeli rzeczywiście, jak często mawiał, automaty stworzono w tym celu, aby cierpiały, właściwie co stanowiło esencję życia istot z krwi i kości?

Może lepiej było się nad tym nie zastanawiać?

Cechy konstrukcji protokolarnego androida uniemożliwiały mu ronienie łez czy przeżywanie stanu, jaki nazywano nerwowym załamaniem. Oprogramowanie pozwalało mu jednak odczuwać coś w rodzaju smutku... rzecz jasna, nie do tego stopnia, jak odczuwali go ludzie i inne istoty. Threepio uświadomił sobie nagle jasno, że to

smutek spowodował to drżenie, które cały czas go prześladowało. Chociaż bardzo się starał, nie mógł skupić myśli. Co gorsza, każde spojrzenie na pana Hana tylko potęgowało jego zaniepokojenie.

Możliwe, że pan Han był najlepszym przyjacielem Chewbaccy. Prawdopodobnie miał w sobie wiele naprawdę ludzkich uczuć. Tak czy owak, cierpiał chyba najbardziej spośród wszystkich biorących udział w ceremonii istot ludzkich. Trudno byłoby powiedzieć, jakie uczucia nim targały: udręka czy wściekłość, przygnębienie czy podniecenie. Threepio przypomniał sobie, że kiedyś nazwał pana Hana niemożliwym. Ten człowiek teraz bardzo cierpiał. Sprawiał wrażenie zamkniętego w sobie, jakby zatopionego w bryle karbonitu. Wyglądało na to, że złocisty android nie może zrobić absolutnie nic, żeby wyrwać go z odurwienia. Chociaż wprawnie posługiwał się milionami form porozumiewania się inteligentnych istot, nie potrafił zrozumieć, dlaczego ludzie zachowują się w taki sposób. Nie pojmował, jakimi kierują się uczuciami. Mimo wszystko był tylko automatem. Nikt nie zaprogramował go, żeby to rozumiał.

Pewnego razu, kiedy pan Han starał się zdobyć serce i rękę księżniczki Leii, położył dłoń na ramieniu C-3PO i oznajmił: „Jesteś dobrym androidem, Threepio. Niewiele androidów lubię tak jak ciebie”. Później poprosił go o radę w sprawach sercowych. C-3PO z radością ułożył słowa piosenki. Chciał, żeby pan Han, rywalizując z księciem Isolderem o względy księżniczki Leii, posłużył się nimi jak orężem.

Niech zaraza porwie moje metalowe ciało, pomyślał C-3PO. Dlaczego jego stwórca nie wyposażył go w niezbędne oprogramowanie? Mógłby teraz przynajmniej spróbować pomóc panu Hanowi. Tymczasem całe jego działanie ograniczało się do bezmyślnego filozofowania!

[Żądza przygód wabi, ale kryje w sobie wiele niebezpieczeństw niczym serce syreniowca] zaryczał płaczkliwie Ralra. [Mimo to ostatnia czynność Chewbaccy wiązała się z poświęceniem. Nasz krewniak zginął, aby ocalić od śmierci kogoś, kogo miłował i szanował.] Starzejący się Wookie skierował spojrzenie na młodego Anakina. Chwilę potem przeniósł je znów na pana Hana. [Nie zapomnijmy też, że, jak zawsze, ilekroć toczył walkę, miał wciągnięte pazury. A zatem powinniśmy brać przykład z gałęzi wroshyrów. Podobnie jak one wyciągają się, aby łączyć się i wspierać, tak i duch Chewbaccy łączy się z naszymi duchami, aby wzmacniać nas i wspierać w walkach, które musimy stawić czoło.]

Walki i wojny były podczas istnienia złościstego robota czymś tak powszednim, że najnowsza inwazja nie powinna była go zaskoczyć. W poczynaniach istot rasy Yuuzhan Vong i w prowadzonych na galaktyczną skalę zmaganiach było jednak coś odmiennego. Nie chodziło tylko o to, że najeźdźcy nie robili różnicy, przeciwko komu walczyli na ujarzmianych światach: obywatelom Nowej Republiki, zwolennikom Szczątków Imperium czy istotom pragnącym zachować neutralność. Nie chodziło też o organiczną broń, chociaż jej niszczycielska siła budziła powszechne przerażenie. Protokolarnego androida najbardziej martwiło coś innego. Oto miał do czynienia z pierwszym konfliktem zbrojnym, podczas którego napastnicy nie oszczędzali nawet automatów. A to oznaczało – nieważne, czy mu się podobało, czy też nie – że może będzie miał okazję zrozumieć istotę cierpienia, smutku i śmierci.

Na okrągłym blacie stołu spoczywały teraz talerze i misy z jedzeniem: bulionem z xachibika, opiekаныmi trakkrrrnowymi żeberkami, plackami polewanymi leśnym miodem i sałatkami udekorowanymi ziarnami rillrrnna. Stały także butelki i karafki wypełnione sokami, winami i kilkoma innymi mocniejszymi trunkami. Skupieni w niewielkich grupach, ludzie i Wookie rozmawiali. Opowiadania o tym, czego dokonał Chewbacca, wywoływały śmiech lub łzy, a czasem skłaniały do zastanowienia. Chłodny wiatr przybrał na sile. Szeleścił liśćmi drzew i wygrywał w szczelinach między gałęziami swoje melodie.

Przygnębiony i zrozpaczony Han siedział na niewysokim drewnianym stołku. Zwiesił głowę i oparł łokcie na kolanach.

– Wiesz, Jaino – odezwał się w pewnej chwili – nigdy bym nie pomyślał, że to powiem, ale zazdroszczę Threepiowi.

Dziewczyna uniosła głowę i powędrowała spojrzeniem za spojrzeniem ojca ku miejscu, gdzie złościsty android stał obok przysadziatego towarzysza. C-3PO wyglądał, jakby zupełnie nie wiedział, co robić.

– Chcesz powiedzieć, że czasami lepiej nie mieć serca – oznajmiła.

– Przynajmniej w takich chwilach jak ta. – Han ciężko westchnął, a potem przesunął prawą dłoń po twarzy.

Jaina wskazała blat stołu.

– Przyniosę ci coś do jedzenia, tato – zaproponowała. – Wyglądasz, jakbyś konał z głodu.

Han uśmiechnął się z wyraźnym przymusem.

– Dzięki, kochanie, ale nie jestem głodny.

– Mimo to powinienes coś zjeść – odezwała się zatroskanym tonem.

Han uśmiechnął się jeszcze raz i ujął ją za rękę.

– Poczęstuj się sama – powiedział. – Ja czuję się doskonale.

Jaina zmarszczyła brwi.

– Jesteś pewien? – zapytała.

– Potwierdzam. – Ruchem głowy wskazał stół. – Nie trać czasu. Najedz się i za mnie, i za siebie.

Jaina odwróciła się i niechętnie podeszła do stołu. Han przyglądał się dłuższy czas, jak rozmawia z pozostałymi dziećmi, wujkiem Lukiem i Lowbaccą. Obserwując ich, zastanawiał się, co by zrobił, gdyby umiał posługiwać się Mocą jak rycerze Jedi. Czy pozostałby po jasnej stronie, czy też może posłużył się złowieszczymi siłami ciemnej, żeby nauczyć Yuuzhan tego i owego na temat sztuki wywierania zemsty? W jego umyśle rozkwitały raz po raz niczym eksplozje sceny pełne gwałtu, przemocy i nienawiści. Siłą woli usunął je ze swej świadomości. Wiele poprzednich miesięcy spędził oglądając i przypominając sobie podobne sceny. Do niczego go to nie doprowadziło. Żadne mściwe myśli nie mogły przywrócić Chewbacce życia.

Popatrzył na swoje dłonie i uprzytomnił sobie, że zaciska je w pięści. Ostatnie sześć miesięcy żył jak w odretwieniu, zamknięty w sobie i pogrążony w posepnych myślach. Spędził ten czas w samotności, przesiadując najczęściej w mrocznych spelunkach, od jakich aż roilo się w podziemiach Coruscant. W tym czasie rycerze Jedi przynajmniej starali się stawiać czoło bezlitosnym przeciwnikom. Han pomyślał, że najwyższy czas uczynić to samo.

Zwymyślał się w duchu, nabrał głęboko powietrza i wypuścił je przez zaciśnięte wargi. Wyprostował się i rozplótł dłonie, by zaraz w geście stanowczego postanowienia klepnąć nimi o kolana. Potem z wysiłkiem wstał ze stołka. Chciał podążyć w kierunku okrągłego stołu, ale drogę zagrodzili mu Mallatobuck i kilku innych członków rodziny Chewbaccy. Malla trzymała metrowej długości drewniane pudełko.

[Hanie Solo] powiedziała, uśmiechając się do niego. [Pragniemy ci to подарować].

Han zmarszczył brwi. Postawił pudło na stołku i otworzył miernie wykuty metalowy zamek. W środku, pieczołowicie ułożona

na miękkiej poduszce, spoczywała pięknie rzeźbiona kusza. Ozdobne, cętkowane i polerowane łożysko miało barwę ciepłego brązu. Kunsztownie ukryty magnetyczny akcelerator umożliwiał wyrzucanie eksplodujących bełtów z niewiarygodnie dużą prędkością. Kusza miała lunetę i mechanizm naciągania cięciwy, z którego pomocy mogłoby korzystać tylko niewielu ludzi.

– Poznaję ją – kiwnął głową Han. Zacisnął wargi, żeby nie jęknąć. – To jedna z pierwszych, jakie własnoręcznie zrobił.

Malla zaryczała.

[Chewbacca sporządził ją wkrótce po naszym ślubie, jeszcze zanim odlecieliście z Kashyyyka] przyznała. [Później wykonał kilka lepszych egzemplarzy, ale ten kryje w sobie całą siłę i ciepło jego dłoni].

Han dotknął łożyska broni.

– Czuję to – powiedział. Odwrócił się i objął Mallę, chociaż jego głowa nie sięgała nawet jej podbródka. – To bardzo cenny dar. Dziękuję.

Waroo wręczył mu skórzany pokrowiec.

[To również należało do mojego ojca] odezwał się cicho. [Jestem pewien, że chciałby ci to podarować].

Han przewiesił przez ramię zaokrąglony u dołu pokrowiec. Doskonale wiedział, że sięga za kolana. Malla, Waroo, Lowbacca i pozostali wyrazili radość chórem ogłuszających ryków. Chwilę potem wróciła Jaina, niosąc tacę z jedzeniem. Ona także nie kryła zadowolenia.

– Jaka szkoda, że nie może cię teraz widzieć Chewie – powiedziała, chyba pierwszy raz tego dnia się uśmiechając.

Han otarł grzbietem dłoni łzę z kącika oka. Uśmiechnął się i objął córkę w pasie.

– Wielki kudłacz pewnie pękłby ze śmiechu.

Jowdrrl, porośnięta kasztanową sierścią kuzynka Chewbaccy, warknęła do Malli coś, czego Han nie zrozumiał. Na twarzy mężczyzny odmalowało się zaciekawienie. Widząc je, Malla wyjaśniła:

[Jowdrrl zastanawia się, kiedy ty i reszta twojej rodziny wracacie na Coruscant].

Han i Jaina spojrzeli po sobie i jak na sygnał równocześnie wzruszyli ramionami.

– Jeszcze się nad tym nie zastanawialiśmy – odparł Solo. – Prawdopodobnie jutro rano albo po południu.

Jowdrrl cicho zawyła.

[Pytałam o to, ponieważ ja i Dryanta musimy mieć trochę czasu, by się przygotować].

Han spojrział na nich z mieszaniną zdziwienia i przerażenia.

– Przygotować? – powtórzył. – Do czego? Zamierzacie towarzyszyć nam w drodze na Coruscant?

Ojciec Chewbaccy, Attichitcuk, znacząco zawył.

[Jowdrrl i Dryanta przygotowują ceremonię, podczas której pożegnają Waroo i Lowbacce] powiedział.

– Waroo i Lowbacce – powtórzył coraz bardziej zaniepokojony Solo.

[To właśnie oni przejmują na siebie dług życia Chewbaccy] wyjaśnił Attichitcuk.

Han otworzył usta. Nie wierząc własnym uszom, spojrział po kolei na obu Wookiech.

– Nie... nie możecie tego zrobić – wyjąkał cicho. – Chewie nie żyje. Jego śmierć położyła kres wszelkim długom.

Z gardła Attichitcuka wyrwało się chrapliwe wycie.

[Śmierć mojego syna mogła zgasić płomyk jego buntowniczego życia, ale dopóki nie zgaśnie twój płomyk, nasz dług pozostaje w mocy].

Jaina przygryzła dolną wargę i położyła dłoń na ramieniu ojca. Han stracił ją jednym szybkim ruchem. Energicznie pokręcił głową.

– Nie, nie, nie mogę się na to zgodzić – powiedział. – Chewie ocalił moje życie co najmniej dziesięć razy. Zginął, ratując od śmierci Anakina. – Z każdą chwilą mówił coraz pewniej i głośniej. – A poza tym, to ja mam wobec was dług życia. – Wbił spojrzenie w oczy porośniętego ciemnobrązową sierścią syna Dewlannamapii. – Twoja matka okazywała mi większą miłość niż własna. – Przeniósł spojrzenie na Gorrlyn. – Twój mąż, Salporin, oddał życie, by ocalić Leię przed atakiem skrytobójców Noghrich. – Zwrócił się do Jowdrrl i Dryanty. – Wasz kuzyn Shoran zginął na pokładzie „Dumy Yevethów”, ratując mnie od nieuchronnej śmierci!

[Podobnie postąpiłbyś ty] warknął Attichitcuk, prawie obnażając zęby. [Zginąłbyś, by ich uratować. Właśnie na tym polega spłacanie długu życia].

Malla także spiorunowała Hana gniewnym spojrzeniem.

[Jeżeli nie pozwolisz nam przejąć długu życia Chewbaccy, zniesławisz jego pamięć] oznajmiła.

Jaina z wysiłkiem przełknęła ślinę.

– Mój tata nie zamierzał nikogo zniesławiać – powiedziała, przenosząc spojrzenie z Wookiech na ojca. – Prawda, tato?

Han spojrział na nią; chyba nie uświadamiał sobie, że ma nadal otwarte usta. Dźwięczne warczenie Malli przypomniało mu, co

wydarzyło się następnego dnia po jej ślubie z Chewbaccą. Han usiłował wtedy przekonać Chewiego, że zamiast towarzyszyć mu w drodze powrotnej na księżyc Nar Shaddaa, jego przyjaciel powinien zostać w domu z dopiero co poślubioną żoną. Solo przypomniał sobie także, że Wookie Groznik związał kiedyś swój los z pilotką Eskadry Łobuzów, Elscol Loro, tylko dlatego, że była żoną Throma, wobec którego Groznik miał dług życia.

– Prawda, prawda – bąknął w końcu, przenosząc spojrzenie z Jainy na Mallę. – Pozwoliłbym odciąć sobie rękę, zanim znieślawiłbym pamięć Chewbaccy. Tylko...

Wszyscy w napięciu czekali, aż dokończy zdanie.

– Chodzi o to, że jeszcze nie jestem gotów – podjął niepewnie Solo. Potrząsnął głową, jakby miało mu to pomóc uporządkować myśli. Popatrzył na Attichitcuka i pozostałych Wookiech. – Czuję się tak, jakby Chewie nie zginął. Mam wrażenie, że nadal gdzieś żyje. Nie mogę pozwolić, by ktokolwiek... zajął jego miejsce u mojego boku. Musicie mnie zrozumieć. Nie uważałem go za kogoś, kto tylko troszczy się o moje życie. Był dla mnie... najlepszym, najwierniejszym przyjacielem.

Uspokojeni Wookie wymienili życzliwe spojrzenia. Rozległ się chór trudnych do zrozumienia, ale przyjaznych warknięć i pomruków.

[On wciąż jeszcze czci pamięć mojego męża] odezwała się ze smutkiem Malla.

[Potrzebuje trochę więcej czasu] zawtórował jej Attichitcuk na tyle cicho, by nie zabrzmiało to jak groźba.

– O, właśnie – podchwycił Han, widząc ostatnią szansę ratunku. – Po prostu muszę mieć więcej czasu.

Minęło kilka chwil, które wszystkim wydały się wiecznością. W końcu ojciec Chewbaccy kiwnął wielką głową.

[A zatem damy ci ten czas] oznajmił. [Dług życia to coś więcej niż ochrona czyjegoś ciała przed uszkodzeniem. Dług życia to także kojenie ducha].

Han uświadomił sobie, że w słowach starego Wookiego kryje się dużo prawdy.

– Nie chciałbym z tego rezygnować – powiedział. Malla położyła ogromne dłonie na jego ramionach.

[My także tego nie pragniemy] rzekła.

# ROZDZIAŁ

## 3

Holograficzne wizerunki gwiazdnych systemów i całych sektorów galaktyki zawirowały w błękitnoszarym stożku światła. Jaskrawo odcinające się linie oznaczały nadprzestrzenne szlaki, które łączyły najodleglejsze zakątki przestworzy. Lekki nacisk palca na ekran wystarczał, by pojawiały się opisy konkretnych planet, słońce czy gwiazdnych szlaków. Punkciki sztucznego światła rozrastały się, aby ujawnić informacje o inteligentnych istotach i ich cywilizacjach, topografii planet i liczbie mieszkańców, a w pewnych przypadkach także o sile i rodzaju obronnych systemów.

– Ubolewam, że muszę narażać eminencję na kontakt z wytworami nieczystej techniki. – Taktyk komandora Tli zgiął się w przepaszającym ukłonie. – Niestety, na razie nie odkryliśmy sposobu oddzielania informacji od metalowych skorup, w których je przechowywano. Dopóki nasze villipy nie przyswoją sobie zdobytej wiedzy, nie mamy wyboru. Musimy uciekać się do pomocy maszyn naszych wrogów. Co prawda, każdą starannie oczyściliśmy w sensie fizycznym oraz religijnym; obawiam się jednak, że w żaden sposób nie da się ukryć, iż nie mają ducha.

Mimo iż kapłan Harrar spoglądał na ustawione przed nim urządzenie z nieukrywaną odrazą, udzielił taktykowi rozgrzeszenia.

– Jeżeli ktoś czuje do przedmiotu wstręt zrodzony z niewiedzy, oznacza to, że się go obawia – oznajmił oschle. – Dokładniejsze zapoznanie się z naturą maszyn tylko umocni mnie w przekonaniu, że wszystkie mechanizmy powinny się unicestwić. – Machnął ręką. – Możesz kontynuować.

Taktyk Raff pochylił ozdobioną tatuażem głowę i zbliżył ukrytą w rękawiczce dłoń do świeżącego ekranu dotykowego.

– Jak widzisz, eminencjo, mamy tu ni mniej, ni więcej, dokładny portret całej galaktyki. Rzecz jasna, przedstawiony w ogólnych zarysach, ale na tyle szczegółowy, żeby pomóc nam w podboju Jądra.

Chronionym przez rękawicę palcem dotknął powierzchni ekranu. W stożku światła pojawił się wizerunek planety Obroa-skai i kilku sąsiednich gwiazdnych systemów.

Nie tylko dłonie taktyka miały ascetyczny wygląd. Z bufiastych rękawów płaszcza wystawały cienkie jak pręty nadgarstki, a z wysokiego i równie obszernego kołnierza szaty sterczała szyja tak chuda, że wyglądała jak policyjna pałka. Ponieważ Raff był czcicielem boga wojny Yun-Yammki, jego oszpecone czarnymi plamami usta przypominały jamę drapieżnika. Wystawały z niej ogromne zęby, które chwilami uniemożliwiały zrozumienie tego, co mówił. Najbardziej jednak liczyło się to, że Raff miał chłonny, sprawny i analityczny umysł. Często kontaktował się z koordynatorami wojennymi i dovin basalami, a zatem zawsze świetnie wiedział, co się dzieje. Dysponował najświeższymi informacjami na temat okrętów Nowej Republiki i strat, jakie ponosiły obie strony podczas każdej bitwy. Stosownie do swoich umiejętności, miał bezwłosą i rozdętą czaszkę, na której widać było liczne blizny. Miały dawać świadectwo pętlom i zwojom, jakich nie brakowało w jego udoskonalonym mózgu.

– Niestety, ogromna większość informacji ma charakter historyczny i dlatego przedstawia dla nas wątpliwą wartość – ciągnął Raff po chwili. – Wygląda na to, że mieszkańcy planety Obroa-skai postanowili przechowywać dokumenty sporządzane w oryginalnych językach i możliwe do odczytania tylko za pomocą specyficznych urządzeń do deszyfrowania informacji. – Taktyk wskazał unoszącą się platformę. Leżały na niej splamione krwią zapisane arkusze duraplustu, karty danych i inne nośniki informacji. Wszystkie czekały, aż spopieli je święty ogień. – To właśnie dlatego potrzebujemy tylu mechanizmów dekodujących i urządzeń tłumaczących. Mimo to uważam nasz szturm na biblioteki za uzasadniony. W końcu, kiedy zdołamy przetłumaczyć ich zawartość na mowę villipów, zdobyte informacje pozwolą nam poznać psychikę wielu ras inteligentnych istot. Z pewnością ułatwi nam to panowanie nad podbitymi obszarami.

Pojawił się służący. Bosonogi, ubrany w długą tunikę, wszedł po wyciosanych z koralu yorik stopniach platformy dowodzenia. Postawił tacę z jedzeniem i karafkę z bursztynowym płynem na blacie stojącego między kapłanem a taktykiem niskiego stołu. Spiczastą brodę sługi szpeciły głębokie fioletowe blizny, które wyglądały jak zarost, a worki pod osadzonymi blisko siebie oczami nosiły ślady kunsztownego tatuażu. Nad wystającymi brwiami błyszczało cofnięte czoło, także pokryte wytatuowanymi znakami i symbolami.

U stóp platformy, gdzie panował półmrok, a raczej ciemności, czekała cierpliwie samotna osoba. W pewnej chwili Harrar rozkazał, żeby służący podał napój jemu, taktykowi i istocie stojącej obok platformy. Sącząc kroplę po kropli, zastanawiał się, czy taktyk właściwie ocenił zdobyte łupy wojenne.

Wiek, spędzone na przemierzaniu międzygalaktycznych przestrzeni, wywarły niekorzystny wpływ na stan wielu gwiazdnych jednostek Yuuzhan – zarówno okrętów, jak i światostatków. Przewodzące pomieszczenia ogrzewały kiedyś okazałe kotary i kobierce, a monotonię pokładów umilały wykwintne mozaiki. Teraz prawie wszędzie królował chłód i pustka. Co prawda, sklepienia pomieszczeń socjalnych wciąż jeszcze wspierały się na rzeźbionych słupach, ale powierzchnie kolumn były teraz bezbarwne, chropowate i zniszczone. Bioluminescencyjne rośliny, które kiedyś dawały tlen i światło, nie pleniły się tak dobrze jak dawniej, a w wielu komnatach wręcz wyglądały jak dogorywające świece. Nawet podobne do grot jaskinie, zarezerwowane dla najwyższych stopniem dowódców i dostojników, miały teraz ponury, odrażający wygląd.

– Czy w zdobytych dokumentach znaleźliśmy jakieś informacje na temat rycerzy Jedi? – zainteresował się w pewnej chwili Harrar.

– Jest ich zdumiewająco niewiele, eminencjo – odparł taktyk.  
– Można odnieść wrażenie, że informacji dotyczących Jedi albo nie przekazywano do bibliotek, albo świadomie je z nich usunięto.

Kapłan odstawił czarkę z napojem na blat stołu.

– Różnica wydaje się dość istotna – powiedział. – Którą możliwość uznajesz za bardziej prawdopodobną?

– Tę drugą, eminencjo. W bibliotekach znaleźliśmy całe mnóstwo najróżniejszych dokumentów o treści filozoficznej. To dziwne, że nie zawierały prawie niczego na temat Jedi.

– Możliwe, że to sami Jedi nie zgodzili się na umieszczenie w bibliotekach informacji na swój temat – zasugerował Harrar. – Zapewne są bardziej tajemniczy niż myślimy.

– To wyjaśniałoby brak opisu i interpretacji przypisywanych im dzieł sztuki – przyznał taktyk. – Podobnie jak fakt, że Moc chyba nie jest przejawem działalności jakiegokolwiek bóstwa.

– A mimo to masz powód, aby uważać, że informacje na ich temat zniszczono albo skasowano.

– Uważam za prawdopodobne, eminencjo, że nawet gdyby zakazywało tego istniejące prawo, powstałyby jakieś dokumenty albo ustne przekazy. Prawdopodobnie zajmowali się tym sami Jedi, a może ktoś spoza ich zakonu... Mogli sporządzać je nawet ich wrogowie. Mam tu na myśli kroniki dziejów rycerzy, bibliografie dzieł wybitnych twórców albo mistrzów i tak dalej.

– Uważasz, że Jedi tworzyli coś w rodzaju zakonu?

Taktyk Raff popatrzył na stojącą w półmroku samotną istotę. Po chwili kiwnął głową.

– Wygląda na to, że z początku rycerze Jedi rzeczywiście tworzyli taki zakon. Ich głównym celem było wówczas oddawanie się medytacjom filozoficznym i teologicznym. Nie wiemy, czy to oni odkryli źródło energii nazwanej przez nich Mocą. Możliwe, że tylko pierwsi wpadli na trop, jak wykorzystać Moc do własnych celów. Tak czy owak, możemy się domyślać, że stopniowo przemienili się z myślicieli w stróżów społecznego ładu. Przez kilka tysięcy pokoleń służyli tej galaktyce jako strażnicy sprawiedliwości.

Harrar splótł wszystkie sześć palców rąk i w zamyśleniu zaczął bębnić nimi po wytatuowanych wargach.

– Musiała ich być cała armia – odezwał się w pewnej chwili.

– Zgadzam się, eminencjo.

– Tyle, że do walki przeciwko nam nie stanęła żadna armia Jedi – ciągnął w zamyśleniu kapłan. – Z raportów, jakie otrzymywaliśmy z miejsc bitew, wynika, że walczy z nami zaledwie mała garstka. – Twarz Harrara rozjaśnił nikły uśmiech. – Oznaczałoby to, że ktoś nie tylko usunął informacje z bibliotek planety Obroa-skai. Ten ktoś wyeliminował także samych Jedi.

– Ja również tak uważam – zgodził się z nim taktyk.

– Ale kto?

Raff wzruszył ramionami.

– Zwolennicy tak zwanej ciemnej strony? Istoty, które sami Jedi nazwali Sithami?

Harrar wyprostował się i oparł o poduszki ułożone za plecami.

– Możliwe więc, że w tej galaktyce mamy sprzymierzeńców.

– To prawdopodobne, jeżeli jeszcze pozostali jacyś Sithowie.

Zanim kapłan miał czas odpowiedzieć, w pomieszczeniu rozległ się odgłos szybkich rytmicznych kroków. Wkrótce potem z ciemności wyłoniła się młoda i uderzająco piękna Yuuzhanka. Długa połyskująca szata podkreślała kształty jej szczupłego ciała. Turban na głowie skrywał większość kruczoczarnych włosów, a na obrzeżach szaty widniały rzędy świecących lub opalizujących owadów. Stawiając długie kroki, istota podeszła śmiało do platformy dowodzenia. Kiedy stanęła u stóp podwyższenia, skrzyżowała ręce na piersi i zgięła ciało w pełnym szacunku ukłonie.

– Witaj, Elan – odezwał się ciepło kapłan Harrar.

Elan uniosła głowę, która nie była tak wypukła jak głowa kapłana ani tak zniekształcona jak czaszka taktyka. Istota miała płaskie kości policzkowe, a jej pociągła twarz kończyła się rozdwojoną brodą. Jasnoniebieskie i zimne jak lód oczy otaczały fioletowobłękitne i brązowe zawijasy. Szeroki nos wyglądał, jakby wyrastał wprost z czoła.

– Czego sobie życzysz, eminencjo?

– W tej chwili tylko tego, żebyś dotrzyzymała nam towarzystwa – odrzekł Harrar. Gestem absolutnie pozbawionym łaskawości poklepał poduszki, ułożone obok tych, na których wspierało się jego ciało. – Przybyłaś w samą porę, aby uczestniczyć w składaniu ofiary.

Elan obejrzała się przez ramię.

Towarzyszyła jej drobna istota o dziwnym wyglądzie i różnobarwnej twarzy. Jej tors zdobiły krótkie pióra, ułożone w taki sposób, że tworzyły wielobarwne pstrokate łaty. Z boków torsu wyrastały dwie cienkie ręce, zakończone szczupłymi czteropalczastymi dłońmi. Z owalnej i dość nieproporcjonalnej głowy, której tył wyglądał jak grzbiet porośnięty delikatnymi piórami, sterczały cienkie uszy i para spiralnie skręconych czułek. Lekko wklęsłą, porośniętą delikatnym meszkiem twarz zdobiły skośne oczy i szerokie usta. Istota chodziła na dwóch nogach, ale ich stawy kolanowe umożliwiały zginanie kończyn do tyłu, a nie do przodu. Nogi kończyły się płaskimi stopami, dzięki czemu stworzenie mogło poruszać się zwinnymi skokami.

Harrar zauważył niezdecydowanie młodej Yuuzhanki.

– Twoja powierniczka także może nam towarzyszyć – odezwał się po chwili.

Elan zerknęła na stojącą w cieniu platformy nieznaną osobę i ujęła prawą rękę swojej towarzyszki.

– Chodź, Vergere – rzekła.

Weszła po stopniach platformy i usiadła tak, by zostało miejsce dla jej powierniczki. Vergere spoczęła jak ptak, moszczący się pośrodku gniazda. Elan spojrzała na kapłana.

– Dlaczego zostałam wezwana, eminencjo? – zapytała.

Harrar udał, że jest rozczarowany. Skinął na najbliższego sługę.

– Możemy rozpocząć składanie ofiary.

Służący skłonił się i wydał polecenie dwóm doskonale ukrytym odbiorczym villipom, które natychmiast ukształtowały obraz. Oczom wszystkich ukazała się rozległa panorama okolicznych przestworzy. Rosła, dopóki nie wypełniła całej przedniej części pomieszczenia. W końcu przesłoniła nawet meble i przegrody. Mogłoby się wydawać, że pewna część fasetkowych ścian statku stała się przezroczysta jak transpastal albo zniknęła.

Pośrodku wytwarzanego przez villipy obrazu unosiło się słońce planety Obroa-skai. Wyglądało jak gigantyczny kocioł wypełniony płomienistą mazią. W stronę gwiazdy leciał pochwycony we wcześniejszej fazie bitwy stary, wysłużony i pokiereszowany transportowiec. Otoczka jego ochronnych pól zaczynała jarzyć się wiśniowym blaskiem. Jednostka miała kształt nieregularnego spodka, a w jej wnętrzu leżało ponad dwa tysiące schwytych jeńców wojennych i androidów. Oczyszczeni przez dźwięk, okadzeni świętymi dymami i ułożeni niczym szczapy porąbanego drewna, nieszczęśnicy dożywali właśnie ostatnich sekund życia.

Harrar, jego goście i członkowie świty w milczeniu obserwowali, jak pomarańczoworóżowy blask słońca ogarnia najpierw dziób transportowca, a potem zaczyna rozprzestrzeniać się w kierunku rufy. Płyty poszycia czerwieniały i topniały, a nadbudówki traciły kanciaste kształty. Paraboliczne anteny, zestawy czujników i generatory ochronnych pól miękły jak wosk i odrywały się od kadłuba. W końcu pancerne płyty pomarszczyły się i – jedna po drugiej – zaczęły łuszczyć się i odpadać. W końcu poddał się i zapadł sam kadłub. Skazany na zagładę transportowiec przemienił się w pochodnię... ognisty przecinek, który świecił kilka chwil, aby zaraz zniknąć.

Harrar wyciągnął ręce na boki na wysokość ramion i rozcapierzył wszystkie palce.

– Pragnąc okazać cześć naszemu stwórcy, Yun-Yuuzhanowi, a także wyrazić wdzięczność za poparcie i opiekę, składamy mu w ofierze tych, którzy nie są godni dalszego życia. Prosimy go o pomoc w pokonywaniu trudności, jakie piętrzy przed nami. Błagamy,

aby zechciał oświecić ten mroczny świat i wypłenić z niego wszelkie zło, niewiedzę i zabobony. Otwieramy przed nim swoje dusze...

– Niechaj nasze ofiary umocnią cię i ożywią – odezwał się chór osób zgromadzonych w pomieszczeniu.

– Wznosimy ku tobie serca...

– Aby ci się dobrze powodziło.

– Z własnej woli oddajemy się...

– Dzięki tobie odniesiemy zwycięstwo.

Pochwycony przez jęzor atomowego ognia nadawczy villip, aż do tej chwili lecący w niewielkiej odległości za transportowcem, rozjarzył się i spłonął. Kiedy obraz rozmył się i zniknął, służący Harrara powrócili do swoich obowiązków.

– Dopilnuję, żeby przesłane obrazy przeanalizowano pod kątem ewentualnych niepomysłnych znaków – obiecał taktyk, spoglądając na kapłana.

Harrar skinął głową.

– Dopilnuj także, żeby wynik analizy przesłano komandorowi Tli – powiedział. – Możliwe, że na razie nie bardzo przejmuję się takimi sprawami, ale kiedy zlekceważy złowróźbne znaki i poniesie klęskę, może opamięta się i nawróci.

Taktyk Raff zgiął się w umiarkowanie głębokim ukłonie.

– Stanie się, jak sobie życzysz, eminencjo.

Nagle poduszka, na której siedział Harrar, uniosła się i spłynęła z koralowych schodów.

– Zajmiemy się teraz bieżącymi problemami – odezwał się Yuuzhanin.

Na twarzy Elan odmalowało się zainteresowanie. Młoda Yuuzhanka ścisnęła rękę opierzonej towarzyszki.

– Na razie nasze poczynania zostały pobłogosławione łatwymi zwycięstwami – zaczął kapłan. – Światy się korzą, a ich mieszkańcy padają do naszych stóp. Z pewnością któregoś dnia będziemy władali tymi istotami. Uważam jednak, że znacznie trudniej przyjdzie nam zmienić sposób ich myślenia. Jeżeli chcemy to osiągnąć, musimy mieć coś więcej niż tylko lepsze uzbrojenie.

Popatrzył na Elan.

– Naszym największym problemem jest grupa istot, które nazywają siebie rycerzami Jedi – podjął po chwili. – Możemy ich uważać za kogoś w rodzaju funkcjonariuszy policji myśli. Jest ich wprawdzie niewiele, ale mają bardzo duże wpływy.

Elan zerknęła na Vergere i jeszcze raz ścisnęła jej rękę.

– Jakim bóstwom oddają cześć ci Jedi? – zapytała.

– O ile nam wiadomo, nie mają żadnych bogów – odrzekł Harrar. – Zamiast tego czerpią duchową siłę z ogromnego zbiornika energii zwanej przez nich Mocą.

– Czy opracowaliście strategię, która umożliwiłaby nam wyeliminowanie albo uszkodzenie źródła tej Mocy?

– Dotychczas nie. Chyba jednak możemy zrobić coś, żeby pozbyć się samych Jedi.

Harrar pokazał gestem nieznanego, cały czas stojącego w milczeniu u stóp schodów.

– Elan, to jest jeden z naszych agentów, egzekutor Nom Anor – powiedział. – Nie tylko pomógł nam opanować przyczółek w rejonie Odległych Rubieży, ale także zdołał zwerbować wielu agentów spośród mieszkańców podbijanych światów. Wielokrotnie brał udział w akcjach o charakterze propagandowym albo dywersyjnym. W tej chwili oderwał się od zwykłych obowiązków, żeby nadzorować plan, jaki zrodził się w naszych głowach.

Elan obdarzyła Noma Anora życzliwym spojrzeniem. Agent wszedł po stopniach platformy dowodzenia i stanął przed nią. Szczupły i średniego wzrostu, nie wyróżniał się niczym nadzwyczajnym. Tylko blizny na twarzy i połamane kości policzkowe dowodziły, że składał w życiu więcej ofiar niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Zapewne w trakcie jednej z nich stracił albo celowo poświęcił oko. Chociaż oczodół przypominał w tej chwili ciemną jamę, Elan zauważyła, że kości twarzy zostały ułożone w taki sposób, aby dało się tam umieścić playerin bol – plujący śmiercionośnym jadem organ, do złudzenia przypominający prawdziwą gałkę oczną.

– Gdyby okryć go maskującym ooglithem, bez trudu mógłby uchodzić za człowieka – zauważyła szeptem Elan, zwracając się do Vergere.

– Jest ambitny, pani – szepnęła w odpowiedzi jej towarzysza.

– Miej się na baczności.

Nom Anor skłonił się Harrarowi – nisko, ale nie tak nisko, jak powinien.

– Zanim rozpoczęliśmy inwazję, przeprowadziłem pewną próbę – zaczął. – Zamierzałem przekonać się, czemu musimy stawiać czoło. Rozsiałem na kilku planetach mieszaniny wywołujących choroby zarodników. Sam je opracowałem i wyhodowałem. Jedna grupa takich zarodników, odmiana coomb, okazała się niezwykle skuteczna. Na chorobę zapadło ponad sto istot. Prawie wszystkie później

zmarły. Ocalała tylko jedna: istota ludzka płci żeńskiej, która jest rycerzem Jedi. Ponieważ choroba nie była zakaźna, od kobiety nie zarazili się inni Jedi.

Nom Anor przeniósł spojrzenie na młodą Yuuzhankę.

– Wszystko przemawia za tym, że ta istota jest śmiertelnie chora. Na razie jednak nie umarła. Domyślam się, że czerpie siły ze zbiornika Mocy. Jej opór może jednak okazać się dla nas prawdziwym błogosławieństwem. Jestem pewien, że potrafimy wykorzystać go, aby dobrać się do skóry pozostałym Jedi.

– Przeniknąć w ich szeregi? – domyśliła się Elan.

– Wymordować ich – odezwał się Harrar, nie wstając z poduszki.

– A przynajmniej tyłu, ilu okaże się możliwe.

Nom Anor pokiwał głową.

– Taki wyczyn zdemoralizuje mieszkańców niezliczonych planet – powiedział. – Wszyscy pomyślą, że jeżeli umiemy pokonać nawet niezwycięzonych Jedi, jaką mogą żywić nadzieję, że się nam przeciwstawia? Dzięki temu zadamy druzgoczący cios ich wierze w rycerzy Jedi i podkopujemy zaufanie do Mocy. Światy zaczną kapitulować bez walki. Najwyższy lord Shimrra będzie zachwycony, że wywiązaliśmy się z zadania przed upływem wyznaczonego terminu. Ucieszy się, kiedy powiemy mu, że na niego czekamy.

Elan przeniosła spojrzenie z Harrara na Noma Anora. Po chwili spojrzała znów na kapłana.

– A jaką rolę ja mam odgrywać w tym planie? – zapytała.

Harrar rozkazał, żeby poduszka popłynęła w kierunku młodej Yuuzhanki. Kiedy znieruchomiał przed nią, powiedział:

– Taką, do której odgrywania kapłanka sekty zwodzicielek jest wyjątkowo dobrze przygotowana.

# ROZDZIAŁ

## 4

Han stał na krawędzi naturalnego mostku. Czubki jego wysokich do kolan czarnych butów wystawały poza konar wroshyra. Głosy przyjaciół dobiegały z tak daleka, że nie dało się rozróżnić ani słowa. Gęsta mgła, spowijająca cały ranek konary gigantycznych drzew, opadała teraz w postaci ciężkich kropel deszczu. Niemiłe i zarazem aromatyczne wonie, jakie wydobywały się z nieprzeniknionych, niebezpiecznych głębin dżungli, raz po raz przyprawiały go o zawroty głowy. W pobliżu, wykorzystując prąd wznoszącego się powietrza, wleciała ku niebu para ptaków kroyie. Ich skrzydła błysnęły, oświetlone nieśmiałym promieniem słońca.

W pełni świadom, co robi, Han wypuścił z palców kawałek kory wroshyra. Obserwował, jak wirując w locie, znika mu z oczu. Fragment mostku, gdzie stał, nie miał żadnej poręczy ani bariery; nic więc nie oddzielało go od przepaści.

– Uważaj, żebyś nie spadł – dobiegł go nagle zza pleców głos Leii. Han drgnął, ale się nie odwrócił.

– To dziwne – powiedział. – Zawsze wydaje mi się, że dno jest o wiele bliżej niż w rzeczywistości.

Leia podeszła i stanęła za jego plecami.

– Nawet jeżeli to prawda, powinieneś zaopatrzyć się w parę naprawdę wytrzymałych repulsorowych butów.

Han odwrócił głowę i wyszczerzył zęby w krzywym uśmiechu. Przesycone wilgocią powietrze Kashyyyka przemieniło włosy jego żony w potarganą grzywę, a prądy wznoszącego się powietrza poruszały fałdami jej luźnej spódnicy i bluzki bez rękawów.

– Nie martw się o mnie, kochanie – odrzekł. – Już się tam znajduję.

Leia stanęła obok niego i ostrożnie spojrzała w pozornie bezdenną czelusć.

– A ja zawsze myślałam, że już nic nie przerazi mnie bardziej niż widok z okna naszego apartamentu – rzekła po chwili. Ujęła męża pod rękę i delikatnie odciągnęła go od krawędzi. – Martwię się o ciebie.

– To pewnie pierwszy raz. – Na ustach Hana ukazał się wymuszony uśmiech. – Czuję się doskonale.

Leia zmarszczyła brwi.

– Naprawdę, Hanie? – zapytała. – Słyszałam, co się stało, kiedy rozmawiali z tobą Malla i Waroo.

Solo pokręcił głową. Znowu sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

– Muszę położyć kres tej historii z długim życiem – oznajmił stanowczo. – I to raz na zawsze.

– Po prostu daj im trochę czasu – zaproponowała Leia. – Zrozumieją. Pamiętasz, kiedyś nie mogłam pójść nawet do łazienki, żeby nie towarzyszył mi Khabarakh albo jakiś inny Noghri.

– Ta-a, i teraz także nie możesz się uwolnić od ich towarzystwa – przypomniał Han. – Nie zamierzam lekceważyć niczego, co dla ciebie zrobili, ale...

– Chyba wiem, do czego zmierzasz – przerwała mu Leia.

Han pokręcił głową.

– Założę się, że nie wiesz – odrzekł ponuro. – Widzisz, zapewne mogłabyś rozkazać Noghrim, żeby cię nie pilnowali. Tymczasem z istotami rasy Wookie to inna sprawa. Jesteś w błędzie, jeżeli uważasz, że Lowbacca albo Waroo usłuchaliby takiego rozkazu.

Leia zaplotła ręce na piersi i wyszczerzyła zęby w przekornym uśmiechu.

– W porządku – powiedziała. – Gdy tylko powrócimy na Coruscant, wydam polecenie, żeby Cal Omas albo ktoś inny zaproponował uchwalenie ustawy, w myśl której czas trwania długu życia Wookiech zostałby ograniczony. Co ty na to?

– Chcesz ryzykować, że radny Triebakk wpadnie w złość? – zdziwił się Solo. – Daj spokój. Uporam się z tym na swój sposób.

Han miał tak nachmurzoną minę, że zdeprimowana Leia natychmiast spoważniała.

– Nie zamierzałam cię urazić, Hanie – rzekła cicho. – Rozumiem, co czujesz. Dzisiejsza ceremonia musiała cię kosztować sporo nerwów.

Han odwrócił głowę i spojrzał w inną stronę.

– Szkoda tylko, że sam nie wiem, co czuję. Myślałam, że dzięki tej ceremonii pogodzę się z losem albo zapomnę o tym, co się stało. Zamiast tego poczułem się jeszcze gorzej. Może gdybym sprowadził chociaż ciało Chewiego, jego krewni urządziliby ceremonię pogrzebową... – Nie kończąc zdania, gniewnie pokręcił głową. – Co za głupstwa wygaduję! Nie chodzi mi przecież o to, że nie mogłem uczestniczyć w jakimś obrzędzie!

Leia milczała. Miała wrażenie, że Han jeszcze nie skończył.

– Dobrze wiem, że nie zmienię tego, co wydarzyło się na Sernpidalu – ciągnął po chwili. – Winię jednak siebie, że w ogóle nas wszystkich w to wplątałem.

– Staraleś się nie dopuścić, by zginęli – przypomniała Leia.

– I komu przyniosło to korzyść?

Leia postanowiła zmienić temat rozmowy.

– Czy powiedziałaś Anakinowi, że nie masz do niego żalu za to, iż nie uratował Chewiego? – zapytała.

Na twarzy Hana ukazał się wymuszony uśmiech.

– Największy błąd popełniłem, kiedy pozwoliłem mu usiąść w fotelu pilota.

– Hanie...

– Nie mówię, że to była wina Anakina – przerwał jej Solo. – Wiem jednak, że gdybym to ja siedział za sterami, podjąłbym inną decyzję. – Parsknął gorzkim śmiechem. – Zginęlibyśmy wówczas wszyscy: Chewie, Anakin, ja... A teraz to szaleństwo z kontynuowaniem długu życia. – Odszedł kilka kroków i nagle odwrócił się jak użądłony. – Za nic w świecie nie zgodzę się odpowiadać za śmierć następnego członka jego honorowej rodziny, Leio.

– Nie ty odpowiadasz za to, co się stało.

– Ja – oznajmił stanowczo Han. – Kto wie, jakie życie wiódłby Chewie, gdybym nie ciągnął go ze sobą po szlakach całej galaktyki, żeby przemycać przyprawę, korzenie chak i kto wie, co jeszcze.

Leia zmarszczyła brwi.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Hanie? – zapytała. – Czy to znaczy, że nie powinieneś uwalniać go z niewoli? O ile mi wiadomo, Chewie mógł zginąć, zamęczony na śmierć w imperialnym obozie pracy albo w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Nie wolno ci myśleć w taki sposób. A poza tym nie staraj mi się wmówić, że Chewie nie lubił włączać się w twoim towarzystwie, co nie miało nic wspólnego z długim życiem. Słyszałeś, co powiedział Ralrra: Chewbacca odleciał z Kashyyyka, gnany żądzą przygód. Ty i on doskonale do siebie pasowaliście.

Han zacisnął wargi.

– Chyba masz rację – zaczął. – Mimo to...

Pogrążony w rozpaczy, z rezygnacją pokręcił głową.

Leia dotknęła policzka Hana i delikatnie nacisnąwszy, nakłoniła go do odwrócenia głowy. Kiedy popatrzył w jej oczy, szeroko się uśmiechnęła.

– Wiesz, co zapamiętałam najlepiej? – zapytała. – Kiedy Chewie przytoczył mnie do torsu i przeniósł przez niższe poziomy Rwookrrorro. Jakbym była niemowlęciem.

Han parsknął.

– Możesz się uważać za szczęściarę – powiedział. – Kiedyś odbyłem podobną podróż w quulaarze, przewieszonym przez plecy Tarkazzy.

Leia zakryła dłonią usta, ale i tak nie zdołała powstrzymać się od śmiechu.

– Ojca Katarry? Tej z pasmem jasnobrązowej sierści na plecach?

– Tej samej. – Han także się uśmiechnął, ale szybko znów spoważniał. Odwrócił głowę i skierował spojrzenie na korony wroshyrów. – Wspomnienia przynoszą ulgę na krótko, ale zaraz potem wraca pamięć tego, co się stało. Jak długo będzie to trwało, Leio? Ile czasu potrzeba, żeby zapomnieć?

Leia westchnęła.

– Nie wiem, jak odpowiedzieć, żeby to nie zabrzmiało jak komaunał. Całe życie to jedna wielka zmiana, Hanie. Spójrz choćby na to miejsce. Świetliste prety zastępują latarnie z fosfopchłami, repulsorowe sanie wypierają banthy... Wszystkie rzeczy wykazują dziwną skłonność do zmiany stanu, kiedy najmniej się tego spodziewamy. Niedawni wrogowie stają się sprzymierzeńcami albo przyjaciółmi, a wczorajsi przeciwnicy przemieniają się w konfederatów. Ci sami Noghri, którzy starali się mnie zamordować, zostali później moimi strażnikami. Gilad Pellaeon przyleciał tu kiedyś, żeby zrobić z Wookiech niewolników, ale później, kiedy trzeba było stawić czoło Yuuzhanom, opowiedział się po naszej stronie. Czy ktokolwiek mógłby to przewidzieć? – Leia wyciągnęła ręce i zaczęła masować plecy męża. – Wcześniej czy później ból serca ustąpi.

Han poczuł, że mięśnie jego pleców napinają się pod dotykiem palców żony.

– Właśnie na tym polega cały problem – powiedział. – Ból serca w końcu ustępuje.

Podszedł do krawędzi mostku, usiadł i spuścił nogi poza krawędź konara. Leia kucnęła obok Hana i objęła jego plecy. Oboje dłuższy czas milczeli.

– Tracę go, Leio – odezwał się w końcu Solo. – Wiem, że nie żyje, ale jakiś czas miałem wrażenie, że czuję go obok siebie. Łudziłem się, że wystarczy tylko odwrócić głowę, żeby go znów zobaczyć. Słyszałem go... tak wyraźnie, jakby stał tuż obok. Śmiał się i komentował coś, co zrobiłem. Przysięgam ci, że czasami rozmawiałem z nim, jakby nic złego się nie wydarzyło. Coś jednak się zmieniło i zmienia się dalej. Teraz, kiedy naprawdę chcę go zobaczyć albo usłyszeć, muszę starać się o wiele bardziej niż kiedyś.

– Pogodziłeś się z tym, co się stało, Hanie – rzekła Leia. – Zrozumiałeś, że życie musi toczyć się dalej.

Han parsknął krótkim, wymuszonym śmiechem.

– Czyżby życie musi toczyć się dalej? – zapytał. – Moje? Nie sądzę. Przedtem muszę wymyślić coś, co sprawi, że jego śmierć będzie miała jakieś znaczenie.

– Ocalił życie Anakina – przypomniała Leia.

– Nie o to mi chodziło – odparł Han. – Chcę, żeby Yuuzhanie zapłacili za to, co zrobili na Sernpidalu. I za wszystko, co nadal robią.

Leia napięła wszystkie mięśnie.

– Zrozumiałabym, Hanie, gdybym usłyszała coś takiego od Anakina – rzekła cicho. – Jest młody i może jeszcze nie wie, o co chodzi. Nie chcę jednak wysłuchiwać takich bredni z twoich ust.

Han wzruszył ramionami i strząsnął z pleców rękę żony.

– Dlaczego uważasz, że wiem o życiu więcej niż Anakin? – spytał.

Leia opuściła ręce wzdłuż tułowia i wstała.

– Nie zastanawiałam się nad tym, Hanie – oznajmiła.

– No cóż, może powinnaś – wychrypiał, nawet nie odwracając głowy.

Tam, gdzie zaledwie kilka chwil wcześniej jarzył się obraz składowanej ofiary, było teraz widać dwudziestu jeńców, kulących się wewnątrz krępującego obszaru. Wszystkich podtrzymywały dwa wielkie krwistoczerwone dovin basale. Pośrodku zbiorowiska istot różnych ras stał h'kigiański kapłan – Gotal, któremu Harrar obiecał rychłą śmierć. Powierzchnia półkuli ograniczającego obszaru mieniła się i falowała niczym bąbel gorącego powietrza.

Na platformie dowodzenia stali Harrar, Nom Anor, Raff, Elan i jej pupilka. Obserwowali, jak do ładowni wchodzi młody wojownik rasy Yuuzhan Vong, ubrany w wiśniowofioletową tunikę. Skłonił się przed dostojnymi widzami i podszedł do granicy pola.

– Zabójca – odezwała się półgłosem zdumiona Elan, spoglądając na Vergere.

– Tylko uczeń – poprawił ją kapłan Harrar. – Na razie nie wyróżnił się niczym nadzwyczajnym. Za chwilę jednak zrobi coś, dzięki czemu bez wątpienia zasłuży na większe poważanie.

Kiedy wojownik przekroczył umożliwiającą przejście tylko w jedną stronę barierę krępującego obszaru, po prawie niewidocznej powierzchni półkuli rozbiegły się kręgi jak po tafli wody. Stojący w pobliżu strażnicy unieśli amphistaffy, jakby oczekiwali, że więźniowie rzucą się do rozpaczliwego ataku. Nie wiadomo jednak, czy tak bardzo się bali, czy też może górę wzięła zwykła ciekawość. Tak czy owak, żaden nie zaatakował intruza. Również młody wojownik, kiedy znalazł się w środku krępującej półkuli, zrobił dwa kroki, po czym znieruchomiał. Odwrócił tylko głowę w taki sposób, aby kątem oka widzieć kapłana.

– Obserwuj wszystko uważnie, Elan – odezwał się Harrar.

Wyciągnął prawą rękę i ledwo zauważalnym gestem dał znak zabójcy, że może zaczynać. Młodzieniec otworzył usta i opróżnił płuca ze wszystkiego, co się w nich znajdowało.

Więźniowie zareagowali niemal natychmiast. W pierwszej chwili cofnęli się, jakby zamroczeni albo przerażeni. Wkrótce uświadomili sobie, co ich czeka. Ogarnięci paniką, schwycili się za gardła, jakby nagle we wnętrzu krępującej półkuli zabrakło powietrza. Ich gładkie blade twarze posiniały albo szczeniały jak spalone ogniem. Członki i kończyny spazmatycznie zadrżały, a z owłosionych ciał zaczęły wypadać kępki sierści. Skóra pokryła się szkarłatnymi plamami, by chwilę potem spłynąć krwią z rozsadzonych naczyń. Niektórzy więźniowie padli na kolana i wymiotowali krwią. Inni, zapewne wytrzymałsi, zataczali się jak pijani i wpadali jedni na drugich niczym ślepcy. W końcu jednak i oni, daremnie chwytając resztki powietrza, zakrtusili się i legli na płytach pokładu.

W końcu w półkuli krępującego pola stał tylko młody zabójca. Nie trwało to jednak długo. Dobrze wiedział, że nie wolno mu zaczerpnąć powietrza. Odwrócił się i usiłował opuścić półkulę, ale wytwarzające ochronne pole dovin basale nie pozwoliły mu wyjść na zewnątrz. Wstrzymując oddech, młodzieniec rozpaczliwie przeszedł

wzdłuż obwodu. Zapewne miał nadzieję, że znajdzie jakąś lukę. Może spodziewał się, że na skutek czyjegoś błędu albo niedopatrzienia zdoła ocalić życie. Szukał jednak nadaremnie. W końcu chyba uświadomił sobie, jaki los jest mu pisany. Odwrócił się w kierunku Harrara i dumnie wyprostował, a potem zacisnął dłonie w pięści i uderzył nimi w przeciwległe ramiona. Dopiero wtedy chwycił głęboki haust powietrza. Z jego oczu i nosa pociekły strużki krwi. Chwilę później udreżona twarz przemieniła się w makabryczną maskę. Młody wojownik nie wypowiedział jednak ani słowa. Jego kościste ciało zadrżało od stóp do głów. W końcu zabójca runął twarzą na płyty pokładu.

We wnętrzu krępującego obszaru zaroily się teraz setki spontanicznie powstałych stworzeń, nie większych niż fosfopchły. Wirując w obłędnym tańcu, obsiadły leżące na pokładzie nieruchome ciała i skupiły się wzdłuż okręgu migotliwej półkuli. Wyglądało to, jakby usiłowały wydostać się na wolność – podobnie jak chwilę wcześniej starał się tego dokonać młody Yuuzhanin.

Harrar skinał na jednego z akolitów.

– Pochwyć jedno i przynieś mi! – rozkazał. – Tylko szybko!

Akolita skłonił się i podbiegł do granicy krępującego obszaru. Wyciągnął rękę i przebił prawie niewidoczną zaporę. Ukrytą w rękawicy dłonią pochwycił jedno stworzenie. Trzymając je kciukiem i wskazującym palcem, cofnął dłoń, odwrócił się i podbiegł do platformy dowodzenia. Kiedy wstępował po wyciosanych z koralu stopniach, stworzenia we wnętrzu półkuli przestały się poruszać. Wydawać się mogło, że nagle straciły energię. Zachowywały się, jakby konały.

Akolita skłonił się i wręczył małe żyjątko Harrarowi. Chociaż się wyrывało, Harrar schwycił je trzema palcami prawej dłoni i uniośł tak, żeby Elan mogła się przyjrzeć. Stworzenie wyglądało jak lekko opalizujący dysk, z którego wystawały trzy pary zaopatrzonych w stawy odnóży.

– Bo'tous – oznajmił Harrar. – Zarówno nosiciel, jak i produkt uboczny trucizny. Wyrzucony wraz z oddechem zabójcy. Stworzenia dojrzewają bardzo szybko, jeżeli mają pod dostatkiem tlenu, ale żyją wyjątkowo krótko.

– Twoja broń przeciwko Jedi – domyśliła się Elan.

– Wytrawny nosiciel, odpowiednio opróżniając zawartość płuc, potrafi wyrzucić z nich cztery dawki bo'tousów – ciągnął kapłan. – W zamkniętych i uszczelnionych pomieszczeniach nie ma przed nimi ratunku. Nawet dla nosiciela. Rozumiesz?

– Rozumiem, że nosiciel podejmuje ryzyko śmierci razem ze swoimi ofiarami.

– Toksyczne działanie stworzeń po uwolnieniu z płuc trwa bardzo krótko – odezwał się Nom Anor. – Nosicielka musi znaleźć się jak najbliżej celu.

– Nosicielka... – powtórzyła Elan, spoglądając na Harrara.

Kapłan wytrzymał siłę spojrzenia.

– Chcielibyśmy urządzić wszystko tak, żebyś dała się pochwycić żołnierzom Nowej Republiki – powiedział. – Komandor Tla nie był tym zachwycony, ale w końcu zgodził się pozwolić im na zwycięstwo. Kiedy wpadniesz w ich ręce, poprosisz o azyl polityczny.

Elan nie kryła sceptycyzmu w spojrzeniu ani w głosie.

– Dlaczego mieliby mi go przyznać? – zapytała.

– Ponieważ zamierzamy przekonać ich, że jesteś cenną zdobyczą – odrzekł Anor.

Harrar potwierdził jego słowa kiwnięciem głowy.

– Przekażesz im wartościowe informacje. Dowiedzą się z nich, dlaczego przylecieliśmy do ich galaktyki i jakie spustoszenia pozostawiliśmy za sobą. Oświadczysz im także, że w naszych szeregach doszło do różnicy zdań, a nawet do rozłamu. To właśnie dzięki temu zdecydowałaś się na ucieczkę. Zdradzisz im także kilka tajemnic o charakterze wojskowym.

– Czy komandor Tla został o wszystkim uprzedzony? – wtrącił się nieśmiało Raff.

– Prawie o wszystkim – odparł Harrar.

– A zatem muszę zaprotestować – ciągnął taktyk. – Obawiam się, że przyjdzie nam zapłacić zbyt wysoką cenę.

– Biorę na siebie pełną odpowiedzialność – oznajmił oschle kapłan. – Nie dopuszczę, żeby pośród nas doszło do prawdziwego rozłamu.

Raff uznał jednak za słuszne obstawać przy swoim.

– Eminencjo, przecież niedawno egzekutor Nom Anor poinformował nas, że jakaś kobieta-Jedi przeżyła wcześniejszą próbę zatrucia jej organizmu. Dlaczego więc bo'tousy miałyby poskutkować w przypadku innego Jedi, a tym bardziej całej grupy? – Popatrzył na Elan. – Nie wspominam o bardzo skomplikowanym sposobie przeniesienia śmiertelnej broni.

Przez chwilę na twarzy Harrara malowało się wahanie.

– Twoje stanowisko upoważnia cię do wygłaszania takich zastrzeżeń, taktyku – powiedział. – Co proponujesz?

Raff zastanowił się, zanim odpowiedział.

– Uważam, że twój wysłannik powinien przynajmniej dysponować dodatkową bronią – odezwał się w końcu. – Na wypadek, gdyby bo'tousy okazały się nieskuteczne.

Harrar przeniósł spojrzenie na Anora. Egzekutor lekceważąco machnął ręką.

– To zbyt proste – odparł. – Ale łatwo wykonalne. Istnieją gatunki amphistaffów, które łatwo zmodyfikować i implantować nosicielowi właśnie w takim celu.

Zadowolony Harrar kiwnął głową.

– Możesz kontynuować, egzekutorze – powiedział.

Anor spojrział na Elan.

– Niestety, nie znam urzędzeń, które zapewniłyby ci sukces podczas przesłuchiwania przez agentów Wywiadu Nowej Republiki. Będziesz zdana wyłącznie na własne siły. Zaczyniesz od oświadczenia, że dysponujesz informacjami o zarodnikach, które rozrzuciłem na kilku światach. Będziesz się upierała, że przekażesz te informacje tylko rycerzom Jedi. Musisz jednak mieć się na baczności. Ci Jedi mają w sobie coś, co upodabnia ich do bogów. Bardzo szybko odkrywają, że usiłujesz wywieść ich w pole, chociaż od najmłodszych lat uczyłaś się zwodzić i oszukiwać. Dlatego powinnaś dysponować szybko działającą trucizną. Musisz działać w wielkim pośpiechu.

Harrar wyciągnął stworzenie w stronę młodej kapłanki.

– Spiesz się, Elan – powiedział. – Weź to i zamknij w dłoni.

Zwodziicielka spojrzała poważnie w jego oczy.

– Jeżeli to zrobię, zgodzę się przyjąć twoją propozycję – odparła.

Harrar odwzajemnił jej spojrzenie.

– Nie wydam ci takiego polecenia, Elan – powiedział. – Decyzja w tej sprawie należy do ciebie.

Młoda Yuuzhanka zerknęła na swoją powierniczkę.

– Co mi radzisz? – zapytała.

Skośne oczy Vergere posmutniały.

– Doradziłabym ci, pani, żebyś odmówiła – odrzekła. – Ale wiem, że od dawna pragniesz być poddana próbie. Chcesz wykonać zadanie godne twoich umiejętności. Ze smutkiem przyznaję, że nie znam prostszego i skuteczniejszego sposobu zdobycia szacunku i sławy.

Harrar zerknął na egzotyczną pupilkę kapłanki.

– Możesz wziąć ją ze sobą, Elan, jeśli chcesz – powiedział. – Możliwe, że ci w czymś pomoże.

Elan spojrzała jeszcze raz na Vergere.

– Zgodziłabyś się mi towarzyszyć?

– A kiedy ci nie towarzyszyłam, pani? – odparła istota.

Kapłanka sięgnęła po niewielkie stworzenie i zamknęła je w dłoni. Zanim rozwarła palce, wniknęło do jej ciała.

– Przedostanie się do twoich płuc i tam dojrzeje – oznajmił z uśmiechem Harrar. – Zorientujesz się, kiedy trucizna osiągnie największą siłę. Wyrzucisz ją wówczas z płuc cztery razy, przeciwko tyłu rycerzom Jedi, ilu zdołasz zgromadzić w zamkniętym i szczelnym pomieszczeniu.

Elan spojrzała na Harrara.

– A co potem, eminencjo?

– Chcesz wiedzieć, co się stanie z tobą? – domyślił się Yuuzhanin. Ujął jej dłoń, uniósł do oczu i zaczął oglądać miejsce, gdzie bo'tous przeniknął do jej organizmu. – Nom Anor i ja uczynimy wszystko, co w naszej mocy, żeby w każdej chwili wiedzieć, gdzie się znajdujesz. Nie mogę ci jednak obiecać, że cię uratujemy. Możesz być pewna tylko wywyższenia. Jeżeli twoja misja zakończy się powodzeniem, umrzesz razem z rycerzami Jedi albo później zostaniesz skazana na śmierć i stracona.

Elan wyszczerzyła zęby w nieszczerym uśmiechu.

– Decyzja w tej sprawie należy także do mnie?

Harrar poklepał jej dłoń.

– Jeżeli cię to pocieszy, pomyśl o przyszłym życiu – powiedział.  
– Zazdroszczę ci. Już niedługo je rozpoczniesz.

Otoczony pędami winorośli kshyy i pilnującymi go strażnikami, „Sokół Millenium” spoczywał na platformie lądowniczej Thiss, tuż obok wahadłowca, którym na Kashyyyk przylecieli Luke, Jacen, Anakin i Lowbacca. Szerniała od płomieni platforma na skraju Rwookrrorro powstała dzięki temu, że niegdyś odgięto poziomo tuż przy pniu gigantyczny konar wroshyra. Była tak wielka, że lądować mogły na niej nawet pasażerskie liniowce; w tej chwili jednak stał na niej tylko „Sokół” i wysmukły wahadłowiec. Od dawna – odkąd Chewie wylądował „Sokołem” na Kashyyyku w czasach Kryzysu Czarnej Floty – do miasta nie przyleciało tylu zaproszonych gości, turystów, żałobników i zwykłych gapiów. Przybywali z daleka – z Karryntory, Northaykka, Wysp Wartaki, a nawet odległego Półwyspu Thikkiińskiego. Chcieli nie tylko zobaczyć Luke’a, Hana czy

Leię, ale także choćby rzucić okiem na koreliański frachtowiec typu YT-1300, który w rękach Chewiego i Hana okrył się taką sławą.

Jak taurill przemykający między wybujałymi paprociami shag, Han przeciskał się przez tłum rozwrzeszczanych Wookiech. Chyba wszyscy się sprzysięgli, żeby energicznym poklepywaniem po plecach strzaskać mu kręgosłup albo przynajmniej w którymś z wielu uścisków połamać zebra. Kiedy Korelianin dotarł w końcu do „Sokoła” i chronionego przez strażników fragmentu lądowiska, wyglądał, jakby zbyt dużo czasu spędził w symulatorze stanu nieważkości. U stóp opuszczonej rampy czekali na niego Leia, Luke, dzieci i oba automaty.

– Tato – odezwała się Jaina, kiedy Han podszedł do niej trochę bliżej. – Myślałam, że odlecimy dopiero jutro.

– Zmiana planów – mruknął Solo. – Czy wszystko sprawdzone przed odlotem?

– Ta-a, ale...

– W takim razie wchodzimy i startujemy.

– Skąd ten pośpiech, Hanie? – zapytał Luke, zastępując mu drogę. Odrzucił na plecy kaptur czarnego płaszcza Jedi, a u pasa zwisała mu rękojeść świetlnego miecza. – Uciekamy przed kimś czy chcemy dokąds zdażyć?

Han stanął jak wryty. Kątem oka zauważył, że Leia skrzywiła się i odwróciła głowę.

– O co ci chodzi? – zapytał, spoglądając w oczy mistrza Jedi. Luke miał jednak nieprzeniknioną minę.

– Coś pilnego do załatwienia na Coruscant? – zapytał.

Han zacisnął zęby.

– Jutro, dzisiaj, co za różnica? Jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, tak. Mam do załatwienia pilną sprawę. Coś, co dotyczy istot rasy Yuuzhan Vong i losów galaktyki.

– Hanie...

– Dość tego! – przerwał mu Solo. Zaraz się jednak opanował i nie powiedział tego, co zamierzał. Kiedy się odezwał, jego głos miał mniej więcej normalne brzmienie. – Luke’u, po prostu mam już dosyć okazywania mi współczucia. Najlepiej daj sobie z tym spokój.

– W porządku, jeżeli naprawdę tego chcesz...

Solo wyminął go i ruszył w górę rampy, ale nagle przystanął i odwrócił się, jakby coś go użądliło.

– Wiesz, czasami nie mam pojęcia, co jest gorsze. Czy to, że wszyscy wyłażą ze skóry, żeby mnie pocieszyć i poprawić moje

samopoczucie, czy twoja wiara we własne możliwości. Może wydaje ci się, że mnie rozgryzłeś, ale to nieprawda. Tak, tak, dobrze wiem, że ty także straciłeś przyjaciół i członków rodziny, a teraz trapisz się chorobą Mary. Nie zapominaj jednak, że Chewie oddał życie za mojego syna, a to zupełnie coś innego. Nie możesz wiedzieć, jak się czuję.

– Nawet nie usiłuję udawać, że wiem – odparł spokojnie Skywalker. – Jak jednak powiedziałeś, wiem coś na temat żałoby.

Han uniósł ręce na wysokość ramion.

– Tylko nie mów nic na temat Mocy. Nie w takiej chwili. Oświadczyłem ci już dawno, że nie wierzę, aby o wszystkim we wszechświecie decydowała jedna siła. Możliwe, że się nie myliłem.

– Mówisz to po tym, co razem przeżyliśmy?

– Wszystko, co razem przeżyliśmy – odparł porywczo Solo, celując wskazującym palcem w twarz przyjaciela – miało więcej wspólnego ze strzelaniem z blasterów niż posługiwaniem się świetlnym mieczem. Sam o tym wiesz najlepiej.

– Upadek Imperium zawdzięczamy Mocy – oznajmił mistrz Jedi.

– A co to ma do rzeczy? – obruszył się Han. – Przypuszczasz, że to mi pomoże? – Spojrzał w dół rampy na Leię, trójkę dzieci, Threepia i Artoo-Detoo. Wszyscy sprawiali wrażenie poważnie zaniepokojonych. – Nie dysponuję umiejętnościami Jedi. Nie można też skasować zawartości mojej pamięci jak androidom czy robotom. Jestem normalnym gościem, mam normalne uczucia i może trochę większą niż przeciętna porcję wad i niedociągnięć. Nie widzę Chewiego, Luke’u. A przynajmniej nie w taki sposób, jak twierdziłeś, że widziałeś Obi-Wana, Yodę i ojca. Nie mam Mocy na swoje usługi.

– Ależ masz, Hanie – sprzeciwił się łagodnie Luke. – Właśnie to usiłuję ci powiedzieć. Jeżeli tylko odrzucisz gniew i złość, z pewnością ujrzesz Chewiego.

Han otworzył i zamknął usta. Odwrócił się na pięcie i ruszył w górę rampy. W następnej chwili zamarł i jeszcze raz się odwrócił.

– Nie mam pojęcia, czy jestem gotów wejść po tej pochylni – mruknął, jakby do siebie.

Zaczął schodzić i nie zatrzymał się, dopóki nie przeszedł obok Luke’a.

– Hanie! – wykrzyknęła Leia.

Odwrócił się, ale nie spojrzał na żonę. Skierował spojrzenie na twarz Jaiiny.

– Wróć „Sokołem” na Coruscant – wychrypiął.

Jaina otworzyła szerzej oczy. Z wysiłkiem przełknęła ślinę.

– Ale... A ty? – wyjąkała.

– Nie martw się o mnie! – prawie krzyknął Han. – Sam tam wróć!

Nie mówiąc ani słowa więcej, odwrócił się i ruszył przez wolną przestrzeń platformy lądowniczej.

W ośrodku dowodzenia fasetkowego statku Harrara pozostali tylko kapłan i Nom Anor. Wewnątrz obszaru krępującego krzątał się teraz wyhodowany przez specjalistów od inżynierii biologicznej czworonóg nie większy od Ewoka. Poruszając się zwinnie w środku półkuli, kierował podobny do ryjka pysk raz w tę, a raz w inną stronę. Wysysał niczym odkurzacz szczątki stworzeń zrodzonych z oddechu młodego zabójcy. Trupy więźniów – a także zwłoki wojownika – wciąż jeszcze czekały na uprzątnięcie.

Harrar i Nom Anor stali obok prawie niewidocznej, falującej powierzchni półkuli. Przyglądali się, jak stworzenie pracuje. Elan, Vergere i taktyk opuścili pomieszczenie.

– Bardzo wiele zależy od powodzenia tego planu – odezwał się w końcu Harrar.

– Więcej niż przypuszczasz – zgodził się z nim Nom Anor. – Od czasu klęski, jaka spotkała prefekta Da'Garę na Helsce, nie cieszę się takim szacunkiem jak kiedyś.

– Pokładam wiarę w tobie – oznajmił stanowczo kapłan.

Egzekutor skłonił głowę w podziękowaniu.

– Czy sądzisz, że Elan zgodzi się zginąć razem z rycerzami Jedi? – zapytał. – A może zaryzykuje, w nadziei, że Nowa Republika zechce darować jej życie?

– Uważam, że wybierze śmierć razem z ofiarami.

– I nie przyprawia cię to o ból głowy? – zapytał Anor. – Mimo wszystko, jej domena jest potężna. A jej ojciec cieszy się poważaniem samego najwyższego lorda Shimrry, prawda?

– Jest arcykapłanem – przyznał Harrar i demonstracyjnie westchnął. – Tylko Elan może zagwarantować powodzenie tego planu. Bardzo boleśnie odczuwają jej śmierć. Czasami jednak trzeba poświęcić przynętę, żeby zwabić ofiarę.

# ROZDZIAŁ

## 5

Zielona kula Kashyyyka zostawała coraz dalej za rufą „Sokoła Millenium”. Jaina i Leia siedziały obok siebie w sterowni na fotelach pilotów. C-3PO, bardziej milczący niż zazwyczaj, zajmował stojący za ich plecami fotel nawigatora. Spełniając nieoczekiwaną prośbę Streena, Luke zabrał wszystkich pozostałych na pokład wahadłowca i udał się na Yavin Cztery. Jaina mogła im towarzyszyć, ale Leia oznajmiła, że nie czuje się na siłach sama lecieć „Sokołem” do domu.

Kiedy nawigacyjny komputer obliczał współrzędne skoku przez nadprzestrzeń, żeby frachtowiec mógł wyskoczyć w okolicach Coruscant, Jaina popatrzyła niespokojnie na matkę. Wyglądała niepozornie i bardzo krucho w zbyt dużym dla niej fotelu, na którym tyle lat siadywał Chewbacca. Odkąd wystartowali z platformy lądowniczej Thiss, właściwie nie powiedziała ani słowa.

– Nieczęsto zdarza mi się pilotować statek taty – odezwała się Jaina, wybierając pierwszy lepszy temat na rozpoczęcie rozmowy.

Leia zareagowała jak wyrwana z głębokiego transu.

– Słucham?

– Powiedziałam, że jestem zdumiona, iż tata poprosił mnie, bym poleciała „Sokołem” do domu.

Leia obdarzyła córkę ciepłym uśmiechem.

– Pobiliś rekord, lecąc Kaprysem Landa... byłaś pilotką Eskadry Łobuzów... Twój ojciec ma wysokie mniemanie o twoich umiejętnościach.

Jaina na chwilę umilkła. Widocznie zastanawiała się nad tym, co usłyszała.

– Mam nadzieję, że bezpiecznie przyleci do domu – powiedziała w końcu.

Leia się roześmiała.

– Nie martw się. Wskoczy na pokład jakiegoś frachtowca albo towarowego transportowca i przyleci na Coruscant wcześniej niż my. Nikt nie musi mu pomagać, jeśli chodzi o te sprawy.

– I o wszystkie inne – marszcząc brwi dodała Jaina.

Leia zacisnęła wargi w wąską linię. Ujęła dłoń córki.

– Nie myl dwóch rzeczy – powiedziała. – Co innego nie przyjmować pomocy, a co innego jej nie potrzebować.

– Dlaczego zachowuje się tak dziwnie? – zapytała Jaina.

– A ile zostało nam czasu? – zażartowała Leia. – Krótka odpowiedź brzmi: twój ojciec wychowywał się i dorastał w zupełnie odmiennych warunkach niż ty i ja. Nie korzystał z pomocy innych członków rodziny. Nie miał nawet własnego domu. – Pokręciła głową. – Imał się w życiu niemal wszystkiego. Brał udział w wyścigach grawicykli, był pilotem i oficerem Imperialnej Marynarki, przemyczał towary... Czymkolwiek jednak się zajmował, kierował się dwiema zasadami: polegał wyłącznie na własnych siłach i trochę nieufnie traktował wszystkich pozostałych. Kiedy dorastał, nie mógł liczyć na niczyją pomoc. Z pewnością nie poprosi o nią także teraz.

– Zachowuje się jednak, jakby tylko on odczuwał ból po stracie Chewiego.

– Wie, że to nieprawda – zapewniła ją Leia. – Jest także świadom tego, jak się zachowuje. Kiedy wróciliśmy razem na Serpoidal po śmierci Chewiego, powiedział mi, że nagle poczuł się, jakby świat stał się niebezpieczny. Zawsze przypuszczał, że członkom naszej rodziny i najbliższym przyjaciołom nie może stać się nic złego. Wyobrażał sobie, że żyjemy, jakby zamknięci w środku bąbla, odgradzającego nas od wszystkich tragedii i niebezpieczeństw. W pewnym sensie miał rację. To istny cud, że przeżyliśmy tyle groźnych przygód i sytuacji, ale zawsze udawało się nam wyjść z nich cało. Tyle razy tak mało brakowało i tyle razy ocieraliśmy się o śmierć, że nabrał pewności, iż jesteśmy... nieśmiertelni, niezniszczalni. Śmierć Chewiego zmusiła go do zmiany zdania. Twój ojciec wykorzystał nawet chorobę Mary Jade jako dowód, że jego świat stał się nagle nieobliczalny i niebezpieczny.

Leia umilkła, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Dopiero znacznie później przypomniałam sobie, że już kiedyś zwierzał mi się z podobnych wątpliwości – podjęła po chwili. – Wkrótce po tym, kiedy ciebie, Jacena i Anakina porwał Hethrir. Czy przypominasz sobie, jaki później stał się opiekuńczy?

Jaina pokręciła głową.

– Prawdę mówiąc, nie bardzo – odparła.

– No cóż, byłaś wtedy bardzo młoda – westchnęła Leia. – Wierz mi, wiele następnych miesięcy twój ojciec nie spuszczał z was oczu. – Odwróciła głowę i spojrzała na córkę. – Bardzo się starał, żeby wszyscy uważali go za zatwardziałego sceptyka, ale chyba po prostu w głębi duszy wierzył, że nie stanie się wam nic złego.

– Dlaczego więc traktuje wszystkich, jakby chcieli go skrzywdzić? – zdziwiła się dziewczyna.

– Zapewne uważa, że gdyby okazał, co naprawdę czuje, musiałby załamać się i oddać rozpacz, zamiast zamknąć się w sobie i odciąć od reszty świata. A na to jest zbyt sprytny.

– Czy właśnie dlatego zasłużył sobie na takie przezwisko? – zainteresowała się Jaina.

Leia pokręciła głową.

– To zupełnie inna historia.

Jaina zaczęła obgryzać dolną wargę.

– Ale wróci do domu, mam, prawda? – zapytała po chwili. – To znaczy... nie ma teraz nikogo oprócz nas. Mam rację?

– Oczywiście... – zaczęła Leia, ale przerwał jej Threepio.

– Mam nadzieję, że to mu wystarczy – powiedział.

Mif Kumas, pochodzący z planety Calibop funkcjonariusz, rozłożył skrzydła. W ciągu ostatnich dwóch kadencji odpowiadał za porządek na posiedzeniach senatu Nowej Republiki. Wstał z wygodnego fotela, ustawionego na podwyższeniu w wielkiej sali zgromadzeń.

– Szanowni senatorowie, proponuję, żebyście nie zakłócali toku obrad wybuchami gniewu – odezwał się do zebranych. – Bez względu na to, czy uzasadnionego, czy nie.

Zaczekał, aż wszyscy się uspokoją, po czym skłonił ozdobioną grzywą głowę w kierunku mównicy, która stała na przeciwnym krańcu podwyższenia, na wypolerowanej kamiennej posadzce ogromnej sali.

– Udzieliłem głosu dyrektorowi Obrońskiego Instytutu, szanownemu Bel-dar-Nolekowi. Zasługuje, żebyście do końca wysłuchali, co ma do powiedzenia.

Bel-dar-Nolek skłonił się uprzejmie Kumasowi, a potem odwrócił się w stronę senatorów i kontynuował przemówienie.

– Co więcej, Instytut uważa, że Nowa Republika nie wywiązała się z obowiązku obrony zagrożonego świata.

Dyrektor był istotą ludzką, mężczyzną niezbyt wysokim, ale postawnym. Na ogół nosił szyte na miarę garnitury i podpierał się ręcznie rzeźbioną z gielowego drewna laską. Kiedy przemawiał, drżały fałdy jego obwisłych policzków i podbródka. Często akcentował słowa, dźgając powietrze serdelkowatym palcem.

– Członkowie tego szacownego gremium wiedzieli, że planeta Obroa-skai jest narażona na niebezpieczeństwo. Jednak nie uczynili nic, by ochronić nas przed atakiem. Istoty rasy Yuuzhan Vong spadły na nas niczym velkery na ofiarę. Wypatroszyli do czysta nasze miasta. – Przerwał na chwilę, aby odchrząknąć. – Kiedy to się wydarzyło, przebywałem wprawdzie w sprawach służbowych na Coruscant, ale zapoznałem się z raportami i hologramami.

W sali rozległ się szmer rzucanych półgłosem uwag, przeważnie obraźliwych albo niepoehlebnych. Kumas musiał jeszcze raz wstać i przywołać do porządku niezdyscyplinowanych senatorów. Zadowolony ze wzburzenia, jakie ogarnęło zebranych po jego słowach, Bel-dar-Nolek zaplótł mięsiste ręce i oparł je na wydatnym brzuchu.

W ogromnej sali unosiły się, wystawały albo wisiały rzędy umieszczonych bez ładu i składu galerii, kabin i balkonów. Ciągnęły się wysoko, aż po samo zwieńczone kopułą sklepienie. Przerzuconymi między nimi kładkami, rampami, chodnikami i pomostami krążyły setki najróżniejszych automatów i androidów: protokołarnych, tłumaczących i zwyczajnych posłańców. I chociaż zajmowane miejsce nie świadczyło o randze senatora, reprezentanci światów przyjętych nieco wcześniej do Nowej Republiki zajmowali najwyższe poziomy wielkiej sali. Z uwagi na to siedzący niżej senatorowie często traktowali ich jak widzów, a nie pełnoprawnych członków senatu Nowej Republiki. Wywoływało to zrozumiałe oburzenie pośród młodszych stażem przedstawicieli. Pragnąc ich udobruchać, ktoś rozpuszczał pogłoski o wyposażeniu najwyżej położonych miejsc w niezależne latające platformy – podobne do tych, jakie stosowano w schyłkowym okresie Starej Republiki. Chyba jednak nikt nie dawał tym plotkom wiary.

W odpowiedzi na słowa Bel-dar-Noleka z jednej z najwyższych galerii rozległ się głos Thuva Sineva. Mężczyzna był przedstawicielem stu siedemdziesięciu pięciu zamieszkałych planet w jednym z najodleglejszych krańców Hegemonii Tion. Równocześnie w powietrzu pośrodku sali zmaterializował się naturalnej wielkości hologram senatora. Jego źródłem był generator, umieszczony w zagłębieniu posadzki między mównicą a podwyższeniem dla doradców, gdzie ustawiono półokrągły rząd foteli o najróżniejszych kształtach

i rozmiarach. Gdyby ktokolwiek miał wątpliwości co do tożsamości przemawiającego senatora, mógł zapoznać się z informacjami wyświetlanymi na niewielkich ekranach monitorów, jakie wbudowano w podłokietniki wszystkich foteli.

– Pragnę oświadczyć zebranych senatorom, że w celu obrony planety Obroa-skai przed spodziewanym atakiem wysłano interwencyjną flotę – oznajmił Shinev. – I że uczyniono wszystko w granicach rozsądku, żeby nie dopuścić do inwazji Yuuzhan.

Bel-dar-Nolek zwrócił się w stronę migotliwego hologramu.

– Wysłano parę zmodyfikowanych, prawdopodobnie wyciągniętych ze składnic złomu platform obronnych typu Golan – prychnął pogardliwie. – A z nimi kilka zabytkowych okrętów. Trudno nazwać to interwencyjną flotą, panie senatorze.

– Niczym więcej nie dysponowaliśmy, panie dyrektorze – burknął Bothanin Borsk Fey'lya, przywódca Nowej Republiki. Nawet nie wstał z fotela, stojącego pośrodku podwyższenia. W jego fioletowych oczach zapłonęły gniewne błyski. – Co więcej, jeżeli wziąć pod uwagę dziwaczne postępowanie nieprzyjaciół i niemożliwość przewidzenia ich ruchów, uznaję te zarzuty za bezpodstawne i krzywdzące.

Bel-dar-Nolek rozłożył ręce w geście pojednania.

– Panie przewodniczący Fey'lyo, staram się tylko zapobiec przyszłym błędom w ocenie sytuacji. Zrozumiałbym, gdyby chodziło o zignorowanie prośby przedstawicieli jakiejś planety z Odległych Rubieży. Dopuszczenie jednak, żeby tak sławny świat jak Obroa-skai wpadł w ręce nieprzyjaciół...

– Zgłaszam sprzeciw! – przerwał mu senator z Agamara. – Dyrektor zachowuje się jak niepoprawny szowinista! Jakim prawem przedstawiciel planety Obroa-skai uważa swój świat za pępek wszechświata?

Bel-dar-Nolek spiorunował człowieka spojrzeniem. Kiedy zdecydował się kontynuować przemówienie, nie przebiegał w słowach.

– Uważam nasz świat za ważniejszy niż wszystkie pozostałe, choćby dlatego, że funkcjonariusze i urzędnicy planety Obroa-skai poświęcili życie uwiecznianiu kulturalnej różnorodności. Domagam się, póki nie jest za późno, żeby ocalić ile można spośród naszych bibliotecznych dokumentów.

– Panie sekretarzu Kumas – rozległ się nagle dźwięczny i słodki jak miód żeński głos. – Chciałabym przemówić do zebranych senatorów.

Kumas rozłożył długie skrzydła.

– Senat udziela głosu pani senator Viqi Shesh z planety Kuat – powiedział.

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę jednego z balkonów.

Z fotela wstała szczupła i urodziwa kobieta w trudnym do określenia wieku. Oparła dłonie o poręcz i ruchem głowy odrzuciła na plecy połyskujące, długie czarne włosy. Zajmowała się polityką od niedawna, ale bardzo szybko dała się poznać jako wytrawna negocjatorka. Wykazywała duży talent do godzenia zwaśnionych frakcji. Co najdziwniejsze, umiała robić to tak, aby wszyscy byli zadowoleni. Natychmiast zwróciła na siebie uwagę reporterów i dziennikarzy ze środków masowego przekazu, którzy prawie codziennie publikowali na jej temat coś nowego. Wkrótce jej twarz stała się równie znana jak oblicze przywódcy Borska Fey'lyi.

– Jeżeli chodzi o ratowanie cennych informacji, panie dyrektorze – zaczęła, zwracając się do Bel-dar-Noleka – rozumiem, że sprawa jest załatwiona. Słyszałam, że zanim doszło do ataku na biblioteki planety Obroa-skai, ładownie kilku statków wypełniono najcenniejszymi dokumentami i przetransportowano je do filii Instytutu na Coruscant. Czyżbym została źle poinformowana?

– To była tylko drobna część tego, co mieliśmy nadzieję uratować – odparł gniewnie Bel-dar-Nolek.

Shesh uniosła brwi i kiwnęła głową poważnym, choć lekko urażonym ruchem.

– Proszę wybaczyć to, co powiem, ale przeszłość obchodzi mnie o wiele mniej niż przyszłość. Uważam złupienie bibliotek za straszliwy cios, ale siły zbrojne Nowej Republiki nie mogą pozwolić sobie na tracenie okrętów w celu odzyskania panowania nad jakimkolwiek światem w sytuacji, kiedy usiłują bronić tyłu pozostałych. Istoty rasy Yuuzhan Vong starają się opanować kluczowe sektory Odległych i Środkowych Rubieży. Jeżeli nie powstrzymamy najeźdźców, przed upływem standardowego roku opanują Rejon Kolonii. Kto wie, może nawet zapuszczą się do samego Jądra galaktyki? Wówczas ich łupem może paść Coruscant.

Bel-dar-Nolek obrzucił kobietę chmurnym, lodowatym spojrzeniem.

– Przejrzałem panią – powiedział. – Dobrze wiem, o co pani chodzi. Planeta Obroa-skai została skazana na swój los, ponieważ nie miała strategicznego znaczenia. Z pewnością inaczej by się stało, gdyby chodziło o Kuat, Chandrilę czy Bothawui. Gdyby okręty Yuuzhan otoczyły którąkolwiek z tych planet, bardzo wątpię, czy dowódcy jednostek floty Nowej Republiki byliby zajęci innymi sprawami. Wojsko broniło planety Ithor. Okręty znajdowały się nawet w przestworzach Szczątków Imperium.

– Przecież planeta Ithor, mimo naszych wysiłków, także została splądrowana – przypomniała Shesh. – Współczuję panu, dyrektorze, ale nie rozumiem, co dałoby się teraz zrobić.

Bel-dar-Nolek złożył prawą dłoń w pięść i grzmotnął nią o lewą.

– Możemy zaapelować do istot rasy Yuuzhan Vong, aby umożliwili dostęp do planety Obroa-skai naszym historykom i naukowcom.

Zewsząd rozległy się okrzyki sprzeciwu. Kumas usiłował zaprowadzić porządek. Nagle z fotela zerwał się przywódca Borsk Fey'lya. Z gniewu zjeżyły się wszystkie kremowe włoski jego porośniętej sierścią twarzy.

– Nasz organ nie ma zwyczaju wdawać się w pertraktacje z jakimikolwiek agresorami! – oświadczył tak stanowczo, że chyba wszystkim przeszła ochota do dyskusji.

Mimo to Bel-dar-Nolek nie dawał za wygraną.

– A zatem obawiam się, że Obroański Instytut nie ma wyboru. Musimy zawrzeć z Yuuzhanami odrębny pokój.

– Z całą stanowczością odradzam taki krok, panie dyrektorze – odezwała się Shesh. – Ostatnie próby odwołania się do poczucia sprawiedliwości Yuuzhan zakończyły się tragedią. Najeźdźcy bestialsko zamordowali jedną osobę z naszego grona, senatora Elegiosa A'Klę.

– Uważam, że odpowiedzialność za śmierć senatora A'Kli ponosi Luke Skywalker i jego Jedi – oznajmił rozgoryczony Bel-dar-Nolek. – Podobnie jak za wszystko, co nas spotkało. Gdzie byli, kiedy najeźdźcy łupili biblioteki planety Obroa-skai? Co robili, gdy mordowano naszych obywateli? Wszyscy się zgodzą, że powinni stanąć w pierwszym szeregu obrońców ośrodka nauki i kultury.

– Nawet Jedi nie mogą przebywać we wszystkich miejscach równocześnie – odparł Fey'lya.

– Uważam, że są winni. Obwiniam rycerzy Jedi i bothańskiego admirała Traesta Kre'feya, który stał się niebezpiecznym łajdakiem!

– Domagam się cofnięcia tych słów! – wybuchnął Fey'lya. – Takie uwagi są wyjątkowo niesprawiedliwe i prowokujące!

– Co wiemy na temat genezy tego konfliktu? – odparł dyrektor, zwracając się do ogółu senatorów. Wyraźnie zależało mu na ich poparciu i przychylności. – Tylko to, co powiedział nam jakiś Jedi. Podobno Yuuzhanie zaatakowali placówkę ExGal na Belkadanie, a potem napadli na Dubrillion i Serpidał. Kto może jednak zaręczyć, że nie zostali sprowokowani przez samych Jedi? Jeżeli potraktowano ich jak wrogów, może tylko odplacili pięknym za nadobne? Może ten konflikt to tylko kontynuacja wcześniejszego nieporozumienia?

Błędnego odczytania intencji, wskutek czego rycerze Jedi okazali wrogość na Dantooine i Ithorze? Prawdopodobnie zawinił także niektórzy dowódcy i żołnierze, a zwłaszcza admirał Kre'fey i piloci Eskadry Łobuzów. Kto wie, może ktoś wydał rozkaz, aby w tym pożałowania godnym konflikcie wzięli także udział inni wojskowi?

Bel-dar-Nolek dramatycznie zawiesił głos i rozłożył ręce zamasztywanym gestem, którym chciał objąć chyba wszystkich senatorów.

– Gdzie podziewają się teraz Jedi? – zapytał. – Co się stało z panią ambasador Organa Solo? Czy to nie ona, razem z senatorami i przedstawicielami różnych planet, pierwsza zwróciła naszą uwagę na istoty rasy Yuuzhan Vong?

Ze swojego fotela wstał radny Alderaana, Cal Omas.

– Pani ambasador Organa Solo jest zajęta osobistymi sprawami.

– Może warto przypomnieć panu dyrektorowi i innym członkom tego zgromadzenia, że Organa Solo nie reprezentuje rycerzy Jedi – dodała Shesh.

– W takim razie kto ich reprezentuje? – upierał się Bel-dar-Nolek. – Dlaczego pozwala się, żeby robili, co im się podoba? Dlaczego nie odpowiadają za swoje czyny ani przed senatem, ani dowódcami wojsk obrony? Podobno jesteście członkami Nowej Republiki. Wydaje mi się jednak, że jesteście słabsi niż kiedyś Stara Republika, która przynajmniej miała nad Jedi jakąś władzę.

Powiódł spojrzeniem po ogromnej sali.

– Zapytam i was – ciągnął po chwili. – Na co czekają rycerze Jedi? Czy obawiają się stawić czoło Yuuzhanom? A może knują własne, tajne plany? Proponuję, żeby położyć kres ich nierozsądnemu postępowaniu i rozpocząć negocjacje z istotami rasy Yuuzhan Vong. Radzę jednak, żeby w roli pośredników nie występowali ani Jedi, ani nikt, kto ma z nimi jakiś związek... choćby taki, jaki miał zamordowany Elegos A'Kla.

Kiedy gwar gniewnych okrzyków i pomruków ucichł na tyle, żeby w sali dało się słyszeć głos następnego mówcy, pierwsza przemówiła Viqi Shesh.

– Szanowni zebrani, jeżeli nie możecie zadowolić się niczym innym, pocieszcie się tym, że dyrektor Bel-dar-Nolek nie jest ani politykiem, ani strategiem. – Zaczekała, aż ucichnie echo śmiechów, braw i okrzyków. – Nie możemy dopuścić, by w tej sprawie istniały pośród nas istotne podziały. Nie powinniśmy pozwolić, żeby upadek Ithora, a teraz Obroa-skai, podkopał nasze zaufanie do rycerzy Jedi. Wiem, że zgodzicie się z moim zdaniem. Uważam, że osłabiając wiarę w rycerzy Jedi, osłabiamy wiarę w samych siebie.

# ROZDZIAŁ

## 6

Kiedy Luke przekroczył drzwi swojego apartamentu na Coruscant, Mara zerwała się z tapczanu i powitała go z otwartymi ramionami w pół drogi.

– Najwyższy czas – powiedziała, tuląc się do niego z całej siły.

Do pokoju wtoczył się astromechaniczny robot R2-D2. Powitał Marę kilkoma melodyjnymi piskami, a potem od razu skierował się do stanowiska uzupełniania zasobów energii.

– Wróciłbym wcześniej, ale Streen poprosił, żebym przyleciał na Yavin Cztery – wyjaśnił Skywalker.

– Kłopoty?

– Możliwe. Teraz, kiedy Yuuzhanie zajęli Obroa-skai, mogą odkryć fakt istnienia akademii. Jeżeli się o tym dowiedzą, będziemy musieli pomyśleć, dokąd zabrać młodych Jedi. A tymczasem Streen, Kam i Tionna uważnie śledzą rozwój sytuacji.

Nie widzieli się zaledwie standardowy tydzień, ale Luke zauważył z przerażeniem, jak delikatna i cienka stała się skóra jego żony. Zastanawiał się, czy nie powinien zbadać Mary za pośrednictwem Mocy. Obawiał się jednak, że żona może wykryć obecność jego myśli i oburzyć się, iż uczynił to bez jej wiedzy i zgody. Zamiast tego przytulił ją mocniej. Potem cofnął się na odległość wyciągniętej ręki.

– Pozwól, że ci się przyjrzę – powiedział.

Mara miała bardzo bladą twarz i sińce pod oczami. Jej złocist rude włosy błyszczały jednak jakby trochę bardziej niż wówczas, kiedy odlatywał. Jego spojrzenie zapaliło w oczach żony ciepłe błyski.

– Jaka diagnoza, panie doktorze? – zapytała.

Luke udawał, że nie słyszy drżenia jej głosu, ale Mara przejrzała go na wylot. Oboje wiedzieli, że niewiele mogą ukryć przed sobą – chociaż choroba poczyniła w organizmie Mary takie spustoszenia, że intensywność i głębokość łączącej ich więzi chyba trochę ucierpiała.

– Sama mi to powiedz – odrzekł Skywalker.

– To nie był mój najlepszy tydzień – przyznała kobieta. Uśmiechnęła się z przymusem, ale zaraz z irytacją zacisnęła wargi. – Nie mam pojęcia, jakim cudem dałam ci się namówić, żeby tu przylecieć. Tylko nie mów, że trafiłeś na chwilę mojej słabości.

– Wcale nie zamierzałem.

Kilka miesięcy wcześniej Mara doszła do przekonania, że najlepszą metodą walki z trapiącą jej organizm chorobą będzie aktywne życie i zachowanie całkowitego zespolenia z Mocą. Kiedy jednak dowiedziała się o brutalnym zamordowaniu Elegosa A'Kli i spustoszeniu Ithora, stan jej zdrowia uległ wyraźnemu pogorszeniu. Możliwe, że przecucia Luke'a i Mary były błędne i że dolegliwości kobiety nie miały nic wspólnego z tym, co istoty rasy Yuuzhan Vong wprowadziły do galaktyki. Tak czy owak, wszystko wskazywało, że stan zdrowia Mary pogarszał się albo poprawiał w zależności od wieści, jakie napływały z frontu walki. Kiedy dowiedziała się o zwycięstwach, jakie Nowa Republika z takim trudem odniosła w walkach o Helskę i Dantooine, poczuła się trochę lepiej. Posępne wieści, jakie napłynęły z Ithora, wyraźnie podkopały jej zdrowie i wprawiły w ponury nastrój – podobnie jak chyba wszystkich, którzy je usłyszeli.

Luke zdjął płaszcz Jedi, ujął dłoń żony i poprowadził ją do skromnie umeblowanego salonu. Jego czarny ubiór kontrastował z bielą jej szlafroka. Mara z wysiłkiem usiadła na krawędzi tapczana, wsparła się na łokciu i podkurczyła wychudzone nogi. Jedną dłonią odrzuciła na plecy długie włosy. Spojrzała przez okno na przemierzające się za nim promy i wahadłowce. Apartament Skywalkerów znajdował się całkiem blisko wielkiej sali zgromadzeń, ale dzięki szybom z pochłaniającego hałas szkła w mieszkaniu nie słyszało się grzmotów, towarzyszących przekraczaniu bariery dźwięku.

– Widziałas się z doktorem Oolosem? – zapytał Luke, gdy uznał, że cisza zbyt długo się przedłuża.

Mara odwróciła głowę w jego stronę.

– Widziałam.

– I co?

– Powiedział mi to samo, co przed siedmioma miesiącami Cilghal i Tomla El. Nigdy nie widział niczego, co choć trochę przypominałoby mu tę chorobę. Z tego wynika, że nie może nic poradzić. Mogłam ci to od razu powiedzieć. Zaoszczędziłoby nam to kłopotów z przylatywaniem na Coruscant. Oolos nie zdobył się na to, żeby stwierdzić jednoznacznie, iż przy życiu utrzymuje mnie jedynie oddziaływanie Mocy; ale wyraźnie dał mi to do zrozumienia.

– Jest jeszcze... ktoś, kto cierpi na tę samą dolegliwość – zaczął ostrożnie Skywalker.

Mara pokręciła głową.

– Już nie – odparła. – Umarł. Wkrótce po twoim odlocie na Kashyyyk.

Na twarzy mistrza Jedi odmalowało się rozczarowanie. Ism Oolos, z rasy Ho'Din, cieszył się opinią nie tylko wybitnego lekarza. Był również naukowcem okrytym zasłużoną sławą. To właśnie on badał skutki zarazy zwanej Posiewem Śmierci, która dwanaście lat wcześniej spustoszyła niemal cały sektor Meridiana.

– Czy powiedział coś ciekawego na temat żuka? – zapytał Luke.

– Niesławnego żuka z Belkadana? – uzupełniła żartobliwie kobieta. Pokręciła głową. – Nic oprócz tego, że jeszcze nigdy nie widział takiego stworzenia. Przeprowadził kilka doświadczeń, ale nie uzyskał dowodów, z których by wynikało, że moja dolegliwość ma z tym żukiem coś wspólnego.

Luke się zamyślił. Wyglądało to, jakby chciał zajrzeć w głąb własnej duszy. Przypomniawszy sobie, że przed wielu laty Kalamarianka Cilghal wyleczyła z równie strasznej choroby ówczesną przywódczynię Nowej Republiki, Mon Mothmę. Posługując się Mocą, usunęła z jej organizmu jeden po drugim wszystkie wirusy nazwane nanoniszczycielami, którymi zaraził ją podstępny skrytobójca. Jak więc możliwe, że teraz ani Cilghal, ani Oolos, ani ithoriański uzdrowiciel Tomla El nie mogli nic poradzić w obliczu molekularnych zaburzeń, jakie objawiły się w organizmie Mary? Luke doszedł do przekonania, że choroba jego żony musi mieć coś wspólnego z Yuuzhanami. Chociaż w walce z najeźdźcami brało udział coraz więcej istot z całej galaktyki, on i Mara toczyli z wrogami bardzo osobistą wojnę.

– Czy uroczystość upamiętniająca śmierć Chewiego była bardzo przygnębiająca? – zapytała Mara. Najwyraźniej chciała porozmawiać o czymś innym niż stan jej zdrowia.

Luke uniósł głowę, spojrzawszy na nią i nabrał głęboki haust powietrza.

– Nie dla członków najbliższej rodziny Chewiego – odparł. – Wookie nie boją się śmierci i nie rozpaczają po śmierci bliskiej osoby. Niepokoję się jednak o Hana.

Mara współczująco pokiwała głową.

– Cóż, twoja siostra jest towarzyszką życia Hana, ale Chewie był jego najlepszym przyjacielem – rzekła. – Han musi mieć czas, żeby pogodzić się z jego śmiercią.

– Tymczasem czuje się parszywie. Kiedy usiłowałem zaproponować, żeby otworzył się na działanie Mocy, dosyć bezceremonialnie przypomniał mi, że nie jest rycerzem Jedi.

– To jeszcze jeden powód, dla którego on i Chewie byli sobie tacy bliscy – powiedziała kobieta. – Czuł się ze wszystkich stron osaczony. – Pogrążyła się w zadumie na kilka chwil, po czym spojrzała na męża, jakby nagle coś sobie przypomniała. – Pamiętam, jak kiedyś twój ojciec cisnął kimś o przegrodę tylko dlatego, że nie szczęśnik nie okazywał Mocy należytego szacunku.

– Nie uważam tego za właściwy sposób nawracania Hana – oznajmił Luke i uśmiechnął się z przymusem.

– Wszyscy się spodziewają, że właśnie do takiego sposobu uciekną się Jedi, kiedy stawią czoło Yuuzhanom – stwierdziła Mara.

– To prawda – przyznał mistrz Jedi. – A żądają tego ci sami ludzie, którzy się obawiają, że przejmieni władzę nad galaktyką albo zaprzędą dusze ciemnej stronie.

Mara lekko się uśmiechnęła.

– Nie wszystko potoczyło się, jak planowano, prawda? – spytała. – Chociaż zawarliśmy traktat pokojowy, zawsze uważałam, że cały czas będziemy musieli stawiać czoło wyzwaniom... przeżywać dobrze znane wzloty i upadki. Sądziłam jednak, a nawet byłam przekonana, że zdołamy przepędzić wszystkich wrogów Nowej Republiki. Teraz nie jestem tego taka pewna.

Luke zastanawiał się, czy jego żona nie ma przypadkiem na myśli przewrotności swoich nieprzyjaciół. Jeżeli tak, jej słowa mogły sugerować, że powoli traci wiarę we własne siły.

– Mon Mothma zapytała mnie kiedyś, czy uważam, że moi uczniowie zostaną w przyszłości arcykapłanami albo wybitnymi przywódcami – zaczął w końcu. – Zastanawiała się, czy rycerze Jedi zechcą żyć w izolacji, czy też może oddadzą swoje usługi wszystkim w potrzebie... czy staną się pełnoprawnymi członkami społeczności, czy zdecydują się żyć z daleka od wszystkich. – Zmrużył oczy, jakby chciał przypomnieć sobie słowa byłej przywódczyni. – Oczami

duszy widziała rycerzy Jedi, którzy zechcą ubrudzić swoje ręce... to znaczy wziąć czynny udział we wszystkich dziedzinach codziennego życia. Jedni zostaną lekarzami, drudzy prawnikami, a inni politykami albo nawet wojskowymi. Uważała, że moim obowiązkiem jest dać uczniom dobry przykład. Zostać prawdziwym przywódcą, a nie tylko figurantem.

– Zapewne teraz pierwsza by przyznała, że jej niepokój był bezpodstawny – domyśliła się Mara.

– Tak uważasz? – zdziwił się Skywalker. – Obi-Wan ani Yoda nigdy nie rozmawiali ze mną o tym, co może mnie czekać w odległej przyszłości. Może gdybym nie spędził kilku ostatnich lat, ucząc się, jak przezwyciężać wpływ isalamirów i dostrajać klingę miecza do rozłupywania brył rudy cortosis, wiedziałbym, jaką drogą powinni teraz kroczyć Jedi. Tymczasem ciemna strona nie rezygnuje. Nadal wabi i zachęca do gniewu i wywierania zemsty... nawet na istotach rasy Yuuzhan Vong. Im silniejszy się stajesz, tym bardziej cię kusi. – Luke spojrzał w oczy żony. – Może Jacen ma rację, kiedy mówi, że istnieją inne rozwiązania niż walka.

– Z pewnością nie dowiedział się tego od ojca – zauważyła Mara.

– Sam doszedł do takiego wniosku, a to liczy się jeszcze bardziej – odparł Luke. – Uważa, że zbyt dużą wagę przywiązuję do Mocy jako siły. Wskutek tego przestaję rozumieć, że Moc przede wszystkim jednoczy.

– Jacen jest wciąż jeszcze bardzo młody.

– Jest młody, ale umie trzeźwo myśleć. Co więcej, ma rację. Zawsze zajmowałem się raczej bieżącymi problemami. Nie zastanawiałem się, co może się zdarzyć w przyszłości, więc chyba straciłem z widoku coś ważnego. Trudniej przychodziło mi walczyć z samym sobą niż pojedynkować się z własnym klonem.

Luke wstał z tapczana i podszedł do okna.

– Rycerze Jedi zawsze godzili zwaśnione strony – podjął po chwili. – Nigdy nie byli najemnikami. To właśnie dlatego starałem się, żebyśmy zachowali niezależność. Nie zgadzałem się, byśmy składali przysięgę na wierność Nowej Republice. Nie jesteśmy organem ich sił zbrojnych. Nie jesteśmy i nigdy nie będziemy.

Kiedy umilkł, Mara zaczęła, dopóki nie upewniła się, że skończył.

– Zaczynasz zachowywać się jak ta Fallanasska, która namówiła cię na szaleńczą wyprawę w poszukiwaniu twojej matki – rzekła.

– Akanah Norand Pell – podpowiedział Skywalker. – Jaka szkoda, że nie wiem, dokąd udali się jej ziomkowie.

Mara parsknęła.

– Nawet gdybyś ich odnalazł, nie na wiele by ci się to przydało. Bardzo wątpię, żeby Yuuzhanie okazali się równie podatni na wytwarzane przez nich fantomy jak kiedyś Yevethowie.

– Sądząc z tego, co o nich wiemy, chyba by się nie okazali – przyznał markotnie Luke.

Mara wybuchnęła ironicznym, krótkim śmiechem.

– Akanah... – zaczęła cierpko. – Akanah, Gaeriela Captison, Callista... Utracone ukochane Luke’a Skywalkera. Nie wspominam już o tej na Folorze...

– Fondorze – poprawił ją misrz Jedi. – Tu nie masz racji. Nigdy nie byłem zakochany w Tanith Shire.

– Wszystko jedno. Każda zjawiała się w twoim życiu, kiedy kryzys miał wybuchnąć albo już trwał.

– A kiedy było tak, że nie trwał taki albo inny kryzys?

– Właśnie to martwi mnie najbardziej – odrzekła Mara. – Czy nie powinnam się obawiać, że i teraz na drodze twojego życia stanie jakaś kobieta?

Luke odwrócił się od okna i usiadł na tapczanie obok żony.

– Najbardziej interesuje mnie nasz obecny kryzys – oznajmił z przekonaniem. – Musimy odnieść zwycięstwo.

– Co wy wiecie na temat ironii losu? Mój ojciec opowiadał mi kiedyś historię, jaka wydarzyła się przed mniej więcej dwunastu laty właśnie tu, w sektorze Meridiana.

Kapitan Skent Graff – dumny mężczyzna o szerokich barach i twarzy, na której widok miękły serca chyba wszystkich kobiet – powiódł spojrzeniem po zatłoczonym, ciasnym mostku „Prawdomównego”. Siedział na krawędzi pulpitu konsoli integratora przesyłanych sygnałów i obrazów. Kołysząc w powietrzu jedną nogą – jakby chciał zwrócić uwagę słuchaczy na długi, czarny i nienaganie wypolerowany oficerski but – drugą oparł o płyty pokładu. Jego słów słuchało sześcioro czy siedmioro członków załogi, pełniących w tej chwili służbę przy konsoletach lekkiego krążownika. Kontrolne pulpity ich urządzeń raz po raz rozbłyskiwały różnobarwnymi światełkami i wydawały mniej lub bardziej melodyjne serie pisków. W pomieszczeniu słychać było także cichy monotony pomruk

zainstalowanego w siłowni okrętu damoriańskiego reaktora. Ukosnie umieszczone iluminatory jednostki, przypominającej kształtem sztabkę metalu, ukazywały okrytą płaszczem chmur planetę Exodo Dwa i jej żaloszny księżyc. Nieco dalej, w odległości co najmniej kilku lat świetlnych, było widać świecące chmury gazów mgławicy Migotliwy Welon.

– Ojciec pełnił wówczas służbę na pokładzie „Corbantisa” i stacjonował w krążącej wokół Durrona orbitalnej bazie – ciągnął Graff. – Pewnego razu wysłano go z zadaniem sprawdzenia, czy meldunki o rzekomej napaści bandy piratów na Ampliquen mają coś wspólnego z prawdą. Nikt wtedy nie wiedział, czy naprawdę chodzi o atak piratów, czy też może kruchy rozejm postanowili zerwać wojskowi z Budpocka. Dopiero znacznie później wyszło na jaw, że był to jeden z elementów podstępного planu, jaki uknuli dyrektorzy Spółki Loronar, kilku wojskowych Imperium i jeden gość o nazwisku Ashgad. Wszyscy zmówili się i podjęli próbę zarażenia sektora straszliwą zarazą.

– Zwaną Posiewem Śmierci – odezwała się młoda Sullustanka, obsługująca stanowisko nawigacyjnego komputera.

– Dajcie tej damie skręta z błyszczostymem – powiedział do brodusznie Graff. – Dobrze zna historię galaktyki. Tak czy owak, „Corbantis” nigdy nie dotarł na Ampliquen. Został zestrzelony przez stado inteligentnych rakiet Loronara i skazany na zagładę na skalnej półce lodowca planety Damonite Yors B. To niedaleko stąd, przy najmniej w linii prostej. Niedługo potem na miejscu katastrofy pojawili się Han Solo i jego dobry przyjaciel Wookiee...

– Którzy zupełnie przypadkiem przelatywali w pobliżu swoim „Sokołem Millenium”? – domyśliła się pani oficer łącznościowiec.

– Prawdę mówiąc, wyruszyli na poszukiwania przywódczyni Nowej Republiki Leii Organy Solo, która zaginęła gdzieś w tych okolicach – wyprowadził ją z błędu kapitan. – To nie ma jednak nic do rzeczy. – Oparł łokieć o kopułkę wyłączzonego i przytwierdzonego do najbliższej przegrody astromechanicznego robota typu R. – Solo i Wookiee zaczęli badać wrak zestrzelonego okrętu i odnaleźli siedemnastu poważnie napromieniowanych, ale żywych członków załogi. Jednym z nich był mój ojciec. Dwaj marynarze „Corbantisa” zmarli, zanim Solo i Wookiee przetransportowali ich na pokład swojego frachtowca, ale pozostałych piętnastu trafiło do ośrodka medycznego kosmoportu Bagsho na Nim Drovis. W owych czasach placówką medyczną kierował słynny lekarz, Ho’Din.

Nazywał się... już teraz dobrze nie pamiętam, Oolups, Ooplos czy coś w tym rodzaju. W każdym razie ten Ooplos zrobił dla swoich nowych pacjentów absolutnie wszystko, co było w jego mocy. Kłopot w tym, że kiedy do jego ośrodka przylecieli Solo i Wookie z rannymi członkami załogi „Corbantisa”, szpitale były tak zatłoczone, iż niektórych chorych trzeba było umieścić w zbiornikach bacta zainstalowanych w pawilonach. I jak przypuszczacie, co się stało?

– Zarazili się wirusem Posiewu Śmierci? – zaryzykowała pani nawigator.

Graff kiwnął głową.

– Zarazili się wirusem Posiewu Śmierci – powtórzył. – Powiedziałem wam o tym, żeby udowodnić, że nigdy nic nie wiadomo. Czasami wydaje się wam, że wymknęliście się śmierci, a ona dopada was, kiedy najmniej się tego spodziewacie.

– I potem, po tylu latach, powrócił pan w to miejsce – odezwała się Sullustanka. – Dokładnie tu, gdzie pański ojciec starał się przegonić z przestworzy handlarzy zwilu.

– Zwilu? – zainteresował się prosty marynarz, Twi’lek, pełniący służbę na stanowisku oceny stopnia zagrożenia.

– To rodzaj narkotyku – wyjaśnił kapitan.

Na twarzy sullustańskiej pani nawigator pojawił się lekki uśmiech.

– Dla tych, którzy mają na tyle szerokie przełyki, aby umieszczać w nich...

– Panie kapitanie – przerwała pani oficer łącznościowiec. – Z Durrona meldują, że czujniki śledzenia stanu nadprzestrzeni wykryły pojawienie się promieniowania Cronaua w naszym sektorze. Są niemal pewni, że do normalnych przestworzy usiłuje przeniknąć jakiś duży obiekt. Dyżurni oficerowie czekają na potwierdzenie z telespondera.

Graff zeskoczył z pulpitu i pospieszył do obrotowego fotela dowódcy okrętu.

– Mamy kontakt wizualny? – zapytał.

– Jeszcze nie, panie kapitanie. To wszystko dzieje się zbyt daleko, poza zasięgiem naszych sensorów.

Graff usiadł na fotelu i odwrócił się w stronę oficera koordynującego przekazywanie sygnałów i obrazów.

– Nawiążcie łączność z dowódcą Rękawicy i przekażcie, że ogłaszam pogotowie bojowe.

Na mostku i w pozostałych pomieszczeniach krążownika rozległo się zawrodożenie alarmowych syren. Nad stanowiskami pomiarowymi i kontrolnymi zapaliły się niebieskie lampki.

Siedzący przy swojej konsoli oficer koordynator odwrócił głowę i popatrzył na dowódcę.

– Panie kapitanie, technicy meldują, że podjęli wszystkie środki ostrożności – zameldował. – Generatory ochronnych pól włączone i ustawione na największy zasięg.

– Zaczynają pojawiać się pierwsze dane – odezwał się marynarz. – Do normalnych przestworzy powrócił nieznany okręt. Radary i komputery wizerunków laserowych usiłują pokazać, jak wygląda.

Graff skierował spojrzenie w stronę generatora hologramów. Powoli kształtował się przed nim upiorny wizerunek czarnego jak onyks, gigantycznego fasetkowego wielościanu.

– Yuuzhanie?

– Nie wiemy, panie kapitanie – odrzekł marynarz. – Niepodobny do żadnego, jaki mamy w bazach danych.

– Przygotować się do opuszczenia orbity stacjonarnej.

– Panie kapitanie, cechy charakterystyczne intruza zgadzają się z cechami okrętu nieprzyjacielskiej floty, która zaatakowała Obroa-skai.

– Eskadra Rękawica znalazła się w przestworzach. Piloci zajmują wyznaczone miejsca.

– Czy z yuuzhańskiego okrętu wysyłano jakieś sygnały? – zapytał Graff.

– Zaprzeczam, panie kapitanie – odparła oficer łącznościowiec. – Chwileczkę... Skanery pokazują teraz wizerunki dwóch jednostek.

Dowódca ponownie obrócił głowę w stronę generatora hologramów. Obok poprzedniego, wielkiego wielościanu wyrastał kształt drugiego, o wiele mniejszego.

– Czy to drugi intruz, czy mamy do czynienia z czymś w rodzaju mitozy?

– Wszystko wskazuje na to, że jest częścią większego okrętu, panie kapitanie – zameldował koordynator. – Obiekt jeden zmienił kurs. Kieruje się teraz ku orbitalnej stacji Durrona. Moduł przyspiesza, jakby chciał przechwycić nasze myśliwce. Rękawica zmienia szyk. Piloci przygotowują się do walki.

– Połączcie mnie z dowódcą Rękawicy – rozkazał Graff, zwracając się do pani oficer łącznościowiec.

– Rękawica Jeden na linii, panie kapitanie – odezwała się niemal natychmiast kobieta.

– Rękawica Jeden, czy możecie pokazać nam, co widzicie?

Przekazywany przez odbiornik komunikatora głos dowódcy eskadry brzmiał cicho, jakby z trudem przedzierał się przez szумы i trzaski zakłóceń.

– Przekazuję. Wygląda, jakby największy sygnet galaktyki stracił najcenniejszy kamień.

– Widzieliście kiedyś coś takiego? – odezwał się ktoś na mostku krążownika, kiedy rzeczywisty obraz zastąpił holograficzną symulację.

– Panie kapitanie, obserwujemy wzrost bioenergii mniejszego statku – zameldował nagle koordynator. – Zostaliśmy namierzeni przez ich urządzenia celownicze.

Graff zapiął pasy ochronnej sieci.

– Przygotować się na wstrząs – powiedział.

W dziobowych iluminatorach „Prawdomównego” pojawił się złocisty błysk. Cały kadłub okrętu zadrżał jak po ciosie potężnej pięści.

– Energia plazmowa – oznajmił marynarz. – Ulubiona dalekosiężna broń Yuuzhan. Nie odnieśliśmy żadnych uszkodzeń. Ochronne pola nadal sprawne.

– Zasięg?

– Druga jednostka właśnie znalazła się w zasięgu strzału – odparł dowódca systemów uzbrojenia.

Graff odwrócił się w stronę pani łącznościowiczki i zrobił gest, jakby ciągnął coś w dół.

– Proszę przekazać dowódcy Rękawicy, żeby nie atakowali. Niech trzymają się w bezpiecznej odległości. Baterie sterburtowych laserów, przygotować się do otwarcia ognia.

„Prawdomówny” był osiemsetpięćdziesięciometrowym lekkim krążownikiem klasy Proficient, zmodyfikowanym i dobrojonym już po skonstruowaniu. Dysponował jednak tylko dziesięcioma ciężkimi turbolaserami i dwunastoma działami jonowymi, co nie zapewniało mu dużej siły ognia. Modyfikacje polegały na usunięciu kilku wzmacniających sztywność kadłuba grodzi i wyposażeniu okrętu w hangar dla gwiazdnych myśliwców. Mimo tych udoskonaleń, trudno byłoby uznać okręt za nowoczesny albo silnie uzbrojony.

– Rękawica będzie trzymała się z daleka – zameldowała kobieta.

Graff kiwnął głową.

– Przygotować torpedy protonowe. Ustawić zapalniki na wybuch przy napotkaniu pierwszych grawitacyjnych anomalii.

– Panie kapitanie, wszystkie torpedy są uzbrojone zgodnie z wcześniej ogłoszonym protokołem walki.

Graff popatrzył na oficera odpowiedzialnego za systemy uzbrojenia.

– Jeżeli ten „kamień” zachowa się jak wszystkie inne, z którymi mieliśmy do czynienia do tej pory, torpedy znikną w próżni, ale strzały turbolaserów mogą dotrzeć do celu.

– Zrozumiałem, panie kapitanie.

Graff odwrócił się w inną stronę.

– Główne baterie, otworzyć ogień.

W przestworza pomknęły oslepiające pociski, za którymi ciągnęły się błękitnozielone smugi. Daleko przed dziobem krążownika przemieniły się w jaskrawe pulsujące błyski.

– Cel trafiony – zameldował dowódca artylerzystów.

– Ognia – powtórzył Graff.

Jeszcze raz protonowe torpedy i smugi światła poleciały w kierunku nieprzyjacielskiego okrętu. Dootarły do celu i upstrzyły go ognistymi rozbłyskami, rywalizującymi pod względem intensywności blasku z sąsiednimi gwiazdami.

– Przerwać ogień! – Graff spojrział na dowódcę systemów uzbrojenia. – Miejmy nadzieję, że ostudziliśmy ich zapędy. – Przeniósł spojrzenie na panią oficer łącznościowiec. – Proszę przekazać dowódcy Rękawicy, że mają wolną drogę.

Kobieta zwróciła się do mikrofonu komunikatora i przekazała informację. Zainstalowane na końcach skrzydeł tęponosych maszyn laserowe działka plunęły smugami szkarłatnego światła. Z wyrzutni myśliwców typu B, wlokąc wstęgi różowawej poświaty, wyskoczyły torpedy protonowe. Nieprzyjacielska jednostka pochłonęła jednak energię wszystkich strzałów, po czym odpowiedziała fontannami stopionej skały. Niczym ścianki drogocennego klejnotu, poszczególne fasetki okrętu kolejno rozbłyskiwały i ciemniały, by po chwili zlać się z czernią otaczających je przestworzy.

– „Prawdomówny”, nieprzyjaciel usiłuje nas pozbawić ochronnych pól – zameldował kilka chwil później dowódca eskadry.

– Rękawica Jeden, wydaj rozkaz swoim pilotom, żeby zwiększyli ich natężenie i zasięg. Powinni także nastawić inercyjne kompensatory zgodnie z wymogami nowego protokołu. I uważajcie, czy w przestworzach nie pojawią się koralowe skoczki.

– Już wykonane, „Prawdomówny”. Nie możemy zwiększyć natężenia pól na tyle, żeby skompensować energię strzałów nieprzyjaciela.

– Osłony zanikły – odezwał się głos jednego z pilotów. – Przerwywam atak.

– Nie oddalaj się od skrzydłowych! – krzyknął Rękawica Jeden. – Utrzymuj jak największą częstotliwość strzałów z laserowych działek.

– Kompensator uszkodzony – napłynął kolejny meldunek. – Przerwywam atak i wracam do bazy.

– Rękawica Osiem, uważaj na ogon!

– Panie kapitanie, znów rośnie bioenergia yuuzhańskiego okrętu! – zameldował koordynator.

Graff odwrócił się do pani oficer łącznościowiec.

– Niech Rękawica przerwie atak.

– Nieprzyjacielska jednostka znów strzela.

Widoczne na głównym ekranie mostka trzy gwiazdne myśliwce zniknęły w rozbłyskach niezbyt intensywnej eksplozji. Chwilę później z odbiornika komunikatora rozległ się podniecony i zaniepokojony głos dowódcy eskadry.

– Ponosimy straty! Dwójka, Czwórka i Piątka zestrzeleni. Wciąż jeszcze nie namierzyliśmy nieprzyjacielskich dovin basali ani stanowisk artylerii.

– O czym on mówi? – zapytał obcesowo dowódca krążownika.

Marynarz Twi'lek odrzucił na plecy oba głowogony i wbił spojrzenie w ekrany wskaźników swojej konsoli.

– Komputer analizujący przebieg walki już się tym zajmuje, panie kapitanie – zameldował po chwili. – Wygląda na to, że systemy broni i generatory czarnych dziur mogą się przemieszczać... Panie kapitanie, wszystko wskazuje na to, że strzelać i wytwarzać grawitacyjne anomalie może dosłownie każdy punkt kadłuba! – Uniósł głowę i popatrzył na dowódcę. – Panie kapitanie, nieprzyjacielski moduł ponownie namierzył nasz okręt!

Zaledwie marynarz skończył mówić, kadłub krążownika zadrżał, trafiony potężnym strzałem. Światelka na mostku przygasły, by po chwili rozjarzyć się na nowo. Po pulpitych zatańczyły krzaczaste błyski błękitnych wyładowań. Uwolniony z magnetycznej uwięzi, jaka dotąd utrzymywała go blisko przegrody, astromechaniczny robot typu R runął na płyty pokładu. Włączyły się wentylatory, by usunąć z pomieszczenia strużki błękitnego dymu.

– Technicy z sekcji dziobowych meldują o uszkodzeniach – odezwała się pani oficer łącznościowiec. – Generator numer dwa w siłowni nie działa. Ochronne pola straciły ułamek mocy.

– Przekaż dowódcy Rękawicy, żeby przegrupowali się i wycofali – rozkazał pospiesznie Graff. – Postaw w stan pogotowia ekipy naprawcze i remontowe. Artylerzyści, przygotować dziobowe turbolasery i działa jonowe do otwarcia ciągłego ognia na mój rozkaz. Chcę, żeby przeorali ten okręt od jednego końca do drugiego. – Rzut oka na główny ekran mostka upewnił go, że powracające do bazy pozostałe myśliwce Eskadry Rękawica zdążyły wycofać się na bezpieczną odległość. – Ognia!

Ponownie z wyrzutni krążownika pomknęły smugi śmiercionośnych pocisków i błyskawic. Tym razem jednak kadłub nieprzyjacielskiego okrętu nie rozjarzył się eksplozjami trafień.

Oślupiały Graff wpatrywał się w główny ekran.

– Chybili? – zdziwił się, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Zaprzeczam, panie kapitanie – odparł dowódca artylerzystów. – Wygląda na to, że nieprzyjacielski okręt pochłonął energię naszych strzałów.

– Wszystkie baterie... – rozkazał znowu Graff. – Ognia!

Ciemności przestworzy rozbłysły tak intensywnym blaskiem, że pełniący służbę na mostku członkowie załogi „Prawdomównego” musieli odwrócić oczy od iluminatorów. Zdawać by się mogło, że nagle potężna pięść wepchnęła okręt do środka supernowej.

– Nieprzyjacielski okręt zmienia kurs – zameldował koordynator. – Usiłuje zejść z linii naszych strzałów.

– Wszystkie baterie, ognia! – warknął Graff.

– Cel trafiony wieloma strzałami! W przestworzach pojawiły się odłamki. Nieprzyjaciel ponownie zmienia kurs i zmniejsza prędkość.

Graff odwrócił się na fotelu w stronę pani nawigator.

– Lecimy za nim – rozkazał. – Utrzymywać stale tę samą odległość.

Nagle, bez ostrzeżenia, w przestworzach przed dziobem krążownika pojawił się błysk wielkiej eksplozji. Wszystkie ekrany na mostku załśniły oślepiającą bielą. Kiedy Graff uznał, że już można, spojrzął przez iluminator. W ciemnościach przed dziobem „Prawdomównego” nie dostrzegł jednak ani śladu nieprzyjacielskiego okrętu.

– Gdzie się podział? – mruknął do siebie. – Czyżby zniknął w nadprzestrzeni?

– Zaprzeczam, panie kapitanie – odezwał się koordynator. – Szczątki w przestworzach dowodzą, że rozpadł się na kawałki.

Z gardeł członków załogi wyrwały się spontaniczne, radosne okrzyki.

– Cisza! – huknął Graff. – Mieliśmy szczęście czy odkryliśmy jakiś słaby punkt?

– Nie wiadomo, panie kapitanie, ale nieprzyjacielski okręt został całkowicie zniszczony. Musieliśmy przeciążyć ich systemy pochłaniania. Większy okręt, który go pozostawił, nadal leci z dużą prędkością w kierunku orbitalnej stacji Durrona.

Graff zdjął kapitańską czapkę i podrapał się po głowie.

– Muszę przyznać, że nic z tego nie rozumiem – mruknął.

– Panie kapitanie, dowódca Rękawicy melduje, że tuż przed eksplozją od atakowanego modułu odłączyła się kapsuła ratunkowa – oznajmiła pani oficer łącznościowiec. – Za chwilę powinna znaleźć się w zasięgu naszych skanerów.

Graff odwrócił się w stronę głównego ekranu.

– Pełne powiększenie.

Kobieta wyciągnęła rękę i pokazała przemieszczający się bardzo szybko świetlisty punkcik.

– Jest, panie kapitanie.

Dowódca krążownika zobaczył coś, co przypominało cylindryczną asteroidę. Jej rufowa część jarzyła się słabym blaskiem.

– Jakim leci kursem? – zapytał, spoglądając na panią nawigator.

– Kieruje się na Exodo Dwa – odrzekła kobieta.

– Nie wybrałbym tego kierunku, gdybym to ja nią leciał – stwierdził Graff.

– Jeżeli nie zmieni kursu, niedługo znajdzie się w zasięgu generatora promienia ściąającego numer dwa – odezwał się marynarz.

Graff nie przestał spoglądać na panią nawigator.

– To może być pułapka, panie kapitanie. Na przykład bomba z opóźnionym zapłonem.

Graff kiwnął głową. Miał ponurą minę.

– Włączyć generator promienia ściąającego – rozkazał po chwili. – Tylko na tyle, żeby trzymać tę rzecz w stałej odległości. Ostrzec Rękawicę. Proszę im przekazać, żeby sprawdzili, czy nieprzyjacielska kapsuła nie ma jakiejś broni. I niech zachowają bezpieczną odległość. Nawet jeżeli nie wykryją broni, nie zamierzam ściągać tego w pobliże krążownika. Teraz proszę mnie połączyć z dowództwem floty.

Poprzez szumy i trzaski przedarł się głos jednego z pilotów.

– „Prawdomówny”, tu Rękawica Trzy. To z pewnością kapsuła ratunkowa. Prawdopodobnie z korała yorik. Nie stwierdzam żadnych systemów uzbrojenia. Skanery wykryły jednak obecność żywych istot na pokładzie. Kapsuła jest nie większa od lądowego śmigacza. Prymitywne dowin basale pozwalają jej manewrować i utrzymywać się na kursie. Powierzchnia fasetkowa, ale ma przezroczystą kabinę. Wygląda jak płatek miki. Proszę o pozwolenie... chciałbym zbliżyć się i zajrzeć do środka.

Graff zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

– Rękawica Trzy, masz zielone światło – powiedział w końcu.  
– Tylko miej oczy szeroko otwarte.

– Potwierdzam, „Prawdomówny” – napłynęła odpowiedź pilota. – Będę uważał.

Na mostku zapadła pełna oczekiwania cisza. Kilka minut nikt się nie odzywał. Później głośnik z cichym trzaskiem znów obudził się do życia.

– „Prawdomówny”, zajrzałem do środka. Wygląda na to, że w kabinie siedzą dwie, powtarzam: dwie osoby. Wygląd jednej dowodzi, że to istota płci żeńskiej. Co do drugiej... cóż, panie kapitanie, druga wygląda jak straszdyło.

# ROZDZIAŁ



Han Solo przyleciał na Coruscant. Kiedy dotarł na lądowisko 3733 wschodniego kosmoportu, przyłożył dłoń do ukrytego w ścianie sterownika iluminacyjnego panelu. Wokół zamykanego jak przesłona tęczówkowa otworu wejściowego zapłonął pierścień jarzeniowych lamp, które oświetliły „Sokoła Millenium” niebieskawym zimnym blaskiem. Statek był połączony giętkimi kablami z urządzeniami diagnostycznymi i monitorującymi, przez co wyglądał jak pacjent poddawany intensywnej terapii. Jarzący się pierścień cicho buczał, a w powietrzu unosiła się ledwie wyczuwalna woń ozonu. Płytę lądowiska szpeciły kałuże rozlanego chłodziwa, plamy smaru, kropki zastygłego lakieru i ciemne ślady po gazach wylotowych jednostek napędowych gwiazdnych statków.

Lądowisko 3733 zostało wynajęte gościowi, który przedstawił się jako Vyyk Draygo, ale chociaż Han starał się nie rzucać w oczy, niemal wszyscy urzędnicy na Coruscant wiedzieli, że w pomieszczeniu spoczywa właśnie „Sokół”. Kiedy tydzień wcześniej wylądowała nim Jaina, osadziła frachtowiec dokładnie pośrodku namalowanego na permabetonowej płycie czerwonego okręgu, teraz zatartego i prawie niewidocznego. Po tym, co wydarzyło się na Kashyyyku, Han odczekał, aż znalazł w sobie dość sił, żeby wrócić na Coruscant. Złego humoru nie poprawiły mu trzy długie dni, spędzone na pokładzie rozklekotanego frachtowca.

Kiedy podszedł do „Sokoła” od strony dziobu, przystanął pod wystającymi, kanciastymi jak szczęki fragmentami kadłuba. Uniósł głowę i przypomniał sobie, jak się czuł, kiedy prawie trzydzieści lat wcześniej pierwszy raz zobaczył statek na rządonym przez Huttów

księżycu Nar Shaddaa. Frachtowiec należał wtedy do Landa Calrissiana, który ponoć – jak sam twierdził – wygrał go w Mieście w Chmurach podczas partii sabaka. I chociaż Han widział wcześniej dziesiątki koreliańskich lekkich frachtowców typu YT-1300, zakochał się w „Sokole” od pierwszego wejrzenia. Od samego początku dostrzegł w nim coś, co odróżniało ten egzemplarz od wszystkich pozostałych. I nie chodziło tylko o to, że już wtedy „Sokół” wydał mu się wyjątkowo szybki i zwrotny. Miał w sobie coś, co znamionowało godność i dumę... ale też nie zawsze chwalebną przeszłość i chęć przeżycia niezwykłych przygód. Patrząc ten pierwszy raz na „Sokoła”, Han postanowił, że tak czy inaczej, kiedyś stanie się jego właścicielem.

Jak na ironię, doskonała okazja nadarzyła się właśnie w Mieście w Chmurach, podczas trwającego cztery dni wielkiego turnieju sabakowego. W trakcie kolejnych rund odpadli pozostali gracze, no i w finale Han zmierzył się z samym Calrissianem. Okazało się, że miał czystego sabaka, co zapewniło mu wygraną. Jego przeciwnik blefował, że ma zestaw Idioty, ale nie na wiele mu się to zdało. Śniadolicy hazardzista nie miał dość kredytów, żeby dołożyć do puli, więc zaproponował przyjęcie elektronicznego weksla. Dokument opiewał na jakikolwiek gwiazdny statek, zaparkowany w jego części lądowiska. Han zgodził się na propozycję Calrissiana. Kiedy wygrał, zdenerwowany Lando usiłował namówić go do wybrania nowszego modelu frachtowca – statku typu YT-2400. Han bez wahania wskazał jednak „Sokoła”.

Wciąż jeszcze miał w pamięci pierwsze chwile... i uniesienie, jakie czuł, kiedy zasiadł za sterami w fotelu pilota. Zachwycił się mocą silników napędu podświetlnego i możliwościami nieco wcześniej zainstalowanej wojskowej jednostki napędu nadświetlnego. Statek okazał się rzeczywiście bardzo szybki; nie miał jednak ani grubego pancerza, ani silnego uzbrojenia. Han zaczął go więc ulepszać, modyfikować i przerabiać. Robił to przez następne dwadzieścia lat. Uważał „Sokoła” za coś w rodzaju dzieła sztuki, które nigdy nie jest tak dobre, aby można było nazwać je doskonałym.

W ciągu tych lat chronił statek jak mógł, nierzadko z narażeniem życia. Martwił się o niego i troszczył jak wzorowy ojciec. Tęsknił za nim jak za ukochaną istotą. Pewnego razu, kiedy przebywał na planecie Dellalt, jego statek porwali Egnom Fass i I’noch. Kiedy indziej frachtowiec przyłgnał do rufowej wieży dowodzenia gwiazdowego niszczyciela „Mściciel”. Pilotując go, Lando i Nien Nunb toczyli walkę przeciwko drugiej Gwieździe Śmierci.

Han nigdy nie potrafił zrozumieć decyzji przyszłej żony Luke'a Skywalkera, Mary Jade, która kilka lat wcześniej pozwoliła, aby jej ulubiony gwiazdny jacht, „Ognista Jade”, roztrzaskał się o mury twierdzy na Nirauanie.

Zaczął obchodzić ukochany statek. Na kadłubie wciąż jeszcze było widać ślady po modyfikacjach i ulepszeniach, dokonywanych przez niego – a także innych – w ciągu tych wszystkich lat. Kiedy Han i Chewie przebywali w koreliańskim sektorze księżycy Nar Shadda, umieścili „Sokół” w gwiazdnej stajni Shuga Ninksa. Zainstalowali tam wojskową antenę i czterolufowe działko w spodniej części kadłuba, a także wyrzutnie pocisków z zapalnikami udarowymi na dziobie, między wystającymi szczękami. Posługując się makrospawarką, Shug przytwierdził do kadłuba kilka superwytrzymałych płyt pancerza, zdemontowanego z wraku gwiazdnego niszczyciela „Likwidator”.

Dzięki ekipie techników-banitów, którzy osiedli w Sektorze Wspólnym galaktyki, już wkrótce „Sokół” dysponował doskonałymi generatorami ochronnych pól, wytrzymałymi kompensatorami przeciążeń i przyspieszeń, potężnymi jednostkami napędowymi oraz zestawami najnowocześniejszych czujników. Nic dziwnego, że w owych czasach frachtowiec i jego załoga pogwałcili więcej przepisów Władz Sektora Wspólnego niż jakikolwiek inny statek tej klasy.

Kiedy w czasach Kryzysu Czarnej Floty frachtowiec wylądował na Kashyyyku, Jowdril wyposażyła go w dodatkowe panele przezroczystych optycznych przetworników, co znakomicie poprawiło widoczność od strony dziobu i rufy. Kuzynka Chewiego zaprojektowała również i zainstalowała w sterowni urządzenia do automatycznego kierowania ogniem czterolufowych działek i śledzenia celności strzałów.

Znacznie później, kiedy skończył się konflikt z różnymi frakcjami byłego Imperium – chociaż Han nie ponosił za to żadnej winy – „Sokół” zmienił się w statek wygodniejszy i ładniejszy. Okresowe przeglądy, jakim regularnie poddawano go na Coruscant, a także starania życzliwego, ale beztróskiego szefa ekipy stoczniowych techników prawie przywróciły mu dawną młodość. Przewody powiązano w pęczki, oznaczono i starannie ułożono we właściwych miejscach. Urządzenia mechaniczne zyskały odporne na wstrząsy podstawy. Przyrządy elektryczne uziemiono i zaopatrzone w elektromagnetyczne ekrany. Jednostki napędowe zostały wzbogacone o system wzmacniaczy firmy Sienar. Zestaw generatorów promienia ściągniętego powiększono o jednostkę typu Mark 7. Napęd nadświetlny otrzymał

nowy motywator serii 401. Wymieniono także obiektywy kamer skanerów, wyklepano wgniecenia kadłuba, ładownie upiękuszono różnobarwnymi wykładzinami... Kiedy Han to zobaczył, o mało nie oszalał ze złości.

Podobało mu się, kiedy statek miał kadłub pełen wgnieceń, rys i zadrapań, które nadawały mu specyficzny wygląd. Uważał, że gdyby nie częste korzystanie z płynu bacta i przeszczepy z syntetycznej skóry, on także miałby ciało poznaczone w podobny sposób. Czasami zastanawiał się, jak by wyglądał, gdyby dopuścił, aby wszystkie rany pozostawiły blizny podobne do tej, jaką miał na policzku... po zadanej nożem ranie, którą odniósł chyba w innym życiu.

Ostateczną krzywdę wyrządzono jednak „Sokołowi” zaledwie przed kilkoma miesiącami. To właśnie wtedy śmierć zabrała Chewiego, najlepszego przyjaciela Hana i drugiego pilota. Frachtowcowi brakowało teraz czegoś, co prawdopodobnie unieruchomi go na płycie lądowiska na długo... Kto wie, może nawet na zawsze? Tej straty nie mogły mu powetować żadne modyfikacje ani upiękшення.

Ogarnięty nieopisanym smutkiem Han znieruchomiał pod sześciokątnym sterburtowym pierścieniem cumowniczym. Wyglądał, jakby zapomniał o upływie czasu. Z „Sokołem” wiązało się tyle wspomnień... frachtowiec stał się istną kroniką przygód, jakie przeżył w towarzystwie Chewiego. Han obawiał się choćby tylko spojrzeć na swój statek. Nie wierzył, że znajdzie w sobie dość odwagi i siły, żeby wejść na pokład. Kilka minut później wyjął jednak z kieszeni sterownik i wystukał na klawiaturze umożliwiającą wstęp kombinację. Zaczekał, aż opadnie i znieruchomieje płyta rampy. Spojrzał na nią, jakby się zastanawiał, czy może na nią wejść.

W końcu zdecydował się. Stał jednak chwiejnie i ostrożnie, jak człowiek, który uczy się na nowo chodzić.

Kiedy dotarł na pokład, znalazł się w biegnącym po obwodzie korytarzu. Przystanął na skrzyżowaniu i przejechał dłonią po idealnie czystej i miękkiej wykładzinie ściany. Pomyślał, że w ciągu ostatnich pięciu lat „Sokół” stał się naprawdę przytulnym, niemal luksusowym statkiem. Popękane i wyszczerbione płyty pokładu wymieniono na nowe, w kuchni nie brakowało nigdy jedzenia, a w powietrzu unosiły się miłe wonie. Słynne skrytki pod pokładem, kiedyś służące do transportowania ładunków przyprawy albo ludzi, pełniły teraz zupełnie inną funkcję. W czasie ostatnich wycieczek wykorzystywano je do chowania rodzinnych bagaży albo dzieł sztuki, które Leia zakupiła do ich domu na Coruscant.

Han minął wejście do sterowni i skierował się w głąb statku. Kiedyś zastanawiał się, czy nie przywrócić „Sokoła” do poprzedniego stanu. Zaczął nawet usuwać niektóre upiększenia i udoskonalenia. Mimo wszystko frachtowiec typu YT-1300 był czymś w rodzaju bezcennego obiektu muzealnego... unikatowym eksponatem, prawie tak rzadkim jak nubian typu J-327. I chociaż czasami piszczał, zgrzytał, jęczał i skowyczał, a tu i ówdzie widniały ciemne szramy po trafieniach z blasterów, był w doskonałym stanie i mógł stać się obiektem badań wielu pokoleń historyków.

Jednym z pierwszych usuniętych dodatków były wyrzutnie pocisków z zapalnikami udarowymi. Han doszedł do wniosku, że zawsze przeszkadzały mu w załadunku towarów. Rzecz jasna, usunął je jeszcze zanim – jakby znikąd – pojawili się Yuuzhanie. Nikt wówczas się nie spodziewał, że stworzą dla galaktyki tak wielkie zagrożenie. Kto mógł wiedzieć, ile istot zginęłoby na obszarze Odległych Rubieży oprócz Chewiego, gdyby usunął także wieżyczki czterolufowych działek?

Han wszedł do świetlicy i nie bardzo wiedząc, co robi, usiadł na obrotowym fotelu. Doszedł do wniosku, że chyba ogarnia go coraz większe przygnębienie. Gładki metal płyt pokładu i bakburtową przegrodę pokrywała teraz jaskrawa, wzorzysta wykładzina – jeszcze jedno ustępstwo na rzecz komfortu i wygody członków jego rodziny. Han przypomniał sobie, że to właśnie tu, z tego fotela, obserwował, jak Luke stawia pierwsze kroki, walcząc ze zdalnikami świetlnym mieczem. Odwrócił się i zobaczył stolik z holograficzną grą planszową zwaną dejarikiem. To przy tym stoliku spędził wiele godzin Chewie, grając z najróżniejszymi przeciwnikami, i to przy tym stoliku – zaledwie kilka lat wcześniej – Leia, admirał Pellaeon i zmarły senator Elegos A’Kla dyskutowali na temat warunków zawarcia traktatu pokojowego.

Han przesunął dłonią po twarzy, zupełnie jakby chciał zetrzeć z niej cisnące się wspomnienia. Z wysiłkiem wstał, przeszedł świetlicę i znalazł się w pomieszczeniu remontowym. To właśnie tu pierwszy raz trzymał w objęciach i całował Leię, dopóki obcesowo nie przeszkodził mu... chyba Threepio. Złocisty android oznajmił wtedy, że umiejscowił uszkodzenie. Oświadczył, że łącze mocy na osi ujemnej jest spolaryzowane... A może to nie był Threepio, ale Chewie?

Od tamtych czasów upłynął chyba milion lat, pomyślał Solo.

Przećcisnął się przejściem na rufę i dotarł do bakburtowej części okrągłego korytarza. Stał przed drzwiami do kabiny, w której Luke

przychodził do siebie, kiedy stracił dłoń w trakcie pojedynku na świetlne miecze z własnym ojcem.

Górą korytarza poprowadzono rury z chłodziwem rdzenia reaktora i kanały wentylacyjne, wiodące do rufowych ładowni. Han przypomniał sobie, że te elementy statku przeszły chyba więcej przeobrażeń niż jakiegokolwiek inne. Zmniejszona, żeby zrobić miejsce dla silniejszej jednostki napędu nadświetlnego, rufowa ładownia została podzielona na kilka części. To właśnie tu spotkał smutny koniec niedoszęłego handlarza niewolników, Zlarba.

Od czasu chwil spędzonych w Sektorze Wspólnym galaktyki, właśnie tu znajdowały się kapsuły ratunkowe. Po oryginalnych kapsułach, do których wchodziło się otwierając zawieszane na zawiasach kraty, pozostały tylko wspomnienia i niewyraźne ślady. Już dawno zamiast nich zainstalowano nowoczesne i skomplikowane kuliste kapsuły z otworami śluz w kształcie przesłon tęczówkowych.

Podążając w kierunku dziobu sterburtową połową korytarza, Han minął kabinę, którą zazwyczaj wykorzystywał jako osobistą kwatere. To tu o mało nie stoczył pojedynku z Gallandrem, ówczesnym najszybszym rewolwerowcem galaktyki.

A w tej chwili martwym, podobnie jak wielu innych bohaterów tamtych czasów.

Han rozłożył ręce, oparł dłonie o framugę drzwi, nachylił się i zajrzał do kuchni. Uśmiechając się lekko do własnych myśli, przypomniał sobie, że to tu przygotowywał kolację dla Leii, kiedy starając się o jej względy, porwał ją i leciał na Dathomirę. Pamiętał, jak nakładał porcje puddingu do muszli cory i przyrządzał pieczeń z wonnego ozora arica.

Kiedy przeszedł jeszcze kilka kroków, uświadomił sobie, że zatoczył pełne koło. Nie zszedł jednak po rampie, ale udał się do sterowni. Stał kilka chwil na progu, jakby zastanawiał się, czy wejść, czy może tylko zajrzeć do środka. Ruszył jednak przejściem między dwoma ustawionymi w drugim rzędzie fotelami i oparł dłonie o pulpit jakiejś konsoly. Potem uniósł głowę i popatrzył przez fasetkowy iluminator na pełne części zapasowych półki, które zaledwie rok wcześniej zawiesił wspólnie z Chewiem na ścianie ładowiska.

W końcu osunął się na zbyt duży dla niego fotel drugiego pilota. Zamknął oczy i siedział dłuższy czas nieruchomo. Niczego nie widział i o niczym nie myślał.

Zaledwie przed miesiącem odnosił wrażenie, że Chewie nadal żyje. Wydawało mu się, że wciąż jeszcze słyszy jego gniewne

pomruki albo wybuchy beztróskiego śmiechu. Siedząc w swoim fotelu pierwszego pilota, odwracał głowę i spoglądał na fotel przyjaciela. Mógłby przysiąc, że widzi na nim Chewiego, siedzącego z rękami splecionymi na torsie albo złączonymi z tyłu głowy.

Chewie nie był jedyną obcą istotą, która towarzyszyła mu podczas licznych wypraw. Kiedy przebywał na Ilezji, latał z Togorianinem Muuurghiem... Wookie był jednak jedynym prawdziwym partnerem i przyjacielem. Han nie wyobrażał sobie, żeby pilotował „Sokoła”, mając u boku kogokolwiek innego. A zatem mógł tylko albo zakonserwować „Sokoła” przed wpływem czynników atmosferycznych – jak zrobił ze swoim pistoletem typu BlasTech – albo przekazać statek do Muzeum Działań Zbrojnych Sojuszu na Coruscant, do czego od piętnastu lat namawiali go natarczywi kustosze.

Han doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej i on powinien trafić do muzeum. Podobnie jak „Sokół”, należał do przeszłości. Chyba nikomu nie mógł się na nic przydać.

Ciężko westchnął. Pomyślał, że życie przypomina grę w sabaka. Karty rozdaje los, człowiek nie ma na nie żadnego wpływu. Czasami jest pewny wygranej, ale walory kart mogą w każdej chwili ulec zmianie. Trzeba umieć pogodzić się z przegraną.

Han wyciągnął odruchowo rękę i sięgnął pod pulpit kontrolnej konsoly. Pamiętał, że on i Chewie chowali tam płaską metalową manierkę z destylowanym w próżni mocnym trunkiem. Jego palce nie natknęły się jednak na żaden przedmiot. Manierka zniknęła. Widocznie któreś z dzieci znalazło ją i przełożyło w inne miejsce, a może nieuczciwy mechanik uznał, że może sobie ją przywłaszczyć.

Po kilku chwilach gorzkie rozczarowanie Hana przemieniło się we wściekłość. Solo unióś rękę, zacisnął palce w pięść i zaczął raz po raz walić w pulpit konsoly. Przestał dopiero, kiedy dłoń zdrętwiała. Nachylił się, oparł łokcie o pulpit, złożył na nich głowę i zapłakał.

– Och, Chewie... – powiedział głośno, chociaż w sterowni „Sokoła” nie było nikogo innego, kto mógłby go usłyszeć.

Kiedy kierował się do ośrodka transportowego wschodniego kosmoportu, usłyszał dobiegający z za pleców głośny okrzyk:

– Spryciarzu!

Nie zwalnając, obejrzał się przez ramię, ale gdy zobaczył, kto go woła, stanął na ruchomym chodniku jak wryty. Odwrócił się i uśmiechnął najszerzej jak potrafił.

– Już od dawna nikt mnie tak nie nazywał – powiedział do krępego, siwowłosego mężczyzny, który spieszył chodnikiem w jego stronę.

Człowiek uściśnął wyciągniętą dłoń Hana. Pochwycił go w objęcia i zaczął entuzjastycznie klepać po plecach. Kiedy go w końcu puścił, Han nadal szeroko się uśmiechał.

– Ileż to lat, Roa? – zapytał. – Ze trzydzieści?

– Nie powiem ci dokładnie, ile, ale pamiętam, gdzie to było – odparł mężczyzna. – Hala odlotów kosmoportu na Roonadanie. Towarzyszyła ci wtedy piękna, ciemnowłosa kobieta. Jeżeli dobrze pamiętam, chcieliście dostać się na pokład „Pani Mindoru” i odlecieć na Amuuud.

– Fiolla z Lorrdu – odezwał się Han, jakby cały czas nie myślał o niczym innym. Gestem podbródka wskazał swego rozmówcę. – Byłeś wtedy ubrany w klasyczny beżowy garnitur i tęczową apaszkę.

– A ty, mój młody przyjacielu, wyraźnie miałeś się na baczności. – W kaprawych błękitnych oczkach byłego przemytnika zapaliły się figlarne błyski. – Powiedziałeś, że wycofałeś się z interesu i zajmujesz się transportem legalnych towarów. Twoja firma nazywała się Han-Solo Transport, mam rację? Dopiero jakiś czas potem dowiedziałem się, że sam jeden wygrałeś Bitwę o Yavin.

– To nieprawda – oznajmił Han. – Miałem kogoś do pomocy.

Roa pogładził się po idealnie wygolonym policzku.

– To ciekawe... – zaczął. – Później słyszałem, że pozwoliłeś zamrozić się w bloku karbonitu. Sądziłem wtedy, że uczyniłeś to z myślą o przyszłych pokoleniach.

Han zmrużył oczy.

– Prawdę mówiąc, myślałem o sprzedawaniu własnych odlewów.

Roa wybuchnął śmiechem. Kiedy się uspokoił, popatrzył na Hana z lekką dezaprobata.

– Ostrzegalem cię, żebyś nie współpracował z Huttami.

– Powinieneś był raczej ostrzec Huttów, żeby nie współpracowali ze mną – odciął się Solo.

Z niejakim podziwem zauważył, że Roa jest ubrany w kosztowny askijański garnitur i półbuty z prawdziwej chromaskóry. Na pulchnych palcach różowiotkich rąk nosił wiele pierścieni i sygnetów z iskrzącymi się klejnotami. Pamiętał, że Roę przedstawił mu zmarły Mako Spince, kiedy wszyscy trzej przebywali na księżycu

Nar Shaddaa. Już wtedy Roa był starszawym, doświadczonym i cieszącym się dużą sławą przemytnikiem. Zawsze szlachetny, dobroduszny i hojny aż do przesady, Roa nauczył przemytniczego rzemiosła wielu młodych ludzi, którzy – z tego czy innego powodu – mieli na pieńku z prawem. Jednym z jego uczniów był Han Solo. Roa docenił jego talent i zapął do nauki, więc poleciał z nim pierwszy raz Trasą na Kessel. Jakiś czas Han – podobnie jak Chewie, Lando, Salla Zend i inni stali bywalcy księżycy Nar Shaddaa – pracował dla jego organizacji. Przemytnik zaprosił Hana na swój ślub, ale później, za namową żony, wycofał się z interesu.

– A zatem nadal zajmujesz się importem i eksportem towarów? – zapytał Solo.

– Sprzedałem firmę – oznajmił Roa. – Prawie dziesięć lat temu. Han przyjrzał się uważniej siwowłosemu przyjacielowi.

– Roa, od czasu tamtego spotkania na Roonadanie nic a nic się nie zmieniłeś!

– Ty także nie – odparł przemytnik bardzo przekonującym tonem.

Han wykrzywił usta w wymuszonym uśmiechu. Poklepał przednie zęby czubkiem wskazującego palca.

– Regenerowane – oznajmił, po czym dotknął nosa. – Łamany i nastawiany tyle razy, że chyba nie pozostała ani jedna oryginalna chrząstka. Cała twarz jest w opłakanym stanie. Spójrz, jedno oko mam wyżej niż drugie!

– A ty myślałeś, że zapewniłem sobie młodzieńczy wygląd w naturalny sposób? – zapytał Roa, ściszywszy głos do teatralnego szeptu.

– Nie mów, niech sam zgadnę – zażartował Solo. – Jesteś klonem. Mam rację?

Roa wybuchnął śmiechem.

– Prawie. Kuracja odmładzająca plus codzienne stymulacje ostrości wzroku. – Odwrócił głowę, aby Han mógł podziwiać szlachetny profil. – Kazałem kosmetykom pozostawić tylko tyle cech mojego wieku, aby zapewniły mi dystyngowany wygląd.

– I zapewniły, stary łajdaku.

– Prawdę mówiąc, do poddania się tej terapii namówiła mnie Lwyll – dodał Roa. – Właściwie to był jej pomysł.

Han przypomniał sobie obdarzoną dźwięcznym głosem jasnowłosą i urodziwą żonę przyjaciela.

– Jak się miewa? – zapytał.

Roa uśmiechnął się z przymusem.

– Zmarła kilka miesięcy temu.

Han zacisnął usta w wąską linię.

– Przykro mi z tego powodu, Roa.

Starszawy przemytnik nie od razu odpowiedział.

– A mnie przykro z powodu tego, co spotkało Chewbaccę – odezwał się po chwili. – Prawdę mówiąc, starałem się uzyskać zgodę na wzięcie udziału w ceremonii honorowej. Zamierzałem przylecieć na Kashyyyk, ale sam wiesz, jak niechętnie goszczą Wookiee ludzi na swej planecie.

Han kiwnął głową.

– Doskonale pamiętają, ile krzywd doznali z rąk ludzi w czasach Imperium.

– A kto ich nie doznał – mruknął Roa tonem, który wskazywał, że to nie miało być pytanie.

Tym razem Han kilka chwil się nie odzywał.

– A zatem co sprowadza cię na Coruscant? – zapytał w końcu. – Myślałem, że przepadasz za swobodą przestworzy.

W oczach byłego przemytnika zapłonęły gniewne błyski.

– Jeżeli chcesz znać prawdę, to ty – odparł prosto z mostu. – Przyleciałem tu z twojego powodu.

Han poczuł ciarki na plecach. W ciągu poprzednich lat spotykał się z byłym przemytnikiem w tak zapadłych kątach jak księżyc Nar Shaddaa czy Roonadan. Siwowłosa mężczyzna uświadomił mu, że galaktyka – bez względu na to, jak często i jak daleko się wyprawiał – jest o wiele mniejsza niż starano się go przekonać.

– Nie wiem dlaczego, ale chyba spodziewałem się, że to powiesz.

Roa położył dłonie na jego ramionach.

– Co ty na to, żebyśmy znaleźli jakiś kąt i spokojnie pogadali?

Han kiwnął głową.

– Znam jedną restaurację w ośrodku transportowym – odparł.

Pozwolili, żeby ruchomy chodnik wwiózł ich do środka. W drodze rozmawiali o tym, co mogło się stać z dawnymi znajomymi i przyjaciółmi: Vonzelem, Treggą, Sonniodem, bliźniętami Briil... Wspominali też dawne dobre czasy i odległe miejsca. Han jednak ani na chwilę nie przestawał się zastanawiać, o co chodzi byłemu przemytnikowi. Chociaż upłynęło tyle lat, wciąż jeszcze miał w pamięci reguły Roi: nigdy nie ignoruj prośby o pomoc albo o ratunek, okradaj tylko bogatszych od siebie, nie zaczynaj grać w sabaka, jeśli

nie możesz pogodzić się z przegraną, nie siadaj za sterami, jeżeli jesteś pod wpływem alkoholu, bądź zawsze gotów wziąć nogi za pas... To wszystko nie oznaczało jednak, że ufał mu bez zastrzeżeń.

Kiedy znaleźli się w Gwiazdnej Łoży, usłużny android wskazał im wolny stolik na terenie patio, gdzie grupa Durosjan i Gotalów przyglądała się transmitowanemu przez HoloNet zawodom. Z ukrytych głośników sączyły się kiepskie przeróbki modnych przed dwudziestoma laty klasycznych przebojów. Pragnąc uczcić spotkanie po tylu latach, Han i Roa zamówili po dzbanku piwa ebla, sprowadzającego na Coruscant aż z Bonadana. Zanim jednak zdążyli wypić połowę zawartości, zaniepokojony i zniecierpliwiony Han zapytał, dlaczego Roa go poszukiwał.

– Masz rację... – odparł były przemytnik. Odstawił dzbanek i otarł usta. – Czy pamiętasz z dawnych czasów przemytnika, który nazywał się Reck Desh?

Han zastanawiał się chwilę, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Wysoki, szczupły, mocno umięśniony? Uwielbiał blizny i tatuaże, przekłuwał ciało, nosił biżuterię z elektrum? Chewbacca i ja zawarliśmy z nim niegdyś spółkę, jeszcze kiedy pracowaliśmy dla ciebie. Nie chodziło o nic poważnego... transport wody mineralnej R'alla na Rampe. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – „Sokołem” zajmował się wtedy Doc Vandangante, więc pożyczyłeś nam swój statek, „Wędrowca”. Reck twierdził, że „Wędrowiec” jest szybszy niż „Sokół”, więc kiedy następnym razem lecieliśmy Wodospadami na Rampe, założyliśmy się o pięćdziesiąt skrzynek gizerskiego piwa, który statek zwycięży.

– Ty i Wookie wygraliście ten zakład – powiedział Roa. – Pokonaliście Recka bez trudu.

– Reck był niezłym nawigatorem, ale kiepskim pilotem – odparł Solo. – Nie wywarł na mnie wielkiego wrażenia.

Roa sięgnął po dzbanek, wypił łyk i oblizał wargi.

– Czasami żołnierza poznaje się dopiero, kiedy zostaje oficerem – stwierdził tajemniczo.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Reck przeszedł na drugą stronę.

– Na czyją?

– Na stronę nieprzyjaciół, Hanie – odparł Roa, pochylając się ku niemu nad blatem stołu. – A przynajmniej na stronę bandy najemników, którzy trzymają z Yuuzhanami.

– To niemożliwe – oświadczył Solo. – Reck nie mógł się okazać zdrajcą. Nic na to nie wskazywało. A poza tym... on i Chewbacca bardzo się lubili. Po tym, co Yuuzhanie zrobili Chewiemu, Reck nie chciałby mieć z nimi nic wspólnego.

– Może nie wiedział, co zrobili Chewiemu – odrzwał Roa. – A może skusiły go kredyty... – Zamyślił się na chwilę. – Tak czy owak, związał się z bandą najemników, którzy nazywają siebie Brygadą Pokoju. Wieść niesie, że starają się wzbudzać nienawiść do rycerzy Jedi i wynajdują słabe punkty planet, aby Yuuzhanie mogli zrobić z nimi to samo, co z Sernpidalem.

Zirytowany Han zmrużył oczy.

– Dlaczego mi to mówisz, Roa?

Były przemytnik wbił spojrzenie w blat stołu.

– Ponieważ Lwyll zginęła na jednej z planet, którą Brygada Pokoju przygotowała do zdobycia.

Han uświadomił sobie, że nie wie, co powiedzieć. Otworzył szeroko oczy i bez słowa patrzył na przyjaciela.

– Gdybyśmy odlecieli stamtąd dzień wcześniej... – nie podnosząc oczu na rozmówcę, ciągnął siwowłosego mężczyzna. – Musiałem jednak jeszcze załatwić to i owo. – Uśmiechnął się ponuro, po czym uniósł głowę i spojrzał na Hana. Z trudem powstrzymywał łzy. – Zawsze te interesy. Lwyll zginęła, kiedy planetę zaatakowała pierwsza fala Yuuzhan. Ja zaliczałem się do nielicznych, którym udało się ująć z życiem.

Han zamknął oczy i rąbnął pięścią w blat stołu. Kiedy jednak spojrzał na przyjaciela, nie czuł gniewu. Zaczynał się domyślać, o co chodzi.

– A zatem przyleciałeś tu, żeby... – zaczął i urwał. – Uważasz, że to sprawa nie tylko między tobą a Reckiem, ale także między tobą a mną, prawda?

Roa wytrzymał jego spojrzenie.

– Nie chcę, żeby z powodu Recka i jego bandy stracili życie inni ludzie – powiedział. – Yuuzhanie dają sobie świetnie radę bez pomocy zbirów z Brygady Pokoju. Są sprawcami zbyt wielu tragedii. Gdybym mógł rozprawić się z Reckiem sam, nie prosiłbym cię o pomoc. Uwierz mi jednak, już nie jestem młody. Mam o wiele mniej sił niż mógłbyś sądzić po wyglądzie.

– Ta-a, a kto chętniej mógłby ci pomóc niż ja? – zapytał cierpko Solo. – Gość, któremu Yuuzhanie zamordowali partnera.

– Jeżeli mam być z tobą szczery, to tak – odparł bez wahania Roa. – Właśnie tak sobie pomyślałem.

Han parsknął.

– Nigdy nie ignoruj prośby o pomoc, co? Mam rację, Roa? – Wstał od stolika i podszedł do ogromnych okien, skąd rozciągał się widok na pole startowe pobliskiego kosmoportu. Co kilka chwil podrywały się stamtąd różne gwiazdne statki. Stał jakiś czas, pogrążony w zadumie. Kiedy w końcu podszedł do stolika, odwrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem.

– Gdzie w tej chwili przebywają Reck i jego najemnicy? – zapytał półgłosem.

– Nie mam pojęcia – odrzekł Roa. – Wiem jednak, dokąd polecieć, żeby się tego dowiedzieć. Powinniśmy udać się najpierw...

Han uniósł ręce na wysokość ramion.

– Nic nie mów – przerwał. – Jeżeli nie będę wiedział, dokąd lecimy, nikomu nie powiem.

– Musimy zrobić to szybko, dopóki ślady są świeże – dodał Roa.

Han przygryzł dolną wargę. Zastanawiał się chwilę.

– Przyleciałeś tu własnym statkiem? – spytał w końcu.

Na twarzy siwowłosego mężczyzny odmalowało się zdumienie.

– Jasne, ale... naprawdę chcesz, żebym leciał jako twój pilot? Muszę przyznać, że się nie spodziewałem...

– Tak czy nie, Roa?

Były przemytnik uniósł ręce w pojednawczym geście.

– Nie zrozum mnie źle, synu – zaczął. – Z całego serca zgadzam się na twoją propozycję. Uważałem jednak za oczywiste, że zechcesz polecieć „Sokołem”.

Han pokręcił głową.

– Jak powiedział mi kiedyś pewien przemądrzały android, „Sokół” jest lepiej wyposażony, by uciekać niż brać udział w walce – odezwał się ponuro. – A poza tym w tej chwili to statek-widmo.

# ROZDZIAŁ

## 8

– Agresywne poczynania odnoszą wątpliwy skutek, ponieważ nie mamy najmniejszego pojęcia, co planują nasi wrogowie – odezwał się pułkownik Ixidro Legorburu. Na chwilę umilkł i powiódł spojrzeniem po dowódcach Wojsk Obrony Nowej Republiki i zbieraniu nie wysokich stopniem oficerów. – Możemy się tego domyślać dopiero teraz, kiedy straciliśmy trzydzieści systemów planetarnych, a Helska, Sernpidal, Ithor i Obroa-skai zostały zniszczone. Dopiero w tej chwili zaczynamy się orientować, jaki szlak zamierzają obrać Yuuzhanie, przecinając naszą galaktykę.

Legorburu wychowywał się na planecie M’haeli, której mieszkańcy utrzymywali się głównie z uprawy roli. Był zdumiewająco bystry, sprytny i szybki, toteż bez trudu znalazł zatrudnienie jako funkcjonariusz Wywiadu. W czasach Kryzysu Czarnej Floty pełnił obowiązki doradcy głównego taktyka, a potem awansował na stanowisko dyrektora Wydziału Wojskowych Analiz i Ocen Sztabu Floty.

– Chciałbym jednak podkreślić, że ich strategia walki i stawiane cele wciąż jeszcze pozostają dla nas tajemnicą.

Krytyczna sytuacja sprawiła, że odprawę zorganizowano na planecie Kuat, a nie na Coruscant. Może właśnie dlatego kilku oficerów i specjalistów, zarówno ze stolicy Nowej Republiki, jak i innych planet, było reprezentowanych przez hologramy.

– Czy wiadomo coś o tym, skąd pochodzą? – zapytał admirał Sien Sovv. Sullustanin był jednym z najważniejszych dowódców sztabu Wojsk Obrony. Siedział przy konsolce dostosowanej do jego małych palców i wyposażonej w aparaturę filtrującą hałasy i szmer, które mogły drażnić wrażliwe uszy admirała.

– Jak pan wie, pierwszy wpadł w ręce Yuuzhan... a raczej został przez nich spustoszony... Belkadan, gdzie Stowarzyszenie ExGal założyło bazę nasłuchową. – Legorburu przestawił paraboliczną antenę projektora hologramów w taki sposób, aby ukazał się trójwymiarowy obraz Ramienia Tingel galaktyki. – Już wtedy pojawiały się głosy, jakoby najeźdźcy pochodzą spoza naszej galaktyki. Mimo to początkowo nie daliśmy im wiary. Uważaliśmy, że przybyli ze środkowej części Ramienia Tingel, z nieznanego systemu usytuowanego gdzieś między Sektorem Wspólnym a przestworzami Szczątków Imperium.

– Czy ta możliwość jest nadal brana pod uwagę? – zapytał brygadier Etahn A’baht. Pełnił kiedyś obowiązki dowódcy Piątej Floty, a później także brał udział w walkach z Yevethami. Był Dorneaninem, miał twardą fioletową skórę i powieki, które mogły nabrzmiwać i rozkładać się jak wachlarz.

Legorburu popatrzył na przedstawiciela Instytutu Badań Istot Obcych Ras z siedzibą w Baraboo. Zanim jednak Ithorianin zdążył zabrać głos, ze swojego miejsca wstał admirał Sovv.

– Z pewnością wyrażę opinię wszystkich uczestników tej odprawy – zaczął – jeżeli powiem, że bardzo współczujemy panu z powodu tego, co spotkało pańską planetę. To wielki cios dla całej galaktyki.

Tamaab Moolis podziękował Sullustaninowi kiwnięciem wydłużonej głowy.

– Dziękuję panu admirałowi – powiedział, używając obu ust naraz. Chwilę później zniknął smutek i ból, jakie dotąd malowały się w szeroko rozstawionych oczach, a pojawiło się ożywienie. – Chcieliśmy sprawdzić słuszność hipotezy, jakoby istoty rasy Yuuzhan Vong pochodziły z Ramienia Tingel galaktyki, więc starannie przeszukaliśmy nasze bazy danych. Nie znaleźliśmy w nich jednak nic, co potwierdziłoby te przypuszczenia. Przebywający na Dubrillionie protokolarny android oznajmił, że język istot rasy Yuuzhan Vong jest podobny do janguńskiego, ale i ten trop nie doprowadził nas do wyjaśnienia zagadki. Mimo to prowadzimy dalej poszukiwania. Nie wykluczamy, że Yuuzhanie są pochodzącą z naszej galaktyki, dawno zaginioną rasą istot, które nagle dały znać o swoim istnieniu.

– Czy ta część Ramienia Tingel była kiedyś zamieszкана? – zainteresował się admirał Sovv.

Ithorianin odwrócił się w stronę holograficznego wizerunku przedstawiciela Instytutu Badań Astrograficznych, Beena L’totha. Istota była także Dorneaninem, synem Kilesa L’Totha, którego

mianowano dowódcą Piątej Floty po tym, jak te obowiązki przestał pełnić jego przyjaciel, Etahn A'baht.

– Wykluczamy możliwość, że istoty tak potężne jak Yuuzhanie mogły mieszkać na jakiejkolwiek planecie w przestworzach Ramienia Tingel – odezwał się hologram L'tohta. – Jeżeli wziąć pod uwagę ich umiejętności, potęgę i ogrom wojennej floty, już dawno powinny były opanować tam setki światów, a może nawet systemów. Z pewnością zwróciliby to naszą uwagę. Usłyszelibyśmy o nich... czy to od Trianiich, czy innych istot, zamieszkujących tę część Ramienia Tingel. Wiem, że ta część galaktyki wciąż jeszcze nie została dokładnie zbadana. Pewne starania w tym kierunku czyniono, zanim doszło do wybuchu Wojen Klonów. Ten fakt stanowił zresztą jeden z powodów, dla których Imperator Palpatine dał Władzom Sektora Wspólnego wolną rękę, jeżeli chodzi o sprawowanie rządów w tym rejonie Ramienia Tingel. Obecnie uważamy, że istoty rasy Yuuzhan Vong rzeczywiście przybyły do nas spoza galaktyki. – Przerwał na chwilę. – I to nie tylko z pobliskiej gromady gwiazdnej, jak uczynili Ssi-ruukowie, ale z zupełnie innej galaktyki.

A'baht parsknął z irytacją.

– Istoty zdolne do przemierzania międzygalaktycznych przestworzy musiałyby być o wiele bardziej zaawansowane pod względem rozwoju niż my – powiedział. – Co najmniej o kilkaset pokoleń. A tymczasem piloci statków i okrętów Yuuzhan korzystają z tych samych punktów wnikania i wyskakiwania z nadprzestrzeni, co nawigatorzy naszych jednostek.

– Przypuśćmy jednak, że w ciągu tych setek pokoleń byli w ciągłym ruchu – odezwał się Legorburu. – Wyobraźmy sobie, że międzygalaktyczną pustkę przemierzają całe floty ich okrętów, podobnych do ithoriańskich statków-miast, tylko wielokrotnie większych.

A'baht machnął ręką.

– Interesują mnie fakty, a nie bajki, panie pułkowniku – parsknął pogardliwie.

Legorburu zmusił się do zachowania spokoju.

– W tej chwili staramy się ustalić, czy Imperator Palpatine wiedział o istnieniu istot rasy Yuuzhan Vong – zaczął. – Wiemy tylko, że w przestworzach graniczących z naszą galaktyką mieszkają Ssi-ruukowie. Korzystając z uprzejmości moffa Ephina Sarretiego, który reprezentuje Imperium, uzyskaliśmy dostęp do imperialnych baz danych i dokumentów dotyczących tak zwanego Projektu Badań Międzygalaktycznych Przestworzy.

Projekt Badań Międzygalaktycznych Przestworzy został sfinansowany przez senat Starej Republiki na życzenie mistrza Jedi, Jorusa C'baotha. Zakończył się jednak katastrofą. Nie zdołano stwierdzić, czy gdzieś poza galaktyką także żyją inteligentne istoty.

Naturalnej wielkości hologram moffa Sarretiego, przekazywany z planety Bastion, z odległych przestworzy Szczątków Imperium, był prawie bezbarwny i przecinany ukośnymi liniami zakłóceń. Technik musiał także zwiększyć wzmocnienie sygnału akustycznego.

– ...imperialne bazy danych nie zawierają żadnej wzmianki o istotach rasy Yuuzhan Vong – ciągnął mówca. – Palpatine wiedział jednak, że Chissowie fortyfikują swoje światy, ponieważ obawiają się napaści ze strony nieznanymi agresorów. Możliwe, że właśnie dlatego nakazał najślynniejszemu Chissowi, wielkiemu admirałowi Thrawnowi, powrót do Nieznanym Rejonów galaktyki.

Sovv i jego dowódcy pochylili głowy i zaczęli się cicho narażać.

– Sugeruje pan, że tymi nieznanymi agresorami mogli być Yuuzhanie? – zapytał w końcu Sullustanin.

– Wiedzielibyśmy to na pewno, gdyby udało się nam nawiązać bezpośredni kontakt z Chissami – odparł hologram Sarretiego. – Jag Fel nie zgodził się jednak zająć pośrednictwem, a wszystkie próby połączenia się z planetą Nirauan zakończyły się niepowodzeniem.

– Czy próbowaliście wysłać tam jakiś statek? – zapytał A'baht. Hologram imperialnego moffa się uśmiechnął.

– A pan, generale? – Ujrzawszy grymas na twarzy A'bahta, dodał: – Nie zamierzamy naruszać granic przestworzy Chissów. Mogłoby się okazać, że musimy prowadzić walkę na dwa fronty.

– To oczywiste, moffie – odparł Sovv, ponuro kiwając głową. Przeniósł spojrzenie na Legorburu. – Proszę kontynuować, panie pułkowniku.

M'haelianin zmienił ustawienie anteny projektora hologramów, tak że świetlisty obraz granicznej części galaktyki znalazł się bliżej stołu projekcyjnego.

– Yuuzhanie wykorzystują środkową część Ramienia Tingel jako punkt, w którym gromadzą i przegrupowują siły – ciągnął. – Oddziały zwiadowców, wysłane do sąsiednich sektorów, tu i tu – wskazał kolonie Trianii i Dathomirę – wykryły obecność dużych skupisk o wiele większych okrętów niż te, z jakimi spotykaliśmy się do tej pory.

– Czekam na liczby – odezwał się oschle A'baht.

Legorburu kiwnął głową w stronę Tammarianina Ayddara Nylykerki, głównego analityka w czasach konfliktu z Yevethami, a obecnie dyrektora Wywiadu Floty Nowej Republiki.

– Opierając się na dostępnych informacjach, oceniamy w tej chwili liczebność jednostek floty Yuuzhan na tysiąc okrętów liniowych – powiedział. – Tworzą grupy szturmowe i flotylle, w których skład wchodzi od dwudziestu pięciu do siedemdziesięciu pięciu okrętów.

Sovv i pozostali spojrzeli po sobie zdumieni i zaskoczeni.

– Zapewne wszyscy się ucieszą, kiedy powiem – dodał szybko Nylykerka – że senat uchwalił ustawę o powszechnym poborze. Do końca przyszłego roku stocznice Kuat, Bilbringi, Sluis Van i Fondora mają podwoić liczbę produkowanych ciężkich krążowników.

– Przyszłego roku... – powtórzył Sullustanin. – Zapewne za rok o tej porze Yuuzhanie zapukają do drzwi naszych domów.

– To możliwe, panie admirale – zgodził się z nim Nylykerka. – Tyle że dysponując tyloma kalamariańskimi krążownikami klasy Mediator, bothańskimi szturmowymi krążownikami i koreliańskimi gwiazdnymi jednostkami obronnymi klasy Viscount, ile mamy obecnie, możemy stawiać czoło Yuuzhanom na wielu frontach walki równocześnie.

Sovv nieobowiązująco pokiwał głową.

– Jak wypadają nieprzyjacielskie okręty w porównaniu z naszymi jednostkami? – zapytał.

Nylykerka zajrzał do komputerowego notesu.

– Gdybyśmy uwzględnili rozmiary i uzbrojenie, w skład ich flot wchodzi odpowiedniki naszych okrętów: krążowników, niszczycieli, transportowców wojska, fregat, korwet i kanonierek. Odpowiedniki naszych gwiazdnych myśliwców noszą nazwę koralowych skoczków. Z meldunków zwiadowców wynika, że niedawno pojawiły się jednostki istot rasy Yuuzhan Vong, pod względem wielkości i siły ognia porównywalne z gwiazdnymi niszczycielami klasy Super.

Nad blatem projekcyjnego stołu utworzył się hologram yuuzhańskiego okrętu.

– Oto nieprzyjacielski okręt dowodzenia, który uczestniczył w ataku na Obroa-skai – oznajmił Nylykerka. – Dziesiątki tysięcy punktów na powierzchni z koralu yorik mogą emitować porcje niszczycielskiej energii podobne do ilości, jakie wysyłają nasze najpotężniejsze turbolasery i jonowe działa. Okręt nie ma ochronnych pól w naszym znaczeniu tego określenia. Załoga może jednak wytwarzać grawitacyjne anomalie, zdolne do pochłaniania albo odbijania energii naszych strzałów. Za wytwarzanie tych anomalii odpowiadają organiczne

urządzenia zwane dovin basalami. Mogą one służyć jako repulsory, a także jednostki napędu konwencjonalnego i nadświatelnego.

Nylykerka włączył laserowy wskaźnik i pokazał cienkie wypustki, sterczące z dziobu i rufy yuuzhańskiego okrętu dowodzenia.

– W tych końcówkach kryją się również wyrzutnie plazmy, zamykane na końcach trójlistnymi zaworami. Ponadto w każdej mieści się kilka koralowych skoczków, które są podobnie chronione jak cały okręt i także zdolne do wystrzeliwania porcji plazmy. Początkowo przypuszczaliśmy, że skoczki są zdalnie sterowanymi automatami, podobnie jak popularnie zwane Iglami jednostki typu CSNR, produkowane kiedyś przez Spółkę Loronar i używane przez Federację Handlową. Przekonaliśmy się jednak, że ruchami każdego skoczka kieruje indywidualny pilot. Przynajmniej do pewnego stopnia. Chcę powiedzieć, że o taktyce walki decyduje stworzenie zwane yammoskiem. Jest ono czymś w rodzaju koordynatora i spełnia funkcje organicznego komputera, analizującego na bieżąco przebieg bitwy.

Laserowy świetlisty punkt zwrócił uwagę wszystkich na narośle o nieregularnych kształtach, widoczne na kadłubie okrętu dowodzenia.

– Nie zdołaliśmy ustalić, dlaczego niektóre fragmenty powierzchni kadłuba są gładkie – ciągnął Nylykerka. – Widoczne na nich znaki sugerują podobieństwo do symboli i hieroglifów, bardzo często spotykanych na jajowatych kadłubach statków mnichów z Aing-Tii. Uważamy, że mogą oznaczać pochodzenie albo status społeczny, a nie stopień wojskowy.

Wśród zebranych wojskowych zapadła pełna zdumienia cisza. Pierwszy przerwał ją Legorburu.

– Odkąd istoty rasy Yuuzhan Vong dały znać o sobie w przestworzach Ramienia Tingel, wszystko wskazuje na to, że kierują się, chociaż nie prostą drogą, w stronę Jądra galaktyki. Możliwe, że atak na Obroa-skai oznacza początek zwrotu ku Środkowym Rubieżom, ale jest chyba zbyt wcześnie na wyciąganie bardziej konkretnych wniosków.

– No cóż, lepiej, żeby ktoś jednak zaczął je wyciągać – burknął A'baht. – Nie możemy bez końca tylko się bronić.

Legorburu zatknął palec za kołnierz munduru.

– Jeżeli Yuuzhanie będą nadal kierowali się w tę samą stronę i nie zbczą w istotny sposób z ekliptyki – powiedział – mogą minąć gromadę gwiazdną Hapes, a może nawet Kashyyyk. Niemal dokładnie na ich szlaku znajdzie się jednak sektor Meridiana, Przestworza Huttów, Bothawui, Rodia oraz Ryloth.

A'baht zamrugał nabrzmiałymi powiekami i potoczył spojrzeniem po uczestnikach odprawy.

– Czy ktoś z obecnych naprawdę wierzy, że Yuuzhanie pragną tylko przelecieć przez naszą galaktykę? – zapytał dramatycznym tonem. – A przelatując przez nią, tylko od niechcenia pustoszą światy i składają w ofierze ich obywateli? – Nikt nie odpowiedział, więc dodał: – Co zrobimy, jeżeli jednak skierują się w stronę Jądra galaktyki?

Nylykerka odwrócił antenę projektora hologramów w taki sposób, żeby pokazać rozmieszczenie okrętów najważniejszych flot Nowej Republiki.

– Admirał Pellaeon przekazał swoje jednostki Szczętkom Imperium, żeby chroniły ich planety przed możliwą inwazją – zaczął, pokazując punkt na hologramie. – Elementy Trzeciej i Czwartej Floty są rozproszone wzdłuż Hydiańskiej Drogi i Perleミアńskiego Szlaku Handlowego. Większość okrętów Drugiej Floty jest usytuowana między gromadą gwiazdną Hapes a Jądrem, w okolicach Borleias. Elementy Jedyńki i Piątki stacjonują w przestworzach Coruscant, Kuat, Chandrili, Commenora i Fondora.

– Sama siła i gotowość flot nie wystarczy – odezwał się po chwili ciszy admirał Sovv. – O wiele ważniejsze jest zrozumienie, jakimi istotami są Yuuzhanie. Musimy wiedzieć, z kim właściwie mamy do czynienia.

Legorburu powiódł spojrzeniem po twarzach, pokazywanych na ekranach monitorów jego konsoli.

– Hmm... doktor Eicroth, może pani zechciałaby rzucić trochę światła na to zagadnienie? – zapytał.

Hologram Joi Eicroth ukazywał powabną jasnowłosą kobietę. Agentka była kiedyś, choć krótko, żoną admirała Draysona, ale i teraz współpracowała z nim jako funkcjonariuszka Alphy Blue, tajnej komórki Wywiadu Nowej Republiki. Należała do pierwszej grupy osób, które wiele lat wcześniej widziały odmrożonego Qella na planecie Maltha Obex. Obecnie wchodziła w skład zespołu ksenobiologów, którym powierzono zadanie sporządzenia wszechstronnego portretu istoty rasy Yuuzhan Vong.

– Mamy do czynienia z istotami trochę przypominającymi ludzi – odezwała się Eicroth. – Zarówno pod względem zewnętrznym, jak wewnętrznym. Jedyne wyjątek stanowią podobne do gadów pół-inteligentne stworzenia, które pomagały Yuuzhanom walczyć na Dantooine, Garqi i Ithorze. Słuszność tej teorii potwierdza fakt, że mistrz

Jedi Luke Skywalker nie odniósł żadnych obrażeń, ani kiedy założył rozpoznawczą maskę koralowego skoczka, ani gdy posługiwał się organicznym aparatem do oddychania. Muszę jednak podkreślić, że z przeprowadzonych autopsji wynikają bardzo intrygujące wnioski.

Nad projekcyjnym stołem ukazały się hologramy trzech istot rasy Yuuzhan Vong. Zaczęły się powoli obracać.

– Różnice są widoczne od pierwszego rzutu oka – kontynuowała Eicroth. – Jeden ma zagadkowo wydłużoną głowę, drugi pomocnicze żebra, a trzeci głęboko wycięte w torsie dziwne wzory. Możemy się domyślać, że w społeczeństwie Yuuzhan dużą rolę odgrywa pochodzenie. Możliwe, że chodzi o przynależność do jakiejś kasty albo grupy. Chyba możemy uznać za pewne, że Yuuzhanie poddają swoje ciała bardzo bolesnym modyfikacjom, żeby przypodobać się religijnemu albo wojennemu autorytetowi. Tak czy owak, wspólne cechy tych modyfikacji i znaków sugerują, że istoty rasy Yuuzhan Vong utworzyły skomplikowany hierarchiczny ład społeczny.

To z kolei zgadza się z praktycznymi aspektami ich nauki i techniki. Z tego, co udało się nam ustalić, wynika, że absolutnie wszystkie urządzenia Yuuzhan mają naturę biologiczną. Posługiwanie się bioreaktorami, neurosilnikami i broniami biologicznymi dowodzi, że istoty rasy Yuuzhan Vong przywiązują ogromną wagę do wytworów techniki organicznej, a nie sztucznej. My wynajdujemy mechanizmy i urządzenia, a oni hodują formy życia, które spełniają te same funkcje, co nasze maszyny.

– Czy można ich pokonać? – zapytał A’baht na tyle głośno, żeby jego głos przedarł się przez szmer kilku prowadzonych półgłosem indywidualnych rozmów.

– Yuuzhanie są wyżsi i ciężsi niż większość ludzi – odparła Eicroth. – Ich wojownicy są silni i zwinni, panie generale. W niektórych przypadkach pomagają im albo chroni ich ciała żywa zbroja. Mimo to można ich zabić, posługując się konwencjonalną bronią, a prawdopodobnie także mieczem świetlnym rycerza Jedi. Pewne nadzieje pokładamy w pyłku drzew baforr, który alergizuje ich organiczne pancerze. Upłyłoby jednak sporo czasu, zanim zdołamy zsyntetyzować wystarczającą ilość pyłku, aby stał się skutecznym środkiem odstraszającym albo bronią biologiczną. Jednak każde następne zetknięcie z istotami rasy Yuuzhan Vong dostarcza nam nowych danych na temat ich słabych punktów – psychologicznych, anatomicznych i społecznych.

Wśród uczestników odprawy zapadła głucha cisza. W końcu przerwał ją komodor Brand, były dowódca wchodzącego w skład

Piątej Floty krążownika „Nieugięty” i najbardziej gburowaty spośród wszystkich wyższych stopniem oficerów. Komodor głośno zabębnił grubymi paluchami po pulpicie konsolety.

– Kiedy siedzę tu i słucham raportów, cały czas zadaję sobie jedno i to samo pytanie – zaczął, kiedy zwróciły się na niego oczy wszystkich zebranych. – Czego właściwie chcą od nas te istoty? Czy chodzi im o terytorium, surowce czy religię? A może chcą wyrzucić zemstę za krzywdy wyrządzone przez jednego z nas tak dawno, że nie zachowały się na ten temat żadne dokumenty? Czy istoty rasy Yuuzhan Vong uważają nas za robactwo, jak uważali Yevethowie z Ligi Duskańskiej? A może zależy im, jak Ssi-ruukom, na energii naszego życia?

Zanim ktokolwiek zdołał odpowiedzieć, głos zabrał jeden z techników łącznościowców.

– Panowie – powiedział, zwracając się do Sovva i pozostałych oficerów – zgłosił się dyrektor Scaur. Ma pilną wiadomość i twierdzi, że wszyscy powinni ją usłyszeć.

Sullustański admirał mruknął coś, co zabrzmiało jak przekleństwo.

– W porządku – rzekł po namyśle. – Proszę sprawdzić systemy ochronne i połączyć go z nami.

Pośrodku tłumiącego dźwięki ochronnego obszaru, otaczającego wszystkich uczestników odprawy, utworzył się zmniejszony do połowy naturalnej wielkości hologram dyrektora Wywiadu Nowej Republiki.

– Panie admirale – odezwał się migotliwy i prawie bezbarwny wizerunek Scaura – właśnie dowiedziałem się o incydencie, jaki wydarzył się wczoraj rano standardowego czasu w sektorze Meridiana. Mam dla pana dobrą wiadomość. Załoga lekkiego krążownika „Prawdomówny” stoczyła walkę z nieprzyjacielskim okrętem i zniszczyła go w okolicach Exodo Dwa. Jeszcze lepsza wiadomość to ta, że udało się nam pochwytać, całe i zdrowe, dwie istoty rasy Yuuzhan Vong, które wystrzeliły ratunkową kapsułę, by ratować życie. Najbardziej intrygującą wiadomością zachowałem jednak na sam koniec. Obie istoty poprosiły nas o azyl polityczny.

Wielkie okrągłe czarne oczy admirała sprawiały wrażenie jeszcze bardziej szklistych niż zazwyczaj. Sullustanin rozparł się na fotelu i nie kryjąc zdziwienia spojrzął na A’bahta i Branda.

– No cóż, panowie – odezwał się po chwili. – Wygląda na to, że już niedługo dowiemy się, czego od nas chcą Yuuzhanie.

# ROZDZIAŁ

## 9

– Zawsze wiedziałem, że lubujesz się w luksusie – stwierdził Roa, kiedy obaj wysiedli z repulsorowej taksówki. Maszyna wylądowała na balkonie rezydencji Solo, mieszczącej się w jednej z najwytworniejszych okolic dzielnicy administracyjnej Coruscant.

– Pozbądź się złudzeń – odparł Han. – W środku jest o wiele mniej miejsca niż może ci się wydawać.

Roa podszedł do poręczy balkonu i spojrział w dół. Potem zarwał głowę i popatrzył w górę. Chociaż z balkonu eleganckiego apartamentu rozciągał się zapierający dech w piersi widok, do wierzchołka budynku było mniej więcej tak samo daleko jak do parteru.

– Cóż, mieszkasz zaledwie trzysta metrów poniżej szczytu – zauważył Roa, szelmowsko się uśmiechając. – Praktycznie na poddaszu. Powinieneś być dumny z tego, co udało ci się osiągnąć w życiu. Żadnemu spośród moich byłych uczniów nie powiodło się tak dobrze jak tobie.

– Zawdzięczam wszystko żonie – mruknął zakłopotany Solo. – I przywilejom związanym z jej stanowiskiem.

– Dobrze wiedzieć, na co idą pieniądze z moich podatków – odrzekł Roa z jeszcze szerszym uśmiechem.

Drzwi balkonowe rozpoznały Hana i wpuściły go do mieszkania. Pośrodku atrium, na wyłożonej ceramicznymi płytkami posadzce, stał Threepio. Na widok Hana przekrzywił głowę i zgiął złoście ręce w łokciach tak, że prawie ujął się pod boki.

– Ależ to pan Solo – powiedział. – I gość. Witam panów. – Zwrócił się do byłego przemytnika i dodał: – Jestem See-Threepio, specjalista od kontaktów ludzi z cyborgami.

Przechodząc pod sklepionym kolebkowo portalem, Roa cicho gwizdnął.

– Ile czasu potrzeba, żeby usłyszeć echo? – zapytał całkiem poważnym tonem.

– Przestań się wygłupiać, dobrze? – odparł kątem ust Han. – Jeżeli chcesz wiedzieć, mieliśmy mniejsze mieszkanie w Wieży Oro-wood, ale kiedy dzieciaki zaczęły dorastać...

Roa przerwał mu uniesieniem ręki.

– Jeżeli o mnie chodzi, nie musisz się usprawiedliwiać ani tłumaczyć – powiedział. – Za wszystkie kredyty w Banku Nowej Republiki nie zgodziłbym się przeprowadzić na Coruscant, ale z tobą to co innego. Jeżeli musisz tu mieszkać, nie wstydz się luksusu.

Han zmarszczył brwi i odwrócił się do Threepia.

– Gdzie jest Leia? – zapytał.

– W głównej sypialni, proszę pana – odrzekł złocisty android. – Pomagałem jej się pakować, ale posłała mnie na dół, żebym przyniósł to. – Wyciągnął ręce i pokazał mieniący się jedwabny szal, który Han kupił żonie, kiedy oboje wyprawili się na Bimmisaari.

– Pakować? – zapytał zdziwiony Solo. – Dokąd się wybiera?

– Prawdę mówiąc, proszę pana, jeszcze mi tego nie powiedziała.

– Musiało być bardzo trudno wybrać odpowiednią garderobę – stwierdził Roa.

Threepio odwrócił się w jego stronę. Gdyby mógł i gdyby umożliwiałoby to oprogramowanie, zamrugałby jasno świecącymi fotoreceptorami.

– Słucham pana?

W odpowiedzi Roa tylko się uśmiechnął.

Han spojrzał na przyjaciela.

– Lepiej zaczekaj na dole – powiedział. – Sam się wszystkim zajmę.

Były przemytnik kiwnął głową.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Panie Solo – odezwał się Threepio. – Wygląda na to, że mam towarzyszyć pani Leii.

– I co z tego? – zapytał Han, kierując się ku kręconym schodom.

– No cóż, sam pan najlepiej wie, jak znoszę międzygwiazdne podróże – odparł Threepio. – Myślałem, że może mógłby pan się za mną wstawić...

Han wybuchnął śmiechem.

– Naprawdę mi cię żal, Threepio – odparł z udawaną powagą. Threepio przekrzywił głowę. Sprawiał wrażenie mile zaskoczonego. Zupełnie nie wyczuł sarkazmu w tonie głosu Hana.

– Ależ... dziękuję panu! – odrzekł. – Zapewne współczucie nie zwolni mnie z obowiązków, ale przyjemnie wiedzieć, że chociaż jedna osoba martwi się moim losem do tego stopnia, żeby to powiedzieć. Już dawno twierdziłem, że jest pan najbardziej ludzki spośród wszystkich ludzi. Prawdę mówiąc, zaledwie przed tygodniem mówiłem...

Improwizowane przemówienie Threepia trwało cały czas, kiedy Han wspinał się po kręconych schodach na wyższy poziom. W końcu stanął na progu głównej sypialni i zobaczył żonę, rozkładającą na łóżku swoje ubrania. Była boso, ubrana w szlafrok z połyskującego jedwabiu. Upięła włosy, ale kilka kosmyków ocierało się o policzki.

– Wygląda na to, że ilekroć spóźniam się do domu, przygotowujesz się do kolejnej wyprawy – powiedział Han. – Może w ogóle nie powinnaś się rozpakowywać?

Leia znieruchomiała, kiedy go ujrzała.

– Martwiłam się o ciebie – odrzekła. – Cały rano starałam się z tobą porozumieć.

Han potarł nos.

– Wędrowałem Szlakiem Wspomnień – odparł. – A zresztą i tak miałem wyłączony komunikator. – Wskazał otwarty neseser. – Threepio powiedział mi, że oboje dokądś się wybieracie.

Leia usiadła na krawędzi ogromnego łóża, okręciła na palcu kosmyk włosów i wsunęła go za ucho.

– Nigdy byś nie zgadł – oznajmiła. – Na Ord Mantell. Problemy z uchodźcami zaczynają przerastać nasze możliwości, Hanie. Kłopoty z wyżywieniem, choroby, poszukiwania zaginionych członków rodzin... jakby tego nie dość, podejrzania co do rzeczywistych motywów, jakimi kieruje się Nowa Republika. Prezydium senatu poprosiło mnie, żebym spotkała się z przywódcami kilku światów Środkowych Rubieży w celu przedyskutowania możliwych rozwiązań tych problemów.

– Podejrzania? – zdziwił się Han. – Jakie podejrzania?

– Bardzo wielu ludzi uważa, że kiedy w końcu rozprawimy się z Yuuzhanami, Nowa Republika zechce siłą przyłączyć setki światów, a może nawet systemów.

– Jeżeli sytuacja będzie nadal rozwijała się w taki sposób, nie ma mowy – odparł Solo.

– Wiem – rzekła zaniepokojona Leia.

Han znowu popatrzył na jej nesesor.

– Czy odgrywanie roli siostry miłosierdzia nigdy ci się nie znudzi? – zapytał.

– Miłosierdzia zaczyna się człowiek uczyć we własnym domu – wtrącił się 3-CPO. Od razu się zreflektował. – Nie, chwileczkę. Chyba to powiedzenie powinno brzmieć: „Altruizmu zaczyna się człowiek uczyć we własnym domu”. Musiały mi przeszkodzić jakieś zakłócenia. Podniecenie, związane z pakowaniem się i przygotowaniem do kolejnej międzygwiazdnej wyprawy...

– Threepio! – odezwał się Han, celując w niego wskazującym palcem.

Ponieważ język gestów i ruchów ciał istot ludzkich był jednym spośród milionów, które znał, protokolarny android natychmiast umilkł.

Leia przeniosła spojrzenie z Threepia na męża.

– Żyję po to, żeby odgrywać rolę siostry miłosierdzia – oznajmiła. – Staram się pomagać jak umiem.

Han nonszalancko pokiwał głową.

– Prawdę mówiąc, nie mogło ułożyć nam się lepiej, ponieważ i mnie pewien czas nie będzie w domu.

Leia zajrzała w jego oczy.

– Dokąd lecisz? – zapytała.

– Jeszcze nie wiem.

Leia uniosła brwi.

– Nie wiesz?

– To fakt – odparł Solo, patrząc na dół, gdzie pozostawił przyjaciela. Roa przyglądał się kryształowemu posążkowi, który żona Hana znalazła na planecie Vortex.

Leia spojrzała na niższy poziom.

– Kto to? – zapytała.

– Dobry przyjaciel z dawnych czasów.

– Jakoś się nazywa?

– Roa.

– To już coś – odparła Leia, uśmiechając się z przymusem. – Nie mam pojęcia, dokąd się wybierasz, ale przynajmniej wiem, z kim... na wypadek, gdybym musiała się z tobą skontaktować. – Przerwała na chwilę. – Bierzecie „Sokoła”?

Han pokręcił głową.

– Jeżeli chcesz, możesz nim lecieć, dokąd ci się podoba.

Leia wbiła spojrzenie w jego oczy.

– Hanie, o co w tym wszystkim chodzi? – spytała, coraz bardziej zaniepokojona.

– Ja i Roa lecimy, żeby się zobaczyć ze wspólnym znajomym.

– Tak bardzo się spieszycie, że nie możecie poczekać?

Han odwzajemnił jej spojrzenie.

– Teraz albo nigdy, Leio – powiedział. – To przecież takie proste.

Wyjął ze schowka podróżną torbę i zaczął upychać w niej ubrania.

Leia umilkła. Dłuższy czas tylko mu się przyglądała.

– Czy przynajmniej nie mógłbyś poczekać, aż Anakin wróci do domu? – zapytała w końcu. – Unikasz go cały tydzień.

Han nie odwrócił się ani nie spojrzał na żonę.

– Pożegnaj go ode mnie, dobrze?

Leia obeszła go i stanęła tak, że musiał unieść głowę.

– Macie sobie do powiedzenia coś więcej niż tylko słowa pożegnania – zaczęła. – Chłopiec jest dezorientowany i zagubiony, Hanie. Mówisz mu, że nie powinien winić siebie za to, co wydarzyło się na Serpidału, ale twój gniew i milczenie sugerują mu coś wręcz przeciwnego. Musisz mu pomóc się pozbierać.

Han zapatrzył się na Leię.

– Anakin mnie nie potrzebuje – stwierdził po chwili. – Ma Moc. – Zmrużył oczy. – Wiesz, co powiedział mi Luke? Zauważył, że ponieważ moje dzieci są rycerzami Jedi, już niedługo nie będę mógł dotrzymać im kroku. No cóż, właśnie to mi się przydarzyło. Przerodził mnie. Już mnie nie potrzebują.

– Luke wcale nie miał tego na myśli. – Leia podeszła jeszcze bliżej męża. – Hanie, wysłuchaj mnie. Anakin zamierza pomścić śmierć Chewiego z dwóch powodów. Po pierwsze, pragnie się zrehabilitować. Po drugie, chce, żebyś mu przebaczył. Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje twojego zrozumienia i poparcia. Potrzebuje twojej miłości, Hanie. A tego nie zapewni mu Moc, choćby bardzo się starał.

Han wypuścił powietrze.

– Jeżeli usiłujesz wzbudzić we mnie poczucie winy, to świetnie ci się udaje – powiedział.

– Nie staram się o to – rzekła Leia. – Chcę tylko... – Urwała i z rezygnacją wzruszyła ramionami. – Nieważne, Hanie. Wiesz, co ci powiem? Może i dobrze, że jakiś czas nie będzie cię w domu.

Nie komentując jej słów, Han odwrócił się i zaczął szperać w jednej z szuflad. Chwilę później znalazł swój stary, co najmniej

trzydziestoletni pistolet typu BlasTech DL-44. Przetarł kciukiem przednią soczewkę celowniczej lunety, po czym wsunął broń do kabury – specjalnie wyciętej w taki sposób, żeby odłonić bezpiecznik spustu.

Leia przyglądała się, jak Han chowa broń do podróżnej torby.

– Obiecay mi, że to tylko na wypadek, gdybyś musiał stanąć do zawodów w szybkości wyciągania broni – powiedziała, coraz bardziej przerażona.

W dłoni jasnoskórego mężczyzny w byle jakich spodniach kołysała się czarna skórzana teczka. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak najzwyczajniejsza walizeczka. Z pewnością nie zwróciłaby uwagi żadnego spośród wielu kręcących się po kosmoporcie Bagsho złodziejasków, którzy mieli brzydki zwyczaj wyrywać torby podróżnym i uciekać jak najdalej. Co prawda, gdyby ten czy ów zauważył mocno zaciśnięte palce mężczyzny, doszedłby do wniosku, że zawartość może być cenniejsza niż mu się wydaje. Wystarczyło jednak przyjrzeć się właścicielowi, aby najbardziej zuchwali rabusie dali sobie spokój. Mężczyzna wyglądał na bardzo pewnego siebie, a luźna marynarka nie potrafiła ukryć szerokości jego pleców. Co najważniejsze jednak, nieznajomy starał się – może odrobinę zbyt usilnie – nie zwracać na siebie niczyjej uwagi.

Przeszedł przez posterunek imigracyjny bez żadnych kłopotów, po czym skierował się zazwyczaj używanym przez gości szlakiem, wiodącym na przystanek środka transportu publicznego. Wybrał ten, którym mógł dotrzeć do ośrodka medycznego.

Od czasu, kiedy ośrodkiem kierował Ism Oolos, na planecie Nim Drovis zaszły duże zmiany. Nowa Republika postanowiła zrekompensować mieszkańcom wszystkie straty i cierpienia sprzed dwunastu lat, kiedy władający pobliską Nam Chorios Seti Ashgad uwolnił zarazki Posiewu Śmierci. Sfinansowano budowę i wyposażenie placówki meteorologicznej, aby pracujący w nich naukowcy ujarzmili padające codziennie ulewne deszcze. Rycerze Jedi wynegocjowali zawieszenie broni w konflikcie, jaki od dawna istniał między plemionami Drovian i Gopso'ów. Powstrzymano tempo rozrostu pleśni i grzybów, które dotychczas pleniły się gdzie mogły, i nawet kanały Starego Miasta nie cuchnęły już tak kiedyś. Hodowanie ślimaków na masową skalę stało się bardzo popłatnym przedsięwzięciem.

Kiedy mężczyzna z czarną teczką dotarł do odnowionego ośrodka medycznego, ze starannie ukrywaną radością zwrócił uwagę na

tłumy uzbrojonych droviańskich strażników. Patrolując okolicę, trzymali w mackach albo szczypcach blasterowe karabiny. Mężczyzna poddał się rutynowemu prześwietleniu i skanowaniu, po czym skierował się do przestronnej sali audiencyjnej, gdzie krzątali się i Drovianie, i ludzie. Ci ostatni mogli być potomkami pierwszych kolonistów, którzy przylecieli na Nim Drovis z Alderaana.

Tajemniczy mężczyzna podszedł do młodej Drovianki, najwyraźniej pełniącej obowiązki recepcjonistki. Istota siedziała za biurkiem, ustawionym naprzeciwko wejścia do sali.

– Jestem umówiony z doktorem Saychelem – powiedział.

– Jak się pan nazywa? – zapytała Drovianka, nie przestając obracać w ustach prymki zwilu.

– Cof Yody.

Recepcjonistka zaproponowała gestem, by mężczyzna usiadł. Kilka chwil później zaprosiła go – również gestem – żeby podszedł do biurka. Włączyła interkom, z którego rozległ się męski głos.

– Mówi doktor Saychel. Pytał pan o mnie?

– Tak. Wydaje mi się, że kiedy przebywałem na Ampliquenie, zaraziłem się włośnicą.

– Dlaczego nie zwrócił się pan do tamtejszych lekarzy, żeby zajęli się stanem pańskiego zdrowia?

– Pracownicy administracyjni tamtejszego ośrodka medycznego nie chcieli uznać ważności mojego ubezpieczenia.

Saychel chwilę nic nie mówił.

– Proszę wejść przez drzwi po lewej stronie biurka pani recepcjonistki i kierować się strzałkami do laboratorium.

Podążając wyznaczoną trasą, mężczyzna minął kilka izolatek i prymitywnych sal operacyjnych. Przeszedł przez dwa albo trzy drewniane pawilony, a kiedy znalazł się w murowanym budynku, zagłębił się w labirynt kiepsko oświetlonych korytarzy. W końcu stanął przed drzwiami odosobnionego oddziału, gdzie dwanaście lat wcześniej poddawano kwarantannie ofiary Posiewu Śmierci. Saychel, kierownik ośrodka medycznego Nim Drovis, miał na sobie częściowo uszczelniony antykontaminacyjny kombinezon, a na twarzy makrosoczewkowe gogle.

– Witam pana w Bagsho, majorze Showolter – odezwał się wylewnie. – Nie sądziłem, że pofatyguje się do nas ktoś zajmujący tak wysokie stanowisko.

– Prawdę mówiąc, rzucaliśmy monetą i wypadło na mnie – odparł Showolter.

– Domyślam się, że ta sprawa bardzo was interesuje.

Showolter i Saychel znali się jeszcze z czasów, kiedy obaj przebywali na Coruscant. Pracowali w bezpiecznym pomieszczeniu, ukrytym w dzielnicy rządowej głęboko pod powierzchnią gruntu. Od czasu do czasu stykali się z tak sławnymi osobami jak Luke Skywalker, Han Solo czy Lando Calrissian. Od tamtych czasów gęste blond włosy Saychela posiwiały i wyglądały teraz jak srebrzystożółta grzywa. Policzki mężczyzny przecinała czerwona siatka popękanych naczyń krwionośnych.

– Jestem pewien, że to ty – odezwał się Saychel. – Przepisy nakazują mi jednak jeszcze raz cię sprawdzić.

Showolter kiwnął głową i rozłożył ręce na boki.

– Właśnie za to ci płacimy, profesorze – powiedział.

Kierownik ośrodka medycznego wyjął z kieszeni kombinezonu niewielki skaner. Urządzenie bardzo szybko odnalazło implantowany identyfikator, który Showolter miał wszyty między mięśnie prawego ramienia. Sekundę czy dwie później potwierdziło jego tożsamość.

– A zatem, gdzie przetrzymujecie nasze dwie uciekinierki? – zapytał oficer Wywiadu Nowej Republiki.

Saychel poprowadził go do drzwi, których pokonanie wymagało sprawdzenia wzorów odcisków palców i siatkówek oczu. Gdy obaj mężczyźni znaleźli się w laboratorium, podszli do transpastalowego okna, usytuowanego w przeciwległej ścianie i przepuszczającego światło tylko w jedną stronę. W niewielkim pokoju za oknem, ubrane w szpitalne szlafroki, siedziały na osobnych pryczach obie rzekome zdrajczynie. Półgłosem rozmawiały w języku, który Showolter uznał za ich ojczysty. W pomieszczeniu znajdował się także stół, dwa krzesła i przenośna łazienka.

Spojrząwszy na Yuuzhankę, zdziwiony Showolter otworzył szerzej oczy.

– Nie sądziłem, że samice naszych wrogów mogą być tak urodziwe – powiedział.

– To prawda – zgodził się z nim Saychel, spoglądając przez transpastalowe okno. – Jest bardzo powabnym okazem.

– A ta druga? – zainteresował się Showolter. – Kim jest? Ulubionym zwierzątkiem czy partnerem?

– Wydaje się, że i jednym, i drugim – odparł Saychel. – Tak czy owak, nigdy się nie rozstają. A jeśli to ulubienica, sprawia wrażenie równie inteligentnej jak jej właścicielka.

– Ulubienica? – zapytał zdumiony oficer Wywiadu. – To także samica?

– Z całą pewnością – odrzekł lekarz. – Zapewne pochodzi z rasy zamieszkującej galaktykę Yuuzhan, a może została wyhodowana sztucznie w jakiejś kadzi... za pomocą inżynierii genetycznej.

– Mielście jakieś kłopoty z przetransportowaniem ich do tego pomieszczenia?

Saychel pokręcił głową.

– Członkowie załogi „Prawdomównego” sprowadzili je tu w energetycznej klatce i proszę nie pytać mnie, skąd ją wzięli. Kiedy przeprowadzono wstępne badania i testy, przenieśliśmy je do tego pomieszczenia.

– Zapoznałem się z raportami – oznajmił Showolter. – Były jakieś niespodzianki?

– Niewarte wzmianki.

– Co stwierdziliście, badając ich kapsułę ratunkową?

– Podobna do yuzhańskich myśliwców, ale pozbawiona systemów uzbrojenia. Zbudowana z czarnej odmiany koralu yorik i napędzana przez dovin basala. Niestety, nie żył już, kiedy pochwytiliśmy kapsułę.

Saychel wskazał sąsiedni stół laboratoryjny, gdzie stał duży pojemnik wypełniony płynem konserwującym. Pływał w nim mniej więcej metrowej średnicy przedmiot w kształcie serca z wieloma niebieskawymi wypustkami.

– Ciekawszy niż twoje standardowe silniki repulsorowe – stwierdził Showolter.

– O wiele – mruknął bez cienia uśmiechu Saychel.

Oficer Wywiadu Nowej Republiki spojrział na drugi, mniejszy pojemnik, w którym pływał przedmiot w kształcie rozchylonego strąka. Miał rozmiary ludzkiej głowy, a na zgrubiałej krawędzi widniały niewielkie narośle czy guzy.

– Co to jest? – zapytał.

Saychel podszedł do pojemnika.

– Sądząc z opisu, jaki nam dostarczono, to villip – oznajmił. – Organiczny komunikator.

– Żyje?

– Chyba tak.

– Czy coś... powiedział?

– Nie – odparł zaskoczony lekarz. – Prawdę mówiąc, nikomu nie wpadło do głowy, żeby zadać mu pytanie.

Showolter zmarszczył brwi. Machinalnie pogładził mięśnie prawego ramienia. Później odwrócił się i spojrział na rzekome zdrajczynię.

– Daliście im coś do jedzenia? – zapytał.  
– Standardowe racje żywnościowe – odparł Saychel. – Ta mniejsza, upierzona, z wielkim apetytem zjadła wszystko, co dostała.  
– Może to właśnie klucz do wygrania tej wojny – zasugerował Showolter. – Jedzenie.

Saychel skrzywił się, jakby połknął coś kwaśnego.

– Słyszałem już bardziej zwiariowane propozycje.

– Rozmawialiście z nimi? – zainteresował się major. – Czy to w ogóle możliwe?

– Samica rasy Yuuzhan Vong... przy okazji, nazywa się Elan... zna basic i to nawet całkiem dobrze. Twierdzi, że nauczyła się go w trakcie szkolenia.

– Kim jest?

Saychel wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Naprawdę jesteś gotów usłyszeć odpowiedź? – zapytał. – Kapłanką.

Showolter zmarszczył krzaczaste brwi.

– Żartujesz! – powiedział, zerkając na Elan. – Ciekaw jestem, czy każą im żyć w celibacie.

– Nie przyszło mi na myśl o to spytać – odparł poważnie Saychel. – Chyba rzeczywiście zależy jej na otrzymaniu azylu politycznego. Kiedy o to prosiła, dla zabawy dokonałem analizy parametrów jej głosu. Wszystko przemawia za tym, że mówiła szczerze.

– Czy prosiła jeszcze o coś?

– Pragnie spotkać się z rycerzami Jedi. Twierdzi, że ma dla nich informacje na temat roznoszonej za pośrednictwem zarodników zarazy, którą zaczęli szerzyć Yuuzhanie, zanim dokonali napaści na nasze światy.

Showolter podrapał się po głowie.

– Ulubione zwierzątko przepada za naszym jedzeniem, yuuzhańska kapłanka zna basic i wie o istnieniu rycerzy Jedi, obie pragną uzyskać azyl polityczny... Za chwilę pewnie się dowiemy, że założyły się, która drużyna zdobędzie w tym roku mistrzostwo pierwszej ligi. – Dramatycznie westchnął. – Dyrektor Scaur chciałby, żeby przetransportowano je na Wayland. Rzecz jasna, jak najdyskretniej i z zachowaniem wszystkich niezbędnych środków ostrożności. Mają być tam poddane wstępnemu przesłuchaniu. Powiadomiono już naszych agentów Noghrich, którzy pełnią tam służbę.

– Osobiście się tym zajmiesz? – zapytał Saychel.

Jego rozmówca kiwnął głową.

– Wiesz chyba, że to podstęp? – zapytał Saychel. – Mam na myśli te dwie istoty.

– Oczywiście – odparł oficer Wywiadu. – Jednak to może być jedyna szansa przesłuchania kogokolwiek z rasy Yuuzhan Vong. Nie możemy jej przegapić. Nawet gdybyśmy musieli zgodzić się na ich prośbę i zorganizować spotkanie z rycerzami Jedi.

– Witaj na pokładzie – odezwał się Roa do Hana, kiedy dotarli na szczyt wyłożonej miękkim dywanem pasażerskiej rampy gwiazdowego statku typu SoroSuub 3000.

Han tylko raz zjrzał do środka i cicho gwizdnął. Nawet taśmo-wo produkowane egzemplarze tego smukłego, przypominającego grot strzały modelu były wyposażone jak luksusowe jachty, ale „Radosny Sztylet” przewyższał je pod każdym względem. Dosłownie wszystko, co nie było kosztownym drewnem – począwszy od posadzki korytarzy, a skończywszy na przepierzeniach i przegrodach – wyglądało zupełnie jak prawdziwe. W każdej niszy i wnęce umieszczono drogocenny przedmiot, dzieło sztuki albo przynajmniej kosztowny hologram. Ustawioną w przeciwnym kącie łagodzącą skutki nagłych przyspieszeń kanapę pokrywała skóra crosha i migotliwy jedwab.

– Czy to fijisi? – zapytał Han takim tonem, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. Przykucnął i przesunął palcami po fragmencie parkietu.

– Prawdę mówiąc, to uwa – odrzekł Roa. – Zabrałem z pokładu wraku alderaańskiego spacerowego statku. Piraci zrabowali wszystko inne, co miało jakąś wartość.

Han wszedł na pokład i rozejrzał się po wnętrzu. Zwracał uwagę na każdy szczegół i od czasu do czasu kręcił głową.

– Czy wiesz, kto latał kiedyś podobnym jachtem? – zapytał w pewnej chwili. – Lando Calrissian. Ale i tak jego „Ślicznotka” nie może się równać z twoim „Sztyletem”.

– Jeżeli Lando nie zmienił się od czasów, kiedy go znałem, zapewne więcej wydaje na systemy śledzenia i uzbrojenie niż ja na wyposażenie całego jachtu.

– Może, może... – Han wyszczerzył zęby w uśmiechu i spojrział na Roę. Był mu wdzięczny za to, że przyjaciel uwolnił go od konieczności wysłuchiwanie narzekań i wymówek, które musiał znosić w domu.

– A zatem stary piracie, czym teraz się zajmujesz? – zapytał. – Wynajmujesz kabiny członkom objazdowych orkiestr jizzowych?

Roa parsknął śmiechem.

– Nie ukrywam, że zatrudniłem w organizacjach podatkowych i celnych Bonadana kilku funkcjonariuszy, dzięki którym stałem się bogaty – powiedział. – Teraz jednak pozostał mi tylko ten statek.

Klepnął Hana po plecach i obaj przeszli do głównej dziobowej sterowni. Kiedy się tam znaleźli, na ich spotkanie ruszył stojący do-  
tąd w niszy srebrzysty protokolarny android. Jego wypolerowana powłoka lśniła niczym lustro.

– Bardzo przepraszam, panie Roa, ale do statku zbliża się jakiś intruz – oznajmił beznamiętnym tonem.

– Hanie, to jest Void – odezwał się Roa. – Znalazłem go na Rhommamoolu. Wyrwałem go z łap tamtejszych fanatyków, niszczących wszystkie androidy. Biedak tak się zdenerwował, że musiałem skasować zawartość jego pamięci. Nabyłem go za półdarmo, ale wydałem pięćset coruscańskich kredytów, żeby doprowadzić go do obecnego stanu.

Roa zwrócił się do Voida. Poleciał mu pokazać intruza, na którego skierowały się obiektywy zainstalowanych na lądowisku skanerów systemu bezpieczeństwa. Na ekranie monitora konsoli pojawił się obraz szczupłego kilkunastoletka o brązowych włosach i błękitnych oczach. Chłopiec był ubrany w jasną tunikę z szorstkiego materiału, wypuszczoną na brązowe, obcisłe cienkie spodnie.

– Znasz go? – zapytał Roa, zwracając się do Hana.

Solo zmrużył oczy.

– To mój syn – oznajmił ponuro.

Kiedy Han stanął we władze jachtu, Anakin docierał do stóp rampy. Skanery lądowiska wykryły, że chłopiec jest zaniepokojony. Kiedy zobaczył ojca, niepokój ustąpił miejsca niepewności.

Han zbiegł po rampie i ujął się pod boki, kierując kciuki w stronę syna.

– Jakim cudem udało ci się mnie tu odnaleźć? – zapytał gniewnym tonem.

Anakin cofnął się o krok.

– Mama powiedziała, że wyprawiasz się z kimś o imieniu Roa i że nie lecisz „Sokołem” – odparł cicho. – Nie musiałem długo szukać, żeby znaleźć właściwe lądowisko.

Rysy twarzy Hana stężały.

– Mam nadzieję, że nie wysłała cię, żebyś zapytał, dokąd się wybieram – burknął. – Jak jej oświadczyłem, sam jeszcze tego nie wiem.

Anakin zmarszczył czoło.

– Nie wysłała mnie – odrzekł. – Sam przyszedłem.

– Ach, tak... – powiedział nieco zbity z tropu Han. – W takim razie...

– Ja... mam coś dla ciebie. – Chłopiec odpiął niewielki skórzany futerał od pasa, opinającego jego tunikę. – Możesz to uznać za prezent pożegnalny.

Han wyłuskał z futerału lekki cylinder, trochę krótszy niż jego dłoń i szeroki mniej więcej na cztery palce. Został sporządzony z jakiegoś zapamiętującego kształty stopu, a na powierzchni miał wyryte równoległe karby.

– Poddaję się – oznajmił chwilę później Solo. – Co to jest?

– Zestaw narzędzi umożliwiających przeżycie. – Z niepewnym uśmiechem Anakin wyjął cylinder z rąk ojca. Przyciskając wtopione w powierzchnię guziki, pokazywał po kolei wszystkie urządzenia. Były wśród nich miniaturowe noże, płaskie klucze i luma. Nie brakowało nawet makrospawarki ani niewielkiego transpiratora – urządzenia umożliwiającego oddychanie.

Han milczał. Po prostu nie miał pojęcia, co powiedzieć.

– Posłuchaj, chłopcze... – odezwał się w końcu. – To bardzo pożyteczny zestaw, ale w najbliższej przyszłości nie wybieram się na żaden biwak...

– Podarował mi go Chewie – oznajmił rzeczowo Anakin. – Zrobił go specjalnie dla mnie.

Han otworzył szeroko oczy. Nie ukrywał zaskoczenia.

– Jeżeli zrobił go specjalnie dla ciebie, to jeszcze jeden powód, dla którego nie mogę go przyjąć.

Nie przejmując się jego słowami, Anakin wsunął cylinder w dłoń ojca.

– Chcę, żebyś go wziął, tato – powiedział. Uniósł głowę i nieśmiało zajrzał w jego oczy.

Han już otwierał usta, by zaprotestować, ale widocznie sobie coś przypomniał, bo zrezygnował. Zestaw narzędzi oznaczał propozycję zawieszenia broni. Gdyby go nie przyjął, jeszcze bardziej pogłębiłby przepaść, jaka dzieliła ich od czasu wydarzeń na Serpiedalu.

– Najpierw kusza Chewiego i torba, a teraz zestaw jego narzędzi – mruknął, uśmiechając się z przymusem. – Zazwyczaj nie dostają tyłu prezentów nawet na urodziny. – Nie przestając się uśmiechać, obrócił w palcach karbowany cylinder. – Kto wie, może pewnego dnia mi się przyda.

– Mam nadzieję, że tak – mruknął Anakin.

Han uniósł brew i popatrzył na syna.

– Dlaczego to zabrzmiało jak jedno z wielu enigmatycznych proroctw twojego wuja?

– Chciałem tylko powiedzieć, że Chewie byłby zachwycony, gdyby dowiedział się, iż używasz czegoś, co sam zrobił – odrzekł Anakin.

– Ta-a, chyba rzeczywiście – przyznał niechętnie Han, odwracając głowę. – Dzięki, chłopcze.

Anakin chciał jeszcze coś powiedzieć, ale przeszkodził mu Roa. Były przemytnik stanął na progu wjazdu i zwracając się do Hana, zawołał:

– Mamy zgodę na start!

Han spojrzał na syna.

– Pora ruszać w drogę – powiedział.

– Jasne, tato – zgodził się z nim Anakin. – Uważaj na siebie.

Objęli się i uściskali, ale obaj czuli się dość niezręcznie i nieswojo. Han odwrócił się i zaczął wchodzić po rampie. W pół drogi jednak zmienił zdanie. Przystanął i obejrzał się przez ramię na syna.

– Nie martw się o mnie – powiedział. – Nie stanie mi się nic złego. Wszystko jakoś się ułoży.

Anakin odwzajemnił jego spojrzenie. Zamrugnął szybko, jakby walczył ze łzami.

– Wszystko, to znaczy co? – zapytał. – Ta wojna, moje wyrzuty sumienia z powodu śmierci Chewiego czy to, że odlatujesz, nie mówią nikomu, dokąd ani dlaczego?

# ROZDZIAŁ

# 10

Imponujący pod każdym względem – budowy ciała, karnacji skóry i postawy – komandor Tla przechadzał się tam i z powrotem u stóp topornie wyciosanej platformy dowodzenia, usytuowanej w centralnym punkcie statku kapłana Harrara. Ze spiczastych wierzchołków szerokich pleców yuuzhańskiego dowódcy zwieszał się długi wojskowy płaszcz. Zaszleścił, kiedy Tla odwrócił się nagle, żeby spojrzeć na Harrara i Noma Anora.

– Dopuszczenie do zniszczenia naszego okrętu było niewybaczalnym marnotrawstwem! – zagrmiał. – Powinniście byli wymyślić inny sposób przekazania Elan w ich ręce!

– Inne scenariusze mogły okazać się jeszcze kosztowniejsze na dłuższą metę – sprzeciwił się Harrar. – Członkowie załogi tego okrętu chętnie zgodzili się złożyć w ofierze własne życie. Wiedzieli, że ich ofiara nie okaże się daremna, a dzięki poświęceniu i śmierci okryją się wiekiustą sławą.

Rozgniewany Tla zerknął na taktyka. Awansowany po akcji na Ithorze, gdzie poniósł śmierć Shedao Shai, komandor miał wечно nachmurzoną minę. Zachowywał się, jakby wyrządzono mu krzywdę albo zniewagę.

– Z całym szacunkiem, eminencjo – odezwał się Raff. – To nie jest gra, w której zwycięża ten, kto okaże się sprytniejszy. Toczmy świętą wojnę.

– Ach, ale przecież każda wojna jest taką czy inną grą – odparł Harrar. – Musieliśmy dołożyć starań, żeby ucieczka Elan wyglądała jak najbardziej wiarygodnie.

Tla prychnął pogardliwie.

– Dopiero niedawno przyleciałeś do nas, kapłanie. Jeszcze nie orientujesz się w sytuacji. Nie doceniasz niewiernych. Już niedługo dowiedzą się, że to tylko przemyślny fortel.

– Doprawdy? – zapytał Harrar. – Czy zdziwi się pan, kiedy powiem, że niewierni przetrzymują Elan w chronionym miejscu?

Taktyk Raff obrzucił kapłana podejrzliwym spojrzeniem.

– Na pana miejscu, eminencjo, nie przywiązywałbym do tego zbytnej wagi – powiedział. – Elan jest pierwszą istotą naszej rasy, którą udało się im pochwytać żywą. Nic dziwnego, że tak się o nią troszczą.

– Oczywiście! – przytaknął gorliwie Harrar. – Najważniejsze jednak, że wiem, gdzie przebywa i dokąd ma być przetransportowana. Już niedługo.

Nie zmieniając sceptycznego wyrazu twarzy, Tla przeniósł spojrzenie na Noma Anora.

– Czy to zasługa pańskich pachołków, panie egzekutorze?

Nom Anor uśmiechnął się, ale pokręcił głową.

– Niestety, nie, panie komandorze – odrzekł przepaszająco.

– A zatem skąd to wiesz? – zagrzmiął Tla, zwracając się do kapłana.

Harrar skinął na jednego z akolitów. Młodzieniec podszedł kilka kroków i wyciągnął ręce. Trzymał w nich – delikatnie jak nowo narodzone dziecko – jasnobrązowego, lekko spłaszczonego villipa. Zachowując ostrożność, kapłan odebrał mu stworzenie i ułożył w zagłębieniu lewej ręki.

– Istoty, które pochwyciły naszą przynętę, popełniły błąd – zaczął. – Elan omamiła ich do tego stopnia, że pozwolili jej zatrzymać bliźniaka naszego maleństwa. Tamten zaś posłusznie informuje nas o tym, co się dzieje. – Harrar wyciągnął wszystkie trzy palce prawej dłoni i pieszczotliwie pogładził skraj villipa. – Obudź się, malutki, i powtórz, co powiedziałaś mi poprzednio.

Komandor Tla i taktyk nie potrafili ukryć zaciekawienia. Podeszli do Harrara.

Zmarszczona tkanka pośrodku pokrytej guzami krawędzi rozciągnęła się i wygładziła. Chwilę później stworzenie zaczęło wywracać się na drugą stronę. Kiedy skończyło, postarało się jak najwierniej odtworzyć rysy twarzy urodzivej kapłanki-zwodzicielki.

– Way-land – oznajmiło. – Way... Illand.

Spowolniony przez silniczki hamujące, cywilny prom „Nieustanny” leciał nad skalistymi płaskowyżami północnowschodniej części największego kontynentu Waylandu. Południowe stoki pozabawionej wierzchołka góry Tantiss porastały teraz iglaste gęste lasy. Na wschód od góry, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się jednak огоłocone z roślinności tereny, spustoszone w wyniku trzęsień gruntu, jakie przed ponad piętnastu laty zniszczyły tajny magazyn Imperatora Palpatine’a.

Jednym z trojga pasażerów promu była Belindi Kalenda, zastępczyni dyrektora WNR do spraw operacyjnych. W pewnej chwili kobieta zbżyła twarz do szyby iluminatora. Zapewne nie chciała, żeby jej spojrzeniu umknął jakikolwiek szczegół krajobrazu. W miarę jak prom obniżał lot i kierował się do celu, stopniowo przed dziobem statku ukazywało się leżące u stóp góry miasto.

– Jestem zaskoczona – odezwała się Kalenda, na chwilę odwracając głowę do towarzyszkii podróży. – Wyobrażałam sobie, że Nowe Nystao to niewielka wioska, a to całkiem spora osada.

Szczupła i śniadolica funkcjonariuszka Wywiadu Nowej Republiki miała odrobinę zbyt szeroko rozstawione oczy i głos o niskim gardłowym brzmieniu. Pracowała w WNR zaledwie od dwunastu lat, ale chociaż była jeszcze dosyć młoda, bardzo szybko awansowała. Zawdzięczała to głównie sukcesowi, jaki odniosła jakieś siedem lat wcześniej, kiedy wyprawiła się do koreliańskiego systemu planetarnego, gdzie odkryła i udaremniła groźny spisek.

Siedząca obok pani ksenobiolog Joi Eicroth pochyliła się i spojrzrzała przez iluminator.

– Kiedyś to rzeczywiście była mała wioska – rzekła. – Teraz jednak w Nowym Nystao i w najbliższym sąsiedztwie mieszka prawie dziesięć tysięcy różnych istot. Mynershowie, Psadanie i ludzie... a oprócz nich pięciuset Noghrich, którzy założyli tę osadę.

– Żyją w zgodzie?

– Na razie tak.

Kalenda się roześmiała – zapewne do własnych myśli.

– Noghri gardzą wszystkimi i wszystkim, co ma jakikolwiek związek z Palpatinem – powiedziała. – Jakoś jednak nie mają nic przeciwko mieszkaniu na planecie, zawdzięczającej mu nazwę.

– Nikt nigdy nie dowiedział, że Wayland to kryptonim, nadany tej planecie przez Palpatine’a – odezwał się doktor Yintal, siedzący za plecami obu kobiet. – Przypuszczam, że nazwę wymyślili ludzie, którzy osiedlili się tu dużo wcześniej, zanim Imperator postanowił ukryć swój skarbiec głęboko w trzewiach góry Tantiss.

Yintal był niskim i szczupłym mężczyzną o melancholijnym usposobieniu. Pracował w Wywiadzie Floty na stanowisku analityka. Przyłączył się do rozmowy tak niespodziewanie, ale za to z takim przekonaniem, że rozbawione kobiety dyskretnie się uśmiechnęły i wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

– A gdzie indziej istoty rasy Noghri mogłyby obrzucać błotem wszystko, co należało do Palpatine’a? – zapytała Eicroth, odwracając głowę w stronę mężczyzny. – Mam rację, panie doktorze?

– To z pewnością jeden z powodów, dla których są zadowolone z obecnej sytuacji – odrzekł Yintal ze śmiertelną powagą.

W końcu prom zatoczył krąg i łagodnie osiadł na płycie lądowiska w samym centrum Nowego Nystao. Pasażerowie zabrali bagaże i skierowali się do śluzy. Wayland powitał ich jasnym blaskiem dnia i krystalicznie czystym powietrzem, przesyconym jakimś słodkim aromatem.

Rozrastające się miasto przypominało przypadkową zbieraninę wiklinowych szałasów, drewnianych chat i murowanych albo kamiennych domów. Budowle odzwierciedlały zapewne różnorodność ras zamieszkujących je obywatele. Najbardziej jednak rzucało się w oczy mnóstwo otaczających miejscowe lądowisko barów, restauracji i hoteli. Kalenda już chciała zwrócić na to uwagę Eicroth, kiedy pojawił się major Showolter. Przyleciał, siedząc na burcie wysłużonego śmigacza lądowego typu SoroSuub Corvair. Z pomieszczenia dla pasażerów, skąd usunięto składane panele dostępu, wyskoczyła dwójka Noghri.

Showolter, który prowadził pojazd, nosił przyciemnione gogle i kupione na miejscowym bazarze wzorzyste poncho. Kiedy wysiadł, zasalutował Kalendzie, po czym wymienił z Eicroth i Yintalem uściśki dłoni. Potem przedstawił gościom Mobvekhara i Khakraima z klanu Makh’khar. Obaj Noghri strzegli bezpiecznej kryjówki, gdzie znajdowała się miejscowa placówka Wywiadu Nowej Republiki. Chociaż słońca nie przesłaniała ani jedna chmurka, karłowate szare istoty wyglądały jak dzikie i okrutne gnomy.

Kalenda uniosła brwi i nie ukrywając zdziwienia, spojrzała na poobijany pojazd. Zerknęła w głąb pomieszczenia dla pasażerów.

– Czy na pewno wszyscy się tam pomieścimy? – zapytała.

– Myślałem, że może poszlibyśmy pieszo – odezwał się Showolter. Ton jego głosu dowodził, że miało to być pytanie. – To tylko kilka kroków.

Kalenda zrobiła zapraszający gest prawą ręką.

– Proszę przodem, panie majorze.

Istoty rasy Noghri oznajmiły, że zaopiekują się bagażami. Showolter i wszyscy pozostali ruszyli w drogę. Wąskimi utwardzonymi chodnikami spieszyły tłumy wysokich, chudych i wiotkich Mynyer-shów, zakuty w pancerze Psadan i groźnych Noghri. Tu i ówdzie widziało się również grupki Bimmsów, Falleenów, Bothan i istot innych ras. Co ciekawe, wszyscy skupiali się przed wejściami do hoteli albo siedzieli w małych barach, popijając najróżniejsze trunki.

Zaintrygowana Kalenda postanowiła zaspokoić ciekawość.

– Nieoczekiwany rezultat porozumienia z Debble – oznajmił Showolter, gdy go o to zapytała. – Podpisany dokument przewiduje, że każde dzieło sztuki, dotychczas stanowiące własność Palpatine’a, znalezione we wnętrzu albo w okolicach góry Tantiss, może zostać zwrócone rasy istot, które je stworzyły. Odkąd porozumienie weszło w życie, na Wayland przyleciało tysiące właścicieli, kustoszy muzeów i najzwyczajszych poszukiwaczy skarbów. Wszyscy szukają cennych artefaktów, licząc na to, że mogły ocaleć z kataklizmu. Wiele takich przedmiotów już odnaleziono. Cały czas trwają jednak poszukiwania pozostałych. Nic dziwnego, że Nowe Nystao ciągle się rozrasta. Przybysze z innych planet muszą coś jeść i gdzieś mieszkać. W ciągu tych kilkunastu lat wzniesiono wiele hoteli i restauracji, co przyczyniło się do dalszego rozwoju miasta.

– I znalezienia setek innych zabytków i dzieł sztuki – dodał Yintal.

Showolter kiwnął głową.

– Poszukiwaczy skarbów jest tu chyba więcej niż winowęży – powiedział.

Kiedy funkcjonariusze WNR dotarli do noghrijskiej dzielnicy miasta, prymitywne szałas Mynyer-shów i murowane fortece Psadan ustąpiły miejsca prozaicznym, ale funkcjonalnym i porządnie zbudowanym domom z drewna i kamieni. Prawdę mówiąc, kiedy rozpoczęło się oficjalne równanie z ziemią góry Tantiss, przetransportowano z Honoghru całą wioskę.

Krótkie, ale dość strome podejście pozwoliło dotrzeć do nie wyróżniającego się niczym szczególnym budynku, wzniesionego w charakterystycznym stylu istot rasy Noghri. Zbudowany u stóp stromej góry dom ocieniały kwitnące drzewa. Mobvekhar i Khakraim stanęli na straży po obu stronach drzwi wejściowych, a Showolter i pozostali weszli do pozbawionego okien i skąpo umeblowanego frontowego pokoju.

– Przez tylne drzwi można wejść do jednego z wielu tuneli, dzięki którym podziemia góry Tantiss wyglądają jak rzeszoto – oznajmił

oficer WNR. – Wykuto je w litej skale, tak wytrzymałej, że między Waylandem a Borleias trudno znaleźć twardszą. – Wskazał drzwi wiodące do sąsiedniego pokoju. – Właśnie tam ukryliśmy naszą buntowniczkę. Tę drugą, jej ulubione zwierzątko, trzymamy w piwnicy.

– Czy to wy ją tak nazwaliście, czy ona? – zainteresowała się Eicroth.

Showolter odwrócił się w jej stronę.

– Prawdę mówiąc, uciekiniarka nazwała ją powierniczką.

Czworo ludzi przeszło do sąsiedniego pokoju, gdzie przebywała samica rasy Yuuzhan Vong. Obca istota zdjęła z pryczy poduszke i siedziała na niej, pogrążona w medytacjach. Zamiast egzotycznego stroju, który nosiła, kiedy Kalenda widziała ją na dwuwymiarowej fotografii, Elan miała na sobie dresowe spodnie i bluzę z kapturem. Chociaż skórę kapłanki szpecił barbarzyński tatuaż, Elan wyglądała jeszcze dostojniej i powabniej niż na zdjęciach albo hologramach.

Widocznie usłyszała jakiś szmer, bo otworzyła skośne oczy barwy intensywnego błękitu i spojrzała na twarze wszystkich po kolei przybyszów.

– Elan, to są niektórzy spośród moich współpracowników – odezwał się bez żadnych wstępów Showolter.

Istota spiorunowała go spojrzeniem.

– Gdzie jest Vergere? – zapytała.

– Piętro niżej – odparł oficer WNR. – Jadła, kiedy ostatnio ją widziałem.

– Świadomie nas rozdzieliliście!

– Tylko na pewien czas.

– Elan, kim jest dla ciebie Vergere? – zapytała Eicroth, podchodząc do istoty i siadając na skraju pryczy.

– Jest moją powierniczką.

– Znamy to słowo, ale prawdopodobnie przypisujemy mu inne znaczenie – odezwała się Kalenda. – Chcesz powiedzieć, że Vergere jest kimś więcej niż przyjaciółką?

– Jest nią także.

– A zatem jest twoją doradczynią i przyjaciółką – podsumowała funkcjonariuszka Wywiadu.

– Nie jest przyjaciółką – odparła gniewnie Elan. – Jest powierniczką. – Usiadła wygodniej na poduszce. – Przyszliście poddać mnie dalszym badaniom?

Kalenda zajęła miejsce na pryczy obok Eicroth.

– Tylko kilka pytań – odrzekła uspokajającym tonem.

– Pytań, na które nie mogły odpowiedzieć wasze pożałowania godne analizatory i skanery? – Na twarzy Yuuzhanki pojawił się złośliwy uśmiech. – Jak możecie uważać, że maszyny potrafią komunikować się z żywymi istotami?

Kalenda uśmiechnęła się z przymusem.

– Przypuśćmy, że uważamy to za sposób zawierania znajomości – powiedziała.

– My, istoty rasy Yuuzhan Vong, nie znamy takich sposobów – oświadczyła Elan. – Wiemy, kim są inni. Nosimy to, kim jesteśmy. – Poglądziła pokryte tatuażem policzki. – To, co widzicie, odpowiada temu, co jest w środku. Jesteście głupcami, jeżeli przypuszczacie, że mogę być kimś innym niż osoba, o której świadczą moje policzki i ciało. Dlaczego nie zgadzacie się przyznać mi politycznego azylu?

– Czy istoty rasy Yuuzhan Vong zgodziłyby się przyjąć jakąkolwiek istotę ludzką, nie zadając jej absolutnie żadnych pytań? – wtrącił się Yintal.

Elan obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

– Jeżeli mamy jakieś podejrzenia albo wątpliwości, uciekamy się do łamania – odrzekła.

– Czym jest łamanie? – zapytał wyraźnie zaintrygowany analityk.

– Praktycznym sposobem poznawania prawdy.

Eicroth czekała, aż Elan powie coś więcej, ale obca istota umilkła.

– Stwierdziłaś, że nosicie to, kim jesteście – odezwała się po chwili pani ksenobiolog. – Czy miałaś na myśli znaki na powierzchni ciała?

– Znaki? – powtórzyła Elan z nieukrywanym obrzydzeniem. – Jestem kapłanką Yun-Harli. – Dotknęła najpierw szerokiego czoła, a potem pogładziła rozszczepioną brodę. – To jest czoło Yun-Harli, a to jej broda. To nie są żadne znaki. Należę do elity.

– Dlaczego istota należąca do elity miałaby wypierać się swoich pobratymców? – zapytał prosto z mostu Yintal.

Elan zmrużyła oczy, tak że wyglądały jak wąskie szparki. Zapewne chciała wyrzucić wrażenie, że zastanawia się nad odpowiedzią.

– Doszło między nami do różnicy zdań – odezwała się w końcu. – Nie wszyscy Yuuzhanie uważają, że powinniśmy byli przelecieć przez międzygalaktyczną pustkę, żeby dotrzeć do waszej galaktyki. Równie liczna grupa twierdzi, że prowadząc tę wojnę, nie postępujemy zgodnie z wolą bogów. Ponieważ jestem kapłanką

wtajemniczoną i doświadczoną, zapraǳęłam, żebyście zostali oświeceni na inne sposoby.

– Czy to znaczy, że nie jesteś zwolenniczką masowych mordów ani składania rytualnych ofiar, które charakteryzowały wasze postępowanie do tej pory? – zdziwiła się Kalenda.

Elan odwróciła się w jej stronę.

– Ofiary są bardzo ważne, jeżeli ktoś myśli o przetrwaniu – rzekła. – My, istoty rasy Yuuzhan Vong, składamy w ofierze i siebie, i niewiernych. Bez względu na to, czy wasza galaktyka jest ziemią wybraną, czy też nie, musi być oczyszczona, zanim będzie mogła zostać zamieszкана. – Przerwała na chwilę. – Mimo to nie chcemy waszej śmierci – podjęła po chwili. – Zależy nam tylko, żebyście poznali i przyjęli prawdę.

– Tę prawdę, którą głoszą wasi bogowie – podpowiedziała Eicroth.

– Jedyni prawdziwi bogowie – poprawiła ją Elan.

Yintal parsknął pogardliwie.

– Nie jesteś kapłanką – stwierdził. – Jesteś oszustką, agentką i szpiegiem. Twój macierzysty okręt udało się nam zniszczyć o wiele za łatwo.

W oczach Elan zapłonęły gniewne błyski.

– Vergere i ja ukryłyśmy się w kapsule na początku bitwy – rzekła. – Skąd mogłyśmy wiedzieć, że zniszczycie nasz okręt? Nasza ucieczka była tylko... przypadkiem, szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

– Nawet jeżeli to prawda – nie dawał za wygraną analityk Floty Nowej Republiki – dlaczego wasi dowódcy wojskowi okazali się tak lekkomyślni? Dlaczego skierowali do walki z nami taki mały okręt, skoro w pobliżu znajdował się inny, o wiele większy?

Elan odwzajemniła mu się szyderczym uśmiechem.

– Czy ja także, gdybym pragnęła cię oceniać, mały człowieczku, powinnam zwracać uwagę na twój wzrost? – zapytała. – Nasz większy okręt był o wiele gorzej uzbrojony niż mniejszy. W przeciwnym razie dlaczego miałyby odlatywać z pola bitwy po zniszczeniu jego ikry?

Yintal przeniósł spojrzenie na Kalendę i Eicroth.

– Kłamie – zawyrokował beznamiętnym tonem.

Elan ciężko westchnęła.

– Jesteście bardzo podejrzliwymi istotami – powiedziała. – Przyleciałam do was, żeby wyświadczyć wam przysługę.

– W jaki sposób, Elan? – zapytała Kalenda.

– Musicie pozwolić mi porozmawiać z Jedi. Przekażę im informacje o chorobie.

Yintal podszedł do Yuuzhanki i nie zmieniając sceptycznego wyrazu twarzy, zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem.

– Co taka kapłanka, jak ty, może wiedzieć na temat zarazy?

Elan pokręciła głową.

– To nie jest zaraza – rzekła. – To reakcja organizmu na zarodniki coomb. Wasi Jedi będą wiedzieli, o co chodzi.

– Dlaczego nie możesz powiedzieć tego nam? – zdziwiła się Kalenda. – Dlaczego to takie ważne, że musisz spotykać się z rycerzami Jedi?

Elan skierowała na nią pałające oczy.

– Przekaż im, co wam powiedziałam – odrzekła. – Oni to rozumieją.

Yintal wzruszył ramionami i skierował się ku drzwiom pokoju, ale w pół drogi nagle zawrócił.

– Musimy mieć dowód, że naprawdę przyleciałaś tu jako dobrodziejka, a nie jako szpieg – powiedział.

Elan rozłożyła bezradnie ręce.

– Widzicie mnie – odparła. – Jaki dowód mam wam przedstawić?

Niski mężczyzna zacisnął usta i podszedł do Yuuzhanki. Przykucnął przed nią i oznajmił:

– Informacje o charakterze wojskowym.

Na twarzy obcej istoty odmalowało się zdziwienie zmieszane z zakłopotaniem.

– Czy rzeczywiście tak wam na tym zależy? – zapytała.

– Powiedz nam coś, co moglibyśmy przedstawić naszym przełożonym jako dowód twoich dobrych intencji – zachęciła ją Kalenda. – Jeżeli twoje informacje się potwierdzą, może zgodzimy się spełnić twoją prośbę i zorganizujemy spotkanie z rycerzami Jedi.

Elan umilkła. Sprawiała wrażenie, że zastanawia się nad odpowiedzią.

– Mój zakon utrzymuje ścisłe kontakty z wojownikami – zaczęła w końcu. – Kapłani informują ich, kiedy wróżby są pomyślne. Podpowiadamy im i prorokujemy w takich sprawach jak taktyka walki...

– A zatem powiedz nam, gdzie będzie miał miejsce następny atak okrętów waszej floty – przerwał bezceremonialnie Yintal. – Wymień nazwę planety.

Elan już otwierała usta, by odpowiedzieć, ale w tej samej sekundzie z frontowego pokoju dał się słyszeć donośny trzask i łomot. Chwilę później rozległy się stłumione okrzyki w basicu i w języku Noghrich.

Kalenda i Eicroth zerwały się z pryczy. Drzwi bocznego pokoju z trzaskiem się otworzyły i do pomieszczenia wpadł wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna. Potknął się na progu, ale bardzo szybko odzyskał równowagę. Powiódł spojrzeniem po pokoju, jakby chciał zorientować się w sytuacji. Był ubrany w kombinezon gwiazdowego pilota. Z rozdarć bluzy i ran ciętych na twarzy sączyły się krople krwi. Mężczyzna utknął spojrzenie w Elan; po chwili wetknął czubek wskazującego palca prawej dłoni w szczelinę z boku nosa i wydał przenikliwy, mrozący krew w żyłach okrzyk. Wrzasnął, a raczej zawył w mowie istot rasy Yuuzhan Vong:

– *Do-ro 'ik vong pratte!*

I nagle wydarzenia zaczęły toczyć się tak szybko, jakby czas zatrzymał się w miejscu.

Skóra twarzy mężczyzny, jakby obdarzona własną świadomością, zaczęła odklejać się i łuszczyć. Chwilę potem ukazała się przerażająco zniekształcona maska, cała w faliste linie i spiralne zawijasy. Pomimo świdrującego w uszach wycia dał się słyszeć dobiegający spod kombinezonu Yuuzhanina trzask dartego materiału i odgłos pęknięcia. Po nogach wojownika spłynęły dwie strugi galaretowatej mazi. Połączyły się na podłodze w jedną kałużę i odpłynęły na bok niczym plama żywego smaru.

Elan zerwała się na równe nogi i uciekła pod przeciwległą ścianę. Oparła się o nią plecami i zaczęła syczeć i warczeć na intruza. Wyciągnęła ku niemu ręce w obronnym geście i zakrzywiła długie palce jak szpony.

– Skrytobójca! – wycharczała przez zaciśnięte zęby. – Już mnie tu odnaleźli!

Yintal ocknął się i skoczył, żeby zabiec drogę Yuuzhaninowi. Istota uderzyła go grzbietem dłoni w policzek tak mocno, że złamała mu kręgosłup niczym suchą szczapę. Odrzucony siłą ciosu na bok analityk przeleciał przez pokój i zderzył się z Showolterem. Obaj runęli na podłogę.

Skrytobójca już zamierzał rzucić się na Elan, ale od tyłu zaatakowali go Mobvekhar i Khakraim. Obaj Noghri mieli zakrwawione ręce i głowy. Skoczyli na Yuuzhanina i popchnęli go w stronę przeciwległej ściany – tuż obok Elan, która w ostatniej chwili uskończyła i odbiegła, aby ukryć się pod pryczą.

Napastnik zderzył się twarzą z kamienną ścianą z takim impetem, że siła uderzenia powinna była połamać mu wszystkie kości. Przez chwilę mogło się wydawać, że skrytobójca ulegnie sile mięśni noghrijskich strażników, jednak bardzo szybko odwrócił się i wyprostował. Machnął mocarnymi rękami i odrzucił na boki obu komandosów. Przekoziołkowali w powietrzu, zderzyli się z bocznymi ścianami i niczym łachmany osunęli na podłogę.

Yuuzhanin odwrócił się tak gwałtownie, że krople jego krwi rozbryznęły się we wszystkie strony. Zmrużył blisko siebie osadzone oczy i zaczął wodzić spojrzeniem po pokoju. Kiedy zobaczył Elan, skoczył ku niej. Przebiegając między Kalendą a Eicroth, odepchnął obie kobiety na boki z taką siłą, że niczym szmaciane kukły runęły na podłogę. Przewrócił pryczę prawą dłonią, a lewą pochwycił kapłankę. Zacisnął na jej szyi długie palce, poderwał ją w powietrze i przycisnął do przeciwległej ściany.

W tej samej chwili ocknął się Mobvekhar. Zerwał się na nogi i skoczył ku napastnikowi. Objął go w pasie i zatopił w jego karku długie, ostre zęby.

Wojownik rasy Yuuzhan Vong głośno zawył. Wyprostował lewą rękę, ale nie wypuścił wierzgającej i wymachującej kapłanki. Prawą zaczął grzmocić Noghriego, który przykleił się do jego pleców. Po jednym z takich ciosów Mobvekhar stęknął. Widocznie siła ciosu wyparła z jego płuc resztkę powietrza. Mimo to dzielny komandos nie wypuścił ofiary.

Oszołomiona Kalenda, chwiejąc się i zataczając, zerwała się na nogi. Potrząsnęła głową, jakby chciała odzyskać ostrość spojrzenia. Kiedy oprzytomniała, rzuciła się na wciąż jeszcze mówiącą plecy Noghriego prawą rękę skrytobójcy. Pochwyciła ją i kilka sekund szybowała w powietrzu – w dół i w górę, w dół i w górę. Wreszcie zirytowany Yuuzhanin odrzucił kobietę na bok niczym ścierkę. Kalenda przeleciała przez pół pokoju i uderzyła głową o coś twardego. Zamroczone, ujrzała jaskrawe plamy na tle nieprzeniknionego mroku. Dopiero po chwili zamajaczył przed jej oczami oglądany do góry nogami major Showolter. Mężczyzna leżał w dziwacznej pozie w kącie pokoju, a wzorzyste ponczo owinęło się wokół jego szyi. Usiłując się uwolnić, gramolił się spod ciała zabitego Yintala. Kiedy mu się to udało, wyciągnął z kabury na piersi niewielki blaster.

Leżąc na brzuchu, starannie wymierzył. Nie chciał zranić Mobvekharą, który chwilę wcześniej spadł na podłogę. Strzelił i trafił Yuuzhanina dokładnie między łopatki. W powietrzu rozeszła się woń

ozonu i swąd palonej tkanki; skrytobójca jednak nie zareagował. Showolter strzelił ponownie. Tym razem trafił napastnika w kark i podpalił jego włosy.

Po chwili strzelił jeszcze raz. Ostatni, jak się potem okazało.

Skrytobójca zeszywniał i runął na podłogę, a z trafionych miejsc sączyły się strużki dymu. Mimo to nie wypuścił gardła Elan z zacisniętych palców lewej dłoni. Chociaż z nosa i oczu yuuzhańskiej kapłanki ciekła krew, istota musiała sama rozewrzeć grube paluchy skrytobójcy. Kiedy skończyła, osunęła się na podłogę i łapczywie chwytając powietrze, oparła się plecami o ścianę.

Kalenda odwróciła się na brzuch. Zaczęła pełznąć po podłodze w stronę Elan, żeby jej pomóc. W tej samej chwili ścianami domu wstrząsnął grzmot potężnej eksplozji. Komunikator Showoltera obudził się do życia i cicho zaświergotał. Major wyjął go z kieszeni.

– Słucham?

– Korolowe skoczki Yuuzhan – zameldował zwięźle rozmówca. – Pięć czy sześć. Piloci latają nad Nowym Nystao i zrzucają bomby. Powiadomiliśmy dowódcę „Prawdomównego”. Nasze myśliwce lecą na odsiecz.

Showolter zacisnął palce na ramieniu Kalendy.

– Zabierz uciekinierki do pancernego schronu! – wychrypiał. Na jego wargach pojawiły się kropelki krwi i śliny. – Natychmiast!

Na najdalszym krańcu systemu, do którego należał Wayland, przyczała się samotna yuuzhańska kanonierka. Na mostku stał Nom Anor. Przyglądał się optycznemu polu, wytwarzanemu przez bardzo oddalone sygnalizacyjne villipy. Obserwował, jak piloci koralowych skoczków toczą zacięte pojedynki z pilotami gwiazdnych myśliwców Nowej Republiki. Powietrze raz po raz przecinały błyskawice strzałów.

– Nie okazujcie zbytnej gorliwości – odezwał się do pilotów, kierujących ruchami koralowych skoczków. – Chodzi tylko o to, żeby ich przekonać.

# ROZDZIAŁ



Han siedział w sterowni „Radosnego Sztyletu”. Spoglądał przez wąski panoramiczny iluminator jachtu na różnobarwne linie nieczułej nadprzestrzeni. Obok niego Roa, siedząc w fotelu pierwszego pilota, cicho pochrapywał. Z tyłu, jeden z androidów jachtu nadzorował pracę nawigacyjnego komputera.

Gdyby tylko czas dało się tak łatwo prześcignąć jak światło, pomyślał Solo. Mógłby wówczas dokonać skoku w odległą przyszłość, gdzie Sernpidal byłby tylko zatartym wspomnieniem. Mógłby także cofnąć się do tego przerażającego dnia na skazanej na zagładę planecie. Może potrafiłby zmienić bieg wydarzeń i zapobiec katastrofie.

A tak, mając świeżo w pamięci tamte tragiczne chwile, musiał przeżywać je wciąż na nowo.

„Sokół” pełen uchodźców, unoszący się tuż nad wierzgającą powierzchnią Sernpidala... Mały księżyc, Dobido, przyciągany przez koszmarnego potwora Yuuzhan, spadający na planetę...

Chewbacca, trzymający jedną łapą dwoje dzieci i wymachujący drugą... Wiatr mierzwi włosy jego zakrwawionej sierści. A później... Chewie strzela z kuszy, a Anakin posługuje się Mocą. Obaj kruszą kawałki muru i odrzucają na boki gruz, pod którym uwiązał ogon niewielkiego promu...

„Sokół” stawia czoło podmuchom wyjącej wichury. Chewie ratuje od śmierci małego chłopca. Han wychyla się poza krawędź opuszczonej rampy, jak najdalej może, a przyjaciel rzuca malca w jego wyciągnięte ręce...

Sernpidal, wstrząsany spazmatycznymi drgawkami, zaczyna się rozpadać...

Chewie unosi Anakina i podaje Hanowi. Posyła mu spojrzenie pełne spokojnej rezygnacji. Przerazająco skowyczą przeciążone silniki repulsorowe „Sokoła”. Silny podmuch wichury podrywa frachtowiec i spycha na bok. Kilku uchodźców trzyma Hana za nogi, ale on nie może dosięgnąć wyciągniętych rąk przyjaciela...

Kolejny wstrząs powierzchni planety odrzuca Chewiego bardzo daleko od statku...

Anakin spieszy do sterowni. Kładzie frachtowiec na burtę, żeby przemknąć wąską aleją i skręcić za róg zrujnowanego domu. Chewie, odwrócony plecami do „Sokoła”, wpatruje się w płonący księżyc. Unosi wysoko ręce, jakby chciał zapobiec nadciągającemu katalizmowi...

Wierni na ulicach miasta nie przestają ślać modłów do przybywającej bogini Tosi-karu...

Ognisty podmuch, który prawie osmala ręce i twarz Hana i obala Chewiego na ziemię. Wałą się w gruzy resztki okolicznych domów. Jęczą z wysiłku przeciążone generatory pól siłowych.

Wyczerpany i zakrwawiony Chewie podnosi się i wspina na sterkę gruzu... spogląda na spadający księżyc... wymachuje mocarnymi rękami... ryczy wyzywająco, jakby chciał odrzucić ognistą zjawę tam, skąd przybywała...

Pilotujący „Sokoła” Anakin unosi dziób staku i kieruje go ku niebu... Przyspiesza, skazując Chewiego na pewną śmierć... zostawiając go na pastwę losu...

I pierwsze słowa, które wypowiedział Han, kiedy stanął oko w oko z synem: „Zostawiłeś go”.

Wspomnienie tych słów przeszło serce Hana niczym sztylet... równie boleśnie jak wspomnienie śmierci przyjaciela. To oskarżenie, wygłoszone w chwili bólu i rozpacz, mimo upływu tylu miesięcy było niemożliwe do cofnięcia.

Han w męce zamknął oczy i zacisnął pięści. Jak długo jeszcze w jego pamięci miał trwać obraz samego siebie, wychylonego daleko poza krawędź opuszczonej rampy i daremnie wyciągającego ręce do Chewiego?

Nagle drzemiący obok niego Roa poruszył się i głośno ziewnął, a potem przeciągnął się i zaplótł palce dłoni z tyłu głowy. Kilka razy zamrugał i odwrócił się do androida nadzorującego działanie nawigacyjnego komputera.

– Jak długo jeszcze? – zapytał.

– Już wkrótce statek powróci do normalnych przestworzy, panie Roa.

Były przemytnik spojrział na Hana i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Jak za dawnych czasów, co? Ty i ja, ścigani przez celników...

Han musiał przywołać na pomoc całą siłę woli, żeby otrząsnąć się ze wspomnień. Choć szybko przyszedł do siebie, odnosił wrażenie, że krew w jego żyłach pali niczym ogień.

– Pamiętam pierwszy przelot Trasą na Kessel, jakby to wydarzyło się wczoraj – powiedział.

Siwowłosy mężczyzna uśmiechał się dalej, ale teraz jakby wbrew sobie.

– Skoro już mowa o Kessel – zaczął ostrożnie – zawsze chciałem cię o coś zapytać. Przyznaję, że kiedy wieści lecą z Tatooine na Bonadan, czasami to i owo dociera trochę zniekształcone albo upiękkszzone. Słyszałem jednak, że podobno chępiłeś się, jakobyś pokonując Trasę na Kessel, przeleciał mniej niż dwanaście parseków. – Przerwał na chwilę. – To prawda?

Z nieprzeniknionej twarzy Hana nie mógł jednak wyczytać żadnej odpowiedzi.

– Hmm? – Roa nie dawał za wygraną.

– To prastare dzieje, Roa – odparł w końcu Solo. – I nigdy nie lubiłem mówić na ten temat.

– Przypomnij sobie – nalegał były przemytnik. – Chcę to usłyszeć z twoich ust.

Han uniósł ręce i rozcapierzył palce.

– Posłuchaj – odezwał się po chwili. – Obawiałem się, że Jabba urwie mi głowę za to, iż pozostawiłem w przestworzach ładunek jego przyprawy. Chewie i ja musieliśmy ją odnaleźć, a ścigali nas imperialni celnicy. Zależało nam na tej pracy. Sam wiesz, jak to jest, Roa. Czasami robi się albo mówi, co się musi.

– Ale czy to prawda? – zapytał Roa. – Rzeczywiście przelecieliście mniej niż dwanaście?

Han przyłożył do piersi obie dłonie.

– Czy byłbym zdolny wymyślić coś takiego? – odparł, lekko się uśmiechając. – Jeżeli już się czymś przechwalam, każde moje słowo to święta prawda.

Roa patrzył na niego przez chwilę, jakby niepewny, czy przyjaciel nie żartuje. W końcu wybuchnął beztróskim śmiechem.

– Niech cię, Hanie – westchnął. – Gdzie się podziały tamte lata? Dlaczego przestaliśmy gonić za majątkiem i sławą?

– Doszliśmy do wniosku, że to nie ma sensu. – Han zdecydowanie pokręcił głową. – Mimo to... wciąż nie mogę uwierzyć, że taki porządny gość jak Reck z własnej woli przeszedł na stronę nieprzyjaciół. W porównaniu z nimi Huttowie to nieszkodliwe łobuziaki, a Palpatine to oświecony despota.

– Możliwe – przyznał Roa, nagle poważniejąc. – Ale zawsze opłacało się trzymać z tymi, którzy wygrywają. A oprócz tego... kredyty to kredyty. Nie muszą pochodzić z czystych rąk, żeby Reck i jemu podobni dali się skusić.

Han się uśmiechnął.

– Widzę, Roa, że stałeś się filozofem na stare lata.

Były przemytnik wzruszył ramionami.

– Kiedy umiera ci ktoś bardzo bliski, nagle orientujesz się, że masz mnóstwo czasu na rozmyślanie... – odparł z goryczą. Uniósł głowę i spojrzał w oczy Hana. – Zapewne sam się tego domyśliłeś, prawda?

Solo nie odpowiedział.

W sterowni rozległ się melodyjny kurant nawigacyjnego komputera.

– Panie Roa, właśnie wyskakujemy z nadprzestrzeni – zameldował android.

Obaj mężczyźni odwrócili się i skupili uwagę na pulpicie kontrolnej konsoly. Przygotowywali „Radosny Sztylet” do lotu w normalnych przestworzach.

– Silniki napędu podświetlnego działają – oznajmił w pewnej chwili Roa.

Han pstryknął ostatnim przełącznikiem.

– Generatory ochronnych pól włączone i sprawne – zameldował.

Wydłużonym, błękitnawym tunelem przeniknęli do normalnej przestrzeni. Otaczające ich dotąd różnobarwne smugi zbiegły się i zmieniły w świetliste punkty. Z początku jeszcze wirowały, ale po chwili ustatkowały się i znieruchomiały. Każde płonące w oddali słońce wydawało się ognistymi wrotami do alternatywnej rzeczywistości. Jeżeli nie liczyć drobnego wstrząsu, powrót „Sztyletu” do normalnych przestworzy przebiegł bez zakłóceń.

– Wlatujemy do systemu Anobisa – oświadczył beznamiętnym tonem android.

– Anobisa? – powtórzył zdziwiony Solo. – Ta planeta to kompletna dziura. Nawet Reck nie chciałby tu mieć swojej kryjówki.

Spojrzał wyczekująco na przyjaciela, ale Roa pokręcił głową.

– Anobis to tylko boczne drzwi do ostatecznego celu – powiedział. – Gdybyśmy zdecydowali się na bezpośredni skok, mogłoby się okazać, że znaleźliśmy się pośrodku floty nieprzyjaciół albo Szczątków Imperium. – Wymierzył gruby palec wskazujący w sterburtowy iluminator. – Sam popatrz.

Han odwrócił się w prawo. W przestworzach – tak blisko, że niemal mógłby wyciągnąć rękę i go dotknąć – unosił się podziurawiony jak rzeszoto, wypalony wrak gwiazdowego niszczyciela. Przechylony na bokburcie i otoczony chmurą szczątków, nie miał już wielkiej wieży dowodzenia ani przedniej, spiczastej części dziobu. Niegdyś błyszczące płyty pancerza w części rufowej były teraz upstrzone czarnymi plamami i okropnymi kraterami trafień. Z wypatroszonych przedziałów śródokręcia zwisały wiązki przewodów i kabli. Han powrócił myślami do ataku na opanowaną przez Yuuzhan Helską Cztery. Miał przed sobą wrak gwiazdowego niszczyciela „Elik-sir Młodości”, straconego z prawie wszystkimi członkami załogi na pokładzie.

– Czy mamy jakąkolwiek szansę w walce przeciwko tym zbirom? – zapytał Roa.

– Nie pokonamy istot rasy Yuuzhan Vong w żaden inny sposób – odparł Solo. – A zatem dokąd teraz lecimy, Roa?

Jego towarzysz zabębnił wskazującym palcem po ekranie monitora, na którym kazał wyświetlić fragment przestworzy.

– Na Ord Mantell – powiedział.

Zdumiony Han otworzył usta, odchylił głowę i wybuchnął głośnym śmiechem.

Roa spojrzał na niego. Nie ukrywał zaniepokojenia i zdumienia.

– Obawiasz się, że spotkasz kogoś z odległej przeszłości? – domyślił się po chwili.

– Nie z odległej, ale z bardzo bliskiej, i nie z przeszłości, a z terażniejszości – odrzekł Solo, kiedy trochę się opanował. – Moją żonę.

Ord Mantell była wciąż tą samą, nie wyróżniającą się niczym szczególnym kulą, którą Han zapamiętał z czasów poprzednich wzyt. A w ciągu ostatnich lat składał ich co najmniej kilka. Czasami

przylatywał tu celowo, ale najczęściej przez przypadek. Od czasu ostatniej wizyty – kiedy to pełnił obowiązki głównego sędziego Derby Łamaczy Blokad – pojawiło się jednak coś nowego, a mianowicie niewielka orbitalna stacja o przestarzałym kształcie pierścienia. Złożono ją z części wyciągniętych ze składnic złomu i dostarczonych przez Huttów za pośrednictwem konsorcjum towarzystw budowlanych Środkowych Rubieży. Stacja nie została jednak ukończona. Brakowało dwóch szprych i jakichś dziesięciu stopni obwodu. Wszystko wskazywało na to, że miało ich brakować jeszcze jakiś czas, ponieważ po zniszczeniu Ithora zabrakło chętnych do dalszej pracy.

Roa oznajmił, że stacja nazywa się „Koło Fortuny”.

– Wprawdzie korzysta z grawitacyjnego pola planety Ord Mantell, ale z samą planetą nie ma wiele wspólnego – powiedział, odwracając się na fotelu pilota. – To właściwie wolny kosmoport. I dopóki Yuuzhanie nie zablokowali tras handlowych, bardzo gwarne, rojny i tętniący życiem. Teraz stał się punktem tranzytowym, pełnym najbardziej zdesperowanych typów, jakich zdarzyło ci się widzieć.

– Jestem gotów na wszystko – oznajmił Solo – pod warunkiem, że nie będę musiał lądować na samej planecie. Ord Mantell zawsze przynosiła mi pecha.

Roa kiwnął głową.

– A zatem musimy zrobić wszystko, żeby uzyskać potrzebne informacje, ani razu nie stawiając stopy na powierzchni planety.

Na wyznaczenie miejsca lądowania czekali cierpliwie w kolejce piloci najróżniejszych statków. Niektóre wyglądały jak puste barki albo frachtowce. Zapewne ich kapitanowie nie mieli dokąd lecieć. Niewykluczone, że ich macierzyste porty zostały opanowane przez Yuuzhan, a może towarzystwa transportowe zbankrutowały z powodu wojny. Zapewne na pokładach tłoczyli się na wpół zagłodzeni gwiazdni podróżnicy – pozbawieni środków do życia, pozostawieni bez opieki konsulatów. W kolejce widziało się także pięćdziesięcioletnie jaskrawoczerwone dyplomatyczne liniowce, a nawet okręty na nowo wcielone do czynnej służby po latach przebywania w stoczni albo gwiazdnym doku. Na swoją kolej czekały również pasażerskie transportowce, a wśród nich kilka ithoriańskich statków-miast w kształcie spłaszczonych spodków. Z pewnością na ich pokładach roilo się od uchodźców z podbitych albo splądrowanych światów, szukających choćby na pewien czas miejsca, które mogliby nazwać

domem. A pragnąc zaspokoić potrzeby nieszczęśników, w przestworzach wokół oczekujących statków mrowiły się wysłużone i zdezelowane mniejsze jednostki. Pilotami tych trampów i tendrów byli przeważnie piraci albo przemytnicy. Zwabieni okazją szybko zarobku, starali się sprzedać uciekinierom wszystko, co możliwe – nie wyłączając marzeń o szczęśliwym życiu na nieznannej planecie.

Czekając cierpliwie w kolejce, Roa i Han zabijali czas, sprawdzając wszystkie pokładowe systemy jednostki typu SoroSuub 3000. Szczególną uwagę zwracali na szczelność śluz i włazów. W końcu pozwolono im wylądować w zatłoczonym i brudnym hangarze, zdemontowanym z pokładu jakiegoś krążownika typu MC80. Po wylądowaniu zauważyli na ścianach zatarte, ale wciąż jeszcze czytelne symbole, z pewnością naniesione w jednej z kalamariańskich stoczni.

Podczas gdy Roa zajmował się wykonywaniem niezbędnych procedur, Han zszedł po rampie na płytę lądowiska. Chwilę potem drogę zastąpiła mu piątka obcych istot rasy, której jeszcze nigdy nie widział.

– Potrzebować może, żeby ktoś miał oko na twój statek? – zawołała jedna z nich, usiłując przekrzyczeć panujący w hangarze harmider. Używała świszczącego i silnie akcentowanego, ale zrozumiałego basica.

Han zmierzył spojrzeniem istotę od stóp do głów i z powrotem.

– Potrzebuję raczej, żeby ktoś miał oko na ciebie – odrzekł po chwili.

Istota – z pewnością płci męskiej – dłuższą chwilę zastanawiała się, zanim zrozumiała. Kiedy w końcu dotarło do niej znaczenie słów Hana, wybuchnęła donośnym i basowym, ale z pewnością szczerym śmiechem. Słyszac go, Han o mało sam się nie uśmiechnął.

Istota, o głowę niższa niż on, stała na dwóch nogach, krótkich, ale silnie umięśnionych. Miała też cienki ogon i wszystko przemawiało za tym, że umie się nim posługiwać. Pozostałe części ciała, wystające spod jaskrawej kurtki i rozciętych w strategicznych miejscach luźnych spodni, porastał krótki meszek popielatej barwy. Jedyny wyjątek stanowiły przylegające do ciała powierzchnie przedramion i ogon. Włoski miały tam ciemniejszy odcień, były też dłuższe i sztywniejsze. Zapewne mogły wyrządzić krzywdę.

Podobnie jak dwaj inni samcy w grupie, rozmówca Hana miał długie, śnieżnobiałe, obwisłe wąsy, które układały się na kościstych

policzkach, a na głowie istną grzywę nieprawdopodobnie zmierzwionych białych włosów. Wielkie oczy wyglądały, jakby świeciły własnym blaskiem. W miejscu nosa widniał chitynowy dziób. Miał niewielkie dziurki, dzięki czemu przypominał muzyczny instrument. Zakrzywił się i przechodził w usta o wąskich wargach.

Dwie istoty płci żeńskiej były odrobinę niższe niż samce. Obie miały podobną budowę ciała, z kilkoma wdzięcznymi wypukłościami w odpowiednich miejscach i jaskrawymi plamami rozrzuconymi tu i ówdzie na jedwabście miękkiej, brązowawoszarej sierści. Ich twarze nie zdobiły obwisłe wąsy, a zamiast grzyw na głowach widniały połyskujące, starannie uczesane i sięgające ramion włosy. Końce gładkich ogonów wyglądały jak pomalowane jaskrawoblękitną farbą. Na długich szyjach wisiało po kilka naszyjników; biżuteria zdobiła także małe uszy, pięciopalczaste dłonie oraz nosy.

– Niech będzie, niech będzie – odezwał się ten sam samiec. – W takim razie, chcieć może, żeby ktoś posprzątać i upiększyć twój statek?

Han ujął się pod boki i znów wybuchnął śmiechem. Wciąż jeszcze chichotał, kiedy po rampie zaczął schodzić Roa. Za kapitanem „Sztyletu” podążali członkowie załogi – Void oraz android nadzorczy typu EV. Głowa tego drugiego przypominała zakrzywiony dziób wielkiego owocożernego ptaka.

– Roa, czy chcesz, żeby ta banda odkurzyła twoje dywany i zatroszczyła się o łazienki? – zapytał Solo, zwracając się do przyjaciela.

Były przemytnik przyjrzał się obcym istotom z prawdziwym zainteresowaniem.

– Od tego są androidy – odezwał się w końcu.

– W takim razie my może popilnować statku – nie dawał za wygraną pierwszy samiec. – Wokół kręci się mnóstwo złodziejaszek.

– Doceniam waszą troskę o mój statek – odrzekł jak najuprzejmiej Roa – ale bardzo dziękuję. Może następnym razem.

Obce istoty zamieniły ze sobą kilka zdań w swojej śpiewnej mowie. Kiwnęły głowami obu przybyszom, po czym skierowały się w stronę sąsiedniego statku, stojącego na płycie lądowiska – wysłużonej korwety klasy Maruder.

– Zupełnie jakby ktoś wrzucił do mieszalnika gatunków wełnolamandra i kota manka – zauważył Solo, odprowadzając spojrzeniem obce istoty.

– To Rynowie – oznajmił Roa. – Spotykałem ich czasami w Sektorze Wspólnym, kiedy od czasu do czasu odwiedzałem zapadłe dziury tamtego rejonu... Ession, Ninn, Matrę Sześć i tak dalej. Są wędrowcami, to znaczy, kiedy nikt na nich nie poluje, nie stara się wziąć do niewoli, nie przegania z miejsca na miejsce ani nie usiłuje obwiniać za wykroczenia czy przestępstwa, popełnione przez kogoś innego. Mają opinię oszustów, hazardzystów i złodziejasków, ale ja nigdy nie miałem z nimi żadnych problemów. Nie boją się ciężkiej pracy i umieją robić wszystko, począwszy od rozbierania wraków gwiazdnych statków, a skończywszy na wyrobie biżuterii. A prócz tego, są urodzonymi muzykami. Potrafią grać tak skocznie i pięknie, że nawet ty, słuchając ich, puściłbyś się w płąsy.

– Jestem pewien, że zdołałbym się powstrzymać – burknął Solo.

– Chyba nie umiałbyś się opanować – sprzeciwił się Roa. – Jeszcze nigdy nie słyszałeś takiej muzyki. Nie chodzi mi o zwykły jizz czy któryś z nowoczesnych stylów. Mam na myśli muzykę chwytającą za serce, porywającą, pasjonującą.

Han posłał jeszcze jedno spojrzenie w ślad za oddalającymi się istotami.

– Skąd pochodzą? – zapytał. – Jak nazywa się ich rodzima planeta?

Roa pokręcił głową.

– Nikt nigdy mi tego nie powiedział.

Han lekko się uśmiechnął.

– A wydawało ci się, że już wszystko widziałeś – zażartował.

Polecili androidom, żeby pilnowały statku, a sami skierowali się w stronę stanowisk służb imigracyjnych i celnych. Stojące w długich kolejkach istoty różnych ras i płci okazywały tam dokumenty, a także poddawały się prześwietlaniu i skanowaniu.

Kiedy nadeszła ich kolej, Han okazał dokument, z którego wynikało, że nazywa się Roaky Laamu i jest bezrobotnym operatorem spawarek laserowych. Wcześniej zastanawiał się, czy aby nie zmienić wyglądu – tu i ówdzie dodać warstwę syntetycznej skóry, zapuścić brodę albo zaopatrzyć się w protezę – ale po namyśle zrezygnował. Zdecydował się tylko zmienić uczesanie i postanowił kilka dni się nie golić. Często w przeszłości, ilekroć chciał zmienić wygląd, podróżując z Leia i dziećmi, uciekał się do tego samego sposobu. Zazwyczaj to wystarczało. W końcu większość listów gończych, jakie za nim kiedyś rozsyłano, przedstawiała młodego przywódcę Sojuszu Rebeliantów – przystojnego, bystrookiego, z bokobrodami i burzą lśniących brązowych włosów.

I wszystko szło pomyślnie, dopóki nie dotarł do stanowiska skanera.

– Proszę otworzyć torbę – odezwał się młody funkcjonariusz, ponaglony przez androida, z którym współpracował.

Han spełnił jego prośbę. Funkcjonariusz bez trudu znalazł blaster. Luneta i stożkowo zakończony tłumik spoczywały w osobnym futerale.

– Czy to DL-44? – zapytał zdumiony młodzieniec, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Mniej więcej – odparł Solo. – Dokonałem kilku ulepszeń i modyfikacji.

Funkcjonariusz roześmiał się i pociągnął za rękaw munduru pracującego przy sąsiednim skanerze kolege.

– Boz, czy mam to uznać za broń, czy za antyk? – zapytał.

– Z całą pewnością antyk – odparł Boz, szeroko się uśmiechając.

– Możecie się śmiać, chłopaki, ile chcecie – mruknął Han. Postanowił nie chełpić się możliwościami broni.

Młody agent rzucił okiem na dokumenty Hana.

– Tak czy owak, Laamu, muszę opróżnić moduł energetyczny – powiedział.

Solo ugryzł się w język i wzruszył ramionami.

– Nie mam nic przeciwko temu – oznajmił – pod warunkiem że tak samo postępujesz ze wszystkimi innymi sztukami broni.

– Ze wszystkimi, które zauważymy – zapewnił go funkcjonariusz.

– Co za ulga – mruknął Solo.

– Czy możesz nam powiedzieć, gdzie znajdziemy „Koniec Zakładów”? – zapytał Roa, kiedy młodzieniec dołączał odsysacz do modułu blastera.

– Zakładając, że obaj macie normalny wzrok – odrzekł agent, nie przerywając pracy – podążycie czerwonym szlakiem do żółtego tramwaju, wysiądziecie na białej dwójce i stamtąd prosto do Wałka. Nie możecie zabłądzić.

– A co byś powiedział, gdybyśmy nie rozróżniali kolorów? – zapytał jadowitym tonem Han.

Młodzieniec włożył unieszkodliwiony blaster z powrotem do torby. Uniósł głowę i spojrzął na Hana.

– Że powinniście skorzystać z taksówki – odparł z powagą.

Roa uparł się w końcu, żeby jechać taksówką. Kierowcą okazał się Sullustanin, były ambasador swojej planety na Ithorze. Traktował „Koło Fortuny” jak bezludną wyspę, na której brzegu wylądował bez środków do życia. Czekał, aż z ojczystego świata przyślą mu dokumenty umożliwiające odlot w inne miejsce.

– Wielu mogłoby ci opowiedzieć taką samą albo bardzo podobną historię – odezwał się Roa do Hana, kiedy obaj wysiedli z taksówki w sektorze białym drugim. – Niektórzy starają się powrócić do domów, inni uciekają z domów, a jeszcze inni w ogóle stracili domy... Najczęściej nie mają także niezbędnych dokumentów, żeby odlecieć z tej stacji.. nie wspominając o środku transportu, aby dotrzeć do celu podróży. Nie zdziw się, jeżeli spotkasz tu dyplomatów pracujących jako kierowcy, profesorów uniwersytetów zatrudnionych w charakterze barmanów czy ważne osobistości z najróżniejszych światów roznoszące potrawy albo ryzykujące oszczędności całego życia w grze w sabaka... najczęściej nie prowadzonej uczciwie.

Kiedy dotarli do Wałka, przecisnęli się przez tłum zrozpaczonych istot różnych ras – Ithorian, Saheelindeelów, Brigians, Ruurian, Bimmsów, Dellaltian i wielu, wielu innych. Wszyscy uciekli z planet Hydiańskiej Drogi. Kręcili się bez celu tu i tam, tuląc resztki dobytku albo pilnując dzieci, żeby nie zgubiły się w tłumie. Czekali na cud, który pozwoli im odlecieć z „Koła”, jak większość nazywała stację. Głodni, zrozpaczeni i przerażeni nieszczęśnicy kulili się chyba we wszystkich zakamarkach i kątach. Gdzie indziej stłoczyli się ci, którzy wojnie zawdzięczali zaszczyt i powodzenie: umundurowani wojskowi i eksperci w dziedzinie odzyskiwania wartościowych przedmiotów, ale również fałszerze dokumentów, poszukiwacze skarbów, oszuści, kombinatorzy, złodzieje kieszonkowi i wszyscy pozostali.

Han przypomniał sobie, co Leia powiedziała na temat sytuacji uchodźców: brak żywności i kwater, choroby i poszukiwanie zagubionych członków rodzin... Zaczynał dochodzić do przekonania, że nie jest jedyną osobą, której wojna skomplikowała życie.

Wciąż jeszcze zastanawiał się nad tym, kiedy wkrótce potem znaleźli się w „Końcu Zakładów” – zatłoczonej, ale całkiem przytulnej kawiarence. Na jej zapleczu wydzielono specjalną salę do sabaka i innych gier hazardowych. Usiedli przy stoliku i zamówili gizerskie piwo.

– Najwyższy czas, żeby czegoś się dowiedzieć – oznajmił Roa po wypiciu ostatniego łyku. Wstał i zebrał się w sobie. – Niedługo wrócę.

Han odprowadził go spojrzeniem, a gdy przyjaciel dotarł do okrągłego szynkwasu, zainteresował się znów swoim kuflem jasnoblękitnego piwa. Kątem oka dostrzegł jednak, że niedaleko stolika coś się poruszyło. Uniósł głowę i zobaczył spoglądających na niego dwóch dorosłych Rynów – porośniętych ciemniejszą sierścią i lepiej ubranych niż ci, z którymi rozmawiał na płycie lądowiska.

– Przepraszamy, że przeszkadzamy – odezwał się wyższy. Jego głos brzmiał jak muzyka. – Chcielibyśmy zapytać, czy to pan niedawno przyleciał tym jachtem typu SoroSuub 3000?

Han usiadł prosto i położył dłonie na oparciach dwóch innych krzeseł, stojących po jego obu stronach.

– Wieści rozchodzą się tu naprawdę szybko – przyznał. – I co z tego?

– No cóż, miły panie – podjął drugi samiec – zastanawialiśmy się... to znaczy, Cisgat i ja... czy kiedy pan stąd wystartuje, nie będzie pan przelatywał w pobliżu Rhinnala. Może zdołalibyśmy zachęcić pana odpowiednią sumą, żeby przetransportował pan tam kilkoro pasażerów?

– Przykro mi, chłopaki, ale nie wybieramy się do Jądra – odparł Solo.

Rynowie wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Chcielibyśmy panu coś wytłumaczyć – powiedział Cisgat. – Widzi pan, to dla nas bardzo ważne, a czasu mamy coraz mniej. Mieliliśmy się tu spotkać z innymi członkami naszej licznej rodziny, ale musiało wydarzyć się coś nieprzewidzianego, ponieważ się nie zjawili.

– Na wypadek, gdyby nie mogli się spotkać z nami tutaj, umówiliśmy się z nimi na Rhinnalu – podjął niemal natychmiast jego towarzysz. – Niestety, podobnie jak wielu innych w „Kole”, nie dysponujemy żadnym środkiem transportu. Kończą się nam pieniądze i właściwie straciliśmy nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek zobaczymy się z krewnymi.

– Obawiamy się, że członkowie naszej rodziny odlecą z Rhinnala, nie wiedząc, co się z nami stało – dodał Cisgat.

Han zaplótł ręce na piersi.

– Przykro mi, że wasza rodzina się rozproszyła, ale jak powiedziałem...

– Dobrze zapłacimy – wpadł mu w słowo Cisgat.

– I nie sprawimy żadnych kłopotów – uzupełnił jego towarzysz.

– Chwileczkę – odezwał się ostro Han. – Powiedziałem, że jest mi przykro. Od pewnego czasu nie zajmuję się ratowaniem niczyjej skóry. Rozumiecie?

Przybysze zamilkli i dłuższy czas się nie odzywali.

– Nam też jest bardzo przykro – odezwał się w końcu Cisgat.

Widząc, że Rynowie odwracają się i odchodzą, rozdrażniony Han wypił jednym haustem resztkę piwa. Zaledwie odstawił kufel na blat stolika, obok niego wyrósł jak spod ziemi Roa.

– Czego chcieli? – zapytał.

– Żeby zabrać ich na Rhinnal.

Były przemytnik zmarszczył brwi i usiadł.

– Jak powiedziałem, wszyscy starają się stąd odlecieć.

– Dowiedziałeś się czegoś? – zainteresował się Solo.

Roa kiwnął głową wysokiemu i szczupłemu rudowłosemu mężczyźnie, który trzymał wysoko nad głową kufel piwa i torował sobie drogę do ich stolika. Był ubrany w podniszczony kombinezon weterana gwiazdnych szlaków. Kiedy usiadł, Roa spojrział na Hana.

– To jest Roaky Laamu, a to Fasgo – oznajmił. Kiedy zobaczył, że nieznajomy wyciąga rękę, szybko dodał, uśmiechając się do Hana: – Tylko nie zapomnij policzyć palców, kiedy skończysz się z nim witać.

Fasgo wyszczerzył w uśmiechu poplamione zęby. Wypił spory łyk piwa, za które z pewnością zapłacił towarzysz Hana.

– Fasgo był kiedyś jednym z moich najlepszych poborców podatkowych i celników – ciągnął Roa. – Zapytaj go, to ci sam powie. Potem, kiedy przestałem mu płacić, miał okazję współpracować z Reckiem Deshem.

Han zauważył, że uśmiech powoli znika z twarzy rudzielca.

– Nie wiesz przypadkiem, gdzie moglibyśmy znaleźć Recka? – zapytał Roa nieobowiązującym tonem.

Fasgo z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Posłuchaj, Roa – zaczął niepewnie. – Dziękuję ci za piwo, ale...

– Roaky i ja wiemy wszystko na temat nowych pracodawców Recka – przerwał mu ostro były przemytnik. – Nie musisz nas bajerować.

Fasgo przesunął językiem po wargach i nerwowo się roześmiał.

– Znasz Recka, Roa – odparł. – Zawsze służy temu, kto najlepiej płaci.

Han oparł łokcie na blacie stołu.

- Jeżeli tak mu dobrze płacą, dlaczego nie jesteś z nim? – zapytał.
- Nie w moim stylu – odrzekł rudowłosy mężczyzna, kręcąc głową. – Nie jestem zdrajcą.
- Han i Roa wymienili spojrzenia.
- A co z Reckiem? – nie dawał za wygraną Roa.
- Fasgo ponownie pokręcił głową.
- Nie mam pojęcia, gdzie może teraz się podziewać – odparł ponuro. Widząc powątpiewanie w oczach Hana, dodał: – Jestem z wami szczerzy, chłopaki. Po prostu nie wiem. – Powiódł spojrzeniem po zatłoczonej sali, pochylił się nad blatem stołu i ciągnął, tym razem o wiele ciszej: – Na tej stacji jest jednak ktoś, kto prawdopodobnie może wam powiedzieć. To właśnie on rządzi tu wszystkim... całym podziemiem. Nazywa się Szeff B.
- Nie wiesz przypadkiem, gdzie możemy znaleźć tego Szeffa B? – zapytał Roa.
- Fasgo ściszył głos do ledwo słyszalnego szeptu.
- Zapytajcie o niego raz czy dwa kogokolwiek – doradził. – Szeff B sam was znajdzie.
- Zamierzał wstać od stołu, ale Han położył dłoń na jego ramieniu.
- Kto wydaje rozkazy Reckowi? – spytał. – Kto jest jego pracodawcą?
- Twarz gwiazdowego włóczęgi zbladła jak płótno.
- Nie chciałbyś się z nimi spotkać, Roaky – powiedział. – Są paskudni jak diabły, a może nawet bardziej.
- Podaż mi jakieś nazwiska?
- Nigdy nie zapamiętywałem żadnych nazwisk. Naprawdę...
- Fasgo przełknął ślinę. Urwał nie kończąc zdania. Patrzył na coś, co znajdowało się ponad ramieniem Hana.
- Solo odwrócił się i ujrzał zdążającą do ich stolika trójkę Trandoshan. Wszyscy byli uzbrojeni w pistolety blasterowe Merr-Sonn i Blas-Tech. Nosili długie do kolan płaszcze, które utrzymywały stałą temperaturę ciała. Dwie jaszczuropolobne istoty stanęły po obu stronach krzesła Hana, a trzeci samiec – najwyższy i najstarszy, jeżeli sądzić po siwej barwie skóry – okrążył stół aż dwa razy. Ani na chwilę nie przestał wlepić w Hana czerwonych oczu z czarnymi źrenicami. W końcu usiadł na krześle, ustawionym dokładnie naprzeciwko niego.
- Twoja twarz wydaje mi się znajoma – wychrypiął. Z pobawionych ust warg wysunął długi język i kilka razy machnął nim w powietrzu. – A twój smak nawet jeszcze bardziej.

Han zmusił się do rozluźnienia mięśni. Nie wątpił, że Trandoshanin go rozpoznał, nie był jednak pewien, czy kiedykolwiek spotkał go na swojej drodze. Istoty wydzielaly kwaśną woń i pochodziły z planety należącej do tego samego systemu gwiazdowego, co Kashyyyk. To właśnie one pomogły przekonać funkcjonariuszy Imperium, że istoty rasy Wookie staną się doskonałymi niewolnikami, i to one zatrudniały się później jako ich poganiacze.

– Ostatni raz widziałem taki jeźor, jak zwieszał się ze straganu z mięsem, upstrzony muszymi odchodami – odparł beztrudnie Solo.

Jaszczur otworzył przepaścistą paszczę, która dla wielu stała się śmiertelną pułapką. Rozciągnął pysk w grymasie przypominającym uśmiech i położył trójpalczaste dłonie na blacie stołu.

– Samiec, którego mi przypominasz, od tamtych czasów stał się ważną osobistością – zaczął złowieszczym tonem. – Kiedy go znałem, był jednak tylko marnym przemytnikiem. Transportował przyprawę dla Hutta Jabby i wszystkich innych na tyle głupich, żeby go zatrudnić.

Bosk? – pomyślał Han. Czy możliwe...

– Ach, w tamtych czasach musiałeś być ślicznym jajkiem – odparł niefrasobliwie, starając się sprowokować istotę do dalszych zwierzeń.

Dobiegające od strony sąsiednich stolików szmery rozmów ucichły. Widocznie siedzący przy nich goście i bywalcy lokalu zastanawiali się, czy pozostać na swoich miejscach i obejrzeć sobie dalszą część przedstawienia, czy też może brać nogi za pas, póki jeszcze można.

– Jeżeli nie liczyć innych równie ohydnych czynów, ten ludzki śmieć przeszkodził kiedyś handlarzom niewolników na Gandolo Cztery w zawarciu legalnej transakcji – oznajmił jaszczur.

Roa wyprostował się dumnie na krześle i powiedział:

– Co było, to minęło, dragalu. A może nie polowałeś od tak dawna, że musisz zakłócać spokój przyjaciołom, którzy we własnym gronie chcieliby się napić piwa?

Trandoshanin spiorunował siwowłosego mężczyznę spojrzeniem krwistych oczu. Później jednak skierował je znów na Hana.

– Nie wiem, kim jest ten grubas, ale znam ciebie, człowieku – odparł. – Nazywasz się Han Solo.

– Solo? – powtórzył zdumiony Fasgo.

Han wytrzymał siłę spojrzenia ogromnego jaszczura. To musi być Bosk, pomyślał. Miał tylko nadzieję, że blaster typu E-11A1,

który istota nosiła na biodrze, został pozbawiony energii przez celników.

– Powiedz mi coś, Solo – ciągnął Trandoshanin. – Czy nadal wtykasz swój parszywy dziób w nie swoje sprawy?

Han wykrzywił twarz w wymuszonym uśmiechu.

– Tylko kiedy mam okazję zniszczyć czyjś gwiazdny statek i upokorzyć jego kapitana – odrzekł, lekko mrużąc oczy.

Trandoshanin wyprostował się na całą imponującą wysokość.

– Słyszałem, że straciłeś swojego Wookiego, Solo – powiedział. – Plotka głosi, że pozwoliłeś, aby jakiś księżyc spadł mu na głowę. Zrobiłbym to samo, gdyby ciągle pałętał się za mną jakiś Wookie.

Zachwycony patrzył, jak Han podrywa się z krzesła i znów opada na nie, pchnięty w pierś przez Roę.

– To przecież nie ma sensu, Hanie – odezwał się były przemytnik. – Cokolwiek byś mu oderwał albo złamał, po pewnym czasie odrośnie.

Trandoshan rozciągnął pysk w złośliwym uśmiechu.

– Co znaczy jeden zapchlony Wookie więcej albo mniej? – zapytał z demonstracyjnym lekceważeniem. – Dlaczego nie polecisz na ich planetę i nie poszukasz sobie następnego?

Doprowadzony do ostateczności Han zerwał się na równe nogi. Wymierzył cios, po którym w „Końcu Zakładów” rozpętało się prawdziwe piekło.

# ROZDZIAŁ

# 12

– Kiedy dokonywaliśmy skoku na Coruscant, spędziłam pewien czas w zbiorniku bacta – oznajmiła Belindi Kalenda sześciorgu członkom Komisji do spraw Bezpieczeństwa i Wywiadu senatu Nowej Republiki. Pragnęła wyjaśnić im, dlaczego wygląda lepiej niż się czuje.

– Pani postępowanie wykracza daleko poza zakres obowiązków, pani pułkownik – odezwał się diamalański senator Porolo Miatamia, siedzący na przeciwległym krańcu długiego drewnianego stołu. Na pomarszczonej, jakby wysuszonej twarzy istoty malował się autentyczny niepokój. – Powinna pani była pozostać na Waylandzie. Mogliśmy przecież zorganizować holokonferencję.

Kalenda lekko się uśmiechnęła.

– Na Waylandzie nie ma urzędzeń, które pozwoliłyby zorganizować taką holokonferencję, panie senatorze – odrzekła.

– W takim razie może przejdziemy do sedna sprawy? – zapytał siedzący obok Kalendy senator Krall Praget. Słyszał z tego, że nie przebierał w słowach; był tym przedstawicielem Edathy, który w czasach konfliktu z Yevethami domagał się ustąpienia Lei Organy Solo ze stanowiska przywódczyni Nowej Republiki.

Między Pragem a Miatamą siedziało kilkoro innych senatorów: Gron Marrab z Kalamara, Tolik Yar z Oolidi, Ab’el Bogen z Ralltiira i Viqi Shesh z planety Kuat. Do udziału w konferencji zaproszono także Luke’a Skywalkera i jego małomównego siostrzeńca, Anakina Solo. Mistrz Jedi siedział zachowując niezwykle milczenie. Jego głowę i większą część twarzy zasłaniał kaptur czarnego płaszcza.

Kalenda odwróciła się do zaproszonych gości.

– Dziękujemy, że zechcieliście przybyć, mistrzu Skywalkerze i Jedi Solo – rzekła.

Skywalker kiwnął głową, ale nie powiedział ani słowa.

– Po pierwsze, chciałabym zauważyć – zaczęła pani pułkownik Wywiadu Nowej Republiki, z widocznym wysiłkiem wstając z fotela – że napaść nieprzyjaciół na Wayland usprawiedliwia środki ostrożności, jakie podejmujemy, żeby zapewnić bezpieczeństwo obu uciekinierkom. Atak z powietrza wyrządził wiele szkód w samym Nowym Nystao, ale ofiar wśród ludności cywilnej było mniej niż się spodziewaliśmy. Z pewnością zginęłoby o wiele więcej osób, gdybyśmy zdecydowali się przenieść obce istoty na Bilbringi albo inną gęsto zaludnioną planetę.

Głęboko odetchnęła, ale jej twarz wykrzywił przy tym grymas bólu.

– Jedną z ofiar okazał się doktor Yintal z Wywiadu Floty – podjęła po chwili. – Należy jednak podkreślić, że zginął w wyniku bezpośredniego ataku na kapłankę istot rasy Yuuzhan Vong, Elan. Rany odniosła także pani doktor Joi Eicroth z Alphy Blue. Na szczęście, bardzo szybko powraca do zdrowia, podobnie jak major Showalter, który miał przebite płuco i złamanych kilka żeber. Kiedy odlatywałam z Waylandu, nasi dwaj dzielni komandosi rasy Noghri oświadczyli, że są gotowi dalej pełnić służbę.

– Gdzie w tej chwili znajdują się uciekinierki? – zainteresowała się pani senator Shesh.

– Przetransportowaliśmy je na Myrkr i trzymamy w bezpiecznym miejscu – odparła Kalenda. – Do czasu, aż postanowimy, co z nimi zrobić.

– Pani pułkownik – wtrącił się Praget – słyszałem, że jedna z uciekinierek nie jest istotą rasy Yuuzhan Vong. Jeżeli to prawda, powstaje pytanie, kim właściwie jest.

– Racja – przyznała Kalenda. – Jeszcze nie ustaliliśmy, czy Vergere to istota z jakiejś planety galaktyki Yuuzhan, czy też może rezultat ich eksperymentów genetycznych.

– Czy udało się zdobyć jakiekolwiek informacje, z których by wynikało, dlaczego obce istoty dokonały inwazji na Odległe Rubieże? – zapytał Miatama.

Kalenda pokręciła głową.

– Skrytobójca zaatakował na samym początku przesłuchania – powiedziała. – Wcześniej Elan wymieniła tylko kilka motywów, jakimi kierowali się jej ziomkowie. Większość z nich już znaleźliśmy

z innych źródeł. Istoty rasy Yuuzhan Vong zaatakowały nas na żądanie swoich bogów. Zamierzają oczyścić naszą galaktykę i nawrócić nas na swoją wiarę. Elan uważa, że jej pobratymcom o wiele bardziej zależy na nawróceniu nas niż na wytępieniu. Z nagraniami zarejestrowanymi podczas tego przesłuchania, chociaż trwało bardzo krótko, można zapoznać się w każdej chwili.

Głęboko odetchnęła. Tym razem chyba nie odczuła przy tym tak silnego bólu.

– Przyleciałam tu jednak, żeby powiedzieć wszystkim, co oznajmiła nam Elan po zabiciu skrytobójcy. Przekazała nam informacje o charakterze wojskowym, które mogą okazać się nieocenione. Jeżeli się potwierdzą, dyrektor Scaur i ja zamierzamy ubiegać się o zgodę na przetransportowanie obu uciekinierek tu, na Coruscant.

Poprzez szmer zdumionych pomruków przebił się słodki jak miód głos senatorki z planety Kuat.

– Zważywszy, co wydarzyło się na Waylandzie, czy to rozsądne posunięcie? – zapytała Shesh. – Słyszałam, że mieszkańcy Nowego Nystao domagają się od nas odszkodowania.

– Właśnie to jest jednym z powodów, dla których wybraliśmy Coruscant – wyjaśniła Kalenda. – Planeta nie stanowi łatwego celu. Pierwsza przyznaję, że kiedy przenosiliśmy uciekinierki z Nim Droviss na Wayland, nie zachowano wszystkich koniecznych środków ostrożności. Obiecuję, że to się nie powtórzy. Opracowaliśmy plan wykorzystujący zamieszanie i chaos, jakie w tej chwili panują w przestworzach Środkowych Rubieży. Zamierzamy ukryć Elan i jej towarzyszkę pośród tłumu uchodźców. Co więcej, planujemy przetransportować je na Coruscant okrężną drogą. A na wszelki wypadek, pragnąc wywieść w pole wszystkich, którzy chcieliby dopuścić się sabotażu, wyślemy na inne planety kilka podobnych grup, żeby jeszcze dokładniej zatrzeć ślady.

Kalenda przerwała, żeby rozdać arkusze duraplasteru z kopiami odpowiednich dokumentów. Barwne paski na brzegach wszystkich arkuszy wskazywały, że są ściśle tajne.

– Elan i Vergere polecą najpierw na Bilbringi, a stamtąd na Jagge Dwa i Chandrilę – ciągnęła po chwili. – Rzecz jasna, jeżeli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego... no i tylko pod warunkiem że Wywiad nie zdobędzie żadnych informacji, z których by wynikało, że takie posunięcie stworzy zagrożenie dla bezpieczeństwa Nowej Republiki.

– Nie widzę większego sensu w sprowadzaniu ich na Coruscant – odezwał się Bogen, potrząsając głową tak energicznie, że

o mało nie rozwichrzył starannie ułożonych jasnożółtych włosów. – Ma pani rację; atak skrytobójcy dowodzi, jak dużą rolę odgrywają pochwycone przez nas obce istoty. Możliwe jednak, że należy przypisać mu inne znaczenie. Może ten atak był tylko podstępem i miał utwierdzić nas w mylnym przekonaniu co do prawdziwych celów ich ucieczki.

Starając się poruszać ostrożnie i powoli, Kalenda usiadła w fotelu.

– Możliwe, że powinniśmy się liczyć i z taką ewentualnością – przyznała po chwili. – Przypominam jednak, panie senatorze, że nasz plan przetransportowania istot na Coruscant zależy od tego, czy potwierdzą się przekazane przez nie informacje. – Przerwała, żeby nabrać powietrza. – Podobnie jak chyba wszyscy, nie wyzbyłam się podejrzeń. Kto wie, może jestem nawet bardziej podejrzliwa niż ktokolwiek inny. Uważam jednak, że nawet jeżeli Elan żywi wobec nas złe zamiary, może się okazać bardzo ważna dla powodzenia naszych planów. Twierdzi, że wie, gdzie przebywają agenci Yuuzhan, prowadzący działalność na planetach Nowej Republiki. Podobno potrafi także podać nazwiska wielu kolaborantów, których tamci zwerbowali spośród przemytników, najemników, piratów i najzwyklejszych awanturników. Prawdę mówiąc, mam prawo przypuszczać, że w ataku na Elan pomogła grupa najemników, którzy nazwali się Brygadą Pokoju. Wszystko przemawia za tym, że to oni poinformowali naszych nieprzyjaciół o przeniesieniu uciekinierki na Wayland. – Przerwała, żeby rozdać uczestnikom konferencji kilka innych arkuszy duraplastu. Widniała na nich oznaka grupy najemników. Przedstawiała dwie dłonie złączone w geście powitania. Jedna mogła należeć do istoty ludzkiej, druga zaś była cała wytatuowana. – Znajdziecie tu informacje na temat członków tej Brygady Pokoju, a także krótkie opisy aktów sabotażu, o które ich oskarżamy. – Spojrzała na Luke’a Skywalkera. – Wygląda na to, że jednym z ich najważniejszych celów jest szeregienie niechęci do rycerzy Jedi.

Mistrz Jedi tylko kiwnął głową, ale nadal milczał.

– Mam nadzieję, że Wywiad ma oko na tę grupę – odezwała się Shesh, unosząc głowę znad arkusika z informacjami.

– Bardzo proszę zapoznać się z treścią dokumentu – przypomniała uprzejmie Kalenda.

Senator Bogen głośno chrząknął i poprosił o udzielenie głosu.

– Niezupełnie rozumiem, dlaczego ta Elan ma dla nas tak duże znaczenie...

Pani pułkownik Wywiadu zwróciła się w jego stronę.

– Nie tylko może podać nam nazwiska agentów, ale wie, jak myślą tacy Yuuzhan. – Umilkła, jakby się nad czymś zastanawiała. – Chodzi nawet o coś więcej – ciągnęła po chwili. – Elan twierdzi, że zna przepowiednie i znaki, których szukają tacy Yuuzhan, zanim przystąpią do opracowywania planów ataku. Podobno może nawet wskazać nam planety, gdzie usadowili się ich koordynatorzy wojenni.

– Chwileczkę – przerwał Tolik Yar. Uniósł jedną rękę, ale drugą cały czas wystukiwał polecenia na klawiaturze komputerowego notatnika. – Jeden z raportów... w tej chwili nie mogę go odnaleźć... sugeruje, że ci koordynatorzy są obdarzeni telepatycznymi zdolnościami. – Przestał wystukiwać rozkazy i popatrzył na Kalendę. – Załóżmy, że nasze uciekinierki także dysponują takimi umiejętnościami. Możliwe, że jedna albo obie utrzymują z koordynatorem telepatyczną więź i w rzeczywistości przekazują mu informacje o nas.

– Wspomniany przez pana raport złożyła pracownica naukowa ExGalu, pochwycona przez Yuuzhan i pewien czas przetrzymywana w ich niewoli – podpowiedziała Kalenda. – Muszę przyznać, że możliwość utrzymywania więzi, telepatycznej czy jakiegokolwiek innej, z istotami rasy Yuuzhan Vong rzeczywiście istnieje. To zresztą głównie z tego powodu utrzymujemy uciekinierki w ciągłej niepewności. Nie przekazujemy im żadnych strategicznych informacji, które mogłyby się przydać naszym wrogom. Nawet jeżeli jakimś cudem Yuuzhanie oswobodzą je z niewoli, obce istoty nie wyjawią im absolutnie żadnych sekretów Nowej Republiki.

– Właściwie dlaczego te dwie istoty pragną przejść na naszą stronę? – zdziwiła się senatorka Shesh.

– Elan dała nam do zrozumienia, że w szeregach Yuuzhan doszło do różnicy zdań. Podobno niektórzy wojownicy nie są pewni, czy napaść na naszą galaktykę jest rzeczywiście zgodna z wolą ich bogów. Wszystko wskazuje na to, że kapłanka chce nam pomóc.

– W zamian za co? Za bogactwa, nową tożsamość czy bezpieczną kryjówkę? – dociekała Kuatka. – Podejrzewam, że jednak może żywić względem nas wrogie zamiary. Nawet pozbawiony zębów vonskr niechętnie zmienia swoją naturę.

Kalenda zmrużyła oczy.

– Prawdę mówiąc, Elan przedstawiła nam jedną prośbę – rzekła, wbijając pałające spojrzenie w Skywalkera. – Pragnie spotkać się z rycerzami Jedi.

Skywalker drgnął i odwrócił ku niej głowę. Nastawił uszu nawet siedzący obok niego Anakin.

– Czy powiedziała dlaczego? – zainteresował się mistrz Jedi.

– Oświadczyła, że to ma jakiś związek z chorobą, jaką zaczęły szerzyć istoty rasy Yuuzhan Vong na niektórych planetach krótko przed pojawieniem się ich światostatków. Nie chciała jednak powiedzieć nic więcej. Stwierdziła tylko, że Jedi rozumieją, o co chodzi.

Skywalker i jego siostrzeniec wymienili zdumione spojrzenia.

– Nic więcej? – zapytał wyraźnie zaintrygowany starszy Jedi.

Kalenda pokręciła głową.

– Jak powiedziałam senatorowi Miatamie, można zapoznać się z zarejestrowanym przebiegiem przesłuchania. Prawdę powiedziawszy, jestem ciekawa pańskich uwag. Może zdoła pan zauważyć coś, co przeoczyliśmy albo zlekceważyliśmy.

– Mistrzu Skywalkerze – wtrącił się Kalamarianin Gron Marrab. Zwrócił jedno wyłupiaste oko na Luke'a, ale drugiego nie przestał kierować na Kalendę. – Zapewne niepotrzebnie o tym wspominał, ale chciałbym zauważyć, że nie powinien pan się czuć zobowiązany do spełniania tej dziwacznej prośby.

– Oczywiście, że nie – dodał senator Praget, ironicznie się uśmiechając. – Chyba wszyscy doskonale wiedzą, że rycerze Jedi wcale nie mają służyć Nowej Republice.

– Senatorze, pańska uwaga była naganna i wysoce niestosowna – upomniała go Shesh.

Skywalker zignorował jednak wypowiedź Prageta.

– Przedyskutujemy to – odezwał się po chwili. – Jeżeli chodzi o mnie, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby spotkać się z tą kapłanką.

Wszyscy umilkli. W sali obrad zapadła długa cisza. W końcu znów odezwała się Shesh.

– Pani pułkownik – zaczęła – właściwie czego dotyczą te informacje o charakterze wojskowym, które przekazała wam Elan?

– Celu następnego ataku wojowników rasy Yuuzhan Vong – odrzekła Kalenda. – Podobno będzie nim planeta Ord Mantell.

Leia siedziała zwrócona plecami do południowego wybrzeża Worlportu i uroczej piaszczystej plaży. Napływał stamtąd cichy szmer fal spokojnego oceanu. W pewnej chwili uniosła głowę i spojrzała przez transpastalowe okno na wysokie, kopulaste wzgórza,

wznoszące się nad spowitymi dymem północnymi nieużytkami. Jeszcze dalej ciągnęły się składnice odpadków i złomu, które kończyły się dopiero u stóp Dziesięcimiłowego Płaskowyżu. Z najwyższego piętra rządowej rezydencji władz planety Ord Mantell – miejsca konferencji poświęconej problemom uchodźców – rozciągał się także widok na większą część stolicy. Prawdę mówiąc, mógł przyprawić o zawrót głowy. Tu i ówdzie widziało się jeszcze ślady niegdyś klasycyznej i dominującej koreliańskiej architektury. Jednak większość fantazyjnie zdobionych iglic, monumentalnych kolumnad, ogromnych rotund o charakterystycznych, łagodnie zaokrąglonych łukach, monolitycznych nadprożach i rzeźbionych belkach już nie istniała. Zamiast nich panoszyły się niemal wszędzie wzniesione w pseudo-rokokowym stylu kopuły i obeliski, świadczące o niezbyt wyszukany smaku hazardzistów, utracjuszy i obiboków, którzy całymi grupami przylatywali na planetę. Szpetotę budowli podkreślały tworzące zawiłe wzory wąskie kładki, wiszące pomosty, wijące się rampy, mroczne tunele i długie schody.

Nietrudno byłoby zabłądzić w tym labiryncie, pomyślała Leia. Prawdę mówiąc, już kiedyś zabłądziła – jakieś dwadzieścia pięć lat wcześniej, kiedy przestała być księżniczką i dyplomatką. Wkrótce potem miały miejsce wydarzenia na Hoth i Endorze, a znacznie później – ślub z Hanem i narodziny dzieci. Spoglądając na budynki i gmachy miasta, Leia usiłowała sobie wyobrazić, któredy musiałyby iść, żeby dotrzeć z rezydencji władz planety na skraj ciągnącego się po horyzont brunatnego pustkowia. Uczyniłaby wszystko, byle tylko nie myśleć, co robią w tej chwili dzieci albo gdzie podziewa się Han...

– Pani ambasador Organo Solo – usłyszała niespodziewanie głos przedstawiciela Balmorry. – Czy dobrze się pani czuje?

Leia ocknęła się z zamyślenia. Odwróciła głowę i z czarującym uśmiechem spojrzała na siedzących przy długim stole zaproszonych przedstawicieli różnych światów.

– Bardzo przepraszam – rzekła, zwracając się do Balmorreanina. – Mówił pan...

– Mówiłem, że nie odpowiedziała pani na moje pytanie – odezwał się zirytowanym tonem szczupły, starszawy mężczyzna, który siedział sztywno wyprostowany, jakby połknął kij. – Czym władze Nowej Republiki zamierzają uzasadnić swoją prośbę, skoro istnieje mnóstwo innych, nadających się do zamieszkania światów, gdzie uchodźcy mogliby osiąść, nie zagrażając dobrobytowi rdzennej ludności?

Leia zmusiła się do zachowania spokoju. Uprzejmie się uśmiechnęła.

– Oczywiście dysponujemy środkami, umożliwiającymi przetransportowanie dziesiątków milionów uchodźców na wszystkie nadające się do zasiedlenia planety odległych sektorów – powiedziała. – Nie zależy nam jednak na tym, żeby po prostu pozbyć się problemu. Tu chodzi o ludzi, którzy przyczynili się do stabilności politycznej i dobrobytu Nowej Republiki. Ci nieszczęśnicy stracili dosłownie wszystko: domy, farmy, przedsiębiorstwa, a często dorobek całego życia. A w wielu przypadkach także członków najbliższej albo dalszej rodziny.

– Co za pożytek z ludzi, którzy nie mają nawet własnych planet? – zadrwił jeden z delegatów.

– Właśnie o to mi chodzi – podchwyciła Leia. – Komisja do spraw Uchodźców senatu Nowej Republiki poszukuje dla nich planet z dobrze rozwiniętą infrastrukturą; nie tylko z nadającymi się do osiedlenia terenami, ale także planetarnymi systemami obronnymi, kosmoportami i siecią środków transportu naziemnego, a przede wszystkim z niezawodnymi systemami łączności z Coruscant i innymi planetami Jądra galaktyki.

Alsakański przedstawiciel prychnął pogardliwie i pokręcił głową, ozdobioną puklami kręconych gęstych włosów.

– Bardzo chwalebny pomysł, pani ambasador, ale kto wykarmi i odzieje te miliony uchodźców? – zapytał szyderczym tonem. – Kto zbuduje im domy i zatroszczy się o zaspokojenie wszystkich potrzeb? Kto zainstaluje promienniki, aby uchronić rdzenną ludność przed chorobami, które mogą zawlec uchodźcy?

– Wydzielone przez senat środki powinny pozwolić na rozwiązanie takich i innych problemów – oznajmiła oschle Leia.

– Ale na jak długo? – zapytał Devaronianin, kręcąc głową z dwoma długimi ogonami. – Gdyby kiedyś Nowa Republika przestała wywiązywać się z tych obowiązków... albo została do tego zmuszona w wyniku rozwoju wydarzeń... cały ciężar utrzymywania uchodźców spadłby na barki członków rządów tamtych planet. Nie mogliby wyrzucić ze swoich światów osób, które zgodzili się przyjąć w dobrej wierze. Taka sytuacja doprowadziłaby te planety do gospodarczej ruiny.

Leia pozwoliła, żeby na jej twarzy uzewnętrzniła się przynajmniej część przeżywanej frustracji.

– Czy muszę przypominać, że toczymy wojnę i jeżeli jej nie wygramy, gospodarka wielu planet stanie na krawędzi bankructwa?

– zapytała podniesionym tonem. – Czy muszę podkreślać, że stawką w tej grze jest wolność nas wszystkich... wolność, którą cieszymy się od czasu zwycięstwa nad Imperium?

Kiedy zauważyła, że zwróciły się na nią oczy przedstawicieli wszystkich planet, ciągnęła trochę ciszej i spokojniej:

– Dysponujemy środkami, żeby przetransportować ludność wielu zagrożonych planet z terenów Odległych Rubieży na światy usytuowane bliżej Jądra galaktyki. Wszędzie, gdzie to konieczne, i gdzie będziemy mogli na to sobie pozwolić, zamierzamy korzystać z ogromnych frachtowców i transportowców, żeby przewozić dziesiątki tysięcy istot równocześnie. Zanim jednak będziemy mogli zacząć, niektórzy spośród was muszą wyrazić na to zgodę w imieniu rządów swoich planet. Przypominam, że zrobili to już Kalamarianie w przypadku uchodźców z Ithora, a ostatnio również Bimmisaarianie, którzy zgodzili się przyjąć uciekinierów z Obroa-skai. Naszym celem jest stworzenie samowystarczalnych enklaw. Mogliby nimi zarządzać kompetentni przedstawiciele, wybrani spośród samych uchodźców. Mam tu na myśli reprezentantów samorządów, lekarzy, nauczycieli, techników i tak dalej. Mimo to chcę podkreślić, że uważamy domeny tylko za tymczasowe miejsca przesiedlenia. Stopniowo, po jednej grupie naraz, zamierzamy przenosić je na inne, bardziej odpowiednie światy. Możliwe też, że wybierzemy dla nich takie, które w chwili obecnej nie są zasiedlone.

– Indywidualne enklawy? – zapytał przedstawiciel Jaggi Dwa.

– Dla każdej rasy istot niezależnie?

– Wszędzie, gdzie to możliwe – potwierdziła Leia. – A jeśli się nie da, postaramy się umieścić razem kilka grup istot, które dotąd żyły ze sobą w zgodzie.

– I zadbać o wszystkie, czasami sprzeczne potrzeby ich członków?

– Oczywiście.

– A co się stanie, jeżeli tę samą enklawę będą musiały zamieszkiwać przedstawiciele grup, które dotąd nie żyły w zgodzie? – zapytał przedstawiciel jednej z planet należących do gromady Koornacht, nieco wcześniej zasiedlonej na nowo.

– Będziemy się starali rozwiązywać takie problemy, kiedy się pojawią – obiecała Leia.

– W jaki sposób? Wysyłając tam oddziały sił porządkowych?

– To możliwe – przyznała Organa Solo. – Jeżeli okaże się konieczne...

Przedstawiciel Balmorry pozwolił sobie na pełen niedowierzania rechot.

– Użyła pani słowa „enklawa” – zaczął – ale miała pani na myśli obóz odosobnienia, prawda?

O głos poprosił delegat Devarona. Spiorunował Leię spojrzeniem.

– A co, jeżeli wojownicy rasy Yuuzhan Vong opanują kolejne światy? – zapytał obcesowo. – Ilu następnych uchodźców będziemy musieli przyjąć? Czy istnieje jakakolwiek granica, czy też może Nowa Republika zamierza stłoczyć ludność tysięcy planet na powierzchniach kilku setek?

– Ograniczymy liczbę uchodźców – obiecała Organa Solo. Odwróciła się w stronę delegatki planety Ord Mantell. – Pani świat mógłby dać dobry przykład. Moglibyście przyjąć uchodźców, stłoczonych teraz na pokładach „Koła Fortuny”, i pozwolić im zamieszkać w tymczasowych obozach na północ od stolicy.

Przedstawicielka planety – kobieta z nosem jak guzik – sprawiała wrażenie zdumionej i przerażonej.

– Obawiam się, że to niemożliwe, pani ambasador – odezwała się po chwili milczenia. – W grę wchodzi wiele istotnych powodów, ale najważniejszy to ten, że okolice Dziesięciomilowego Płaskowyzu są jedną z naszych największych atrakcji turystycznych.

– Atrakcji turystycznych? – powtórzyła Leia takim tonem, jakby nie mogła uwierzyć własnym uszom. – Ord Mantell jest usytuowana na pierwszej linii frontu. Ilu turystów spodziewa się pani zobaczyć tu w ciągu najbliższych kilku miesięcy?

Kobieta się zasepiła.

– Wygląda na to, że los oszczędził nam najgorszego – rzekła. – Spodziewamy się, że w miarę upływu czasu turystów będzie się pojawiało coraz więcej.

Leia kilka razy odetchnęła głęboko. Bardzo się starała zachować spokój.

– Może w takim razie trochę dalej na zachód od stolicy? – zapytała.

Przedstawicielka Ord Mantell odrzuciła jednak i tę propozycję. Zmierzyła rozmówczynię protekcjonalnym spojrzeniem.

– Bardzo żałuję, ale tamte tereny stanowią rezerwat manteliańskich savripów – oznajmiła. – Myśliwi z odległych planet czekają w kolejce nieraz wiele miesięcy na okazję i honor tropienia tych drapieżników.

Zrozpaczona Leia westchnęła.

– Czy naprawdę nikt spośród was nie zgłosi się na ochotnika?  
– zapytała, spoglądając po kolei na wszystkich uczestników zebrania.

Zgłosił się przedstawiciel Gyndiny i systemu Circarpous.

– Gyndina zgadza się przyjąć część uchodźców, przebywających obecnie na terenie „Koła Fortuny” – powiedział.

– Dziękuję panu – odparła Leia.

– Ruan także – odezwał się z dumą przedstawiciel Salliche Ag, Borert Harbright. – Ród Harbrightów nie opuści nieszczęśników w potrzebie.

Leia uśmiechnęła się ciepło do niego, ale uczyniła to jakby wbrew sobie. Salliche Ag była potężną i bogatą korporacją, władającą wieloma światami na obrzeżach Głębokiego Jądra galaktyki. Ruan i kilka innych światów idealnie nadawały się na założenie tymczasowych ośrodków dla przesiedleńców. W głosie hrabiego Harbrighta brzmiała jednak taka buta, że Leia natychmiast zrozumiała, iż musi się mieć na baczności. Z czarnych oczu mężczyzny wyczierała obłuda, a za uprzejmym uśmiechem kryła się dwulicowość.

Mimo to Leia i tak mu podziękowała.

– Wyrażam głęboką wdzięczność w imieniu Prezydium senatu i Senackiej Komisji do spraw Uchodźców, a także tysiący istot, których życie uratuje pańska szczodrość – powiedziała. Jeszcze raz powiodła spojrzeniem po twarzach uczestników zebrania. – Zapewne teraz inni zechcą podążyć w ślady pana hrabiego – dodała, może odrobinę bardziej cierpko niż powinna.

Kiedy w końcu ogłoszono przerwę na drugie śniadanie, Leia wstała i skierowała się do wyjścia z okrągłej sali. Spieszyła się, jak mogła. Nie chciała, by ktokolwiek spośród zebranych zaczął ją i zawracał głowę błahymi problemami. Na korytarzu czekał Olmahk, osobisty strażnik rasy Noghri. Obok niego niecierpliwiał się C-3PO.

– Mam nadzieję, że zebranie zakończyło się pomyślnie, pani Leio – odezwał się uprzejmie protokolarny android. Musiał przyspieszyć, żeby dotrzymać jej kroku.

– Na tyle, na ile można było się spodziewać – mruknęła rozgoryczona Leia.

Skierowali się do szybu turbowindy i zjechali na najniższy poziom rezydencji władz planety Ord Mantell. Kiedy jednak znaleźli

się w przestronnym i ostentacyjnie umeblowanym westybulu, Leia stanęła jak wryta. Wyglądało na to, że wszystkie androidy, jakie miała w zasięgu wzroku, kierowały się z niezwykłą szybkością ku któremuś spośród wielu wyjść z wielkiego gmachu.

– Co się tu dzieje? – zapytała.

– Nie mam najmniejszego pojęcia – przyznał strapiony Threepio. – Ale zaraz postaram się dowiedzieć.

Przebiegł pół westybulu i zastąpił drogę administracyjnemu androidowi z głową w kształcie odwróconej probówki. Automat typu 3D-4X musiał raptownie stanąć. Pośliznął się na wypolerowanej kamiennej posadzce; na szczęście jednak zdołał utrzymać równowagę. Obaj zaczęli rozmawiać w języku androidów tak szybko, że wyglądali jak dwa owady, dzielące się pośrodku wąskiego szlaku bardzo ważnymi informacjami.

Kilka chwil później Threepio odwrócił się jak użądłony i pośpieszył z powrotem do Leii i Olmahka. Stąpał sztywno i wymachiwał złocistymi rękami, jak zawsze, ilekroć przynosił niepomyślne wieści.

– Pani Leio, właśnie otrzymałem najbardziej przerażającą wiadomość! – oznajmił z wyraźnym przejęciem. – Wygląda na to, że istoty rasy Yuuzhan Vong obrały za następny cel ataku planetę Ord Mantell!

# ROZDZIAŁ

# 13

– Ten brutal mógł cię zabić, moja pani – odezwała się Vergere w tajnym języku, używanym przez sektę kapłanek-zwodzicielek. Opatrywała obrażenia, jakie zadał Elan skrytobójca.

Yuuzhanka odsunęła powierniczkę na bok. Chciała przejrzeć się w lustrze, które nieco wcześniej przyniósł Showolter.

– Ani na chwilę nie obawiałam się o życie – oznajmiła. – Bałam się tylko, czy nie wyrządzi krzywdy moim bo'tousom. Ten głupiec zadawał ciosy z taką siłą, że mógł uszkodzić stworzenia albo spowolnić ich rozwój.

Vergere przysiadła na wyginających się do tyłu nogach i nastawiła długie uszy.

– Czy myślisz, pani, że stało się im coś złego? – zapytała zatroskana.

Elan przesunęła dłonią po dolnej części torsu. Na jej twarzy pojawił się złośliwy uśmiech.

– Czuję, jak się rozwijają, Vergere – odrzekła. – Szepczą do mnie. Czekają na cztery wydechy, które je uwolnią. Odnoszę wrażenie, że niecierpliwą się... sposobią do akcji.

– One czy ty, moja pani?

Elan odwróciła głowę i spojrzała na powierniczkę.

– Jeżeli uwolnię szerzące śmierć toksyny, otrzymam wspaniałą nagrodę – przypomniała. – Wieść o moim wyczynie może dotrzeć nawet do uszu samego najwyższego lorda, Shimrri.

– Bez wątplenia – zapewniła ją Vergere. – Największą korzyść odniosą jednak członkowie twojej domeny.

Elan nie przestawała wpatrywać się w skośne oczy istoty.

– Nie bardzo wierzysz w to, że Harrar zdoła ocalić nas po tym, kiedy rozprawię się z rycerzami Jedi, prawda? – zapytała.

W wielkich oczach Vergere odmalowało się powątpiewanie. Prawdopodobnie z tego samego powodu zjeżyły się delikatne piórka z tyłu szyi.

– Wierzę, że Harrar uczyni wszystko, co tylko możliwe, żeby cię odnaleźć – odrzekła szczerze. – Od tej chwili jednak nie przyjdzie mu łatwo śledzić nasze ruchy. Po ataku skrytobójcy nasza sytuacja uległa istotnej zmianie. Teraz Showolter będzie nas przenoślił z miejsca na miejsce. W końcu znajdziemy się tak głęboko w przestworzach Nowej Republiki, że dotrzeć do nas nie zdoła nawet Nom Anor.

Chociaż sam odniósł bardzo poważne obrażenia, major Showolter nie przestawał otaczać ich troskliwą opieką. Ostatnio jednak dokładał wszelkich starań, aby nawet przypadkiem nie wymienić nazwy świata, dokąd zdecydował się je przetransportować. Elan wiedziała tylko, że planeta jest jeszcze bardziej zacofana i odległa niż ta, gdzie dotąd przebywały. Tuż po wylądowaniu zdołała tylko zaobserwować, że powierzchnię porastają gęste, chyba niemożliwe do przebycia lasy i że roślinie w nich pełno najdziwniejszych drzew, jakie kiedykolwiek widziała. Z urywków podsłuchanych rozmów wynikało, że planeta może poszczycić się co najmniej jednym niewielkim miastem. Wkrótce jednak stało się oczywiste, że Elan, Vergere i funkcjonariuszy Wywiadu Nowej Republiki zakwaterowano bardzo daleko od niego. Kapłanka pogłaskała porośnięte delikatnym puchem plecy swojej towarzyszki.

– Jeżeli obowiązek zmusi mnie do złożenia w ofierze własnego życia, pogodzę się z losem, moja droga – rzekła. – Wiem, że wtedy moja domena rozwinie się i rozkwitnie jak jeszcze nigdy do tej pory, a ojciec niewątpliwie awansuje do stopnia najwyższego arcykapłana.

– A bezwzględny Harrar przypisze sobie całą zasługę.

– To nie powinno nas interesować – oznajmiła Elan.

Vergere zaplotła ręce na torsie i kiwnęła wydłużoną głową.

– Pozostanę do samego końca u twojego boku, pani – obiecała.

Zachowując jak największą ostrożność, Elan zaczęła badać siniaki, pręgi i ślady, jakie na jej szyi pozostawiły mocarne paluchy skrytobójcy.

– Znam tego, którego przysłał Harrar – odezwała się w pewnej chwili. – Doskonalił swoje umiejętności pod nadzorem Shaiów.

Vergere przycisnęła palce do oczu i rozmasowała kilka łez w miejscach, gdzie na ciele Elan widniały największe rany i siniaki.

– Tej samej sekty, która dała początek Domenie Shai komandora Shedao? – zapytała.

– Tej samej – przyznała młoda Yuuzhanka. – Członkowie domeny Shai znajdują przyjemność w zadawaniu bólu dla samego bólu... sobie albo wszystkim innym, którzy mieli nieszczęście wpaść w ich łapy. Shaiowie uważają, że w życiu nie istnieje inny cel oprócz zadawania bólu. Ból jest dla nich celem samym w sobie. Jest początkiem i końcem sensu życia. – Westchnęła z wyraźną ulgą. – Twoje łzy przynoszą niezwykle ukojenie, moja droga.

Vergere nie przestała zajmować się obrażeniami kapłanki.

– Harrar chciał tylko przekonać naszych wrogów, że jesteś kimś bardzo ważnym, wyjątkowym, moja pani – odezwała się w pewnej chwili. – Jeżeli o to chodzi, postąpił niezwykle przezornie. Lepiej, żeby Nowa Republika uważała, iż Yuuzhanie są niesforni i krnąbrni raczej niż rozsądni.

Elan kiwnęła głową, ale nie powiedziała ani słowa.

Niektórzy uważali, że Vergere przysłała na świat w wyniku eksperymentów genetycznych, do jakich istoty rasy Yuuzhan Vong wykazywały zawsze pociąg i talent. W rzeczywistości jednak egzotyczną istotę przydzielono dwa pokolenia wcześniej wojownikom głównej floty. Zdecydowali tak członkowie jednej z pierwszych grup zwiadowczych, badających galaktykę, w której rodzili się rycerze Jedi. Zwiadowcy przywieźli na pokłady światostatków dziesiątki pochwyconych istot różnych ras i płci – ludzi, Verpinów, Talzów i wielu innych. Niemal wszystkich poddano wyczerpującym badaniom albo złożono w ofierze. Pojedynczych więźniów jednak przydzielono do zabawy albo do towarzysstwa dzieciom najwyższych dostojników. Jedną z takich obdarowanych osób była Elan, najmłodsza córka doradcy najwyższego lorda Shimrry. Niektórzy uważali, że umiejętności Vergere czynią z niej świętą istotę. Upłynęło wiele lat, podczas których światostatki przemierzały pustkę międzygalaktycznych przestworzy, a Elan poddawała się rygorystycznemu i wyczerpującemu szkoleniu w zakonie kapłanek-zwodzierek. Cały ten czas Vergere była jej nieodłączną towarzyszką, powierniczką i przyjaciółką, a czasami nawet nauczycielką.

– Czy radujesz się, że nareszcie powróciłaś do istot swojej rasy? – zapytała pozornie obojętnym tonem Elan.

– Trudno byłoby je uznać za istoty mojej rasy, pani – odparła powierniczka.

- A więc do swojej rodzimej galaktyki? – nalegała Yuuzhanka. W wielkich oczach istoty pojawiły się figlarne błyski.
- My, Foshanie, nigdy nie czuliśmy się tu jak w domu – odrzekła.
- Tworzyliśmy zbyt mało liczną grupę. Istoty ludzkie wypełniły wszystkie możliwe szczeliny procesu ewolucji. Prawdę mówiąc, skazały moją rasę na zagładę. Dopuścili, żebyśmy wyginęli. A przecież żadne z nas nie wyrządziło im żadnej krzywdy. Moi ziomkowie starali się żyć w pokoju. Zajmowaliśmy niewielką niszę ogromnego kontinuum.
- Ale zachwycasz się ich jedzeniem.
- Ach, jedzenie... – Vergere wybuchnęła beztroskim śmiechem.
- To zupełnie co innego.
- Elan spoważniała.
- Mogłabyś wyjawić Showolterowi całą prawdę – powiedziała. – Dzięki temu wróciłabyś do swoich.
- Vergere ujęła ozdobioną tatuażem dłoń Elan i pieszczotliwie ją pogłaskała.
- Jestem twoją powierniczką, pani – odrzekła. – Gdyby nie ty, zostałabym zabita, zamęczona albo złożona w ofierze. Zawdzięczam ci życie. Pozostaniemy razem, dopóki jedna z nas nie zginie.
- Elan demonstracyjnie głośno westchnęła.
- Bez względu na to, co mówisz albo chcesz wyjawić, znasz te istoty lepiej niż ktokolwiek inny... nawet Nom Anor.
- Vergere pokręciła głową.
- Egzekutor uznał poznanie ich za cel życia – przypomniała. – Poprzysiągł, że nie spocznie, dopóki nie pozna ich lepiej niż one znają siebie. My zaś, istoty rasy Fosh, o wiele większą uwagę poświęcamy ukrywaniu tego, kim jesteśmy.
- A zatem moja droga – zaczęła kapłanka – chociaż twierdzisz, że wiesz tak niewiele, powiedz mi jedno. Czy Showolter i kobiety, które nas odwiedzały, chwycili przynętę?
- Gdybym uczestniczyła w ich naradach, może wiedziałabym to na pewno – odparła Vergere. – Niewątpliwie poświęcenie i zapał, z jakimi skrytobójca usiłował wykonać zadanie, pomogły rozproszyc wątpliwości, jakie początkowo żywił względem nas Showolter.
- Elan spoważniała.
- To prawda – przyznała. – Troszczy się teraz o nas jak nigdy do tej pory.
- Ponieważ oczarowałaś go, moja pani – stwierdziła powierniczka. – Podobnie jak wszystkich.

– Spodziewałam się, że powiesz coś takiego, moja droga – mruknęła Yuuzhanka. – Uważasz zatem, że spełnią moją prośbę i umożliwią mi spotkanie z rycerzami Jedi?

– Jeszcze za wcześnie, by to wiedzieć, pani – zauważyła Vergere. – Może gdyby komandor Tla uznał za słuszne pozwolić, żeby wojownicy Nowej Republiki odnieśli jedno albo dwa zwycięstwa, uwierzyliby w twoje informacje i pozwolili ci zobaczyć się z Jedi.

Elan umilkła na chwilę.

– Znałaś ich, kiedy tu mieszkałaś? – zapytała w końcu.

– Jak ci wspominałam, pani, staraliśmy się żyć na uboczu i nie rzucić w oczy, ale, rzecz jasna, znaleźliśmy rycerzy Jedi. W tamtych czasach żyło ich wielu. Zdumiałam się, kiedy przylecieliśmy tu i stwierdziłam, że teraz jest ich tylko kilkoro. – Przerwała na chwilę. – Dziękuję ci, moja pani, że nie wyjawiałaś Harrarowi prawdy o moim pochodzeniu i przeszłości.

Elan się uśmiechnęła.

– Czy kiedykolwiek byłaś świadkiem, jak rycerze Jedi posługują się Mocą? – zapytała.

– Jedi twierdzą, że Moc otacza nas wszystkich... że przenika wszystko, co żyje – odparła Foshanka. – Jeżeli więc uznać, że to prawda, odpowiedź brzmi: tak. Jestem przekonana, że byłam świadkiem oddziaływania Mocy.

– Może istoty rasy Yuuzhan Vong skorzystają, jeżeli także nauczą się nią posługiwać? – zapytała kapłanka.

Vergere zastanawiała się kilka chwil, zanim odpowiedziała.

– Moc to broń obosieczna, moja pani – odezwała się w końcu. – Jeżeli ktoś używa jednego ostrza, może odnieść zwycięstwo. Musi jednak uważać, aby nie zabiło go drugie. Nie może pozwolić sobie nawet na chwilę nieuwagi. Nie wolno mu myśleć o niczym innym. W przeciwnym razie straci wszystko, co dotąd udało mu się osiągnąć. – Spojrzała na Elan. – Rzeczywiście, istoty rasy Yuuzhan Vong skorzystałyby, gdyby uświadomiły sobie istnienie Mocy. Jednak nie wszystkie mogłyby się nią posługiwać. Taką bronią byłiby zdolni władać tylko ci, którzy mają dość siły, by ją unieść, i dość rozsądku, żeby wiedzieć, kiedy z niej skorzystać.

„Erinnic” – gwiazdny niszczyciel klasy Imperial II – unosił się w przestworzach między dwoma księżycami. Oba miały podobną wielkość i krążyły wokół planety Ord Mantell w niewielkiej

odległości jeden od drugiego. Z dziobowych hangarów okrętu wylatywały eskadry X-skrzydłowców typu T-65A3, maszyn typu E i myśliwców TIE.

– Wszystkie eskadry opuściły bazę – zameldował w pewnej chwili marynarz pełniący służbę na mostku, w jednej z wnęk poniżej biegnącego środkiem pomostu dowodzenia. – Piloci kierują się na wyznaczone stanowiska.

– Niech Moc będzie z wami – pozdrowił ich wiceadmirał Ark Poinard, korzystając z ogólnego kanału łączności.

Kątem oka dostrzegł, że na pomarszczonej i pooranej bruzdami twarzy generała Yalda Sutela – niegdysiejszego przeciwnika, ale podczas wojny z Yuuzhanami sprzymierzeńca – pojawił się wymuszony uśmiech.

– Jakiś problem, panie generale? – zapytał, odwracając się do niego i unosząc krzaczastą siwą brew.

Sutel zrobił niezbyt mądrą minę. Pokręcił głową, ale nie przestał się uśmiechać.

– Nie, nic takiego – odparł. – Tylko nie mogłem się powstrzymać. Wciąż jeszcze dziwię się, kiedy słyszę to z pańskich ust.

Poinard parsknął.

– Może pan wierzyć albo nie – zaczął – ale mówiłem tak do siebie, jeszcze kiedy z hangarów tego okrętu startowały wyłącznie myśliwce TIE.

– Nigdy w to nie uwierzę – oznajmił Sutel.

– Nie zdradzałem się z tym, ale zawsze darzyłem Moc wielkim poważaniem – wyznał wiceadmirał.

Założywszy ręce za plecami, obaj weterani przechadzali się półkolistym pomostem, biegnącym po obwodzie mostka, pod iluminatorami w kształcie trapezów. W wyniku zawartego między Nową Republiką a Szczątkami Imperium kompromisu, Poinard zachował honorowy tytuł dowódcy okrętu flagowego, a Sutela mianowano dowódcą grupy szturmowej.

Spośród tworzących małą flotę szesnastu jednostek, kilka eskortowało i chroniło „Erinnica”. Większość jednak – a wśród nich kalamariański szturmowy krążownik klasy Mediator, dwa lotniskowce klasy Quasar Fire, trzy fregaty eskortowe i pięć kanonierek klasy Ranger – zajęła stanowiska nad oświetloną stroną powierzchni piątej planety systemu. Każdy okręt, którego dowódca zamierzałby dokonać skoku do systemu od strony opanowanych przez Yuuzhan rejonów przestworzy, musiałby przelatywać między planetą

a Rubieżami. Dowódcy okrętów Nowej Republiki spodziewali się, że w miejscu, które wybrali na kryjówkę, ich jednostki pozostaną niewidoczne do ostatniej chwili.

Poinard przystanął przed najbardziej wysuniętym ku dziobowi stanowiskiem kontrolnym. Pochylił się i zagadnął panią technik, pełniącą służbę przy jednej konsolocie.

– Dzieje się tam co ciekawego?

Kobieta rzuciła okiem na przyrządy pomiarowe.

– Zaprzeczam, panie admirale – powiedziała. – Wszyscy wysłani zwiadowcy meldują, że panuje spokój.

– Wygląda na to, że taktycy admirała Sovva wysłali nas na poszukiwania wiatru w polu – odezwał się półgłosem Poinard, zwróciwszy głowę w stronę generała.

– Nie, dostaliśmy tę informację z Wywiadu – odparł równie cicho Sutel, nie przestając wpatrywać się w iluminator.

– To jeszcze gorzej – mruknął wiceadmiral. – Ord Mantell nie ma dużego znaczenia pod względem strategicznym.

Sutel w końcu oderwał spojrzenie od usianych punkcikami gwiazd przestworzy i popatrzył na Poinarda.

– A Ithor miał? – zapytał. – A Obroa-skai? Wojownicy rasy Yuuzhan Vong toczą z nami psychologiczną wojnę. Kto jak kto, ale pan powinien wiedzieć to najlepiej. Czy to nie pański brat służył kiedyś jako dowódca oddziału robotów kroczących AT-AT?

– Transportery opancerzone pełniły bardzo ważne funkcje na polu walki – obruszył się wiceadmiral.

– Jako mało skuteczna broń, której głównym celem było sianie przerażenia – stwierdził Sutel. – To chyba oczywiste, że Yuuzhanie chcą sterroryzować nas w podobny sposób. Zamierzają nas pokonać, demoralizując albo osłabiając wolę walki.

– Ale Ord Mantell? – zapytał z powątpiewaniem Poinard. – Zdemoralizują tam tylko turystów i szulerów...

– Panie admirale! – przerwała mu kobieta pełniąca służbę na niższym poziomie, we wnęce dla operatorów. – Zwiadowcy meldują, że z nadprzestrzeni wyskakują jednostki nieprzyjaciół. Ograniczają prędkość. Cechy charakterystyczne budowy i systemów napędowych dowodzą, że mamy do czynienia z Yuuzhanami.

Poinard odwrócił się i pochylił nad zagłębieniem usytuowanym po przeciwnej stronie biegnącego środkiem pomostu dowodzenia. Dyżurujący tam technicy starali się ocenić stopień zagrożenia. Ich komputery zaczęły porozumiewać się w języku maszyn.

– Ogłosić alarm bojowy – rozkazał. – Wolni od służby mają pozostawać w swoich kwaterach. Włączyć silniki napędu podświetlnego i skierować okręt w pobliże księżycy numer dwa. – Wyprostował się, odwrócił i przeszedłszy kilka kroków, stanął nad drugim zagłębieniem. Pochylił się nad kobietą przy kontrolnej konsolcie.

– Ile okrętów? – zapytał.

– Jedenaście, panie admirale – zameldowała techniczka. – Dwa odpowiedniki naszych korwet, pięć odpowiedników fregat, trzy odpowiedniki lekkich krążowników i jeden odpowiednik okrętu liniowego.

Do rozmowy przyłączył się młodszy stopniem oficer, który cicho jak duch stanął za plecami obu dowódców.

– Panie admirale, panie generale – zaczął służyć – dowódcy skrzydeł meldują, że ich piloci zakończyli zajmować wyznaczone pozycje. Czekają na rozkaz ataku. Technicy ze stanowiska taktycznego mostka meldują, że wszystkie systemy są sprawne i gotowe do akcji.

– Wygląda, że przynajmniej tym razem siły są wyrównane – stwierdził generał po chwili.

– Z wyjątkiem jednego drobiazgu, który daje nam przewagę – zauważył Poinard. – Tamci nie wiedzą, że się ich spodziewamy.

# ROZDZIAŁ

## 14

Han oparł się ramieniem o pordezwiąła pręty ciasnej więziennej celi i zaczął delikatnie masować obolałą kostkę serdecznego palca prawej dłoni.

– To była pierwszorzędna walka – odezwał się po chwili. – Już dawno się tak dobrze nie bawiłem.

Fasgo i Roa siedzieli na bardzo brudnej podłodze, oparci plecami o równie poplamioną ścianę. Pierwszy miał zabawnie opuchnięte prawe ucho; drugi wyglądał, jakby nie odniósł poważniejszych obrażeń.

– Narobiliśmy nielicznego bałaganu – radośnie szczerząc zęby, zgodził się z nim Roa.

Fasgo delikatnie pogłaskał czubek nosa.

– Mam wrażenie, że jest złamany – mruknął.

Roa klepnął byłego agenta do spraw podatków i ceł po ramieniu.

– Następnym razem pamiętaj, że najlepszą obroną bywa trzymanie się w przyzwoitej odległości – doradził. – Przynajmniej poza zasięgiem wymachujących rąk.

– Przykro mi tylko, że ten drażgał nie wyzionął ducha – odezwał się Fasgo.

– Daj mu jeszcze trochę czasu – odparł głośno Solo. Spojrzał znacząco na trzech Trandoshan, zajmujących celę dokładnie naprzeciwko nich, po drugiej stronie przejścia.

Rudowłosa mężczyzna zbliżył do siebie kciuk i palec wskazujący, tak że dzieląca je odległość zmalała do mniej więcej centymetra.

– Tamto krzesło chybiło go o tyle – powiedział.

– O prawdziwym pechu może mówić ten biedak Bith, który siedział przy następnym stole – przypomniał Han.

– Jasne, my za to mamy szczęście – wtrącił się Roa. – Myślał, że rzucił je któryś z Trandoshan.

Fasgo kiwnął głową.

– Jak to dobrze, że ci balonogłowi goście opowiedzieli się po naszej stronie – zauważył. – Bardzo przydała się nam ich pomoc.

– Nie tak głośno! – szepnął były przemytnik. – Ich także tu zamknęli, dwie cele dalej.

Fasgo machnął ręką.

– Wsadzili chyba wszystkich, którzy przebywali wtedy w „Końcu Zakładów”. – Spojrzał na Hana i wybuchnął śmiechem. – Dokonałiśmy naprawdę niezwykłej sztuki.

– Ta-a, trochę pomogli nam strażnicy. – Solo zachichotał. – Nic dziwnego, że władze porządkowe „Koła” nie zezwalają na noszenie uzbrojonych blasterów.

Nagle rozległ się głośny pisk i nie smarowane od dawna drzwi więziennego bloku stanęły otworem. Chwilę później przed kratą ich celi pojawił się krzepki strażnik w szarym mundurze.

– W porządku, cwaniaki – odezwał się gderliwie. – Wynocha z celi. Jesteście wolni.

Han, Roa i Fasgo wymienili zdumione spojrzenia.

– Myślałem, że wyjdziemy za kaucją dopiero po rozprawie? – zdziwił się siwowłosy mężczyzna.

– Nie będzie żadnej rozprawy – burknął strażnik. – Musicie mieć wysoko postawionych przyjaciół.

Roa spojrział na Hana.

– Chyba jednak ktoś wie, że tu przyleciałeś, „Roaky Laamu” – powiedział. – Pamiętasz, ten Trandoshanin rozpoznał cię bez trudu.

Han doszedł do wniosku, że to możliwe. Wiadomość rozniosła się lotem błyskawicy i ktoś powiadomił Leię.

Drzwi odsunęły się na bok i wszyscy trzej wyszli. Solo podszedł do celi Trandoshan, ale przystanął na tyle daleko, żeby żaden jaszczur nie dosięgnął go pazurami.

– Musimy to powtórzyć, chłopaki – powiedział, lekko się uśmiechając. – I to szybko.

– Możesz być tego pewien, Solo – wychrypiał Bossk.

Strażnik zaprowadził ich do części administracyjnej, zwrócił rzeczy i wskazał drogę do wyjścia.

– Jeżeli jeszcze raz tu traficie – ostrzegł – pożałujecie tego. Tym razem żaden przyjaciel wam nie pomoże.

– Uroczy gość – mruknął Roa.

Han musiał przyznać mu rację.

– Prawdopodobnie dorabia po godzinach jako urzędnik, który rejestruje przylatujące statki – stwierdził cierpko.

Zaledwie byli więźniowie stanęli na taśmie ruchomego chodnika, obok nich wyrósł ugrzeczniomy Aqualishanin.

– Roa, Fasgo i Roaky Laamu – odezwała się istota w basicu, nieco zniekształconym zapewne z powodu zakrzywionych do wewnątrz kłów. Ton jej głosu wskazywał, że to nie miało być pytanie. – Mój mocodawca chciałby mieć przyjemność gościć panów w swojej rezydencji.

– Szef B – przypomniał Hanowi szeptem Roa. – Ten, który może mieć dla nas ważną informację.

Fasgo przełknął ślinę.

– Czyżbyśmy o niego rozpytywali? – zapytał Han teatralnym szeptem. – Nie przypominam sobie, żebyśmy chociaż raz próbowali.

Aqualishanin, który nazywał się Quara, rozłożył ręce i rozczepił palce.

– Dajcie spokój, panowie – powiedział. – Z pewnością możecie poświęcić kilka chwil na spotkanie z kimś, komu zawdzięczacie wyjście z więzienia.

Zaskoczeni mężczyźni wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– No cóż, w takim razie... – zaczął niepewnie Solo. – Prowadź!

Wszyscy czterej wsiedli do repulsorowej limuzyny i przecięli mniej więcej dziewięćdziesięciostopniowy łuk „Koła Fortuny”. Czasami musieli zbaczać z kursu, żeby ominąć gromady statków z przynębionymi i zrozpaczonymi uchodźcami na pokładach. Kunsztownie zdobionych wrót rezydencji Szefa B pilnowali mrukliwi i niezbyt rozgarnięci gamorrekańscy strażnicy, a w przestronnej i luksusowo urządzonej poczekalni aż roilo się od pochlebców, petentów, lokajów i najróżniejszych obiboków. Na dostosowujących się do kształtów ciała otomanach spoczywały w uwodzicielskich pozach dwie Twi’lekianki. Ubrane tylko w skąpe, siatkowe kostiumy kąpielowe, delikatnie gładziły długie głowoogony. Przy jakimś stoliku siedzieli, zajęci grą w laro, Rodianin, Kubaz, Whipid i dwaj Weequayowie. W jednym z kątów znudzony Bith wygrywał gamy na wysmukłym rogu.

Aqualishanin wprowadził Hana i jego towarzyszy do głównego salonu i szerokim gestem zaprosił do zajęcia miejsc w ogromnych luksusowych fotelach. zaproponował, że przyniesie coś do picia. Han jednak nie skorzystał z zaproszenia i nie usiadł.

– Zachowaj gizerskie dla gości „Końca Zakładów” – zasugerował ciepły, dźwięczny baryton, który rozległ się nagle w wielkim pomieszczeniu. Han drgnął, ale nigdzie nie zauważył mówiącej osoby. – Poczęstuj ich Rezerwą Whyrena.

Fasgo natychmiast się rozpromienił.

– Czegoś takiego nigdy nie odmówię – powiedział.

– Niech będą dwa – dodał szybko Roa, uśmiechając się do Aqualishanina.

– Trzy – poprawił go po chwili wahania Solo.

Starął się zorientować, gdzie może się znajdować źródło niskiego głosu. Całą jedną ścianę ogromnego salonu zajmowały płaskie ekrany. Często zmieniające się na nich obrazy przedstawiały fragmenty wielu sekcji „Koła Fortuny”. Na jednym z nich Han rozpoznał posterunek imigracyjny, gdzie młody urzędnik unieszkodliwił jego blaster.

– Proszę, rozgośćcie się – zahuczał ten sam ciepły baryton.

Han zastanawiał się, czy skorzystać z propozycji, ale w następnej chwili pojawiły się szklanice wypełnione bursztynową koreliańską whisky.

– Na zdrowie! – powiedział, stawiając na podłodze podróżną torbę i unosząc szklankę w powietrze ku niewidocznemu gospodarzowi.

– Nasze kawalerskie! – zawtórował Roa, także unosząc swoją whisky.

– Wasza reputacja dotarła do nas wcześniej niż wy, panowie – zabrzmiał głos.

Fasgo przeciągnął po wargach wierzchem dłoni.

– Jeżeli ma pan na myśli tę awanturę w „Końcu Zakładów” – zaczął – to niezupełnie nasza wina. Za większość szkód i strat odpowiadają Trandoshanie...

– A częściowo ja – przerwał mu Szeff B. – To ja ich do tego nakłoniłem.

– Pan? – zapytał zdumiony Han. – Dlaczego?

– A jak inaczej mógłbym mieć pewność, że skorzystacie z mojego zaproszenia, niż wydając polecenie, aby uwolniono was z więzienia?

– Niczego nie rozumiem – przyznał oszołomiony Solo.

W wielkim salonie zadudnił śmiech Szefa B.

– Rozkazałem, aby mnie informowano, ilekroć do „Koła Fortuny” przylatują osoby, cieszące się wyjątkową sławą albo niesławą. Tak było w twoim przypadku, Roa. Wyobraźcie jednak sobie moje zdumienie, kiedy skorzystałem z identyfikujących programów i stwierdziłem, że towarzyszy ci nie kto inny jak sam Han Solo.

Na dźwięk słynnego nazwiska, wszyscy służący i lokaje odwrócili głowy. Han dopił trunek jednym łykiem i odstawił – niezbyt delikatnie – drogocenną szklanę.

Szef B wybuchnął gromkim śmiechem.

– Muszę ci powiedzieć, Solo – zaczął – że spodziewałem się zobaczyć młodszego mężczyznę.

– No cóż, kiedyś byłem młodszy – oznajmił Han, rozglądając się po przestronnym salonie.

– Ja także – przyznał Szef B. – Tak czy owak, kiedy się dowiedziałem, że zmierzasz do „Końca Zakładów”, w którym już przebywał Bossk i jego kompani, po prostu dałem znać Trandoshaninowi, że niedługo w lokalu pojawi się jego dawny rywal. Łatwo było się domyślić, jak dalej potoczą się wydarzenia.

– Właśnie tak pojmujesz gościnność? – zadrwił Han.

– Daj spokój, Solo – obruszył się Szef B. – Sam powiedziałeś, że już dawno tak się dobrze nie bawiłeś.

Han parsknął.

– Zamierzasz się nam pokazać czy chcesz, żebyśmy pobawili się w zgadywanę „czy to głos?” – zapytał, lekko zirytowany.

Niespełna trzy metry przed nim w powietrzu coś załśniło i masywne pole zaczęło zanikać. Wkrótce pojawiła się osoba, która mogła się zrodzić ze związku istoty ludzkiej i Hutta. Istota człekokształtna o błękitnofioletowej skórze stała na dwóch podobnych do pni drzew, masywnych nogach – zapewne z pomocą implantowanych cewek repulsorowych. Miała rozmiary młodego Hutta, a jej głowa nie zmieściłaby się w otworze normalnego wjazdu. Okrągła, symetryczna twarz wyglądała jak oblicze człowieka, ale wszystkie charakterystyczne cechy rywalizowały z pozostałymi o palmę pierwszeństwa pod względem wielkości. Błyszczące i trochę wyłupiaste oczy wyglądały jak niewielkie spodki, nos przypominał spłaszczony dysk, a gęste, szczeciniaste szare wąsy niemal całkowicie zasłaniały mięsiste usta. Głowę wieńczyły rozwichrzone, ciemnoszare bujne włosy, które wyglądały jak opuszczone gniazdo ptaka. Gigantyczne

różowe uszy kołysały się przy każdym ruchu niczym skrzydła. W oszpeconych czerwonawymi plamami paluchach jednej dłoni tliła się gruba cygarra z korzenia chak.

Na widok istoty Han o mało nie spadł z fotela.

– Wielki Bunji?

Gigantyczny humanoid parsknął rubasznym śmiechem. Przy okazji wypuścił z ust chmurę aromatycznego dymu.

– SzeF Bunji, Hanie – powiedział.

Roa szeroko się uśmiechnął.

– Zdumiewające, że nigdy się nie spotkaliśmy – zaczął – jeżeli zważyć na fakt, że mieliśmy tylu wspólnych znajomych na Etti Cztery i pozostałych planetach Sektora Wspólnego. Miło mi cię poznać po tylu latach. – Gestem wskazał przyjaciela – A to jest Fasgo.

Bunji przeniósł spojrzenie na rudowłosego weterana gwiazdnych szlaków.

– Tak, wiem – powiedział. – Drobne oszustwa, jakie popełnił na pokładach „Koła”, ani razu nie uszły mojej uwagi.

Starszawy mężczyzna z wysiłkiem przełknął ślinę, ale nie powiedział ani słowa.

Han cały czas kręcił głową. Wyglądało na to, że wciąż jeszcze nie może uwierzyć własnym oczom.

– Chyba umieram, bo przed oczami zaczyna mi przelatywać całe życie – odezwał się w końcu, spoglądając na Bunjego i szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. – Nie zdziwiłbym się, gdyby nagle pojawił się tu Ploovo Dwa-Na-Jeden.

– Zapewniam cię, Hanie, że gdyby pojawił się tu Ploovo, nie powitałby cię z otwartymi ramionami – stwierdził SzeF Bunji. – Choć przeszedł wiele operacji plastycznych, nie zdołał się pozbyć z nosa blizn po ugryzieniach dinka, którego tak sprytnie podsunąłeś mu w „Swobodnym Locie”. Prawdę mówiąc, jeszcze długo potem wypłacał ogromne sumy każdemu, kto przynosił mu dinka, żywego czy zabitego. We wszystkich pomieszczeniach jego domów, biur i gwiazdnych statków roi się teraz od wypchanych dinków. Ploovo posunął się nawet do tego, że nosił przynoszącą szczęście bransoletę, sporządzoną wyłącznie z pazurów tylnych łap i kłów tych drapieżników. Przypuszczam, że w znacznej mierze przyczynił się do niemal całkowitego wyginięcia tego gatunku.

Han zmarszczył brwi.

– Przykro mi to słyszeć, ale nigdy nie przepadałem za osobnikami, którzy usiłowali pozbawić mnie tego, co moje – powiedział.

Bunji ponownie wybuchnął śmiechem – tak donośnym, że za-  
drżały ściany i przepierzenia salonu.

– Sam się o tym przekonałem – powiedział, kiedy trochę spo-  
ważniał.

– A zatem nie masz mi za złe, że kiedyś ostrzelałem kopułę  
ciśnieniową twojej mieszkalnej asteroidy?

– Wcale a wcale – przyznał pogodnie Bunji. – Zasłużyłem na  
to, co mnie spotkało. Nie powinienem był cię oszukiwać i pozba-  
wiać części zapłaty za transport korzeni chak na Gaurick.

– Z ust mi to wyjąłeś. – Han roześmiał się z ulgą. – Kazałeś  
naprawić „Sokoła” po tym, co przydarzyło mu się na Gauricku, ale  
potrąciłeś koszty naprawy z tego, co byłeś mi winien. To właśnie  
dlatego musiałem zwrócić się do Ploova z prośbą o pożyczkę.

Bunji się roześmiał, a Hana owionęło ciepło jego oddechu.

– Cóż, całe życie się uczymy, Hanie – powiedział. – Z pewno-  
ścią wiesz, że ci wybaczyłem. Prawdę mówiąc, mam względem cie-  
bie olbrzymi dług wdzięczności za to, czego dokonałeś na Tatoonie.  
– Wykonał zamaszysty gest pulchną ręką. – Można powiedzieć, że  
swoje istnienie zawdzięcza ci większa część tej stacji.

Han dźgnął się wskazującym palcem w piersi.

– Za to, czego ja dokonałem na Tatoonie? – powtórzył.

Bunji zaciągnął się dymem z cygarry i wyszczerzył zęby w sze-  
rokim uśmiechu.

– Ścisłej mówiąc, za to, czego dokonała twoja żona – ciągnął  
po chwili. – Widzisz, Hanie, usiłowałem kiedyś przenieść swoją bazę  
na Tatoonie, ale zostałem przepędzony przez Jabbę. Hutt nie zado-  
wolił się tylko tym, ale w ciągu kilku następnych lat niemal całkowi-  
cie pozbawił mnie dopływu gotówki. Jego śmierć otworzyła przede  
mną nowe możliwości. Mogłem zacząć odbudowywać podstawy  
swojej władzy, chociaż musiałem się zadowalać istotami pokroju  
lady Valarian i jej podobnymi. Jednak kilka sprytnych transakcji,  
jakie udało mi się zawrzeć w czasach wielkiego admirała Thrawna,  
pozwoiliło mi znów stanąć na nogi. A potem, zaledwie rok temu,  
nakazałem w pobliskim systemie skonstruować „Koło” i przyholo-  
wałem je w przestworza planety Ord Mantell.

– „Koło” należy do ciebie? – zdziwił się Solo.

– Większa część – przyznał Bunji. – Niewielki udział w nim  
ma także Hutt Borgia. Gdyby tylko Nowa Republika zrobiła coś  
z tymi Yuuzhanami...

Han spoważniał.

- Niektórzy z nas starają się zrobić coś w tej sprawie, Bunji.
- Czy właśnie dlatego przyleciałeś tu, podając się za kogoś innego?
- Han i ja staramy się wytropić byłego przyjaciela – wyjaśnił

Roa.

Bunji z zainteresowaniem przekrzywił głowę.

– Wytropić?

– Albo dowiedzieć się, gdzie przebywa – dodał Han. – Wszystko zależy od tego, co nam powie, kiedy go już odnajdziemy.

– Kogo szukacie?

– Nazywa się Reck Desh.

Bunji umilkł i dłuższy czas się nie odzywał. Zaciągnął się dymem z cygarry i wypuścił pod sufit gigantyczne kółko.

– Dlaczego go szukacie? – zapytał w końcu.

– To długa historia – odrzekł Solo. – Chyba nawet dłuższa niż twoja.

Bunji pokiwał wielką głową.

– Na twoim miejscu, Hanie, nie spieszyłbym się z szukaniem Recka Desha – powiedział.

Han pochylił się do przodu tak daleko, że musiał oprzeć łokcie na kolanach.

– A to niby dlaczego? – zapytał.

– Upłynęło mnóstwo lat i od tamtych czasów wiele się zmieniło – zaczął Bunji. – Różni goście robią teraz rzeczy, które kiedyś nie przyszłyby do głowy nikomu, nawet draniom pokroju Bosska.

– Jakie rzeczy?

– Zdradzają informacje na temat planetarnych systemów obronnych albo porywają całe transporty uchodźców, a później przekazują nieszczęśników w łapy Yuuzhan Vongów, żeby ci mieli kogo składać w ofierze.

Han zacisnął zęby. Okazało się jednak, że Bunji jeszcze nie skończył.

– Reck zadaje się ze zgrają łobuzów i najemników – ciągnął po chwili. – Nazwali się Brygadą Pokoju i pozostają w zмовie z Yuuzhanami. Szerzą nienawiść do rycerzy Jedi i destabilizują systemy planet, które mają być podbite. Nierzadko nawet nakłaniają przedstawicieli władz do poddawania swoich światów bez walki.

– Nie wiesz przypadkiem, gdzie w tej chwili może przebywać Reck? – zapytał rzeczowo Han.

– Ostatnio poinformowano mnie, że Brygada Pokoju prowadzi działalność w Przestworzach Huttów, ku przerażeniu i wściekłości

Borgi – odparł Bunji. – Gdybyś chciał, mógłbym dowiedzieć się czegoś więcej.

Korelianin obrzucił go sceptycznym spojrzeniem.

– Dlaczego miałbyś mi pomagać? – zapytał.

Bunji wzruszył ramionami.

– Jak powiedziałem, jestem twoim dłużnikiem. A jeżeli nie wystarczy ci ten powód, robię to dla Wooka. Kiedy się dowiedziałem, jak zginął, o mało nie dostałem ataku serca. Oddałbym wszystko, żeby moim partnerem był ktoś taki jak Chewbacca.

Zanim Han zdążył odpowiedzieć, rozległo się zawrodożenie alarmowych syren. Oświetlenie luksusowego salonu przygasło i zaczęło migotać. Nagle, bez ostrzeżenia, „Koło Fortuny” zdrząło, jakby pchnięte palcem kolosalnej dłoni. Jeden z podwładnych Bunjego pospieszył do najbliższego terminala systemu komputerowego. Wysłał polecenie wyświetlenia informacji o tym, co się dzieje.

– Atakują nas Yuuzhanie! – wykrzyknął po chwili.

Wszystkie obce istoty i ludzie zerwali się na równe nogi. Pobiegli w stronę wyjść z salonu, szukając kryjówek albo schronów. Ktoś usiłował się ukryć nawet wewnątrz staromodnego kredensu, gdzie Bunji przechowywał Rezerwę Whyrena i inne drogocenne trunki. Han i Fasgo przypadkiem weszli w drogę ogarniętemu paniką Whiphidowi. Potrąceni, runęli na podłogę.

Roa schwycił Hana pod pachy, szarpnął i postawił na nogi. Bunji i niektórzy spośród jego świty właśnie znikali w ogromnym otworze drzwi, jakie otworzyły się przed nimi w przeciwległej ścianie salonu. Han przerzucił podróżną torbę przez ramię, ale zanim, potykając się, dobiegł do otworu, ten zamknął się tuż przed jego nosem.

– Do „Radosnego Sztyletu”! – krzyknął Roa spod drzwi wiodących do opustoszałej poczekalni. – Nie zamierzam przebywać wewnątrz „Koła”, kiedy Yuuzhanie zaczną toczyć je z góry!

# ROZDZIAŁ

# 15

Mając za plecami żółte słońce planety Ord Mantell, kapitanowie okrętów grupy szturmowej Nowej Republiki przystąpili do działania. Rozkazali wylecieć spoza tarczy piątej planety i otworzyć ogień ze wszystkich dział do nieprzyjaciół. Równocześnie zza zębatej krawędzi księżycy wyłoniły się eskadry gwiazdnych myśliwców. Piloci lecieli, aby rozpocząć walkę z przeciwnikami. Blask, bijący z dysz jonowych silników, rozpraszał ciemności przestworzy.

Artylerzyści baterii dział kalamariańskiego szturmowego krążownika i eskortowych fregat namierzili odległe cele i rozpoczęli ostrzał jednostek wroga. W przestworza pomknęły błyskawice laserowych strzałów. Wyglądały w próżni jak rozjuszone przecinki i myślniki. Dotarły do oddalonych celów. W ciemnościach przestworzy rozbłysły zachodzące na siebie ogniste kule. Było ich chyba więcej niż dzikich kwiatów na łące.

Kapitanowie yuuzhańskich okrętów – o dziobatych kadłubach z koralu yorik albo powierzchniach składających się wielu faset – poradzi sobie bez trudu z pierwszymi salwami. Polecili dowin basalom, aby otoczyły ich jednostki ochronnymi czarnymi dziurami, a te – niczym spragnione gąbki – pochłonęły energię nadlatujących strzałów. Nie czekali jednak z założonymi rękami. Wkrótce potem rozkazali, żeby ich marynarze odpowiedzieli salwami przerażająco groźnej plazmy. Ku okrętom Nowej Republiki pomknęły, wijąc się niczym złociste sprężyny, groteskowo piękne pociski. Na tle usianej punkcikami gwiazd czerni przestworzy wywierały niesamowite wrażenie.

Artylerzyści okrętów grupy szturmowej przesłali energię do generatorów ochronnych pól, a kiedy te pochłonęły energię

nieprzyjacielskich strzałów, dali znów ognia. Ku okrętom Yuuzhan pomknęły smugi laserowego światła i płonące oślepiająco jasnym blaskiem pociski. Teraz flotyllę ostrzeliwały jedna drugą długimi salwami.

Chwilę później do walki przyłączyli się piloci X-skrzydłowców, maszyn typu B oraz Y i myśliwców przechwytyjących TIE. Nadlecieli od strony floty obrońców i zaczęli nękać, razić i żądlić wysunięte jednostki Yuuzhan cienkimi nitkami laserowych błyskawic. W pewnej chwili zaatakowali wyglądający jak piramida z koralu yorik yuuzhański okręt o rozmiarach korwety. Jego obrońcy, zapewne oślepieni jedną z salw wystrzelonych przez artylerzystów szturmowego krążownika, na chwilę przestali się mieć na baczności. Natychmiast wykorzystali to czterej piloci maszyn typu B. Przez szczeliny w systemach obronnych Yuuzhan przedarły się cztery starannie wymierzone torpedy protonowe. Eksplodując, wyrwały z kadłuba nieprzyjacielskiej jednostki bryły delikatnej tkanki wielkości gwiazdnych myśliwców. Ciągąc za sobą ogniste warkocze, kawałki koralu yorik poszybowały we wszystkie strony.

Unoszący się pośrodku szyku floty Nowej Republiki gwiazdny krążownik nagle zmienił kurs. Kapitan prawdopodobnie zamierzał odciągnąć nieprzyjaciół od planety Ord Mantell, „Koła Fortuny” i zakotwiczonych tam setek cywilnych jednostek z bezbronnymi uchodźcami na pokładach. Lufy turbolaserów dział obróciły się i bluznęły ogniem. W oddali znów rozkwitły oślepiające kwiaty eksplozji.

Załoga drugiej yuuzhańskiej korwety usiłowała zmienić wektor lotu i uniknąć trafienia. Nadaremnie. Przeszyty sztychami laserowych błyskawic nieprzyjacielski okręt przeistoczył się w ognistą kulę.

W końcu do walki przystąpili piloci podobnych do asteroid koralowych skoczków różnych wielkości, kształtów i kolorów. Zaatakowali niczym niemożliwa do powstrzymania, złowieszcza chmura. Przemknęli między smugami laserowych strzałów i zanurkowali w sam środek eskadr obrońców planety. Piloci Nowej Republiki zostali zmuszeni do obrony. Złamali szyki i wykonując rozpaczliwe bezcki, zawroty i uniki, toczyli z napastnikami zacięte pojedynki. Wkrótce potem piloci koralowych skoczków zaczęły polować na pilotów gwiazdnych maszyn typów X i TIE. Ci drudzy starali się odpłacać im pięknym za nadobne.

Skrzydłowi usiłowali trzymać się jak najbliżej jedni drugich oraz dowódców, ale często rozdzielały ich błyskawice strzałów i ataki nieprzyjaciół. Dovin basale likwidowały ochronne pola maszyn

Nowej Republiki, a potem zasypywały je strugami roztopionych skał, wystrzeliwanych ze stożkowatych stanowisk artylerii pokładowej. Pozbawione osłon myśliwce typu X i E eksplodowały w przestworzach całymi dziesiątkami. Zajęci toceniem zażartych pojedynków piloci uciekali się do coraz bardziej wymyślnych manewrów i uników.

W pewnej chwili z pokładu największej jednostki Yuuzhan poszybowały tak potężne strzały, że artylerzyści szturmowego krążownika musieli na pewien czas zapomnieć o ataku. Osłonięty potężną tarczą ochronnych pól kalamariański okręt pochłaniał energię kolejnych plazmowych pocisków nieprzyjaciół. Po niewidocznej granicy pól wielkiego okrętu raz po raz przemykały krzaczaste pajęczyny błękitnych błyskawic.

Okazując niezwykłą cierpliwość, artylerzyści krążownika zaczęli czekać, aż ich przeciwnicy przerwą ostrzał, aby przeładować działa. Dopiero wtedy otworzyli ogień ze wszystkich stanowisk równocześnie. W przestworza poleciały jeszcze potężniejsze niż do tej pory błyskawice turbolaserowych strażów. Niektóre zostały pochłonięte przez grawitacyjne anomalie Yuuzhan; pięć czy sześć jednak znalazło drogę do celu. Od kadłuba nieprzyjacielskiego okrętu oderwały się i zniknęły w mroku ogromne bryły koralu yorik.

Do walki przyłączyły się także obie kanonierki klasy Ranger. Ich dowódcy zaatakowali wielki okręt Yuuzhan z obu skrzydeł. Artylerzyści otworzyli ogień z baterii potężnych turbolaserów. Zniszczyli dziesiątki koralowych skoczków i jeden eskortowiec.

Obie flotylle zmniejszyły dzielącą je odległość i zwały szyki. W ciemnościach szybowały setki świetlnych smug i pocisków. W pewnej chwili, trafiona bratobójczą salwą, zniknęła bez śladu trójka myśliwców typu TIE. Ich piloci przypadkiem znaleźli się na linii strzału.

Laserowe smugi z dział eskortowej fregaty Nowej Republiki przeszły kolejną fregatę Yuuzhan od dziobu do rufy. W przestworza śmignęły rozżarzone kawałki koralu yorik i stanowisk artylerii. W następnej sekundzie cały kadłub zniknął, przesłonięty świecąca chmurą. W odpowiedzi ogromna wataha koralowych skoczków osaczyła i zaczęła ostrzeliwać osamotnioną kanonierkę. Nieprzyjacielscy piloci rozprawili się najpierw z ochronnymi polami, a potem zasypali okręt Nowej Republiki lawinami ognistych pocisków. Wkrótce skazana na zagładę jednostka przeistoczyła się w płomieniste piekło.

Gdzie indziej, usiłując uniknąć zderzeń z koziołkującymi bryłami koralu yorik, piloci eskadry myśliwców typu E atakowali uszkodzony okręt Yuuzhan. Otoczyli go i bezlitośnie ostrzeliwali. Protonowe torpedy przedarły się przez luki w systemie obronnym i eksplodowały między dziobem a śródkrećciem. Od kadłuba nieprzyjacielskiego okrętu zaczęły odpadać złuszczone warstwy zwęglonego koralu. Kilka eksplozji wyrwało większe bryły. Koziołkując w locie, zniknęły w ciemnościach wiecznej nocy. Inny, unoszący się w pobliżu trochę mniejszy okręt nieprzyjaciół, przeszyty sztychami laserowych strzałów, także eksplodował. Rozpadł się na kawałki, które niczym ogniste pyłki poszybowały we wszystkie strony i zgasły.

Nieco bliżej księżycy, krążącego w największej odległości od planety Ord Mantell, toczyły się nadal setki zażartych pojedynków. Piloci koralowych skoczków, X-skrzydłowców i myśliwców TIE uwiłali się jak w upiornym tańcu. Walczyli mężnie, ogarnięci ponurą żądzą wyeliminowania przeciwników. Wykonując zapierające dech w piersi beczki, zgrabne ślizgi i widowiskowe pętle, nie przestawali ostrzeliwać celów, dopóki nie przemieniały się w kule ognia. Piloci niektórych maszyn kładli je na skrzydło i zmieniali wektor lotu, żeby ominąć chmury szczątków albo rozejrzeć się za innym celem. Czasami, jeśli któryś miał uszkodzoną maszynę albo był ranny, starał się opuścić pole walki i wrócić do bazy.

Tymczasem w głębi systemu nadal trwała zacięta walka między szturmowym krążownikiem a okrętem Yuuzhan. Obie wielkie jednostki nie przestawały zbliżać się do siebie. Ich artylerzyści cały czas wymieniali salwy, oddawane z całej burty. W pewnej chwili, kiedy bąble otaczających okręty siłowych pól znalazły się zbyt blisko siebie, przestworza przecięły smugi błękitnych wyładowań. Marynarze yuuzhańskiej jednostki nie dawali za wygraną. Nie przestawali zasypywać większego okrętu lawinami śmiertelnych pocisków. Artylerzyści krążownika nie pozostawiali dłużni. Odpowiadali salwami potężnych smug skupionego światła. Nagle w krzyżowy ogień dostał się samotny eskortowiec. Trafiony bezpośrednim strzałem, eksplodował. W ciemności przestworzy poszybowały rozżarzone i zdeformowane bryły metalu.

Jakby rozwścieczeni stratą własnej jednostki, artylerzyści krążownika zdwoili częstotliwość i energię strzałów. W odpowiedzi z pokładów okrętu Yuuzhan poleciały płonące bryły koralu yorik wielkości sporych głazów. Najwyraźniej załoga nieprzyjacielskiej jednostki nie zamierzała rezygnować z dalszej walki. Nagle z dziobowych ramion

okrętu bluznęły strumienie rozżarzonej plazmy. Pierwszy raz na pancernych płytach poszycia krążownika pojawiły się ogniste błyski traień.

Działa strzelały. Stanowiska artylerii pluły śmiertcionośnymi pociskami. W pewnej chwili z rufowej sekcji kadłuba szturmowego krążownika zaczęły wydobywać się języki ognia. Ogromny okręt zwolnił i zaczął przechylać się na burtę. Wkrótce płomienie ogarnęły zestawy sensorów. Mimo to artylerzyści, obsługujący największe działa, nie przestawali ostrzeliwać okrętu wrogów. Pancerne płyty rufowej części kadłuba pokonywało jednak coraz więcej pocisków. W końcu pancierz pękł i w przestworza zaczęło uchodzić życiodajne powietrze. Posłuszeństwa odmówiły także generatory sztucznej grawitacji. Wnętrznosciami rannego okrętu szarpnęła seria silnych eksplozji. Wkrótce panowanie w rufowych sekcjach przejęła bezlitosna próżnia. Wysłała na zewnątrz ciała zabitych członków załogi i chmurę szczątków.

Na odsiecz uszkodzonemu krążownikowi pospieszyli nieustraszeni piloci myśliwców typu E i X-skrzydłowców. Zaczęli ostrzeliwać yuuzhański okręt salwami protonowych torped. Pociski przedarły się przez osłabione systemy ochronne. Ekspłodowały na pagórku dowodzenia, nadbudówce i kadłubie. Z trafionych miejsc trysnęły fontanny rozżarzonego koralu yorik.

Piloci gwiazdnych maszyn Nowej Republiki przylecieli jednak za późno.

Ze szczelin w kadłubie kalamariańskiego krążownika wydostał się snop oślepiającego światła. Chwilę potem okrętem targnęła siła piekielnej eksplozji. Kadłub rozłamał się na dwie części, z których wydostały się setki kapsuł ratunkowych. Kiedy opadały na powierzchnię planety Ord Mantell niczym krople radioaktywnego deszczu, szturmowy krążownik przemienił się w kulę oślepiąco jasnego światła. W ostatniej sekundzie ogniste bryzgi poszybowały we wszystkie strony przestworzy i stopniowo zgasły.

Spomiędzy księżyców planety Ord Mantell wyłonił się gwiazdny niszczyciel. Z dysz głównych i pomocniczych jednostek napędowych wydobywała się jaskrawa poświata. Przyłączając się do walki, kapitan skierował spiczasty dziób ku największej jednostce floty Yuuzhan. Z rufowych dział jonowych i baterii turbolaserów pomknęły ku nieprzyjacielskiemu okrętowi błyskawice strzałów. W porównaniu z kolosem Yuuzhan wydawały się cienkie jak igły. Raz po raz trafiały w czarny, nieruchomy kadłub jednostki wroga.

Artylerzyści „Erinnica” przygotowali się na kontratak, ale nie doczekali się ani pocisków, ani strug rozżarzonej plazmy.

Nagle nieprzyjacielski okręt zmienił kurs i przyspieszył, jakby jego kapitan zamierzał umknąć z pola walki. Zamiast tego artylerzyści zaczęli ostrzeliwać ze wszystkich dziobowych stanowisk planetę Ord Mantell. W kierunku powierzchni pomknęły oślepiające pociski. Przelatując przez warstwy atmosfery, wryły w niej ogniste tunele. Ekspłodowały na powierzchni z taką siłą, że nawet górne warstwy skłębionych, grubych chmur rozbłysły upiornym blaskiem.

Chwilę później z czarnego otworu w rufowej części kadłuba wyłonił się gigantyczny wąż. Przypominał bardziej żywe stworzenie niż mechanizm. Widocznie tępo zakończony i usiany czarnymi cętkami nos potwora zwęszył „Koło Fortuny”, bo skierował się ku powoli wirującemu pierścieniowi. Stworzenie zaczęło się wydłużać, cały czas zbliżając się do niewielkiej orbitalnej stacji. Wyciągało się i roztrącało na boki otaczające „Koło” stada małych barek, frachtowców i pasażerskich transportowców.

Z hangarów krążownika-lotniskowca „Thurse” wystartowały eskadry myśliwców typu TIE i X-skrzydłowców. Piloci skierowali maszyny ku potworowi. Rzucili się na koszmarnego gada niczym stada wygłodniałych drapieżnych ptaków, ale ich atak nie odniósł żadnego skutku. Przyczepione do rufy okrętu Yuuzhan i chronione przez dovin basale gigantyczne stworzenie zaatakowało „Koło Fortuny” z zaciekłością jadowitego węża. Zapewne zamierzało wytrącić stację z orbity, bo po chwili skurczyło się i zaatakowało na nowo. Tym razem otworzyło podobną do czeluści paszczę i pochwyciło skraj pierścienia orbitalnej stacji. Pokręciło łbem w prawo i w lewo, jakby uważało „Koło” za kruchy, smakowity obwarzanek.

Z ukrytych pod sufitymi źródeł awaryjnego oświetlenia sączyło się rubinowe światło. W jego blasku przesycone wszechobecnym pyłem i kurzem powietrze wyglądało jak krwawa mgiełka. Zawodzenie alarmowych syren zagłuszało wszystkie inne dźwięki. Han tylko z wielkim trudem domyślał się, co krzyczą do niego Fasgo albo Roa. Wszyscy trzej biegli łukowato zakręcającym korytarzem. Chcieli dostać się na pokład „Radosnego Sztyletu”, zanim to, co pochwyciło „Koło”, zdecyduje się rozerwać je na strzępy.

Raz po raz orbitalną stacją wstrząsały fale udarowe bliskich eksplozji. Widocznie gdzieś w przestworzach toczyły się zacięte

walki. Biegący mężczyźni zataczali się od ściany do ściany albo wpadali na obite miękkimi wykładzinami przegrody. Najczęściej jednak zderzali się z twardymi, kanciastymi przedmiotami, które od sufitu lub ścian oderwała siła gwałtownych wstrząsów.

Chociaż większość ogarniętych paniką mieszkańców albo gości „Koła” przepychała się korytarzami w przeciwnym kierunku, Roa upierał się, że obrał najkrótszą drogę do lądowiska. Po każdym kolejnym gwałtownym szarpnięciu dziesiątki biegnących istot wpadało na inne, ślizgało się, potykało albo zwałało na podłogę. Niektórzy objali się o ściany albo przegrody, innych zaś miażdżył ciężar ciał istot tłoczących się w alkowach albo na skrzyżowaniach korytarzy. Nie lepiej radzili sobie zamożniejsi goście, którzy postanowili uciekać repulsorowymi taksówkami. Pojazdy także zderzały się ze ścianami albo ze sobą. Często w wyniku takich zderzeń przewracały się i wysypywały pasażerów na twarde durbeton.

Roa podążał pierwszy; Han i Fasgo krok albo dwa za nim. W pewnej chwili były przemytnik skręcił w lewo – w korytarz wiodący jedną ze szprych „Koła”. Zbiegł na niższy poziom po oszronionych stopniach jakiejś klatki schodowej, a potem wpadł do krętego, wąskiego korytarza, na którego ścianach widniało mnóstwo rys i pęknięć. Z uszkodzonych przewodów i kabli energetycznych tryskały tu i ówdzie fontanny iskier.

Zanim jednak przebiegli pierwsze dziesięć metrów, coś szarpnęło orbitalną stacją z taką siłą, że odmówiły posłuszeństwa generatory sztucznej grawitacji. Han i jego towarzysze, zamiast przeciskać się między tarasującymi przejście połamanymi szafkami i regałami, pofrunęli w powietrze. Pchani impetem, wznosili się ku wybruszonemu i popękanemu sufitowi niczym nurkowie wypływający na powierzchnię oceanu. Nagle, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, generatory sztucznej grawitacji włączyły się i ciężenie powróciło. Wszyscy trzej, zaskoczeni, z głuchym łomotem runęli twarzami na zaśmieconą podłogę.

– Nie widzę naszej przyszłości w różowych barwach! – zawołał Roa. Szybko wstał i potykając się, ruszył dalej.

– Nasza przyszłość będzie miała barwy, jakie jej sami nadamy! – odkrzyknął Han, który także pozbierał się z podłogi. Chwilę później, kiedy nastąpił kolejny silny paroksyzm, tylko cudem nie wypuścił podróźnej torby i nie stracił równowagi. Z sufitu i ścian sfrunęły chyba wszystkie pozostałe ceramiczne płytki.

Kilkanaście metrów przed nimi opadła z głośnym brzękiem ciężka metalowa płyta. Zapewne miała chronić obrońców przed pożarem,

a może i strzałami z blasterów. Dalsza wędrówka korytarzem stała się niemożliwa. Han i jego towarzysze musieli zawrócić do biegnącego po obwodzie „Koła” głównego korytarza. Zaledwie tam dotarli, porwał ich tłum przerażonych istot różnych ras i płci, przepychających się w stronę płyt lądowisk.

Nagle coś szarpnęło orbitalną stacją z nieprawdopodobną siłą. Jeszcze nigdy „Koło Fortuny” nie doświadczyło tak silnego wstrząsu. W korytarzu rozległ się ogłuszający i szarpiący nerwy trzask rozdzieranego metalu. Han spojrzął przed siebie... i zdrętwiał z przerażenia. Ogromny, łukowato wygięty fragment zewnętrznej ściany korytarza po prostu zniknął, oderwany od reszty konstrukcji.

Nieubłagana, potężna siła zaczęła ciągnąć ku mrocznemu otworowi wszystkie stłoczone w korytarzu nieszczęsne istoty.

Poprzez jęk szarpanego metalu dobiegały wrzaski i jęki przerażonych ludzi. Tocząc z góry przesadzoną walkę, istoty usiłowały pochwycić, co się dało. Drapiąc paznokciami albo pazurami wykładziny ścian, sufitu lub chodnika, starały się złapać cokolwiek, byle tylko nie dać się wyssać na zewnątrz stacji. Czasami chwytaly się innych nieszczęśników, ale najczęściej wraz z nimi przelatywały przez koszmarny otwór.

Przyciśnięci do wewnętrznej ściany, Han, Fasgo i Roa zdołali chwycić się powyginanych resztek metalowej poręczy. Musieli napiąć mięśnie rąk, kiedy potężna siła uniosła ich ciała do poziomu. Z przerażeniem patrzyli, jak jeden koniec uszkodzonej poręczy odrywa się od popękanej ściany.

Przelecieli w powietrzu kilka metrów, ale na szczęście uwolniony koniec zaklinował się w jakimś otworze przeciwległej ściany korytarza. Szarpnięcie okazało się tak silne, że omal nie oderwało ich zaciśniętych palców. Fragment poręczy przegradzał teraz całą szerokość korytarza, a ich wyciągnięte ciała łopotaly na wietrze niczym flagi. Obok nich – górą, dołem i po bokach – przelatywali ludzie, obce istoty, androidy, automaty i różne przedmioty, wyrwane z zamocowań siłą poprzednich wstrząsów. Uchodzące powietrze szumiało wokół nich jak wzburzona rzeka.

W pewnej chwili nadleciał, koziółkując w powietrzu, podobny do skrzynki na obuwie robot typu MSE-6. Z wielkim impetem trafił Fasga prosto w głowę. Rudowłosa mężczyzna jęknął i rozluźnił uchwyt. Przeraźliwie krzycząc, pofrunął ku otworowi. Han przyglądał się, jak wymachuje rękami i nogami... i podąża ku swojemu przeznaczeniu, jakby spadał z dużej wysokości.

Zanim zniknął w czeluści, Han odwrócił głowę i zacisnął powieki.

– Wygląda na to, że skręciliśmy w złą stronę – krzyknął kilka chwil później do byłego przemytnika. Roa unosił się w powietrzu na lewo od niego, ale poza zasięgiem wyciągniętej ręki Korelianina. Zaciskał palce na niewielkiej wypukłości w miejscu, gdzie gruba metalowa rura została spłaszczona.

Roa odwrócił głowę w jego stronę.

– Jaka szkoda, że technicy plastycy zatroszczyli się tylko o mój wygląd, a zapomnieli przywrócić mi siłę młodzieniaszka!

– Trzymaj się, Roa! – zawołał Han, usiłując dodać mu otuchy.

– Żałuję, ale nic z tego! – odrzyknął zrezygnowany mężczyzna.

– Myślę, że Lwyll wzywa mnie do siebie.

– Nie wygaduj głupstw! Wytrzymaj jeszcze chwilę! Zaraz ci pomogę!

Roa stęknął. Było widać, że trzyma się resztkami sił.

– Jeżeli zapomnisz domknąć klapę włazu... zaraz wciśnie się tamtędy pech – powiedział. – Ze szczęściem już tak bywa, Hanie... raz na wozie, raz pod wozem.

Korelianin zaklął przez zaciśnięte zęby.

– Dobrze, gadaj sobie, ile chcesz, jeżeli ci to ma pomóc – burknął. – Tylko się nie poddawaj!

– Nie mogę, Hanie. Bardzo żałuję. Nie mam ochoty... ani siły. – Na twarzy siwowłosego mężczyzny pojawił się grymas bólu. – Uważaj na siebie, przyjacielu... I doprowadź do końca sprawę z Reckiem.

Roa uśmiechnął się z rezygnacją. Rozgiął palce i pozwolił, żeby porwała go wichura.

– Roa! Nie! – krzyknął zrozpaczony Solo. Wyciągnął ku przyjacielowi lewą rękę, ale siła huraganu omal nie oderwała od metalowej poręczy palców prawej.

Pochwycił obiema dłońmi zimną rurę, zamknął oczy i zwiesił głowę. Po chwili nabrał głęboko powietrza i krzyczał tak długo, aż poczuł pieczenie w gardle.

Kiedy się uspokoił, przełożył pas podróźnej torby przez głowę na drugie ramię i zaczął powoli, centymetr po centymetrze, przesuwać się w stronę elementu konstrukcyjnego ściany, odsłoniętego po odpadnięciu wszystkich płytek. Zaledwie jednak zdołał objąć oburącz wystający koniec wspornika, czyjeś ciało przeleciało o włos od jego głowy. W następnym ułamku sekundy Han poczuł, że na jego wyciągniętych poziomo nogach zaciskają się czyjeś palce.

Odniósł wrażenie, że jego kręgosłup jęknął na znak protestu i rozciągnął się jak guma. Kiedy Korelianie ochłonął z przerażenia, zerknął przez ramię i stwierdził, że nieproszonym gościem jest samiec rasy Ryn. Obejmował nogi Hana na wysokości kolan i rozpaczliwie wymachując nogami, starał się nie ześliznąć niżej... a ściślej mówiąc, dalej. Na głowie miał obcisły beret czy kapelusz bez rondo, ozdobiony – a raczej oszpecony – rombami jaskrawoczerwonej i niebieskiej barwy. Nakrycie głowy było przekrzywione pod bardzo zawadiackim kątem.

– Nie masz nic przeciwko temu, że chwilę tu odpocznę? – zapytał w melodyjnym basie, kiedy pochwycił spojrzenie Hana. – Jeżeli uważasz, że jestem zbyt ciężki, mogę zdjąć kapelusz.

Han spiorunował istotę śmiercionośnym spojrzeniem.

– Pod warunkiem, że razem z głową! – odrzyknął.

– Wnioskuje z tego, że wolałbyś się mnie pozbyć – rzekła istota.

– Tylko nie zapomnij zamknąć drzwi za sobą, kiedy już wyłecisz – burknął Solo.

– To nie próżnia nas wsysa – odezwał się Ryn, kiwnięciem głowy pokazując upiorny otwór. – Po drugiej stronie tej dziury znajduje się ogromna gęba.

– Gęba?

– Gęba straszliwej broni Yuuzhan Vongów – wyjaśniła istota.

– Służy do chwytania jeńców.

Han natychmiast zrozumiał, co się stało. Przelatujących obok niego ludzi, robotów i przedmiotów nie wysysała próżnia, wypierająca uciekającą atmosferę. Orbitalną stację nadgryzła gigantyczne stworzenie, które przedtem opróżniło płuca, a teraz wciągało w nie wszystko, co znajdowało się w korytarzu.

– Jak można zakneblować tego potwora? – krzyknął, jeszcze raz spoglądając na Ryna.

Uciekinier pokręcił głową, aż zakotyły się jego długie wąsy.

– Nie sądzę, żebyśmy potrafili go zakneblować – oznajmił. – Może jednak zdołamy pozbawić go pożywienia.

Przekrzywiając jeszcze bardziej głowę, Han wlepił spojrzenie w miejsce, na które spojrziała obca istota. Dostrzegł w suficie dwie równoległe szczeliny, biegnące przez całą szerokość korytarza mniej więcej w połowie odległości, dzielącej ich od otworu paszczy.

Przegroda odporna na strzały z blasterów!

Cały problem w tym, że umożliwiający opuszczenie przegrody przycisk w kształcie grzyba umieszczono na ścianie korytarza prawie pięć metrów bliżej czarnej otchłani.

– Tuż za mną, trochę dalej, widzę następny wspornik – oznajmił Ryn. – Jeżeli puszcze twoje nogi, może uda mi się go złapać. Z pewnością jednak nie dosięgnę guzika.

– Mów dalej – przynaglił go Solo. Starał się nie zwracać uwagi na dziwne ssanie, jakie poczuł w żołądku po tych słowach.

– Później ty musisz puścić swój wspornik i przelatując obok, chwycić mnie za nogi. Powinieneś wtedy znaleźć się na tyle blisko guzika, żeby przycisnąć go czubkiem buta.

– Zakładając, że zdołam cię pochwycić!

Ryn prychnął.

– I zakładając, że ja złapię za ten wspornik – dodał z kwaśną miną. – Jeżeli mi się nie uda... cóż, to tylko kwestia czasu. Nie mam pojęcia, jak długo jeszcze zdołasz trzymać się swojego wspornika. A kiedy już ci się znudzi...

– Co wtedy?

Ryn wyszczerzył zęby w przekornym uśmiechu.

– A kiedy ci się znudzi, spotkamy się w piekle.

Han zerknął na niego z kpiącą miną. Potem kiwnął głową.

– W porządku, kolego – odezwał się w końcu. – Umowa stoi.

Powodzenia.

Porośnięta jedwabiącą miękką sierścią istota ześliznęła się po nogach Hana, a jej palce zacisnęły się na jego kostkach. Sekundę później zniknęła. Han usłyszał głuchy łoskot, z jakim zderzyła się z wystającym końcem wspornika.

– Jak ci poszło? – zawołał.

– Teraz twoja kolej! – usłyszał w odpowiedzi.

Kilka razy głęboko odetchnął. Ostrożnie rozluźnił palce... i porunął. Stwierdził, że prąd uchodzącego powietrza jest silniejszy niż się spodziewał. Ułamek sekundy później przeleciał obok Ryna. Kiedy jednak wyciągnął rozpaczliwym gestem rękę i rozcapierzył palce, by go pochwycić, złapał tylko powietrze.

Na mgnienie oka wyobraził sobie, jak koziołkuje w locie i ląduje gdzieś we wnętrzu straszliwej broni Yuuzhan. Niemal w tej samej chwili poczuł, że coś smagneło go po plecach, a potem owinęło się wokół torsu pod wyciągniętymi rękami. Poczuł silne szarpnięcie i znieruchomiał. Dopiero po sekundzie czy dwóch zaświtało mu w głowie, że to Ryn zahaczył go ogonem.

– Kopnij guzik, kopnij guzik! – zapiszczała z wysiłku obca istota. – W przeciwnym razie kawałek mojego ciała i ty wylądujemy w brzuchu tego potwora!

Han zerknął przez prawe ramię i zobaczył czerwony guzik... niemal w zasięgu jego prawej stopy.

– Machnij ogonem, żebym przesunął się trochę bardziej w prawo! – zawołał.

Giętki i silny ogon Ryna drgnął i naprężył się na tyle, że Han znalazł się bliżej ściany korytarza. Wyprostował stopę i z całej siły kopnął czubkiem buta guzik.

W suficie coś zazgrzytało i odporna na strzały blasterów płyta zaczęła się wysuwać. Po chwili z hukiem opadła na żebrowaną podłogę. W następnej sekundzie Han, Ryn i wszyscy, którzy zdołali ocaleć w zniszczonym korytarzu, z jękiem ulgi opadli na podłogę niczym dojrzałe owoce.

Han ciężko dyszał, z trudem chwytając rozrzedzone powietrze. Tymczasem Ryn zerwał się na równe nogi i nasunął na czoło krzykliwe nakrycie głowy. Dopiero wtedy Han zwrócił uwagę na pozostałe, nie mniej jaskrawe części jego ubioru – kamizelkę i luźne spodnie do kolan. Odnosił wrażenie, że żarzą się własnym blaskiem, jakby coś podświetlało je od spodu. Całości dopełniały skórzane półbuty.

– O której godzinie zazwyczaj cię włączają? – zapytał w przerwie między kolejnymi oddechami.

Ryn parsknął beztróskim śmiechem.

– Mniej więcej kiedy ty kładziesz się spać – odparł pogodnie. – I co teraz?

Han wstał i otrzepał dłonie z kurzu.

– Wynosimy się z tej stacji, zanim to stworzenie się zorientuje, że jeszcze jest głodne.

– Do lądowiska idzie się w tamtą stronę – wyrecytowali chórem, ale chwilę potem Ryn ruszył w przeciwną kierunku.

– Zaufaj mi – powiedział, zanim Han zdołał wykrztusić choćby słowo.

Korelianin skamieniał. Chwilę stał, wpatrując się w istotę; wreszcie machnął ręką, a kiedy Ryn odwrócił się i odszedł, bez słowa ruszył za nim.

Potężne wstrząsy nie przestawały targać „Kołem”. Od czasu do czasu rzucały ich to na jedną, to znów na drugą ścianę. Han poświęcił trochę czasu, żeby zabrać dwójkę małych, zapłakanych Bimmsów. Okazało się, że malcy odłączyli się od rodziców. Wkrótce potem do Hana i Ryna zaczęły przyłączać się inne obce istoty i ludzie – zarówno dorosłe osobniki, jak i dzieci. Domyślali się

przyczyny: przynajmniej sprawiali wrażenie, że wiedzą, dokąd podążają.

– Obyś się nie mylił! – ostrzegł Han Ryna, nie zwalniając kroku.

– Nie martw się! – wykrzyknął Ryn, odwróciwszy głowę. – Jestem jeszcze zbyt młody, żeby umierać!

– Ta-a – mruknął Korelianin, bardziej do siebie niż towarzysza. – A ja jestem zbyt sławny.

Wkrótce korytarz przed nimi zaczął się rozszerzać i nareszcie Han zorientował się, gdzie są. Od hangarów z lądowiskami dzieliła ich już tylko niewielka odległość.

– Potrafisz pilotować gwiazdny statek? – zapytał Ryn, z trudem chwytając powietrze.

Han popatrzył na niego protekcjonalnie.

– Nie martw się... – zaczął.

– To znaczy, że znasz kilka manewrów – przerwała mu istota.

Oburzony Solo spiorunował go spojrzeniem.

– Prawdziwy kawalarz z ciebie, kolego – stwierdził z przekąsem.

– Tak czy owak, postaraj się nie zasnąć za sterami.

Ryn stanął przed drzwiami najbliższego hangaru i kilka razy przycisnął guzik otwierający wrota. Nadaremnie.

– Działa system bezpieczeństwa – oznajmił ponuro, spoglądając na Hana.

Korelianin odsunął go na bok i pochylił się, żeby lepiej widzieć kontrolny panel z niewielką klawiaturą.

– Pospieszcie się! – wykrzyknął ktoś z grona uchodźców za ich plecami. – Musimy się stąd wynieść!

Zirytowany Han odwrócił się jak użądłony. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Ryn nie dał mu dojść do słowa.

– Już się tym zajmuje, już się tym zajmuje – rzucił w stronę tłumy.

Han wymierzył wskazujący palec w towarzysza i posłał mu ostrzegawcze spojrzenie, ale chwilę potem znów pochylił się nad klawiaturą. Wystukał kombinację cyfr, która powinna pokonać wszelkie zabezpieczenia. Wrota jednak pozostały zamknięte. Han wystukał kolejną kombinację, a kilka sekund później jeszcze jedną.

– Ileż bym dał, żeby mieć teraz naładowany blaster – westchnął ponuro.

– A nie wystarczyłby ci astromechaniczny robot serii R? – zapytał Ryn.

– Nie widzę tu żadnego. – Han obrzucił towarzysza sceptycznym spojrzeniem. – Domyślam się, że nie ukrywasz pod tym świetlistym ubrankiem urządzenia przywołującego roboty, prawda?

Odwrócił się i ponownie pochylił nad klawiaturą, żeby spróbować jeszcze jeden, ostatni raz. Nagle usłyszał dobiegające zza pleców piski, gwizdy i świergoty, jakie mogła wydawać tylko jednostka typu R2. Odwrócił się zachwycony i zdumiony, stwierdził jednak, że dźwięki wydawał Ryn. Wygrywał je, zatykając palcami kolejne dziurki w chitynowym dziobie. Prawdę mówiąc, grał na nim jak na flecie!

Oślupiały Solo otworzył usta i wpatrywał się w towarzysza. Wreszcie pokręcił głową. Sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Potrafisz także śpiewać i tańczyć? – zapytał.

– Tylko kiedy mi za to płacą. – Zadowolony z siebie Ryn uśmiechnął się szeroko. – Czasami zaskakuję nawet sam siebie.

Han zrobił groźną minę i zrobił krok w stronę Ryana.

– Posłuchaj, kolego... – zaczął.

Nie dokończył zdania, bo usłyszał następną kaskadę pisków, gwizdów i świergotów. Na korytarzu pojawiła się jednostka typu R2 i obróciła czerwoną kopułkę w jego stronę.

– Chce wiedzieć, w czym może nam pomóc – przetłumaczył Ryn.

Zaskoczony Korelianin przeniósł spojrzenie z obcej istoty na robota i bez słowa wskazał kontrolny panel z klawiaturą.

Astromechaniczny robot podjechał do wrót hangaru. Wsunął z górnej części cylindrycznego korpusu manipulator, umieścił końcówkę w gnieździe nad panelem i błyskawicznie uporał się z zabezpieczającym kodem. Płyta wrót hangaru uniosła się i wszyscy wbiegli na płytę lądowiska – przy okazji omal nie tratując oślupiałego Hana.

– Jestem pewien, że później ci podziękują – zauważył Ryn, mijając stojącego Korelianina.

Na jednej z płyt spoczywał pasażerski wahadłowiec. Jego wydłużony kadłub przypominał wielki pocisk. Maszyna okazała się na tyle duża, by pomieścić we wnętrzu wszystkich uciekinierów. Han pospieszył do sterowni, a Ryn zatroszczył się o bezpieczeństwo pasażerów. Kiedy przypiął ostatniego, poszedł za Hanem. Usiadł na fotelu drugiego pilota i chociaż trochę przeszkadzał mu długi ogon, zapiął wszystkie zatraski ochronnej sieci. Później pomógł Hanowi wykonywać procedury przedstartowe.

W końcu Korelianin pstryknął włącznikiem repulsorów i wahadłowiec uniósł się ponad płytę lądowiska. Han obrócił go o sto osiemdziesiąt stopni, a potem powoli przeleciał przez wrota hangaru i znieruchomiał w magnetycznej śluzie.

W przestworzach roiło się od myśliwców i nitek śmiercionośnych błyskawic. W pewnej chwili obok magnetycznej kurtyny przeleciała wataha koralowych skoczków. Ścigała je mniej więcej dwukrotnie liczniejsza grupa myśliwców przechwytyjących typu TIE i X-skrzydłowców. Piloci gwiazdnych maszyn Nowej Republiki posyłąli w ślad za myśliwcami Yuuzhan smugi laserowych strzałów.

– Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni – mruknął przez zaciśnięte zęby Solo. Pchnął dźwignię i wahadłowiec runął w mrok przestworzy.

# ROZDZIAŁ

# 16

Han kierował wahadłowiec to w prawo, to znów w lewo. Lecąc zygzakowatym kursem, usiłował prześliznąć się między setkami statków, przycumowanych w cieniu „Koła Fortuny”. Większość barek i frachtowców unosiła się nieruchomo, ale piloci wielu innych nie okazywali tyle cierpliwości. Ogarnięci – podobnie jak Han – przemożną chęcią ucieczki, wyciskali z jednostek napędowych resztki mocy. Każdy leciał tam, dokąd mu się podobało.... byle jak najdalej od stacji.

Han skręcił na bakburtę i jakiś czas leciał wzdłuż zewnętrznej krawędzi „Koła Fortuny”. Czasami kierował wahadłowiec w górę albo w dół, aby uniknąć zderzenia ze szczątkami, wyrwanymi z wnętrza pierścienia przez straszliwą broń Yuuzhan. Zanim jednak zdołał przelecieć ćwierć drogi, ujrzał ogromny okręt wrogów. Wydawał się czarny jak noc i wyciągał w ich stronę groźne ramiona z koralu yorik. W rufowej części widniał mroczny otwór, w którym chował się gigantyczny cętkowany wąż. Han natychmiast zrozumiał, że to ten potwór wygryzł trzy wielkie niekształtne dziury, czerniące się niczym rany w zewnętrznej płaszczyźnie stacji.

– To musi być ta rzecz, która połknęła Roę i Fasga! – zawołał, odwróciwszy głowę w stronę Ryna. – Ty i ja również mogliśmy być teraz w środku.

Pchnął jeszcze dalej dźwignię przepustnicy. Ignorując widoczne w oczach drugiego pilota przerażenie, przyspieszył i skierował dziób wahadłowca ku potworowi.

– Co ty wyprawiasz? – zaskrzeczał Ryn.

Han kiwnął porośniętą szczeciniastym meszkiem brodą w kierunku iluminatora.

– We wnętrzu tego stworzenia zostali uwięzieni moi przyjaciele. Ryn zaniemówił ze zdumienia. Kiedy przyszedł do siebie, wykrzyknął:

- Nie zdołasz ich stamtąd uwolnić!
- No to uważaj – burknął Solo przez zęby.
- Jesteś szalony!
- Powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem.
- Dobrze, w takim razie co powiesz na to? Nasz wahadłowiec

nie jest uzbrojony!

Han nagle uświadomił sobie, że nie pilotuje „Sokoła”. Zaklął pod nosem. Gdyby leciał sam albo tylko w towarzystwie Ryna, może zdecydowałyby się i tak zaatakować straszliwego potwora. W przedziale pasażerskim wahadłowca siedziało jednak kilkudziesięciu nieszczęśników. Niemal wszyscy mieli za sobą okropności wojny i marzyli tylko, by ocalić życie. Z pewnością nie zasługiwali na udział w jeszcze jednej walce – tylko dlatego, że tak się podobało szaleńcowi, pilotującemu bezbronny i pozbawiony osłon cywilny statek.

Do głowy wpadła Hanowi jeszcze jedna myśl. Oto znalazł się w takiej samej sytuacji, jak Anakin na Sempidalu. Musiał dokonać wyboru między życiem kilkudziesięciu nieznanym istot a ocaleniem od pewnej śmierci jednego dobrego przyjaciela. Świadomość tego przeszła serce Hana niczym wibroostrze. Korelianin poprzysiągł sobie, że jeżeli wróci do domu cały i zdrowy, pojedna się z odepchniętym synem.

Mimo to nie mógł się powstrzymać, aby przelatując w pobliżu, nie podrażnić potwora. Kiedy nos gigantycznego węża znalazł się tak blisko, że niemal mógłby go dotknąć – ogarnięty paniką Ryn nie zeskoczył z fotela drugiego pilota tylko dlatego, że nie pozwoliły mu pasy ochronnej sieci – Han zaczął wykonywać zwrot przez bakburkę. Liczył na to, że oślizły wybryk natury łyknie potężną porcję gazów wylotowych z dysz silników jonowych wahadłowca.

Stworzenie uświadomiło sobie, na co się zanoszą. Dowodziła tego szybkość, z jaką wystrzeliło z mrocznego otworu w rufie okrętu Yuuzhan. Rozwarło ssącą paszczę, jakby zamierzało w całości połknąć wahadłowiec.

– Świetnie ci idzie! – zaskrzeczał przerażony Ryn. – Udało ci się zwrócić jego uwagę!

Lekko wystraszony Solo pchnął dźwignię przepustnicy do oporu i dokończył manewr. W następnej chwili wykonał serię karkołomnych zwrotów i uników. Otwierając i zamykając przepaścistą paszczę, stworzenie nie rezygnowało jednak z pościgu.

– Ten piekielny potwór jest drażliwy jak kosmiczny ślimak! – wykrzyknął w pewnej chwili Korelianin.

– Ta-a, a my jesteśmy mynockami, które go rozzłościły – do-kończyła o wiele ciszej istota na fotelu obok.

Han zacisnął palce na rękojeściach dźwigni. Uruchomił silniki hamujące i w tej samej chwili raptownie pchnął wiotki ster w prawo. Wahadłowiec zanurkował i wpadł w korkociąg, a Solo pilnował, żeby obracał się wokół długiego cielska potwora. W ostatniej chwili pilot wyrównał lot i przemknął tuż pod rufą yuuzhańskiego okrętu.

– Kto posprząta bałagan w przedziale dla pasażerów? – zainteresował się Ryn, kiedy zdołał połączyć z powrotem częściowo przetrzymane jedzenie.

– Zajmiemy się tym trochę później – stwierdził Solo.

Mając na uwadze wygodę uciekinierów, zwiększył skuteczność i zmniejszył szybkość działania inercyjnych tłumików. Wahadłowiec właśnie wylatywał po drugiej stronie rufy, kiedy się obudził do życia panel z kontrolnymi urządzeniami. Rozległ się stamtąd głośny sygnał alarmowy.

Han otworzył usta.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony Ryn. – O co chodzi? – Popatrzył na wskaźniki. – Dlaczego zmniejszyliśmy prędkość?

Han rozpaczliwie przebierał palcami po przyciskach i włącznikach.

– Pochwycił nas dovin basal! – krzyknął. – Ten wielki okręt przyciąga nas do siebie!

Ryn rozsiadł się wygodniej na fotelu drugiego pilota i zainteresował się zestawem urządzeń pomocniczych. Kiedy zobaczył, że Han zмага się z drążkiem, przesłał więcej energii do silników. Zakołysał wahadłowcem, a potem podleciał bliżej kadłuba yuuzhańskiego kolosa. Zadarł dziób statku i pozwolił, żeby statek przeleciał nad czarną górą z koralu yorik. Potem obrócił wahadłowiec o sto osiemdziesiąt stopni wokół podłużnej osi. Zanurkował, cały czas starając się trzymać jak najbliżej burty jednostki wroga.

– Świetny pomysł – przyznał Han, kiedy w końcu wydawało się, że wchodzi w wolne przestworza. – Cieszę się, że zostawiliśmy tę bestię daleko za rufą...

Okrzyk Ryna uświadomił mu, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Z dolnej części nieprzyjacielskiego okrętu wyłoniły się cztery koralowe skoczki. Ich piloci zaatakowali wahadłowiec ognistymi pociskami.

Han skręcił ostro w prawo. Usiłując umknąć napastnikom, zadarł dziób i zaczął wykonywać rozpaczliwe uniki.

– Musiałeś tam lecieć i wystraszyć ich maleństwo? – wrzasnął Ryn, ujrawszy za iluminatorami po obu stronach sterowni płonące bryły.

Kiedy Korelianin wyrównał lot, zobaczył przed dziobem istną chmurę innych koralowych skoczków. Ścigani przez dziesiątki myśliwców Nowej Republiki, ich piloci starali się wrócić do okrętu-bazy. Han cofnął dźwignię przepustnicy i położył wahadłowiec na skrzydło. W następnej sekundzie zobaczył, że zza tarczy bliższego księżycy planety Ord Matell wyłania się spiczasty dziób ogromnego gwiazdowego niszczyciela. Z olbrzymich wież dziobowych dział tryskały raz po raz błękitne myślniki skupionego światła. Leciały ku uciekającym myśliwcom wroga, ale kilka o mało nie przeszło na wylot bezbronnego wahadłowca. W odpowiedzi z wnętrza yuuzhańskiego kolosa trysnęły strugi rozżarzonej plazmy. Osłepiająco jasne i kipiące niczym gwiazdne protuberancje, przeleciały w niewielkiej odległości od burty statku.

Zapominając o zachowywaniu choćby pozorów ostrożności, Han pchnął do oporu dźwignię przepustnicy i ostro skręcił, aby oddalić się od pola walki. Jednak piloci czterech koralowych skoczków, którzy zaatakowali go wcześniej, lecieli jak przyklejeni do ogona wahadłowca.

– Nie ma cienia wątpliwości – mruknął Solo. – Moja przeszłość zdecydowanie mnie dogania.

Ryn rzucił mu zaniepokojone spojrzenie.

– Może nie leciszy wystarczająco szybko? – zasugerował z ponurą miną.

Korelianin zacisnął mocno wargi.

– Jeszcze się o tym przekonamy. Wytycz kurs na „Koło” – polecił zwięźle.

– Wracamy? – zdziwił się Ryn.

– Słyszałeś, co powiedziałem.

– Czy coś pomoże, jeżeli zaprzeczę?

– Przestań zrzedzić! – warknął Solo. – Weź się w garść i wyciśnij z silników ile się da.

Ryn zajął się wykonywaniem polecenia, ale nie przestał narzekać.

– Nie rozumiem, dlaczego twoja przeszłość musiała dopaść także mnie – odezwał się w pewnej chwili.

– Myślę, że to ma coś wspólnego z twoim kapeluszem – odrzekł Han. – A poza tym, kto ci kazał łapać mnie za nogi?

– Masz rację – przyznał Ryn. – Następnym razem rozejrzę się uważnie i przycępię do kogoś innego.

Han skierował wahadłowiec prosto ku zewnętrznej krawędzi „Koła Fortuny”. W ostatniej chwili przeleciał jednak tuż nad konstrukcją. Sekundę później raptownie zanurkował i przemknął między dwiema cylindrycznymi szprychami orbitalnej stacji. Piloci czterech koralowych skoczków starali się powtórzyć jego skomplikowany manewr, ale udało się to tylko trzem. Lecący na końcu szyku czwarty Yuuzhanin nie zdążył skrócić w prawo we właściwej chwili. Jego maszyna roztrzaskała się o szprychę i przemieniła w kulę ognistego pyłu.

Oddalając się od „Koła”, Han leciał chwilę prosto i ze stałą prędkością, ale zaraz przyspieszył i skierował się ku otwartym przestworzom.

– Od strony rufy nadlatują pociski! – ostrzegł go Ryn.

Han włączył silniki hamujące i z całej siły pchnął w bok drążek sterowniczy. Potem zanurkował i obrócił wahadłowiec o sto osiemdziesiąt stopni – w taki sposób, że skierował go znów w stronę „Koła Fortuny”. Tym razem jednak piloci trzech koralowych skoczków nie usiłowali powtórzyć jego manewru. Zatoczyli szerokie łuki, ale kiedy zawrócili, ścigany wahadłowiec znów zbliżał się do zewnętrznej krawędzi orbitalnej stacji.

Han szarpnął drążek ku sobie, a potem odepchnął jak najdalej. Wahadłowiec przeleciał tuż nad krawędzią. Zamiast jednak zanurkować w stronę piasty, Korelianin skrócił ostro na sterburtę i obniżył pułap lotu tylko na tyle, żeby przelecieć w pobliżu miejsca spojenia szprychy z wewnętrzną krawędzią stacji. Zadarł dziób i ponownie śmignął ponad „Koło”, a potem znów zanurkował i przemknął tuż obok następnej szprychy. Yuuzhańscy piloci usiłowali wiernie naśladować jego każdy manewr, ale następny nie wykazał się dostatecznym opanowaniem sztuki pilotażu. Han obrócił wahadłowiec na grzbiet i znów zanurkował, by zmieniwszy kurs o sto osiemdziesiąt stopni, zatoczyć ósemkę.

Kiedy wyłonił się spod krawędzi stacji, stwierdził, że znalazł się dokładnie tam, skąd wystartował. Znów musiał się prześlizgiwać między gromadami przycumowanych blisko siebie małych i większych gwiazdnych statków.

– Co słyhać z tymi skoczkami? – zapytał, kiedy mógł na krótką chwilę zerknąć na drugiego pilota.

Ryn spojrział na ekrany monitorów.

– Zostały już tylko dwa – zameldował. – Ale ich piloci nadal nie dają za wygraną.

Korelianin wprowadził wahadłowiec w ciasny skręt, a jego towarzysz pilnował, żeby silniczki manewrowe nadal pracowały, wykorzystując ułamek mocy. Zamierzali skierować statek znów ku pierścieniowi, kiedy nagle z otworu któregoś z hangarów stacji wystrzelił fioletowobłękitny luksusowy jacht firmy TaggeCo. Leciał prosto na nich i pluł nitkami śmiertelnych strzałów. Zapewne pilot chciał mieć wolną drogę.

Han zaklął z pasją. Szarpnął drążek, zadarł dziób wahadłowca i ustawił statek pionowo względem dotychczasowego kierunku lotu. Chyba cudem uniknął zderzenia i trafienia przez laserową błyskawicę. Kiedy jacht przelatywał obok niego, Han uniósł głowę i spojrzał na jego sterownię. Przez ułamek sekundy widział obu pilotów. Rozwścieczony, huknął pięścią w pulpit konsoli.

– Założyłbym się o wszystko, że tym jachtem leciał Wielki Bunji!

– Od czego człowiek ma przyjaciół – zauważył Ryn.

W następnej chwili jeden ze ścigających ich koralowych skoczków eksplodował. Widocznie trafił go energetyczny pocisk, wystrzelony z pokładu luksusowego jachtu.

– A więc o to chodziło – kręcąc głową, westchnął zdumiony Solo.

– Ściga nas jeszcze jeden – przypomniała mu obca istota.

– Chcesz się założyć? – burknął Korelianin.

Zawrócił w kierunku „Koła”, ale tym razem nie zamierzał się bawić w żadne owijanie wokół szprych ani przelatywanie obok krawędzi. Domyślał się, że pozostały przy życiu Yuuzhanin jest na tyle wytrawnym pilotem, iż nie pozbędzie się go w taki sposób. Zamiast tego skręcił w stronę nie wykończonego odcinka orbitalnej stacji. Sterczące tam we wszystkie strony belki, dźwigary, wsporniki, pomosty i wiszące platformy, a także unoszące się nieruchomo zdalnie sterowane kapsuły tworzyły coś w rodzaju toru przeszkód, którego pokonanie wymagało nie lada zdolności i odwagi.

Zacisnąwszy obie dłonie na rękojeści drążka, Han wszedł w świecę, żeby ominąć jakąś platformę. Położył wahadłowiec na bakburtę. Zamierzał przelecieć pod najdłuższą kratowaną suwnicą, pokonał jednak tylko niespełną połowę drogi. Pilot koralowego skoczka dał ognia i rozżarzona plazma zamieniła suwnicę w dymiące szczątki. Han musiał raptownie zanurkować w stronę piasty. Przy okazji omal nie stracił skrzydła, kiedy otarł nim o gruby pręt anteny,

wystający z powierzchni szprychy. Najwięcej kłopotów przysparzał mu jednak uparty Yuuzhanin. Wyglądało na to, że jest i celnym strzelcem, i świetnym pilotem.

Ignorując błyski ostrzegawczych lampek i zawrodożenie alarmowych syren, Han zaczął krążyć wokół piasty. Starał się, żeby każdy kolejny krąg miał coraz mniejszą średnicę. W pewnej chwili znów strzelił w górę i skierował się ku niedokończonej sekcji orbitalnej stacji.

Zdumiony Ryn wyprostował się na fotelu i pochylił ku iluminatorowi, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Chyba... żartujesz – wyjąkał, nie na żarty przerażony.

Han przyjrzał się pozbawionej ścian bocznych konstrukcji, pełnej sterczących żeber i mocujących wsporników. Zamierzał przelecieć między nimi.

– Boczna ściana po drugiej stronie także nie ma pancernych płyt – oświadczył tak stanowczym tonem, na jaki mógł się zdobyć. – Sprawdziłem to.

– Sprawdziłeś? – W głosie Ryna brzmiało bezgraniczne niedowierzenie. – Kiedy?

– Trochę wcześniej – odparł nonszalancko Han. – Zaufaj mi. Po tamtej stronie są tylko wolne przestworza. Weź się w garść. Jeżeli chcesz, możesz zamknąć oczy.

Przyrządy na pulpitych zwariowały. Alarmowe lampki błyskały jak szalone. Syreny i brzęczyki ostrzegały o nadciągającej katastrofie, Han jednak starał się je ignorować. Odnosił wrażenie, że koralowy skoczek przykleił się do ogona jego wahadłowca.

Jeszcze bardziej przyspieszył. Kiedy zaś od niewykończonego fragmentu „Kola” dzieliła go już bardzo mała odległość, zadarł lekko dziób statku i na sekundę włączył silniczki manewrowe. Chciał tylko wyrzucić wrażenie, że zamierza przelecieć nad zewnętrzną krawędzią orbitalnej stacji. Pilot skoczka połknął przynętę i skierował nos koralowej maszyny w górę. Natychmiast jednak uświadomił sobie, że popełnił błąd. Usiłował unieść nos skoczka jeszcze wyżej, by wykonać pętlę przez grzbiet, ale znajdował się zbyt blisko krawędzi „Kola”. Zaczął ścinać kolejne wsporniki. Przy każdym takim zderzeniu tracił kawałki kadłuba. W pewnej chwili ostro skreślił i roztrzaskał się o wewnętrzną powierzchnię „Kola” – w miejscu, gdzie szprycha łączyła się z obwodem.

Tymczasem Han skreślił o pięć stopni na bakburtę i realizując wcześniejszy plan, skierował wahadłowiec w stronę orbitalnej

stacji. Przeleciał slalomem przez gąszcz wsporników, belek, dźwi-garów i innych elementów konstrukcji. Jak oczekiwał, przeciwle-głej ściany „Koła” także nie osłonięto pancernymi płytami. Jeszcze jedno czy dwa uderzenia serca i przed dziobem statku ukazały się wolne przestworza.

– Widzisz, nie było tak źle... – zaczął, ale w sterowni rozległ się ogłuszający huk i coś wylądowało na transpastalowej szybie iluminatora.

Reagując odruchowo, Han i Ryn zasłonili dłońmi oczy. Korelianin był pewien, że statek został poważnie uszkodzony. Kiedy opuścił ręce i otworzył oczy, przekonał się jednak, że na iluminatorze leży protokolarny android. Rozłożył ręce i nogi, trzymał się jak mógł i starał się nie zsunąć.

– Pasażer na gapę – stwierdził rzeczowo Ryn.

Istniało co najmniej kilka sposobów pozbycia się nieproszonego gościa, ale Han nie skorzystał z żadnego.

– Nie robi nam nic złego – powiedział.

Utrzymywał wahadłowiec na niezmiennym kursie, dopóki nie oddalił się na sporą odległość od „Koła Fortuny”. Potem wszedł w łagodny obszerny łuk. W przestworzach nie było widać ani jednego koralowego skoczka, a unoszący się w oddali okręt Yuuzhan chyba odlatywał. Jego dowin basale pochłaniały energię większości strza-łów, które kierowali ku niemu piloci gwiazdnych myśliwców i arty-lerzyści niszczyciela.

– Wytycz kurs na Ord Mantell – odezwał się w końcu Kore-lianin. Kątem oka zauważył, że Ryn aprobująco pokiwał głową.

Han wyszczerzył zęby w łobuzerskim uśmiechu.

– Chyba... – zaczął, ale niespodziewanie urwał.

W oczach Ryna wyczytał pytanie.

– ...mam swoje momenty – dokończył cicho, jakby machinalnie. W jego głosie nie wyczuwało się żadnych emocji.

Prawdę mówiąc, nie wszystko było jak za dawnych czasów. Roa i Fasgo zostali uwięzieni albo zabici, a palce, które Han zacisnęła na rękojeści drążka sterowniczego, drżały i za nic w świecie nie chcia-ły przestać.

Wiceadmirał Poinard i generał Sutel z mostka „Erinnica” przy-glądali się, jak pasażerski wahadłowiec w kształcie pocisku prze-myka między otaczającymi „Koło Fortuny” szczątkami i odpadkami,

a potem szybko odlatuje w stronę Ord Mantell. Nieco dalej, poza księżycami planety, było widać niedobitki umykającej floty Yuuzhan.

– Panie admirale, panie generale, dowódca techników melduje, że generatory ochronnych pól okrętu zostały poważnie uszkodzone – odezwała się kobieta, pełniąca służbę w sterburtowym zagłębieniu mostka. – Odradza, powtarzam: odradza ściganie nieprzyjaciół.

– Potwierdzam – odparł Poinard. – Niech pani powie dowódcy techników, że pozostajemy w tym samym miejscu. I proszę przekazać tę wiadomość wszystkim członkom załogi.

– Może to i lepiej – stwierdził Sutel. – Jeżeli wojownicy Yuuzhan Vong zobaczą kuśtykające do bazy resztki własnej floty, w przyszłości dwa razy się zastanowią...

Poinard nie odpowiedział. Nie odrywał spojrzenia od wycofujących się jednostek nieprzyjacielskiej floty.

– Panie admirale, panie generale – odezwała się ta sama pani technik – napływają meldunki z pola bitwy. Oprócz krążownika straciliśmy także jedną fregatę eskortową i trzy kanonierki. – Przerwała na chwilę. – Szacujemy, że nieprzyjacielska flota poniosła o wiele większe straty. „Kóło Fortuny” zostało poważnie uszkodzone, ale się nie rozpadło. Z Ord Mantell donoszą o poważnych zniszczeniach niektórych ośrodków miejskich, położonych w głębi lądu. Dodają jednak, że osłonięte energetycznymi polami miasta na wybrzeżach prawie nie ucierpiały, a wzniecone pożary zdołano opanować.

Sutel odwrócił się do towarzysza broni.

– To powinno pana pocieszyć, admirale – powiedział.

Poinard mruknął coś niezrozumiale, a potem odwrócił się plecami do dziobowych iluminatorów.

– Proszę powiadomić dowództwo, że informacje Wywiadu się potwierdziły – polecił adiutantowi. – Nie jestem pewien, jakim cudem, ale przepędziliśmy napastników.

# ROZDZIAŁ

## 17

Demonstracyjnie pewny siebie Reck Desh – czarnowłosy, szczupły i wytatuowany mężczyzna – śmiało wkroczył do „Mgławicowej Orchidei”. Rozejrzał się wokół, aby zorientować się w sytuacji. W głównej sali popularnej jadłodajni Kuat City zobaczył jednak tylko nie budzącą podejrzeń zbieraninę ludzi i obcych istot – robotników, techników i inżynierów. Zapewne korzystali z urlopów, jakich udzieliła im dykcja słynnych na całą galaktykę orbitalnych gwiazdnych stocznii Kuat. W lokalu przebywała także grupa cywiliów. Pośród nich Reck dostrzegł trzech telbunów – młodych Kuatczyków, szkolących się kandydatów na towarzyszy życia rozpieszczonej córki kuatskich możnowładców. Wszyscy trzej byli ubrani w grube, fioletowoczerwone płaszcze, mieli twarze osłonięte walamami, a na głowach nosili wysokie, cylindryczne kapelusze. Wokół stolików uwijali się kelnerzy – żywe istoty i androidy. Zbierali zamówienia i roznosili tace z artystycznie ułożonymi potrawami.

– To gdzie miałeś się z nim spotkać? – zapytał wyższy z dwóch kompanów Recka.

Czarnowłosy najemnik wskazał ruchem wystającej brody jedną z łóż, urządzonych pod przeciwległą ścianą wielkiej sali.

– W szóście.

Barczysty mężczyzna postanowił policzyć łoża. Zaczął od lewej i oddalając się od wychodzących na ulicę wielkich okien, kiwał głową, ilekroć wymieniał półgłosem kolejną cyfrę.

– Szóstka jest pusta – stwierdził w końcu.

– To dobrze. Jesteśmy pierwsi – oznajmił Reck. – Ty i Ven usiądźcie gdzieś, skąd będziecie mogli mieć oko na wszystko, co się

dzieje. Ale nie ruszajcie się z miejsc. Nie róbcie absolutnie nic, dopóki nie dam wam znaku.

– Rozumiemy – odparł Watson.

Kiwnął głową na partnera i obaj usiedli przy wolnym stoliku stojącym mniej więcej pośrodku wielkiej sali.

Reck podciągnął workowate spodnie i skierował się do szóstej łoży. Piątka była także wolna, ale w siódmej siedział samotny telbun. Barwny woal osłaniał całą jego twarz z wyjątkiem oczu. Reck usiadł plecami do niego i rozparł się na miękkim fotelu. Postanowił poczekać, aż pojawi się tajemniczy rozmówca. Zastanawiał się, czy nie skinąć na kelnera, kiedy nagle usłyszał głos telbuna zajmującego fotel za jego plecami, w siódmej łoży.

– Nie odwracaj się, Reck! – rozkazał Kuatczyk beznamiętnym tonem; najwyraźniej posługiwał się skomplikowanym i kosztownym urządzeniem do zniekształcania dźwięków.

Zaskoczony Reck drgnął, ale siłą woli zmusił się do zachowania spokoju. Usiłował przypomnieć sobie, co zobaczył, kiedy siadając, przelotnie rzucił okiem na telbuna. Doszedł do przekonania, że musi zrewidować wnioski, jakie wtedy wyciągnął. Kosztowne luźne ubranie i wysoki kapelusz mogły kryć istotę dowolnej rasy, a urządzenie zniekształcające dźwięki nie pozwalało stwierdzić nawet, czy jego rozmówca jest samcem, czy samicą.

– Zawsze się tak stroisz, czy może wybierasz się dzisiaj na bal przebierańców? – zapytał po chwili, kiedy trochę ochłonął.

Obca istota zignorowała jego uwagę.

– Daj znak swoim kompanom, Reck, że wszystko w porządku – powiedziała.

Mężczyzna odchylił głowę do tyłu, tak że prawie zetknęła się z głową telbuna.

– A kto mnie powstrzyma, żebym ich zawołał i kazał zedrzyć ten woal z twojej twarzy?

– Absolutnie nikt – przyznał Kuatczyk. – Ale jesteś głupcem, jeżeli uważasz, że przyszedłem bez obstawy.

Piwne oczy Recka omiotły wielką salę w poszukiwaniu możliwych kandydatów. Bez względu na to, czy telbun blefował, czy nie, chyba warto było wysłuchać, co ma do powiedzenia. Najemnik obrócił się w stronę Vena i Watsona i gestem ręki dał im znak, że mogą przestać się niepokoić.

– To miło z twojej strony, Reck – rzekł telbun. – Kiedy rozmawialiśmy przez komunikator, wspomniałem, że mam dla ciebie informację.

– To bardzo dobrze – odparł mężczyzna. – Najpierw jednak powiedz mi, skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać.

– Udzielę ci najprostszej odpowiedzi – zaczął Kuatczyk. – O działalności i miejscu pobytu Brygady Pokoju wie więcej osób niż możesz sobie wyobrazić.

Reck wypuścił powietrze z płuc z cichym świstem i z ubolewaniem pokręcił głową.

– To oznacza, że albo pracujemy dla tych samych mocodawców, albo masz dostęp do naprawdę ściśle tajnych informacji. A ponieważ wątpię, żebyśmy pracowali dla tych samych gości, musisz mieć coś wspólnego z wojskową służbą bezpieczeństwa albo Wywiadem Nowej Republiki.

– W tej chwili nie musisz tego wiedzieć, Reck – odparł telbun.

– Może tak, a może nie – powiedział najemnik. – Nie zapominaj, że przyleciałem na to spotkanie aż z księżycza Nar Shaddaa.

– Jestem pewien, że już teraz ogarnia cię tęsknota za Przesztworzami Huttów – zakpiła istota.

– Wiedz jedno – odrzekł Reck. – Lepiej dla ciebie, żeby to było coś ważnego.

Telbun umilkł, jakby zastanawiał się, co powiedzieć.

– Jesteś członkiem Brygady Pokoju – zaczął po chwili – ale w rzeczywistości wykonujesz polecenia dowódców wojskowych Yuuzhan Vongów.

Reck także zwlekał chwilę z odpowiedzią.

– Dobrze się orientujesz – stwierdził w końcu. – Inaczej nie prosiłbyś, żebym tu przylatywał.

– Prawidłowa odpowiedź. Jestem kimś w rodzaju fanatyka uczciwości.

– Przejdź do rzeczy – syknął zniecierpliwiony Reck. – Jaką informację masz dla mnie?

– Wiem, jak możesz pozyskać przychylność swoich szefów.

– Ta-a, powiedziałeś to już podczas tamtej rozmowy – przypomniał oschle najemnik. – Tylko dlaczego uważasz, że nie cieszę się ich przychylnością?

– Ponieważ tu przyleciałeś – oznajmił Kuatczyk. – Nie byłem tego pewien, kiedy z tobą rozmawiałem; teraz jednak wiem to na pewno. Zaliczasz się do ludzi ambitnych, a w tej chwili jesteś zaintrygowany.

Reck parsknął.

– Powiem ci, co o tym sędzę, kiedy usłyszę, co to za informacja – odrzekł.

– Nowa Republika przetrzymuje w więzieniu uciekinierkę rasy Yuuzhan Vong – zaczęła istota. – Jest ważną osobistością... kapłanką czy kimś w tym rodzaju. Pragnąc ocalić życie, wskoczyła do kapsuły ratunkowej i uciekła z pokładu okrętu Yuuzhan, zanim ten uległ zniszczeniu w sektorze Meridiana. Yuuzhanie już raz usiłowali ją odzyskać, ale ich próba zakończyła się niepowodzeniem. Domyślam się, że po tym, co wydarzyło się w przestworzach Ord Mantell, dołożą wszelkich starań, żeby ją uwolnić.

Reck zmarszczył brwi.

– A co wydarzyło się w przestworzach Ord Mantell? – zapytał.

– Opierając się na przekazanych przez uciekinierkę informacjach, Nowa Republika urządziła zasadzkę i odparła atak floty Yuuzhan Vongów.

Zdumiony Reck nie mógł powstrzymać się od gwizdnięcia.

– A zatem ta kapłanka musi znaczyć dla nich naprawdę dużo – stwierdził.

– Podróżuje w towarzystwie maskotki – ciągnął telbun. – Obie mają być przetransportowane ze Środkowych Rubieży na Coruscant, żeby już nikt nie mógł nawet marzyć o ich uwolnieniu. Nie polecą tam jednak bezpośrednio. Znam nazwy planet, na których mają się zatrzymywać po drodze.

Reck z trudem wytrzymał, żeby się nie odwrócić.

– Chyba nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi – powiedział.

– Pomyśl o tym – odrzekł Kuatczyk. – Ktokolwiek uwolni te uciekiniarki i przekaże Yuuzhanom, wyświadczy istotom wielką przysługę i zasłuży na ich wdzięczność.

– Teraz wszystko jasne – oznajmił najemnik. – Wszyscy będą szczęśliwi, a ja może dostanę nagrodę. Martwi mnie tylko jedno. Jaki ty możesz w tym mieć interes? Spodziewasz się, że odpalę ci część nagrody?

– Błąd – poprawił go telbun. – Chcę tylko, żebyś informował mnie o przyszłych umowach, jakie będzie zawierała Brygada Pokoju z dowódcami Yuuzhan Vongów.

– A jeżeli nie dotrzymam swojej części umowy?

– Zwałę ci na głowę wszystko, co mogę: wojsko, bezpieczeństwo i Wywiad Nowej Republiki. Wykręciłeś tyle paskudnych numerów, Reck, że będziesz miał wielkie szczęście, jeżeli dostaniesz tylko dożywocie na Fodurance.

– Wszystkie karty na stół, hmm? – warknął Reck. – Właściwie dlaczego tak ci zależy, żeby uciekiniarki powróciły do Yuuzhan?

Telbun się roześmiał.

– A czy ty, kiedy wiązałeś się z nimi, myślałeś tylko o kredytach? – zapytał.

– Kredyty zdobyte w nieuczciwy sposób są dwakroć słodsze niż zarobione – zakpił mężczyzna.

– To urocze stwierdzenie, ale ja się z nim nie zgadzam – odparł Kuatczyk. – Bez wątpienia, podejmując decyzję, miałeś nadzieję zdobyć ich całe mnóstwo. Wiesz jednak równie dobrze jak ja, że w grę wchodziła większa stawka.

– Mianowicie jaka?

– Wszystko przemawia za tym, że Nowa Republika przegra tę wojnę, a ty nic nie zyskałbyś, gdybyś opowiedział się po stronie zwyciężonych – oznajmiła istota. – Jeżeli rozegrasz to mądrze, Reck, może obaj na tym wygramy.

– Skłamałbym, gdybym nie uznał twojej propozycji za kuszącą – odrzekł najemnik. – Ponieważ jednak skontaktowałeś się ze mną podejrzanie łatwo, wnioskuję, że Wywiad Nowej Republiki musi mieć w Brygadzie Pokoju swoją wtyczkę.

– Pozostaw to mnie.

– Tobie... – powtórzył zamyślony Reck. – A kiedy dowiem się, kim właściwie jesteś?

– Kiedy nadejdzie odpowiednia pora – odparł telbun. – Ale to ja o tym zadecyduję.

Reck nabrał i wypuścił powietrze. Bardzo powoli.

– Niech będzie – odezwał się w końcu. – Chyba jestem skłonny ci zaufać.

– Nie pożałujesz swojej decyzji. – Kuatczyk zrobił krótką przerwę. – Uciekiniarka i jej towarzyszka zostaną przetransportowane na Bilbringi na pokładzie starego pasażerskiego liniowca „Królowa Imperium”. Dostarczę ci szczegółowych informacji o ich planach, kiedy je poznam. Sugeruję jednak, żebyś spróbował porwać obie uciekiniarki, jeszcze zanim dotrą na Bilbringi.

– Pozostaw to mnie – odrzekł protekcjonalnym tonem Reck, zadowolony z okazji odwdzięczenia się istocie pięknym za nadobne.

– Jeszcze jedno – ostrzegł go Kuatczyk. – Ani słowa nikomu, od kogo otrzymałeś tę informację. Nikomu... nawet twoim yuuzhańskim mocodawcom. Na razie niech to pozostanie między tobą, mną i twoimi dwoma kompanami.

– Mogę ci to obiecać – powiedział najemnik. – Przynajmniej jako coś w rodzaju próby.

– Wiem, że mnie nie zawiedziesz, Reck.

Mężczyzna poczuł, że jego ramienia dotknęła czyjaś ręka. Rozległ się szelest materiału. Telbun wstał.

– Jeszcze się z tobą skontaktuję, Reck – powiedział. – Tylko nie próbuj mnie śledzić.

Najemnik pozostał na fotelu, ale strzelał oczami w prawo i lewo. Usiłował wypatrzeć kompanów Kuatczyka. Nikt jednak nie wstał od żadnego stolika, by podążyć do tylnego wyjścia w ślad za ubraną w krzykliwy płaszcz istotą. W końcu Reck odwrócił się do Watsona i Vena.

– Szybko! – rozkazał. – Gonić go!

Zerwał się i pobiegł do wyjścia. Watson i Ven pędzili krok za nim. Kiedy jednak wszyscy trzej stanęli na progu tylnych drzwi, zamarli. Drzwi wychodziły na otoczony budynkami dziedziniec, wypełniony od ściany do ściany tłumem identycznie ubranych telbunów.

Wycie syren oznajmiło, że niebezpieczeństwo minęło. Uspokojony tym Threepio kiwnął złocistą głową. Postanowił jak najszybciej przejść po płycie lądowiska największego kosmoportu planety Ord Mantell całą odległość, jaka dzieliła go od gwiazdnego statku pani Leii Organy Solo. Całe szczęście, że siłowe pole ocaliło miasto przed bombardowaniem z orbity. Na północ od miasta jednak, gdzie znajdowały się słynne składnice złomu, unosiły się w zachmurzone niebo grube kolumny gęstego i czarnego jak sadza dymu.

– Dzięki niech będą stwórcy – mruknął do siebie złocisty android, jeszcze bardziej przyspieszając. – Dzięki niech będą stwórcy.

Pani Leia, która wciąż jeszcze przebywała w schronie pod opieką osobistego strażnika rasy Noghri, wysłała androida z ważnym zadaniem. Poleciała mu, aby upewnił się, że podczas nieco wcześniejszego ataku wojowników rasy Yuuzhan Vong nie został uszkodzony jej gwiazdny statek. Threepio przekonał się, że wszystko w porządku. Niestety, większe albo mniejsze uszkodzenia odniosło wiele innych gwiazdnych jednostek. Na widok ich podziurawionych i szerniałych albo wypalonych kadłubów Threepio poczuł, że jego metalowe ciało wpada w dziwne drżenie.

Złocisty android wzdrygnął się na myśl o tym, jaki mógłby go spotkać los, gdyby grupa szturmowa Nowej Republiki nie odparła ataku floty nieprzyjaciół. Cóż, mógłby skończyć na wysypisku

odpadków albo w składnicy złomu, a nawet – co byłoby chyba najgorsze – na dnie jamy wypełnionej spalonymi automatami, podobnej do tej, jaką widział na Rhommamoolu po krótkim, ale bardzo nieprzyjemnym spotkaniu z Nomem Anorem.

„Twoje istnienie jest dla mnie obrażą!” – oznajmił mu wówczas polityczny awanturnik. Przy okazji rzucił mu tak lodowate spojrzenie, że wryło się w pamięci Threepia chyba na zawsze.

Co innego czuć się odtrącanym przez Gotalów, których wrażliwe organy reagowały bólem na moc wyjściową androidów, a co innego być skazywanym na wyłączanie, kasowanie zawartości pamięci albo unicestwienie. Rzecz jasna, zdarzały się przypadki, kiedy same automaty były winne wzbudzeniu do siebie niechęci, a czasem nawet nienawiści istot żywych. Jednym z takich przypadków był android nadzorczy firmy MerenData typu EV, który, służąc na Bepinie pod rozkazami Landa Calrissiana, zniszczył jakieś dwadzieścia pięć procent stanu liczebnego automatów Miasta w Chmurach. Na szczęście, haniebne postępowanie androida EV-9D9 było jaskrawym i odosobnionym wyjątkiem od powszechnie znanej reguły.

A wracając do tematu, co mogły zrobić androidy – a może jeden android – komuś takiemu jak Nom Anor, że zionął do nich tak wielką nienawiścią? Poszukując precedensów, Threepio przypomniał sobie, że czasami wrogość do automatów okazywali ludzie, którzy musieli zastępować części ciała najróżniejszymi protezami. Jednak wielu innych nie widziało w stosowaniu mechanizmów nic niewłaściwego. Threepio nie pamiętał, żeby pan Luke chociaż raz uskarżał się czy złorzeczył komukolwiek dlatego, że ma sztuczną rękę.

To wszystko było takie trudne do zrozumienia!

Złocisty android już nieraz był bliski wyłączenia albo unicestwienia. Kiedyś jedną rękę oderwali mu Jeźdźcy Tusken. Kiedy indziej żołnierze Imperium i buntownicy na Bothawui rozebrali go na części. Jedno oko wydułabała mu w pałacu Hutta Jabby kerkowiańska małpojaszczurka... Po każdym takim wypadku był jednak składany, czyszczony i odmagnetyzowany, a potem poddawany kąpieli w zbiorniku z olejem – odpowiednikiem płynu bacta dla automatów. Potem zaś polerowano go tak długo, aż zaczynał na nowo lśnić złocistym blaskiem.

Dzięki powtarzającemu się co jakiś czas odrodzeniu niemal zapomniał o tym, że mógłby zostać unicestwiony albo wyłączony. Threepio nie wiedział, czy potrafiłby sobie coś takiego wyobrazić.

Przecież unicestwienie było czymś w rodzaju trwałego wyłączenia, wiekuistego niebytu. Jakby to było możliwe? I jakie musiałby cierpieć katusze, gdyby wiedział, że unicestwią go jego wrogowie!

– Jesteśmy wszyscy zgubieni – mruknął do siebie. – Widocznie taki już los każdej istoty, czy to żywej, czy mechanicznej. Musimy cierpieć.

Tylko właściwie dlaczego na samą myśl o wyłączeniu ogarniało go takie przerażenie?

Czy tak bardzo pragnął pozostać włączony? Czyżby za wszelką cenę chciał się cieszyć nieprzerwaną świadomością? A może zawdzięczał stan umysłu nienaturalnemu pragnieniu przedłużenia czasu istnienia? Może gdyby nie pragnął dalej istnieć, perspektywa wyłączenia przestałaby go tak przerażać?

Na myśl o tym C-3PO odniósł wrażenie, że zaczyna tracić zmysły. Przystanął tak raptownie, że jego złociste stopy zazgrzytały na permabetonowej płycie lądowiska. Podążający tuż za nim prawie identyczny android wpadł na niego od tyłu.

– Sam jesteś *e chu ta!* – zrewanżował się Threepio, obrzucając intruza takim samym grubiańskim epitetem.

Co za bezczelność! – pomyślał, gdy odwrócił się i ruszył dalej. Żeby okazywać tak mało szacunku komuś, kto tyle przeżył i widział, tyle podróżował i zdobył taką wiedzę od czasu pierwszej pracy, kiedy kazano mu programować binarne podnośniki!

Całkiem niespodziewanie jego fotoreceptory natrafiły na pana Solo. Korelianin rozmawiał z... coś takiego, z jakimś Rynem!

Spiesząc w ich stronę, Threepio nie mógł nie zauważyć, że obaj sprawiają wrażenie sfatygowanych i poobijanych – podobnie jak wahadłowiec, którym niewątpliwie przylecieli. Po rampie gwiazdowego statku schodziły zrezygnowane i przygnębione istoty różnych ras, płci i w różnym wieku. Po chwili w ślad za nimi wytoczył się astromechaniczny robot typu R2 z czerwoną kopułką. Pan Solo zaś nie tyle rozmawiał z Rynem, ile się z nim kłócił.

– Już niedługo znów się spotkamy! – powiedział Ryn, kiedy Threepio znalazł się całkiem blisko.

– Mowy nie ma, jeżeli to będzie ode mnie zależało, partnerze – burknął Han tonem, z którego nie przebijała ani odrobina sympatii.

– Panie Solo! – zawołał Threepio, machając złocistą ręką nad głową. – Panie Solo!

Korelianin odwrócił się, a kiedy go zobaczył, parsknął śmiechem. Wcale nie sprawiał wrażenia tak zdziwionego, jak android

mógłby się spodziewać. Po chwili Threepio przypomniał sobie, że przecież pan Solo wiedział, iż pani Leia i jej protokolarny android wybierają się na Ord Mantell. Może więc też tu przyleciał, by się z nimi zobaczyć?

– Panie Solo, jest pan ranny! – zawołał C-3PO, ujrawszy zaschłą krew na dłoniach i twarzy mężczyzny.

– Mogło być o wiele gorzej, Threepio – odparł Han ze zwykłą skłonnością do lekceważenia własnego zdrowia. – Gdzie jest Leia?

– W tej chwili, proszę pana? – zapytał android. – Zapewne w Hotelu Grand. Przynajmniej tam przebywała, kiedy ostatnio ją widziałem.

Han umilkł i zaczął się nad czymś zastanawiać. Po jakiejś minucie zmrużył oczy i popatrzył na androida.

– Chyba nie ma mowy, żebyś nie wspominał jej, że mnie tu widziałeś? – zapytał.

Zakłopotany C-3PO przekrzywił złocistą głowę.

– Nie, chyba nie – zdecydował Korelianin, odpowiadając sam sobie. Ciężko westchnął. – W takim razie najlepiej będzie, jeżeli mnie do niej zaprowadzisz.

# ROZDZIAŁ

# 18

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu przyleciałeś – odezwała się Leia, przykładając nasączony płynem bacta opatrunek do paskudnego otarcia naskórka nad prawą brwią męża. Han siedział w łazience eleganckiego apartamentu, który Leia wynajęła w najlepszym stołecznym hotelu. Żona pochylała się nad nim, a stojący na progu Threepio milczał jak zakłęty. Dwaj strażnicy Leii, Olmahk i Basbakhan, czuwali po obu stronach drzwi wejściowych. – A gdzie twój przyjaciel Roa?

Han zacisnął zęby, aż zazgrzytały.

– To doskonałe pytanie, Leio – odparł cierpko. – Wessał go gigantyczny yuuzhański węzostatek, którego załoga zaatakowała „Kóło Fortuny”.

Leia oparła dłonie na jego ramionach.

– Och, nie, Hanie – jęknęła. – To okropne!

– Może tylko dostał się do niewoli! – wybuchnął Korelianin. – Ale to chyba jeszcze gorzej.

Zacisnął zęby i zaczął powoli kręcić głową, jakby wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, co się stało.

– Czy udało się wam osiągnąć to, co zamierzaliście? – zapytała ostrożnie Leia.

Han spojrzał na odbicie jej twarzy, widoczne w lustrze nad umywalką.

– Przeszkodzili nam w tym Yuuzhanie.

– Przykro mi to słyszeć. – Leia spuściła głowę i zajęła się wygładzaniem opatrunku z płynem bacta. – Co teraz zrobisz?

Han raptownie wstał i odszedł od umywalki. Rozcapierzonymi palcami i odgarnął niesforne włosy na tył głowy.

– Nie wiem – powiedział. – Chyba muszę go odnaleźć.

Leia spojrzała na niego. W jej oczach malowało się niedowierzenie.

– Odnaleźć go? – powtórzyła. – Jak zamierzasz tego dokonać?  
Han pokręcił głową.

– Jeszcze nie wiem. – Spojrzał na żonę z posępną miną. – A co chcesz, żebyśmy zrobili? Mam udawać, że nie wydarzyło się nic złego?

– Oczywiście, że nie – zachnęła się Leia. – Myślałam tylko...  
Zniecierpliwiony Han uciszył ją machnięciem ręki.

– Jak mogłem przypuszczać, że mnie zrozumiesz? – westchnął.  
Leia splotła ręce na piersiach i zmrużyła oczy.

– Wyobrażasz sobie, że nie wiem, jakie to uczucie stracić kogoś bliskiego? – zapytała.

Han uniósł rękę.

– Nie musisz mi jeszcze raz przypominać o Alderaanie i Elegosie A’Kli...

W oczach żony pojawiły się gniewne błyski.

– Czyś ty postradał zmysły? – wybuchnęła. – Jak śmiesz wygadywać takie głupstwa!

Korelianin wytrzymał siłę jej spojrzenia.

– Uważaj, Leio – ostrzegł. – Nie jestem w najlepszym humorze.

Leia objęła dłońmi szyję. Na jej twarzy pojawił się wyraz udawanego przerażenia.

– Z pewnością powinnam uczynić wszystko, żeby nie znaleźć się na długiej liście osób, które zirytowały niesławnego Hana Solo – zadrwiła.

Han odwrócił się powoli, żeby rzucić złocistemu androidowi porozumiewawcze spojrzenie.

– Taka drobna istota, a walczy zaciekle jak nek – powiedział. – Nie sądzisz, Threepio?

C-3PO obrzucił go zdumionym spojrzeniem.

– Przepraszam, że pytam, proszę pana, ale czy...

Leia ujęła się pod boki i spojrzała na męża.

– Wracasz z nami na Coruscant? – zapytała.

Han pokręcił głową.

– Przecież ci mówiłem. Roa i ja mieliśmy do załatwienia pewną sprawę, ale nam przeszkodzono.

– I nie zamierzasz powiedzieć mi, co to za sprawa?

W odpowiedzi Han tylko wzruszył ramionami.

– Gdzie się podział mężczyzna, który zawsze zmierzał prosto do celu i stawiał czoło trudnościom, zamiast bawić się w podchody?

Zdumiony Han zmarszczył brwi i otworzył usta.

– Niby kto bawi się w podchody? – zapytał po chwili.

Na twarzy Leii odmalowało się rozczarowanie.

– Zmieniłeś się, Hanie.

– O czym ty mówisz? – zachnął się Solo. – Ani trochę się nie zmieniłem. Jestem taki jak zawsze: odporny na upływ czasu, niewrażliwy na kaprysy pogody, ognioodporny, wodoszczelny, nierdzewny...

– Tak sądzisz? – Leia podeszła do niego i położyła dłonie na jego ramionach, a potem delikatnie zmusiła, żeby odwrócił się i spojrział w lustro. – Dobrze się przyjrzyj.

Han umilkł i jakiś czas się nie odzywał.

– To nie lata, Leio – powiedział w końcu. – To parseki.

Jego żona ciężko westchnęła.

– Czasami bywasz taki irytujący – rzekła.

– Ta-a, teraz chyba żałujesz, że poślubiłaś przemytnika, a nie zawodowego gracza pierwszej ligi, hmm? – prychnął Han.

Rozgniewana kobieta zacisnęła wargi.

– Wcale nie o to chodzi. – Pokazała ręką okno. – Szwendanie się po przestworzach bywa bardzo niebezpieczne. Może nie wiesz, ale istoty rasy Yuuzhan Vong zebrały o tobie mnóstwo informacji. Kto wie, może nawet wyznaczyły nagrodę za twoją głowę?

– Nie szwendam się po przestworzach, Leio – odparł urażonym tonem Korelianin.

– W takim razie powiedz mi, co chcesz zrobić.

Han zaczął coś mówić, ale umilkł.

– Wiedziałem, że przylatując tu, popełniam błąd – westchnął w końcu z rezygnacją.

Leia cofnęła się o krok. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej i rozgniewanej. Kiedy Han chciał dodać coś jeszcze, powstrzymała go gestem uniesionej ręki.

– Chcesz wiedzieć, co o tym wszystkim myślę? – zapytała. – Uważam, że powinieneś obrać kurs na Coruscant i kilka razy okrążyć planetę, dopóki się nad tym nie zastanowisz. Wcale nie żartuję.

Han kiwnął głową i zacisnął mocno wargi.

– Może masz rację, Leio – powiedział. – Może to mi dobrze zrobi.

Podniósł z podłogi podróżną torbę, precyzyjnie się obok Threepia i skierował do wyjścia. Leia nie usiłowała go powstrzymać. Kiedy jednak drzwi apartamentu zamknęły się za jego plecami, przeszła do sypialni i bezwładnie osunęła się na łóżko.

– Cóż, tego z pewnością nie było w planach, Threepio – odezwała się beznamiętnym tonem, spoglądając na protokolarnego androida.

– W jakich planach, proszę pani?

Leia spojrzała na niego z ukosa.

– To tylko takie powiedzenie, Threepio – rzekła. – W rzeczywistości nie układałam żadnych planów.

C-3PO lekko się zgarbił. Leia uśmiechnęła się, chociaż trochę wbrew sobie.

– Ludzki sposób myślenia nie zawsze jest godny pozazdrośczenia, Threepio – powiedziała. – Czasami lepiej nie wiedzieć, co ktoś myśli.

Han przykrył dłonią prostopadłościenną szklanekę, żeby czteroręki barman nie napełnił jej na nowo.

– Alkohol nie jest właściwą odpowiedzią – oznajmił, jakby mówił do siebie.

Stojący za szynkwasem Codru-Ji posłał mu pytające spojrzenie.

– A jak brzmi pytanie?

– W jaki sposób można zmienić przeszłość – odparł Solo.

– Bardzo prosto. Zmieniając sposób, w jaki ją pamiętamy.

– Ta-a – mruknął Korelianin. – Domyślam się, że powinienem kazać skasować zawartość swojej pamięci.

Barman współczująco pokiwał głową.

– Jeszcze jedna whisky i znajdziesz się na dobrej drodze.

Han przeciągnął dłonią po porośniętej krótką szczecinę brodzie. Pokręcił głową.

– Wiodącej donikąd.

Codru-Ji wzruszył ramionami.

– Rób, jak uważasz, przyjacielu – powiedział.

Bar kasyna „Fortuna” był prawie pusty, ale przy stołach z grami hazardowymi tłoczyły się grupy obcych istot i ludzi. Zapewne wszyscy się cieszyli, że mieli szczęście nie wpaść w łapy Yuuzhan i nie skończyć żywota na ofiarnym ołtarzu albo stosie. Możliwe, że uważali to za wygraną w grze, w której prawdopodobieństwo trafienia

było znikomo małe. Han doszedł do przekonania, że on także byłby w radosnym nastroju – gdyby nie to, co spotkało Fasga i Roę.

Tylko jaki sens miało obwinianie o to Leii? Jego żona nie była winna zniknięcia obu mężczyzn bardziej niż Anakin śmierci Chewiego. Z pewnością nie zawiniła bardziej niż Reck Desh. Może więc rzeczywiście powinien dać sobie spokój z poszukiwaniami siwo-włosego przyjaciela albo tak zwanej Brygady Pokoju i powrócić na Coruscant? Może gdyby tam dotarł, zająłby się czymś pożytecznym?

Zapłacił za trunek i zostawił barmanowi suty napiwek, a potem odwrócił się i ruszył do wyjścia. Zanim pokonał połowę odległości, drogę zastąpił mu Aqualishanin Wielkiego Bunjego.

– Widzę, że udało się wam zwać z „Koła Fortuny” w jednym kawałku – powiedział Han, starając się nadać twarzy wyraz rozczarowania.

– Ja także się cieszę, że cię widzę, Solo – odparła istota. – SzeF B domyślał się, że można cię tu znaleźć.

– Podziękuj Bunjemu za to, że nas wtedy zostawił – burknął Korelianin.

– Przysłała mnie z przeprosinami. Tak bardzo się spieszył, że zupełnie zapomniał, iż ma gości.

Górna warga Hana lekko drgnęła.

– Z pewnością przekażę to swoim przyjaciółom – odparł. – Zakładając, że przeżyją wszystko, co zgotują im Yuuzhanie.

Aqualishanin kiwnął głową. Miał nieodgadniony wyraz twarzy.

– Może to poprawi twój humor, Solo – zaczął po chwili. – SzeF dowiedział się, że ten człowiek, o którego go wypytywałeś, ten Reck Desh, zaplanował kolejną akcję na planecie Bilbringi.

Na chmurnej twarzy Hana pojawił się cień zainteresowania.

– Jaką operację?

– Nie wiadomo. Podobno ma w niej wziąć udział cała Brygada Pokoju.

– Kiedy?

– Wkrótce.

– Hmm... Więc mówisz, że na Bilbringi?

– Tak nam powiedziano.

Han odgarnął z czoła kosmyk włosów i powoli wypuścił z płuc powietrze.

– W porządku – powiedział. – Podziękuj ode mnie Bunjemu.

Aqualishanin pożegnał go machnięciem ręki i odszedł, a Han wrócił do baru, żeby się zastanowić. Prawdopodobnie „Radosny

Sztylet” spoczywał nadal na lądowisku „Koła Fortuny”, ale nikt nie mógł mu powiedzieć, czy statek nie ucierpiał podczas ataku Yuuzhan. Lepiej byłoby więc rozejrzeć się za środkiem transportu publicznego, którym mógłby się dostać na Bilbringi. W wolnym czasie mógłby spróbować dowiedzieć się, o co chodzi Reckowi. Prawdopodobnie Leia mogłaby pociągnąć za odpowiednie sznurki, żeby załatwić mu wejście na pokład właściwego statku, ale Han nie mógł jej prosić bez tłumaczenia, po co i dlaczego. Tego zaś nie chciał robić. A przynajmniej jeszcze nie w tej chwili.

Ale C-3PO... C-3PO mógłby mu załatwić wejście na pokład statku lecącego na Bilbringi.

Spełniając dyskretnie przekazaną prośbę Hana, protokolarny android spotkał się z nim przy wejściu do głównego kosmoportu planety Ord Mantell.

– Nie ma to jak szybki android – powitał go Han ciepłym uśmiechem.

– Muszę przyznać, panie Solo, że na wspomnienie tego, co zrobiłem, odczuwam coś, co uznałby pan za wyrzuty sumienia – odezwał się Threepio. – Szczególnie dręczy mnie, że musiałem naśladować głos pani Leii, aby załatwić panu przelot na Bilbringi.

– Daj spokój, Threepio – usiłował go pocieszyć Korelianin. – Już kiedyś to zrobiłeś, nie pamiętasz? Zależało nam na wprowadzeniu w błąd wojsk wielkiego admirała Thrawna.

– To było co innego, proszę pana – odparł złoisty android. – Chodziło wtedy o ochronę księżniczki przed spodziewaną napaścią skrytobójców. Tym razem jednak chodzi o ochronę pana... w dodatku nie jestem pewien, przed kim albo przed czym, panie Solo.

– Nie proszę cię, żebyś kłamał, Threepio – odrzekł Han, przeciągając ostatnie słowo. – Chciałbym tylko, żebyś przymknął oko. Jeżeli Leia nie zapyta cię o mnie, nie musisz mówić jej, dokąd poleciałem.

– Z pewnością o to zapyta, proszę pana.

– W porządku, ale może nie zapyta tak po prostu, czy nie wiesz, dokąd się wybrałem albo gdzie przebywam.

– Ale, proszę pana... a co, jeżeli jednak zapyta?

Han zastanawiał się chwilę, zanim odpowiedział.

– Jeżeli zapyta, powiesz jej prawdę. – Chwilę przyglądał się androidowi. – Będziesz zresztą musiał powiedzieć, mam rację?

C-3PO sprawiał wrażenie coraz bardziej zdenerwowanego.

– To przekracza zdolność pojmowania.

– Dokładnie tak – zapewnił go Korelianin. – Wiesz, Threepio, czasami ludzie czują się lepiej, jeżeli pewnych rzeczy nie wiedzą.

– Słucham pana?

– Czasami bardziej cierpią, gdy poznają prawdę, niż kiedy żyją w niepewności.

C-3PO zastanawiał się chwilę nad tym, co usłyszał.

– Jeśli spojrzeć na problem w taki sposób, nie brzmi to źle – powiedział wreszcie, jakby uspokojony. Ale zaraz zaczął ze wzburzenia wymachiwać złościowymi rękami. – Ale to naciąganie prawdy jest równie kłopotliwe jak myślenie o końcu istnienia!

Han uniósł brew.

– Końcu istnienia? – powtórzył. – Dlaczego taki android jak ty miałby myśleć o śmierci? Nie możesz umrzeć.

– Może nie w taki sam sposób, jak ludzie, proszę pana – odparł Threepio. – Mogę jednak zostać wyłączony. Co stanie się wtedy z zawartością mojej pamięci? Co z wiedzą o wszystkim, co osiągnąłem i przeżyłem?

Zdumiony Han wpatrywał się w niego, jakby zapomniał języka w gębie.

– Czyżby ktoś obluzował twój motywator albo coś innego? – zapytał, kiedy w końcu przyszedł do siebie. – Jeżeli tylko tym się martwisz, możesz przepisać zawartość swojej pamięci do jakiegokolwiek stacjonarnego banku danych. – Zmrużył oczy, jakby nagle coś wpadło mu do głowy. – Prawdę mówiąc, jeżeli naprawdę tego chcesz, Threepio, mógłbym ci pomóc. Zwłaszcza jeśli przyrzekniesz, że nie powiesz Leii ani słowa o tym, że polecałem na Bilbringi.

C-3PO przekrzywił głowę i zaczął się zastanawiać.

– Pomyśl, Threepio – kusił Han. – Stałbyś się nieśmiertelny.

– Ale...

– To byłoby tak, jakbyś miał zamrożonego klona – przerwał Korelianin. – Nawet gdyby twój umysł trafił do innego ciała, nie wiedziałbyś, że cię wyłączono.

– Och, jestem pewien, że przyzwyczaiłbym się do nowego ciała, proszę pana – odparł uspokojony android. – Mimo wszystko, jestem bardziej umysłem niż powłoką.

– To się nazywa podejście do życia, kolego!

– To się nazywa podejście do życia – powtórzył podniecony Threepio. Chwilę później przyszedł do siebie. – Ale... panie Solo...

proszę pana... Mogę powiedzieć coś o tym statku, którym pan poleci. Powinien pan wiedzieć...

– Wylądować na Bilbringi?

– Tak, proszę pana, ale...

– Nic więcej mnie nie obchodzi – uciął Solo. – Skąd startuje?

– Tendry i promy z pasażerami mają odlecieć z lądowiska 4061 dokładnie o trzynastej zero zero – odparł Threepio. – Gdyby jednak dał mi pan chociaż chwilę, żeby powiedzieć...

– Nie mam czasu, Threepio – przerwał Han, spoglądając na wyświetlacz pobliskiego czasomierza. – I dziękuję ci. Za wszystko. Nie pożałujesz tego, co dla mnie zrobiłeś.

Podniecony android uniósł wysoko obie ręce.

– Zaraz, proszę pana! – wykrzyknął w ślad za oddalającym się Korelianinem. – Ten statek to „Królowa Imperium”! Najbardziej pechowy gwiazdny liniowiec, o jakim kiedykolwiek słyszałem!

# ROZDZIAŁ

# 19

Showolter skrzywił się z niesmakiem. Obserwował, jak zdobyty na Waylandzie maskujący oogolith, zagłębiając mikroskopijne haczyki i macki w pory, zmarszczki i fałdy skóry, przykleja się do ciała Elan. Rozebrana kapłanka stała tyłem do niego, ale – jeżeli sądzić po odruchowych skurczach jej prężnych mięśni – nakładanie takiej żywej opończy musiało sprawiać jej niewypowiedziany ból. Przenikający na wskroś, a zarazem rozkoszny, jak sama oświadczyła.

Świadoma jego ciekawości, Yuuzhanka pozwoliła mu się przyglądać. Zaproponowała mu to obojętnym tonem... może z odrobiną kokieterii. Mimo to Showolter nie mógł znieść jej pełnych udreki jęków. Odwrócił głowę i spojrzał przez jedyne okno strzeżonego domu na kępy dziwacznych drzew. Duża zawartość metalu w ich pniach, liściach i gałęziach utrudniała w tej części Myrkra porozumiewanie się za pomocą komunikatorów i innych środków łączności bezprzewodowej.

– Nareszcie koniec – oznajmiła ze stoickim spokojem Elan. Showolter odwrócił się i zobaczył, że kapłanka ma na sobie nie tylko drugą skórę, ale także szlafrok, który wręczył jej wcześniej. Wyglądała teraz bardziej niż kiedykolwiek jak ludzka istota.

Potarła kilkakrotnie policzki, brodę i czoło – zupełnie jak kobieta, która pragnie wygładzić zmarszczki.

– Widzisz, Showolter? – zapytała. – Żadnych śladów tatuażu. Żadnego dowodu, kim i czym naprawdę jestem.

Major Wywiadu Nowej Republiki uświadomił sobie, że aż dotąd wstrzymywał oddech. Wypuścił powietrze z cichym westchnieniem.

– Jeden rozmiar pasuje dla wszystkich, hmm? – zapytał.  
– Czyżbyś chciał przymierzyć?  
– Nie – odparł szybko. – Zastanawiałem się tylko, czy istnieją wersje damskie i męskie.

– Dlaczego miałyby istnieć?

Mężczyzna podrapał się po głowie.

– No cóż, chyba nie każdy Yuuzhanin ma tak zgrabne ciało.

Elan spojrzała na Vergere, która przykucnęła w kącie pokoju. Obce istoty wymieniły zagadkowe uśmiechy. Przebranie powierniczki Elan składało się z luźnego stroju – na tyle długiego, że okrywał jej upierzony tors i osłaniał wyginające się w przeciwną stronę nogi. Niestety, nie można było nic zrobić dla ukrycia jej egzotycznej twarzy, ale z rejonu Odległych Rubieży przyleciało tyle obcych istot najróżniejszych ras, że funkcjonariusze służb imigracyjnych i celnych nie powinni się zdziwić na widok jeszcze jednej, której nie znali.

– Czy coś nie podoba ci się w budowie mojego ciała, Showolter?  
– spytała w końcu Yuuzhanka.

– Wręcz przeciwnie. – Mężczyzna parsknął krótkim wymuszonym śmiechem.

– Ale nie podobają ci się znaki na moim torsie i twarzy.

– Wyglądają jak lukier – odparł Showolter, starając się, by zabrzmiało to jak żart.

Kapłanka rasy Yuuzhan Vong przekrzywiła głowę i spojrzała na niego, jakby pragnęła przejrzeć na wylot.

– Możliwe, że masz zadatki na dobrego Yuuzhanina – rzekła – chociaż nie chcesz przymierzyć maskującego ooglitha.

– Wątpię – odparł oschle mężczyzna. – Myślę jednak, że mógłbym się przemóc i pozwolić na pokrycie ciała tatuażem.

Elan spoważniała.

– Jeżeli przypuszczasz, że stosowany przez Yuuzhan zabieg jest mniej bolesny niż wasz, jesteś w wielkim błędzie.

Showolter nonszalancko wruszył ramionami.

– Czasami trzeba się poświęcić – powiedział.

– Och, tu masz rację, Showolter – zgodziła się istota. Pozwoliła, żeby do jej rozmówcy dotarło znaczenie tych słów, a potem dodała: – Obawiam się jednak, że mój oddech może cię obrazić. Jest trochę skażony...

– To z powodu jedzenia – wtrąciła się Vergere. – Nie jesteśmy przyzwyczajone do spożywania tak bardzo przetworzonych potraw.

Showolter spojrział na nią i pokiwał głową.

– Przykro mi, ale nie mogę na to nic poradzić – powiedział. Jeszcze raz ocenił jakość maskowania za pomocą ooglitha i z niedowierzaniem pokręcił głową. – Nerf w przebraniu taopari – mruknął.

Elan zmarszczyła brwi i obrzuciła go pytającym spojrzeniem.

– To gra słów – oznajmił mężczyzna. – Taopari w przebraniu nerfa to udający roślinożercę drapieźnik, który usiłuje przekraść się do środka stada.

W oczach kapłanki pojawiły się błyski zrozumienia.

– A więc uważasz mnie za roślinożercę przebranego za drapieźnika.

– Miałem na myśli skrytobójcę, którego wysłali twoi ziomkowie.

– Ach, tak. Oczywiście – rzekła Elan.

Showolter chrząknął i wręczył jej ubranie: bieliznę, skromną suknię, żakiet i buty.

– Tak czy owak, powinnaś to włożyć – powiedział.

Yuuzhanka uważnie obejrzała każdą sztukę garderoby.

– Kim właściwie mam być, Showolter? – zapytała.

– Moją żoną – odparł mężczyzna. – Jesteśmy uciekinierami z planety zwanej Sernpidal. Towarzyszy nam służąca.

– To będę ja – odezwała się Vergere. – Jak zawsze.

Showolter przeniosła spojrzenie z powierniczki na majora Wywiadu.

– Nie mam pojęcia, jakie są obowiązki żony – oznajmiła.

– Nikt nie oczekuje od ciebie, że będziesz je wykonywała – wyjaśnił Showolter. – Chodzi tylko, żebyś grała jej rolę. Szczegóły omówimy, zanim wyruszymy w drogę.

– Polecimy tylko we troje? – zainteresowała się Yuuzhanka.

– Z pozostałymi spotkamy się na pokładzie statku.

– Czy udajemy się na gęściej zaludnioną planetę?

Showolter kiwnął głową.

– Pokażesz mi, jak wygląda z dużej odległości?

– To może okazać się trudniejsze, ale postaram się, jeżeli to będzie w mojej mocy.

– To wspaniale.

Mężczyzna dał jej czas, żeby się ubrała. Przeszedł do sąsiedniego pokoju. Zamierzał przekonać się, jak wyglądają dwie inne trzyosobowe grupy, wysyłane w celu wywiadzenia Yuuzhan w pole. Dwie agentki Wywiadu z twarzami pomalowanymi w fantazyjne zawijasy

i spirale zdążyły już włożyć ubrania identyczne jak te, które wręczył kapłance. Obie miały twarze podobne do Elan i z daleka wyglądały zupełnie jak ona. Showolter miał natomiast pewne wątpliwości co do funkcjonariuszek rasy Mrlssi i Bimms, mających udawać Vergere.

– Może powinienem był poprosić o to jakieś Dralki? – zauważył, przyglądając się ubranym w długie, luźne szaty samicom.

– A jak ja ci się podobam, Showolter? – zapytała zalotnie jedna z kobiet. – Czy wyglądam jak Pani Uciekinierka? – Przybrała przesadnie kuszącą pozę i zamrugła, aż zatrzepotały jej długie rzęsy. – Pokażesz mi, jak wygląda z dużej odległości? – zapytała, naśladując brzmienie głosu Yuuzhanki.

Wszyscy z wyjątkiem Showoltera parsknęli śmiechem. Mężczyzna zajął się rozdawaniem blasterów i wręczaniem ostatnich instrukcji, spisanych na arkusikach samozniszczalnego duraplastu.

– Nie kryjcie się, kiedy przylecicie do Hyllyard City – powiedział do członków pierwszej grupy. – Nie starajcie się jednak, żeby zwracano na was uwagę. Zachowajcie umiar. Nie rzucajcie się w oczy. Jeżeli w pobliżu znajdą się szpiedzy Yuuzhan, od razu mogą się zorientować, że coś jest nie w porządku. – Wręczył im dokumenty i bilety. – Lecicie z Myrkra na Gyndinę, a stamtąd na Thyferre.

Drugi komplet dokumentów podał mężczyźnie, pełniącemu obowiązki dowódcy drugiej grupy.

– Lecicie z Myrkra na Bimmisaari, a potem na Kessel.

Wsunął blaster do kabury pod pachą.

– Wszyscy mają utrzymywać kontakt z dowództwem na umówionych kanałach. Zostaniecie powiadomieni, kiedy nasze uciekinierki dotrą całe i zdrowe na Coruscant. Wtedy pozbędziecie się przebrań i wróćcie do bazy.

– Czego mamy się spodziewać, panie majorze? – zapytał dowódca pierwszej grupy.

Showolter ściągnął w dół kąć ust i pokręcił głową.

– Po niedawnej porażce, jaką poniosły w przestworzach Ord Mantell, istoty rasy Yuuzhan Vong mogą trzymać się z daleka od tego sektora – zaczął, zapinając guziki marynarki, aby ukryć kaburę z blasterem. – A poza tym, dlaczego miałyby zaczepiać uciekinierów, podróżujących na pokładzie wysłużonego pasażerskiego liniowca?

Kiedy wypełniony do ostatniego miejsca prom zbliżał się do otworu hangaru niegdyś luksusowego i okazałego liniowca, Han nagle uświadomił sobie, co C-3PO chciał mu powiedzieć, kiedy zęgnął go na płycie lądowiska planety Ord Mantell.

Coś takiego! – pomyślał, spoglądając na wypłowiałe i poznaczone cętkami blasterowych strażaków burty statku. – Musiałem trafić akurat na „Królową Imperium”!

Liniowiec skonstruowała kiedyś i użytkowała firma Haj Shipping Lines. Spółka raz opowiadała się po stronie Imperium, a kiedy indziej Sojuszu – zależnie od tego, kto proponował korzystniejsze warunki. Statek był ulubionym środkiem transportu pasażerów, podróżujących między Korelią a Syndiną – z wieloma pośrednimi przystankami na żądanie – a czasami zapuszczających się w rejon Odległych Rubieży albo nawet na księżyc Nar Hekka w Przestworzach Huttów.

Nieco większy niż gwiazdny niszczyciel, liniowiec mógł zabrać na pokłady dziesiątki tysięcy pasażerów. Pragnąc jednak zapewnić wszystkim niezrównany komfort, wyjątkową obsługę oraz więcej rozrywek niż ktokolwiek mógłby zapragnąć, kapitan ograniczył liczbę przewożonych istot do najwyżej pięciu tysięcy podczas każdego rejsu. Statek miał wiele dostosowanych do potrzeb ich ciał basenów, specjalne łaźnie, restauracje, ośrodki handlowe, klimatyzowane pomieszczenia i sale gimnastyczne, salony fryzjerskie dla istot włochatych i salony piękności dla gładkoskórych, sale klubowe i taneczne, parkiety o zerowym ciężeniu, kasyna, bąble obserwacyjne i parki rozrywki... na tyłu pokładach, że wszystkich nie dało się zwiedzić w trakcie jednej podróży. Najwytworniejszy spośród wielu nocnych klubów nazwano Salonem Gwiazdnego Wiatru. Grali w nim piętnastoroący Rughijanie, a goście mogli tańczyć w rytm najróżniejszych rodzajów muzyki – zarówno starych przebojów, jak i nowoczesnych modnych utworów – praktycznie bez przerwy całą standardową dobę.

W czasach świetności „Królowa” mogła rywalizować o palmę pierwszeństwa ze starszym „Posłańcem Quamaru” i kalamariańskim liniowcem „Księżniczką Kuari”. Wzorując się na „Królowej”, skonstruowano później nowocześniejsze statki, takie jak „Paleta Tinty” i „Klejnot Churby”. Okazało się jednak, że „Królowa” stała się ulubionym obiektem ataków band piratów i przyciągała meteory, a pewnego razu spędziła pięć długich dni w nadprzestrzeni, więc pasażerowie zaczęli jej unikać.

Han nigdy nie podróżował na jej pokładach, ale wiedział wszystko, co trzeba, od Landa Calrissiana. Śniadolicy mężczyzna wielokrotnie latał „Królową” i kiedyś nawet w Salonie Gwiazdowego Wiatru spotkał pierwszą ukochaną Hana, Brię Tharen. Młoda kobieta była wtedy wysokim oficerem koreliańskiego ruchu oporu, a Lando... jak zwykle nosił swoje najbardziej szykowne i najmodniejsze szaty.

Pogrążony w zadumie Han nawet nie zauważył, kiedy prom z uchodźcami przeleciał przez wrota hangaru i łagodnie osiadł na płycie lądowiska. Dopiero gdy Korelianin zszedł po rampie, uświadomił sobie, jak bardzo liniowiec odbiega od wizerunku, który pamiętał z opowiadań Landa.

Sam, podobnie jak garstka innych pasażerów, miał bilet, większość jednak stanowili podróżujący za darmo awanturnicy, uciekinierzy z planety Ord Mantell i „Koła Fortuny” albo ranni. Głównie staraniom Leii zawdzięczali, że dysponują środkiem transportu, żeby osiąść na jakiejś planecie Kolonii albo Jądra galaktyki.

W powietrzu krzyżowały się okrzyki i słowa w najróżniejszych językach. Unosiły się przyprawiające o mdłości wonie ciał setek obcych istot. Niegdyś wytworne sale balowe i kluby „Królowej” przemieniono w tymczasowe obozy, gdzie w naprędcie rozstawionych namiotach tłoczyły się tysiące nieszczęśników. Wszyscy starali się pilnować dzieci i ulubionych zwierząt, ale szczególną uwagę zwracali na jedzenie i dobytek, jaki udało się im zabrać w drogę. Pośród rzędami namiotów spacerowali żołnierze i strażnicy. Rozstrzygali spory dotyczące przydzielonych miejsc albo oskarżeń o kradzieże. Czasami musieli interweniować, ilekroć wybuchały bijatyki zrodzone z niechęci do innych istot albo nienawiści. Wokół namiotów uwijali się także przekupnie, androidy i najzwyklejsi wydrwigrosze. Ci ostatni, nierzadko korzystając z ochrony osobistych strażników, żądali niebotycznych sum za naprędcę przygotowane posiłki, kawałki sztucznej skóry, wątpliwej jakości środki farmakologiczne albo bilety wstępu do ustawionych wzdłuż niektórych szerszych przejść i alejek przenośnych kabin z natryskami.

Przeciskając się przez tłum obcych istot, Han podążył za strzałkami na właściwy pokład. Z trudem odnalazł ciasną i zatęchłą kabinę, do której zajęcia upoważniał go kupiony bilet. Usiadł na krawędzi wąskiego, zapadniętego łóżka i zajął się rozważaniem swojej sytuacji. Ciasnota wcale mu nie przeszkadzała. Od Bilbringi dzieliła go niewielka odległość. „Królowa”, zatrzymując się po drodze tylko

raz albo dwa, miała tam dotrzeć po upływie trzech dni czasu okrętowego. Han pomyślał, że kiedy tam wyląduje, skontaktuje się ze znajomymi i postara zorientować, gdzie przebywa Reck albo jakiś inny członek Brygady Pokoju. Możliwe, że przy okazji się dowie, co się stało z ofiarami ataku istot rasy Yuuzhan Vong na „Koło Fortuny”.

Nawet nie wiedział, kiedy się zdrzemnął i jak długo spał. Obudził się i poczuł, że umiera z głodu. Nic dziwnego – nie miał w ustach nic od czasu barowych przekąsek, jakie udało mu się zjeść w „Fortunie”.

Skądinąd wiedział, że pasażerowie z biletami – i tylko oni – mieli prawo do stołowania się zarówno w samoobsługowym barze na górnym pokładzie, jak i jedynej restauracji, której nie przemieniono w obóz dla uciekinierów. Liniowiec był jednak tak zatłoczony, że służby porządkowe nie radziły sobie ze sprawdzaniem biletów. Na domiar złego samoobsługowy bar znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie obozu z wygłodzonymi uciekinierami. Kiedy w końcu Han dotarł do baru, pozostało już tylko kilka racji żywnościowych i ani jednego sztućca w zasięgu wzroku. Istoty musiały jeść palcami, szczypcami, szponami, pazurami albo czymkolwiek, w co wyposażały je natura.

Han spojrział na swoje dłonie i zastanowił się, czy smar na jego palcach nie ma właściwości toksycznych. Nagle przypomniał sobie, że przecież ma sporządzony przez Chewiego zestaw narzędzi, który na krótko przed odlotem dostał od Anakina. To prawdziwy cud, że po wszystkim, co przeżył na pokładach „Koła Fortuny”, niewielki skórzany futerał nie odcepił się od pasa. Han sięgnął po zestaw i upewnił się, że zawiera także mały widelec.

Posługując się paznokciami, wyciągnął trójzębny przyrząd ze sprytnie wykonanego zagłębienia, uniósł wysoko nad głowę i zaczął przepychać się przez tłum w kierunku bufetowej lady. Kiedy rzucił okiem na podgrzewane tace, przekonał się, że już tylko na jednej pozostał stek z nerfa – w dodatku okropnie żyłasty i fatalnie spieczony. Mimo to wyciągnął rękę i nadział go na widelec. W tej samej sekundzie tuż obok wbił się podobny do szponu paznokieć, stanowiący zakończenie porośniętej jedwabistą sierścią pięciopalczastej dłoni.

Korelianin odwrócił się jak użądłony... i znalazł się oko w oko z samcem rasy Ryn, w którego towarzystwie uciekał z „Koła Fortuny”. Obdarzona chwytnym ogonem obca istota nosiła te same krzykliwe luźne spodnie, kamizelkę i zawadiacko przekrzywiony beret czy kapelusz.

– Ha! – szczechnął zdumiony i rozbawiony Ryn. – Mówiłem ci, że już wkrótce znów się spotkamy.

Han skrzywił się z niesmakiem.

– Wolałbym, żeby upłynęło jakieś pięć lat – burknął.

– Ach, ale nie możesz zmienić przeznaczenia, drogi przyjacielu.

– Mogę próbować – warknął Solo. – A właściwie, co tutaj robisz?

– Ależ to samo, co ty. Lecę dalej. – Ryn zwrócił wielkie oczy na cienki kawałek mięsa. – Więc jak będzie? – zapytał. – Kto z nas zagłębi zęby w ten łup, kolego?

– Myślę, że się nim podzielimy – odparł Korelianin wciąż jeszcze urażonym tonem. – Zakładając, że połaszczysz się na połowę, w którą wbiłeś paznokiec.

Ryn wybuchnął beztróskim śmiechem.

– A goście powiadali, że na statku nie pozostała ani jedna uczciwa istota.

Han przeniósł stek na niestarannie opłukany talerz, po czym zajęli miejsca naprzeciwko siebie przy stoliku, przy którym siedziało już kilku Sullustan i Bimmsów.

– Droma – oznajmił Ryn. Poprawił się na krześle i wyciągnął rękę w stronę Hana.

– Roaky Laamu – przedstawił się Solo. Z niejakimi oporami uściśnął dłoń istoty.

– Muszę przyznać, Roaky, że wyglądasz o całe niebo lepiej niż wtedy, kiedy ostatnio cię widziałem.

Han potarł prostokąt syntetycznej skóry, który Leia przykleiła nad jego prawym okiem.

– Płyn bacta potrafi czynić cuda – zaczął. – Jaka szkoda, że nie mogę...

– ...powiedzieć tego samego o tobie – dokończył szybko Droma.

Han z rozmachem klepnął otwartą dłonią w blat stołu. Miotając z oczu gniewne błyski, pochylił się ku istocie.

– Musimy zawrzeć pewien układ – powiedział. – Nie mam pojęcia, jak to robisz, ale od tej chwili masz zachowywać moje myśli tylko dla siebie. Zrozumiałeś?

– To będzie bardzo trudne – odparł Droma z udawaną powagą. – Nie wiem, czy potrafię.

– To już twój problem. – Han spiorunował go groźnym spojrzeniem. – A właściwie... jak to robisz?

– Czyżbyś naprawdę nie słyszał, że wszyscy Rynowie umieją czytać w myślach i przepowiadać przyszłość? – zapytał kpiąco Droma.

– Ta-a, a ja jestem rycerz Jedi.

Droma się roześmiał.

– No, to już gruba przesada.

Han zmarszczył brwi i pomagając sobie małym nożem z zestawu narzędzi, przeciął stek na dwie mniej więcej równe części. Przy okazji zauważył, że na przypalonym spodzie wciąż jeszcze widnieje stempel dostawcy, firmy Nebula Consumables.

Okazując zrozumiałe wahanie, nadział na widelec kawałek mięsa i uniósł do ust. Droma przyglądał się, jak próbuje go przeżuć.

– Nie to, czego się spodziewałeś? – zapytał współczująco.

– Spodziewałem się czegoś jadalnego.

– Aż takie złe?

Droma pożyczył zestaw narzędzi Hana, żeby odkroić kęs ze swojej połowy.

Korelianin popchnął w jego stronę pusty spodek.

– Tu możesz wypluć zęby – powiedział.

Ryn żuł kilka chwil, wreszcie ukradkiem wypluł mięso na podstawioną dłoń i równie dyskretnie opróżnił ją pod stołem.

Han ciężko westchnął.

– Posłuchaj, co byś powiedział na to, żeby pójść do restauracji? – zapytał. – Ja stawiam.

Droma wyszczerzył zęby w przekornym uśmiechu.

– Myślałem, że już nigdy tego nie powiesz.

Opuścili samoobsługowy bar i przeszli pokładem spacerowym niewielką odległość, dzielącą ich od restauracji. Jakimś cudem sala jadalna zachowała dawną świetność, którą straciły wszystkie inne pomieszczenia „Królowej”. Kiedy jednak chcieli usiąść przy wolnym stoliku, podbiegł do nich Klaatooinianin, kierownik sali.

– Bardzo pana przepraszam – powiedział, spoglądając wyniośle na Hana – ale nie obsługujemy tu... Rynów.

Korelianin obrzucił niedowierzającym spojrzeniem człekokształtną istotę o opadających powiekach i pociągłej twarzy.

– Czyś ty zgłupiał? – wybuchnął. – Wyobrażasz sobie, że to restauracja „Tęczy Tinty”? To statek z uchodźcami, cymbale!

Kierownik sali prychnął pogardliwie.

– Mimo to przestrzegamy ustalonych reguł.

Han nabrał powietrza, aż rozszerzyły się jego nozdrza, i wziął zamach prawą ręką. W ostatniej chwili powstrzymał go Droma.

– Walka niczego nie zmieni – stwierdził, zwisając z przedramienia Hana.

– Z wyjątkiem mojego samopoczucia – burknął Korelianin.

– Ale nie naszych apetytów.

Solo opuścił rękę i wyrwał spis potraw z ręki przechodzącego kelnera. Chwilę czytał, po czym dźgnął palcem w miejsce, gdzie uwidoczniło się specjalność szefa kuchni. Pokazał to miejsce kierownikowi sali, z trzaskiem zamknął spis potraw i wcisnął między długie palce Klaatooinianina.

– Dwa razy – rozkazał władczym tonem. – Na wynos.

Kierownik spiorunował go spojrzeniem, ale odwrócił się i pospieszył w stronę kuchni. Wkrótce powrócił z zamówionymi potrawami.

Han i Droma zabrali opakowane posiłki i udali się na pokład widokowy. Usiedli na sfatygowanych fotelach i bez słowa zajęli się jedzeniem. Tymczasem „Królowa” obróciła się majestatycznie wokół osi i zaczęła oddalać od Ord Mantell. Nabierała prędkości, koniecznej do dokonania skoku. Kiedy przelatywała obok poważnie uszkodzonego „Koła Fortuny”, od zewnętrznej powierzchni poszarpanego pierścienia odbiły się promienie słońca. Han postanowił nie myśleć o losie, jaki mógł spotkać Roę i Fasga – przynajmniej dopóki nie wylądują na Bilbringi.

Kiedy zaspokoił głód, rozparł się na trzeszczącym fotelu i podłożył dłonie pod głowę.

– Skąd właściwie pochodzą Rynowie? – zapytał, przyglądając się, jak Droma oblizuje palce. – To znaczy, jaka planeta jest waszym ojczystym światem?

Istota wygładziła końce siwych wąsów.

– Jakaś w Jądrze galaktyki, ale nawet my, Rynowie, już nie wiemy, która.

– Zmuszono was, żebyście ją opuścili?

– Istnieją na ten temat dwie teorie – odparł Droma. – Pierwsza głosi, że jesteśmy potomkami szczepu liczącego blisko dziesięć tysięcy uzdolnionych kompozytorów i muzyków. Podobno nasi przodkowie osiedlili się na planecie, na której mieszkało bardzo niewielu utalentowanych artystów. Zgodnie z drugą teorią, wywodzimy się z rodu wojowników, wysłanych w celu obrony mieszkańców jakiegoś świata przed spodziewanym atakiem istot ze Środkowych Rubieży. Nasz rodzinny język zawiera wiele wojskowych określeń i terminów. Jednym z nich jest słowo oznaczające nie-Ryna. Znaczy mniej więcej to samo, co „cywil”.

– Jak to się stało, że tak wielu Rynów można spotkać na planetach Sektora Wspólnego?

– Prawdę mówiąc, zagnały nas w tamte rejony specjalne okoliczności – odparł Droma. – Kiedy Rynowie opuścili Jądro galaktyki, nauczyli się uprawiać ziemię i obrabiać metal, a także wykonywać wiele innych pożytecznych czynności. Niestety, niemal wszędzie traktowano nas podejrzliwie. Dopiero gdy moi przodkowie sfałszowali dokumenty zapewniające bezpieczny przelot, pozwolono im się osiedlić na odległych planetach Sektora Wspólnego. Bardzo pomogło im to, że znali sposoby uzdrawiania obcych istot i ludzi. Opanowali je, błakając się po całej galaktyce. Dzięki tym sposobom zdążyli ocalić życie wysoko postawionej osobistości Władz Sektora.

Mimo to nie powodziło się nam najlepiej. Tułaliśmy się, wiodąc koczowniczy żywot. Mając na uwadze własne bezpieczeństwo, niechętnie zdradzaliśmy nasze tajemnice. Wskutek tego uważano nas za czarnoksiężników albo pospolitych złodziejaszków. W pewnych sektorach uchwalono ustawy, pozwalające polować na nas, piętnować, a nawet zabijać. Zabraniano nam posługiwać się ojczystą mową. Wielu sprzedano jako niewolników. Innym kazano się rozmażać, żeby sprzedać w niewolę małe dzieci.

Wstrząśnięty Han przypomniał sobie Rynów, którzy zagadnęli go na lądowisku „Koła Fortuny”, kiedy zszedł po rampie „Radosnego Sztyletu”. Przypomniał sobie także dwóch innych, proszących go w „Końcu Zakładów” o zabranie na jakąkolwiek planetę w rejonie Jądra galaktyki.

– Kiedy Yuuzhanie wtargnęli do systemu Ottegi i zniszczyli Ithor – ciągnął po chwili Droma – podróżowałem na pokładzie jednego ze statków karawany, która opuściła Sektor Wspólny i leciała do gromady Plooriod Mniejszej.

– Jesteś zawodowym pilotem? – zainteresował się Korelianin.

– I to całkiem niezłym – odparł Ryn. – Jestem także zwiadowcą i gwiazdowym podróżnikiem.

– I co stało się z wami po zniszczeniu Ithora?

– Nasza karawana poszła w rozsypkę. Rodziny rozproszyły się po całej galaktyce. Od tamtej pory poszukuję członków swojego klanu. Bardzo chciałbym odnaleźć siostrę i kuzynów.

– Ciężka sprawa – westchnął Solo. – Czeka cię trudne zadanie. Droma kiwnął głową.

– A co z tobą, Roaky? – zapytał. – Radzisz sobie z gwiazdowym statkiem jak artysta. Zapewne jesteś pilotem myśliwca albo doświadczonym przemytnikiem. Co sprowadziło cię w te strony?

Han zastanawiał się chwilę, zanim odpowiedział. Usiłował zebrać myśli.

– Prawdę mówiąc, jestem raczej mechanikiem niż pilotem gwiazdnych statków – zaczął w końcu. – Wziąłem urlop od normalnego życia, żeby rozwiązać kilka problemów.

– A zatem ty także chciałbyś powrócić na łono rodziny, prawda? – domyśliła się istota.

Han spojrzał z ukosa na rozmówcę.

– Możliwe – przyznał po chwili.

Od strony restauracji napłynęły dźwięki *Mglistych wspomnień* – piosenki, do której doskonale pasował głęboki kontralt Brii Tharen. Han pamiętał, że kobieta często ją śpiewała.

– Ta piosenka coś ci przypomina – odezwał się Droma, uważnie obserwując twarz Hana.

Korelianin skrzywił się w wymuszonym uśmiechu.

– Stare, dobre czasy – powiedział.

– Jak stare? – zainteresował się Ryn.

– Na tyle stare, żeby były dobre – odparł Solo.

# ROZDZIAŁ

# 20

Odwrócony tyłem do stołu Luke wyglądał przez panoramiczne transpastalowe okno. Do konferencyjnej sali przybywali kolejno Kyp Durron, Wurth Skidder, Cilghal i pozostali rycerze Jedi, których zaprosił na Coruscant. Pomieszczenie zajmowało najwyższe piętro gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości. Budynek nie mógł się pochyczyć mianem najwyższego, ale i tak z górnych pięter roztaczał się zapierający dech w piersi widok majestatycznych gmachów i wieżowców. Oświetlone promieniami zachodzącego słońca wielkie tafle okien ściemniały; przepuszczały jednak dość światła, aby komnata kąpała się w takim samym pomarańczowoczerwonym blasku jak wieczorne niebo.

Wyglądało na to, że Luke jest bez reszty pochłonięty obserwowaniem nieprzerwanych strumieni powietrznych pojazdów, statków i taksówek. Odwrócił się od okna dopiero, kiedy do sali wszedł ostatni z dwadzieściorga rycerzy Jedi. Jedni siedzieli przy okrągłym stole, inni zaś po prostu stali pod ścianami. Czekali, aż Luke wyjaśni, dlaczego kazał im przylecieć – nierzadko z najdalszych peryferii galaktyki.

– Nowa Republika pochwyciła dwie nieprzyjacielskie uciekinierki – odezwał się mistrz Jedi bez żadnych wstępów. – Jedna jest kapłanką, a druga kimś w rodzaju jej maskotki albo towarzyszki. Dostarczone przez nie informacje przyczyniły się do zwycięstwa w przestworzach planety Ord Mantell. W wyniku tego obie obce istoty mają zostać przetransportowane na Coruscant.

– Nareszcie jakiś sukces – ucieszył się Kyp Durron. Jego głos z trudem przebił się przez gwar radosnych i zdumionych okrzyków.

– Wiedziałem, że nawet pośród Yuuzhan znajdują się istoty niezadowolone z rozwoju sytuacji. – Rozciągnął cienkie wargi w szerokim uśmiechu. – Kiedy będziemy mogli zacząć je przesłuchiwać?

– To musi być jakiś podstęp, prawda? – zapytała Cilghal, zanim Luke miał czas odpowiedzieć. – Bez względu na to, jaką korzyść przyniosły nam zdradzone przez nie tajemnice.

Kalamarianka ukryła płetwiaste dłonie w rękawach płaszcza Jedi i obróciła wyłupiaste oczy w taki sposób, żeby mogła spoglądać jednocześnie na Kypa i na Skywalkera.

Mistrz Jedi kiwnął głową. Podeszedł do stołu.

– Nowa Republika nie zamierza rezygnować z zachowywania niezbędnych środków ostrożności – powiedział. – Jeżeli uciekinierki będą nadal przekazywały nam wiarygodne informacje, może obdarzymy je większym zaufaniem.

– Zgodziły się powiedzieć coś więcej? – zapytał Wurth Skidder. Jako jedyny spośród wszystkich rycerzy nie nosił płaszcza Jedi, choć jego rozwichrzone jasne włosy wyglądały, jakby przez cały czas podróży z Yavina Cztery ukrywał je pod kapturem.

– Pod pewnym warunkiem.

Niektórzy Jedi wymienili spojrzenia, ale nikt się nie odezwał. Luke usiadł na krawędzi stołu i zaczął lekko kołysać nogą.

– Poprosiły o spotkanie z nami.

Siwowłosy, brodaty Streen prychnął ironicznym śmiechem.

– Czegoś takiego mogłem się spodziewać. – Spojrzał na Luke'a. – Czy nie powiedziały, dlaczego chcą się z nami zobaczyć?

Skywalker wstał i podeszedł do byłego poszukiwacza cennych gazów z Bospina.

– Podobno mają dla nas informacje na temat zarazy, którą zaczęli szerzyć agenci Yuuzhan na długo przedtem, zanim na Helsce Cztery wyładowały pierwsze światostatki.

W przestronnym pomieszczeniu zapadła pełna przerażenia cisza.

– Nie będę nikogo z was oszukiwał – ciągnął po chwili mistrz Jedi. – Z całego serca chciałbym wierzyć, że to ta sama choroba, na którą zapadła moja żona. Na razie jednak nie wiemy tego na pewno.

– Jeżeli to ta sama – odezwała się Cilghal, która wciąż jeszcze nie całkiem przyszła do siebie – czy powinniśmy przepuszczać, że istoty rasy Yuuzhan Vong wiedzą o chorobie Mary?

Luke zacisnął usta i pokręcił głową.

– Nie jestem pewien, czy możemy dojść do takiego wniosku.  
– Oczywiście, że wiedzą – oświadczył stanowczo Wurth. – Co więcej, powiedziałbym, że wykorzystując Marę, usiłują zarazić nas w taki sam sposób, w jaki zatruli jej organizm.

– Nie możesz być tego pewien – sprzeciwił się nie mniej stanowczo Anakin. – Uciekinierki zostały zbadane i przeszukane, aby mieć pewność, że są zdrowe. Zanim spotkamy się z nimi, zrobi się to jeszcze raz.

Zakłopotany, ale nie do końca przekonany Wurth usiadł na swoim miejscu i spojrzął na mistrza Jedi.

– A zatem zdecydowałeś już, że wyrazimy zgodę na to spotkanie?

Luke kiwnął głową.

– W dowód chęci załagodzenia sporu z Nową Republiką i nie tylko – oznajmił. – Udowodnimy dzięki temu, że możemy i chcemy współpracować.

Zebrani rycerze Jedi wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Wszyscy doceniamy twój gest, mistrzu – odezwał się Ganner Rhysode. – Jeśli jednak zdecydujemy się na ten krok, zróbmy to dla Mary Jade, a nie Nowej Republiki. Jeżeli chodzi o mnie, nie zależy mi na załagodzeniu sporu ani z wojskiem, ani z senatem, po tym wszystkim, co się wydarzyło.

W sali obrad rozległ się chór potakujących pomruków. Luke zaczął, aż znów zapadnie cisza.

– Zamierzam zaproponować, żeby pozwolono uciekinierkom spotkać się tylko z Marą i ze mną – oznajmił stanowczo.

Jacen zerwał się na równe nogi.

– Przecież sam powiedziałeś, że to pułapka!

Luke odwrócił się w stronę młodzieńca.

– Nie wiemy tego na pewno – stwierdził cicho.

– Więc niech się spotkają ze mną albo Kamem Solusarem – odparł Jacen. – Każdy z nas zaryzykuje życie, żeby pomóc Marze.

Cilghal przeniosła spojrzenie na Jacena i Luke'a i otworzyła szerokie usta.

– Twój siostrzeniec ma rację, mistrzu – rzekła. – Jeżeli istnieje jakieś ryzyko, ty i Mara jesteście ostatnimi osobami, które powinny je podejmować.

Luke powiódł spojrzeniem po twarzach rycerzy Jedi.

– Co proponujecie? – zapytał. – Żebyśmy wszyscy się z nimi spotkali?

– Możesz na mnie liczyć – odezwał się Kyp. – O niczym bardziej nie marzę niż o kilku chwilach sam na sam z jakąś istotą rasy Yuuzhan Vong.

– Z ust mi to wyjąłeś, mistrzu – poparł go Wurth.

Lowbacca głośno ryknął. Miniaturowy android tłumaczący, Em Teedee, unoszący się nad jego ramieniem dzięki małym silniczkom repulsorowym, natychmiast powiedział:

– Wszyscy stanowimy całość. Dopóki trzymamy się razem, jesteśmy silniejsi niż wskazywałyby na to suma indywidualnych umiejętności.

Em Teedee został skonstruowany przez Chewbaccę i zaprogramowany przez Threepia. Miał głos protokolarnego androida, ale bez gderliwego zabarwienia.

– Zgadzam się z Lowbaccą – oznajmił Streen. – Bez względu na to, czego chcą od nas yuuzhańskie uciekinierki, powinniśmy spotkać się z nimi wszyscy razem.

– Ja też tak uważam – dodała Tenel Ka.

Luke złączył dłonie za plecami i podszedł do wielkiego okna. Łącząca rycerzy duchowa więź wyraźnie dodała mu otuchy. Przypominał sobie wcześniejsze lata, kiedy uczniowie jego akademii połączyli siły, żeby przeciwstawić się duchowi Ciemnego Jedi i powstrzymać go przed opanowaniem Yavina Cztery. Niektórzy z tamtych bohaterów uczestniczyli w tym spotkaniu – Cilghal, Streen, nawet dzieci Solo. Inni jednak, biorący udział w tamtej walce, już nie żyli – podobnie jak Cray Mingla, Nichos Marr, Miko Reglia, Daeshara'cor...

Luke wypuścił powoli powietrze z płuc, odwrócił się do rycerzy Jedi i kiwnął głową.

– Powiadomię Wywiad Nowej Republiki o naszej decyzji – powiedział. – Spotkamy się z uciekinierkami, gdy tylko przybędą na Coruscant.

– Jedna dla człowieka – odezwał się krupier. Przycisnął kartę-płytkę i wysunął ją z otworu specjalnego podajnika.

Rozdający karty Ithorianin z dłonią zakończoną płaską łopatką wsunął ją pod cienką jak opłatek, ale wyposażoną w elektroniczny mikroobwód kartę i położył ją awersem do góry przed Hanem Solo.

– Szóstka szabel – oznajmił, zwracając się do pozostałych graczy.

Korelianin dodał sześć do sumy punktów dwóch kart, które trzymał blisko siebie, a potem ledwo zauważalnym gestem wskazującego

i środkowego palca prawej dłoni dał krupierowi znak, że rezygnuje z brania następnej karty.

Krupier Bith miał tak giętkie dłonie, że mógł trzymać karty kciukiem i którymkolwiek małym palcem. Popatrzył pytająco na Sullustanina, siedzącego po lewej stronie Hana. Czekał na decyzję. Istota kiwnęła głową, aż zakołysały się obwisłe fałdy skóry po obu stronach dolnej szczęki. Stuknęła złożoną w pięść dłonią o blat stołu, pokryty zielonkawą antypoślizgową wykładziną. Kiedy zauważyła, że podana przez Ithorianina cienka płytką jest jedną z kart obrazowych, Wytrwałością, nie potrafiła powstrzymać radosnego uśmiechu.

Siedzący na lewo od istoty Bothanin zrezygnował z dalszej gry. Podobnie postąpił filigranowy Chadra-Fan, zajmujący następne miejsce. Oznaczało to, że Han musi zmierzyć się z Sullustaninem oraz siedzącymi po jego prawej stronie Ithorianinem i Rodianinem. Obaj mieli opinię pozbawionych skrupułów handlarzy. Ithorianin trzymał przy piersi dwie karty, które dostał na początku rozgrywki. Na blacie stołu przed nim nie leżała ani jedna płytką.

Han odchylił się do tyłu, uniósł ręce i pokazał stojącemu za nim Dromie swoje karty. Miał liczonego za piętnaście punktów asa manierek i jedynek klepek, która nieco wcześniej, zanim zadziałał generator losowych impulsów, była Królową Powietrza i Ciemności. Jeżeli uwzględnić leżącą przed nim szóstkę szabel, miał dwadzieścia dwa punkty – o jeden mniej niż wymagano do czystego sabaka. Mógłby przysiąc, że Sullustanin nie ma więcej niż dwadzieścia – chociaż na stole przed nim leżała Wytrwałość. Dwie karty przed Ithorianinem dawały w sumie dwanaście punktów, ale sądząc po jego stylu gry, Han wątpił, by tamten miał więcej niż osiemnaście albo dziewiętnaście. Jeżeli zaś chodziło o Rodianina, suma punktów jego obu kart z pewnością przekraczała dwadzieścia, ale prawdopodobnie nie była większa niż dwadzieścia dwa. Kiedy w poprzednim rozdaniu istota otrzymała czystego sabaka, z radości podskoczyła tak wysoko, że omal nie spadła z krzesła. Teraz jednak, mimo wyraźnego podniecenia, w wylupiastych oczach Rodianina nie płonął ogień dowodzący, że jest pewny wygranej.

Żaden gracz nie zdecydował się zamrozić waloru swojej karty przez umieszczenie jej w tak zwanym interferencyjnym polu. Znajdujący się pośrodku stołu obszar tłumiał sygnały generatora impulsów losowych.

Pozostali gracze zrezygnowali z wzięcia następnych kart i zaczęło się podnoszenie stawek. Han był pewien, że wygra i tym razem – jeżeli nie zadziała generator impulsów losowych.

W końcu Sullustanin oznajmił, że sprawdza, i wszyscy pokazali karty.

Korelianin przekonał się, że instynkt go nie zawiódł. Wygrał trzeci raz z rzędu. Grze przyglądał się człowiek, właściciel czy zarządca kasyna. Korzystając z urządzenia wspomagającego wzrok, starał się wykrywać skiftery – umożliwiające oszukiwanie karty-płytki, czasami przemycane do gry przez nieuczciwych hazardzistów. Zwracał także uwagę na graczy, usiłujących rozpoznawać walory kart kładzionych w interferencyjnym polu po intensywności i barwie odbijanego blasku. Tymczasem rozdający karty Ithorianin zebrał wszystkie karty-płytki, a bankier obliczył wysokość wygranej Hana. Pchnął ku niemu po blacie stołu pięć czy sześć stosów żetonów kredytowych.

Gra toczyła się w jedynym kasynie „Królowej”, którego nie zamieniono w obóz uchodźców, stołówkę czy szpital. Z kąta sali dobiegał hałas raz po raz puszcanych w ruch kół fortuny albo uvide. Po sali przechadzało się kilka skąpo odzianych Twi’lekianek. Kołysząc wytatuowanymi głowoogonami, roznosiły darmowe trunki, rozdawały wcierane w skórę narkotyki i częstowały gości najróżniejszymi substancjami przeznaczonymi do palenia.

Korelianin oznajmił, że zamierza poświęcić prawie wszystkie kredyty na opłacenie prawa wstępu do kasyna i udziału w grze w sabaka; zdziwił się bardzo, że Droma go wyśmiał. Ryn nie zmienił zdania nawet wówczas, gdy Solo powiedział, że udział w grze uważa za świetny sposób trzymania się jak najdalej od cuchnącej i ciasnej kabiny, gdzie spędził całą poprzednią noc i większą część tego przedpołudnia. Droma nie przestał okazywać pogardy nawet po kilku kolejnych wygranych człowieka.

– To przedsięwzięcie jest pozbawione jakiegokolwiek sensu – oświadczył. Obserwował, jak zadowolony z siebie Han, arogancko się uśmiechając, wyrównuje stopy żetonów kredytowych. – Tymczasem ludzie, zawdzięczając to zapewne wykształconemu przez proces ewolucji wielkiemu szczęściu, dają się na to nabierać chętniej niż jakiegokolwiek inne inteligentne istoty.

W odpowiedzi Han prychnął pogardliwie, ale od razu przypomniał sobie uwagę, jaką usłyszał przed ponad dwudziestu laty.

„Ze wszystkich gatunków gotowych na zamianę dobrobytu na przygodę, a nie jest ich wcale tak wiele, ta cecha zaznacza się najbardziej u ludzi, którzy zaliczają się do jednych z najbardziej rozwiniętych form”.

Słowa te wypowiedział ruuriański naukowiec Skynx. To właśnie on towarzyszył Hanowi podczas poszukiwań legendarnego skarbu Xima Despoty.

– Śmieję się, ile chcesz – odparł Han, zerkając na Ryna – ale grywam w sabaka, odkąd ukończyłem czternaście lat. Właśnie w sabaka wygrałem gwiazdny statek, nie wspominając o planecie.

– A jednak to rozrywka dla głupców – upierała się istota.

Han uśmiechnął się niefrasobliwie.

– Codziennie jestem gotów zamienić ładownię pełną mądrości na garść szczęścia – powiedział.

Krupier Bith umieścił w podajniku nową talię kart-płytek. Podał urządzenie Ithorianinowi i pokazał graczom wnętrze dłoni. Był to rytualny gest, który miał upewnić wszystkich, że nie schował w rękawie żadnej karty, a zarazem stanowił sygnał do rozpoczęcia następnego rozdania.

W tradycyjnej grze w sabaka każdy uczestnik grał przeciwko wszystkim pozostałym. Celem gry było uzyskanie sumy punktów wszystkich kart-płytek równej plus-minus dwadzieścia trzy – albo jak najbliższej tej liczby. Zdobyć większej sumy punktów albo uzyskanie zera eliminowało z dalszej gry w danym rozdaniu. W kasynie „Królowej” korzystano ze standardowej talii, mającej cztery kolory i siedemdziesiąt sześć kart. Stosowano interferencyjne pole i generator impulsów losowych. Mimo to udział w grze wcale nie był darmowy. Właściciel kasyna ustanowił opłatę wstępną i zabierał dwadzieścia procent wszystkich wygranych – albo sto procent, kiedy z gry odpadali wszyscy gracze. Połowa zabieranych sum tworzyła specjalną pulę zwaną bankiem. Można było się o nią ubiegać, ilekroć ktoś z uczestników zdecydował się grać przeciwko bankowi.

W kasynie „Królowej” stosowano również specjalne reguły dotyczące tak zwanych czystych sabaków. Jeżeli dwie osoby uzyskiwały takie same sumy, wygrywała ta, która miała punkty dodatnie. Jeżeli zaś dwaj gracze mieli identyczne sumy, zwyciężał ten, kto miał mniej kart. Na początku każdej rozgrywki uczestnicy otrzymywali po dwie karty-płytki, ale później żaden nie mógł dostać więcej niż trzy.

Okazało się, że w następnej grze Han dostał czternaście punktów. Chwilę potem, kiedy nieoczekiwanie włączył się generator impulsów losowych, jego czternastka zmieniła się w dwudziestkę. Gdy jednak kilka sekund później – co zdarzało się wyjątkowo rzadko – generator zadziałał ponownie, dwudziestka stopniała do zaledwie trzynastu. Han poprosił o kartę i dostał piątkę monet. Mimo to, umie-

jętnie blefując i podbijając stawkę, zachęcił do dalszej gry aż trzech przeciwników. W końcu oświadczył, że sprawdza, po czym zgarnął następną pulę.

Kolejna gra miała mniej więcej taki sam przebieg. Kiedy Han sprawdził, mając tylko piętnaście punktów, okazał się lepszy od Sulustanina zaledwie o jeden. Jeżeli do sumy, z którą przystąpił do rozgrywek, dodać to, co zdobył, miał przed sobą żetony wartości blisko ośmiu tysięcy kredytów.

– Ilekroć przeciwnicy rezygnują z dalszej gry, kiedy masz dobre karty, cały twój wysiłek idzie na marne – odezwał się do Dromy chełpliwym tonem i na tyle głośno, żeby usłyszeli go pozostali gracze.

Odwrócił się i właśnie zamierzał kolejny raz podbić stawkę, kiedy Droma zawołał:

– Bank!

Zdumiony Solo otworzył usta, a kierownik lokalu pospieszył, by porozmawiać z bankierem. Wkrótce potem powrócił z informacją, że jeżeli Han chce zagrać przeciwko bankowi, musi mieć co najmniej siedem tysięcy osiemset kredytów.

Płonąc żądzą mordy, Korelianin odwrócił się do Ryna.

– Czyś ty zupełnie zwariował? – wybuchnął. – A może włosy wrosły ci w mózg? Jeżeli przegram, będę splukany!

Droma wzruszył ramionami.

– Jedynym godnym przeciwnikiem w tej grze jest generator impulsów losowych – powiedział. – Jeżeli chcesz wyrzucić na mnie wrażenie, zagraj przeciwko niemu.

– Wyrzucić na tobie wrażenie? – powtórzył jak echo osłupiały Solo. – Na tobie? Co ty sobie...

– Powiedział pan „bank” – przypomniał mu gniewnie kierownik lokalu. Był mężczyzną silnie umięśnionym i potężnie zbudowanym. – Gra pan czy nie?

Na Hana zwróciły się oczy wszystkich graczy. Wokół długiego stołu zaczęli gromadzić się zaciekawieni pasażerowie. Korelianin zrozumiał, że odmowa gry byłaby nie tylko dowodem tchórzostwa i głupoty; stanowiłaby zniewagę dla wszystkich, których niemal doszczętnie oskubał. Przemógł się i pchnął stopy żetonów kredytowych w kierunku środka stołu.

– Bank – wychrypiał.

Widząc, że Bith wyłuskuje z podajnika pierwszą kartę, pasażerowie podeszli jeszcze bliżej. Jeśli nie liczyć wielkich turniejów

sabakowych, nieczęsto ktokolwiek stawiał tyle kredytów w pojedyn-  
czym rozdaniu.

Okazując wahanie, Korelianin sięgnął po karty-płytki. Odwrócił je i oddzielił jedną od drugiej. Miał dwadzieścia jeden punktów.

Chwilę potem zadziałał generator impulsów losowych i jego dwudziestka jedyńka stopniała do trzynastu punktów.

Solo położył liczonego za dwanaście punktów Dowódcę ma-  
nerek pośrodku interferencyjnego pola. Uczynił to sekundę wcze-  
śniej, zanim kolejny impuls generatora przemienił jedyńkę monet  
w Idiotę, któremu przypisywano zero punktów.

Han poprosił o kartę i dostał Szatana, liczonego za minus pię-  
naście, co dawało mu w sumie minus trzy punkty. Pośród tłumu ki-  
biców przeleciał szmer rozczarowania.

Napięcie rośnie. Korelianin w milczeniu przyglądał się po-  
dajnikowi. Na chwilę przeniósł spojrzenie na generator impulsów  
losowych, ale później znów zaczął wpatrywać się w podajnik. Kie-  
dy w końcu oświadczył, że nie weźmie następnej karty, obserwa-  
tory zareagowali zdumionymi okrzykami. Zapewne pomyśleli, że  
mając dwanaście punktów w interferencyjnym polu i minus piętna-  
ście na stole, Han jest albo natchnionym graczem, albo zwykłym  
szaleńcem.

Bith odwrócił dwie karty, które dostał przeciwnik Hana – w tej  
rozwrywce właściciel lokalu. Jedyńka klepek i Dowódca monet da-  
wały w sumie trzynaście punktów. Regulamin wymagał jednak, że  
w przypadku uzyskania dwunastu albo trzynastu punktów własci-  
ciel lokalu musi otrzymać jeszcze jedną kartę.

Bith wyciągnął rękę w stronę podajnika i wszyscy widzowie  
wstrzymali oddechy. Gdyby istota wyciągnęła kartę funkcyjną, prze-  
ciwnik Hana miałby więcej niż dwadzieścia trzy punkty; gdyby zaś  
dostał którąś z kart obrazowych, suma jego punktów mogłaby zma-  
leć poniżej zera. Wyglądało więc, że Han nie stracił jeszcze szansy  
wygranej. Po policzku mężczyzny spłynęła kropla potu i spadła na  
blat stołu.

Kiedy jednak łopatką rozdającego karty Ithorianina uniosła  
w powietrze cienką płytkę, Han ujrzał na ułamek sekundy błysk,  
odbity od powierzchni interferencyjnego obszaru.

Dziewiątka monet.

Oznaczało to, że właściciel lokalu ma w sumie dwadzieścia dwa  
punkty.

Han poczuł się, jakby ktoś wymierzył mu silny cios w brzuch.

W tej samej sekundzie wydarzyło się coś niezwykłego. Generator impulsów losowych zadziałał trzeci raz w czasie jednej rozgrywki! Szatan w dłoni Korelianina przeistoczył się w Panią klepek, co zwiększyło sumę Hana do dwudziestu pięciu punktów. Równocześnie Idiota przemienił się w Królową Powietrza i Ciemności. Ponieważ przypisywano jej wartość minus dwa punkty, Han miał w sumie dwadzieścia trzy.

Czystego sabaka!

Prostując się jeszcze raz na krześle, wskazał gestem ręki swoje karty. Za jego plecami rozległ się chór radosnych okrzyków i wiwatów. Chyba dopiero wtedy Solo uświadomił sobie, że znów wygrał!

Bankier pchnął po blacie stołu jego wygraną i oznajmił, że lokal zostaje zamknięty.

Zawiedzeni gracze wstali i wyszli. Rozpraszać się zaczął także tłum kibiców – z wyjątkiem jednej Twi’lekianki, która rozpaczliwie usiłowała zwrócić na siebie uwagę Korelianina. Han odliczył kredyty, z którymi zasiadł do gry, a pozostałą – wcale niemałą – sumę pchnął po blacie stołu w kierunku Ryna.

– To dla ciebie – burknął. – Kup sobie nowe ubranie. Coś, co nie będzie tak krzychało.

Droma wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i zgarnął żetony kredytowe do dwubarwnego beretu.

– Znam paru gości na dolnych pokładach, którym to się bardziej przyda – powiedział.

Han prześwidrował go spojrzeniem.

– Wiedziałeś, że wygram – odezwał się oskarżycielskim tonem.

– Możliwe, że miałem przecucie – przyznała istota.

– A zatem także jesteś graczem – stwierdził Solo.

Droma pokręcił głową.

– Tylko znam karty – przyznał. – Wymyślili je Rynowie. To znaczy, karty funkcyjne i obrazowe.

Han skrzywił się z niedowierzaniem.

– Nigdy o tym nie słyszałem.

– Każda uosabia jakąś cechę charakteru – zaczął Droma. – Można powiedzieć, że wszystkie razem stanowią doskonałe narzędzie, umożliwiające rozwój duchowy. Nikt jednak nie wyobrażał sobie, że będą wykorzystywane podczas gry hazardowej.

Sięgnął po jedną z odrzuconych talii. Trzymając karty jedną dłonią, rozłożył je w wachlarz, a potem usunął wszystkie karty ponumerowane od jedynki do jedenastki. Pozostałe ułożył półkolem na blacie stołu.

– Popatrz na karty funkcyjne – podjął po chwili. – Dowódca, Pani, Mistrz i As. Każda reprezentuje istotę o specyficznych predyspozycjach. Klepki oznaczają duchową inicjatywę, manierki stany ducha, szable dążność do osiągnięcia celu, a monety materialny dobrobyt. Spójrz jednak na osiem par kart obrazowych i zadaj sobie pytanie, dlaczego w grze używa się kart o nazwach takich jak Równowaga, Wytrwałość, Umiar i Dzierżawa, która czasem bywa nazywana Śmiercią.

Droma wyłuskał z półkola Mistrza klepek i położył go na stole przed Hanem.

– To ty – oznajmił. – Ciemnowłosy mężczyzna, obdarzony niezwykłą intuicją i siłą, ale często zuchwały i zadufany w sobie. Chociaż przeżył wiele lat, nadal odważnie stawia czoło przeciwnościom losu. Nie zważając na szanse, często uderza głową w coś twardego. A mimo to w głębi ducha pozostaje poszukiwaczem mądrości.

– Religijne hokus-pokus – mruknął Han na tyle głośno, żeby Ryn go usłyszał.

Szczerząc zęby w uśmiechu, Droma się wyprostował i podkreślił koniec lewego wąsa.

– Tak uważasz? – zapytał. – Zobaczmy w takim razie, co jeszcze się okaże.

Pozostawił na stole Mistrza klepek i zgarnął wszystkie inne karty funkcyjne i obrazowe. Starannie je przetasował, przełożył jedną ręką i pozostawił, leżące na blacie. Potem sięgnął po pierwszą kartę i odwrócił awerssem do góry poniżej Mistrza klepek.

– Mistrz manierek – oznajmił. – To ojciec, obrońca albo bliski przyjaciel. Osoba kochająca i lojalna aż do przesady. – Sięgnął po następną kartę i położył na Mistrzu klepek, ale odwróconą o dziewięćdziesiąt stopni. – Przekreślona przez Szatana – ciągnął. – Czasami oznacza to chorobliwe uzależnienie, ale częściej potężnego przeciwnika.

Han przełknął ślinę, ale nie powiedział ani słowa.

Trzecia karta z wierzchu talii – Dzierżawa – spoczęła, odwrócona o taki sam kąt, na karcie oznaczającej Hana. Korelianie poczuł na sobie spojrzenie obcej istoty.

– To Śmierć – oznajmił Droma. – Ostatnio straciłeś bliskiego przyjaciela... i obrońcę?

Han postarał się, żeby na jego twarzy nie odmalowało się żadne uczucie.

– Mów dalej – powiedział. – Dokończ tę pożałowania godną wróżbę.

Następną kartę położył Droma po lewej stronie Mistrza klepek.

– Idiota – oznajmił. – Oznacza początek podróży albo poszukiwań, a w każdym razie podążanie nieznanym szlakiem. Czasami też denerwujące stawianie czoła nieznanemu wyzwaniu.

Kolejna karta wyładowała powyżej Mistrza klepek.

– Umiar, ale odwrócony – obwieścił Ryn. – Pragnienie wyrównania rachunków albo zemsty.

Han kiwnął głową i parsknął.

– Jesteś dobry, jesteś naprawdę dobry – powiedział. – Obserwujesz i zwracasz baczną uwagę na wszystko, co się mówi. Dzięki temu orientujesz się, kim ktoś jest albo co przeżywał. Później tylko przedstawiasz to, co wiesz, w pięknym opakowaniu. – Wskazał rozłożone karty. – I na ogół się nie mylisz. W podobny sposób domyślasz się, co ktoś chciał powiedzieć.

Droma spojrział z wyrazem udawanego zdziwienia.

– Ja tylko rozłożyłem karty – odparł z miną niewiniątka.

Han machnął niedowierzająco ręką.

– Ułożyłeś je podczas tasowania – stwierdził. – A może szachrujesz, kiedy bierzesz ze stosu.

Droma uniósł ręce na wysokość ramion i wskazał leżącą talię.

– Wyciągnij szybko, jedną po drugiej, cztery karty – zaproponował – a potem połóż obok Mistrza klepek.

Han zawahał się, ale spełnił jego prośbę. Zanim jednak Ryn cokolwiek powiedział, dźgnął czubkiem palca w pierwszą kartę.

– Nie mów mi, co znaczy – zażądał. – Chcę tylko wiedzieć, jaki sens może mieć to, że znalazła się właśnie w tym miejscu.

– Pierwsza oznacza kogoś, kogo mogło poruszyć albo dotknąć twoje postępowanie.

Kiedy Han odwrócił kartę, na jego twarzy odmalował się niepokój.

– Dowódca szabel – stwierdził cicho. – Może młodsza wersja Mistrza. Uparty, mądry...

– I odważny – dodał Droma. – Dzielny wojownik.

Anakin? – pomyślał Solo. Wskazał drugą kartę.

– Zajmuje miejsce nieprzewidzianych skutków albo ukrytego niebezpieczeństwa – podsunął Ryn.

– Królowa Powietrza i Ciemności... – oznajmił Solo, zastanawiając się nad możliwym wyjaśnieniem. – Może oznaczać osobę, która ma coś do ukrycia. A może ułudę.

Droma kiwnął głową.

– Kogoś albo coś, co się jeszcze nie objawiło. – Wskazał następną kartę. – Najlepszy sposób postępowania.

– Umiar – stwierdził Solo. – Pozwala na zachowanie równowagi, kiedy wszystko wokół ciebie wali się w gruzy, a grunt trzęsie się pod stopami.

– Uosabia także przystosowanie do życiowych zmian – uzupełniła istota. – Nieustępliwość w obliczu przeciwności losu. I duchową siłę.

Han wskazał palcem ostatnią kartę.

– Przyszłość?

Droma pokiwał głową.

– Prawdopodobny rezultat. W tym przypadku to, co może znaleźć Idiota.

Han rzucił mu groźne spojrzenie i odwrócił kartę.

– Gwiazda – powiedział. – Ale do góry nogami. Odwrócona. – Popatrzył na Ryna. – Nie zawsze się udaje, prawda? – zapytał. – Nie możesz się poszczycić pełnym sukcesem.

Droma uśmiechnął się beztrasko i kiwnął głową.

– Moje gratulacje, Roaky – powiedział. – Fortuna pozwoliła ci uchylić rąbka jednej z najpilniej strzeżonych tajemnic.

# ROZDZIAŁ

# 21

Nad częściowo oświetloną tarczą planety Obroa-skai unosił się statek Harrara. Przypominał wyszlifowany w fasetki drogocenny klejnot. Wisiał nieruchomo, prawie niewidoczny w cieniu wielkiego okrętu floty Yuuzhan. Dowodzona przez komandora Malika Carra jednostka pojawiła się zaledwie kilka minut wcześniej. W porównaniu z miłym dla oka statkiem kapłana, wielki okręt wyglądał jak posepny kolos, wygarnięty z płomienistego wnętrza gigantycznego wulkanu.

W ośrodku dowodzenia mniejszej jednostki zebrali się Malik Carr, Nom Anor, komandor Tla oraz dowódca jego taktyków. Wszyscy uważnie przyglądali się hologramowi usianych punkcikami gwiazd przestworzy. Świetlisty obraz mógł powstać dzięki danym, jakie koordynator wojenny zebrał z okaleczonej powierzchni Obroa-skai i przesłał na pokład fasetkowego statku za pośrednictwem sygnalizacyjnego villipa. W mrocznych wnękach ośrodka dowodzenia stali słudzy i akolici, nieruchomi i niemi niczym posągi.

– Wróżby brzmią zachęcająco – odezwał się komandor Tla do równego mu stopniem oficera. – Nasza kampania przebiega zgodnie z planem. Co więcej, z pokładu krążącej wokół Ord Mantell orbitalnej stacji udało się nam pochwycić grupę jeńców. Zamierzamy wyznaczyć im specjalne zadanie, dzięki czemu może dowiemy się czegoś więcej na temat istot zamieszkujących tę galaktykę.

Zadowolony komandor Malik Carr za aprobatą pokiwał głową.

– Mistrz wojenny Tsavong Lah ucieszy się, gdy się o tym dowie – powiedział. Poznaczona bliznami twarz i obnażony tors tego wysokiego samca dowodziły, że miał za sobą błyskotliwą karierę

wojskową. Nosił ciasno zwinięty turban, który podkreślał kształt jego wydłużonej głowy. Szerokie ramiona i biodra wskazywały, że uzupełniono je o dodatkowe kości i chrząstki. Z ramion zwieszał się okazały, oślepiająco błyszczący płaszcz dowódcy. – Dokąd wróżby kierują nas tym razem?

Do rozmowy przyłączył się taktyk Raff.

– W przestworzach aż roi się od potencjalnych celów, komandorze Carr – zameldował. Poleciał sygnalizacyjnemu villipowi powiększyć wybrane sektory przestworzy w rejonie, który Nowa Republika określała mianem Kolonii. – Przymuszając, że zechcemy zwrócić się ku Jądru galaktyki, nieprzyjaciele zgromadzili w tym rejonie floty swoich okrętów w okolicach punktów wyjścia z nadprzestrzeni. Wszystkie światy usytuowane po naszej stronie granicy: Borleias, Ralltiir, Kuat i Commenor, stanowią doskonałe bazy wypadowe do późniejszego ataku na Coruscant, ich stolicę.

– Jednak wróżby zalecają zachowanie ostrożności – wtrącił się Harrar.

Taktyk kiwnął głową.

– W tej chwili unieśmiertelnienia rzeczywiście musimy zwrócić uwagę na staranne ułożenie planu dalszych działań – powiedział. – Jeśli będziemy zbyt wolno zdobywali następne światy, damy siłom zbrojnym Nowej Republiki okazję i czas na zaatakowanie nas z flanki. Jeżeli zbyt szybko się pospieszymy, musimy się liczyć z prawdopodobieństwem napotkania silniejszego oporu niż jesteśmy w stanie pokonać.

Malik Carr cicho chrząknął.

– Z okolic Serpidala przyleci wkrótce kilka następnych dużych okrętów – oznajmił z dumą. – Dysponując nimi, będziemy mogli wiązać siły nieprzyjaciół na wielu frontach jednocześnie. Może w tym czasie odkryjemy jakiś subtelniejszy sposób zbliżenia się do Coruscant. – Przeniósł spojrzenie na Noma Anora. – Jak wygląda sytuacja ze stworzeniami zwanymi Huttami, o których tyle mi mówiono, egzekutorze? – zapytał. – Czy stanowią dla nas poważne zagrożenie?

Nom Anor zrobił krok w jego stronę.

– Kilka razy spotkałem się z Huttem Borgą... rzecz jasna, zawsze w przebraniu pośrednika – zaczął optymistycznym tonem. – Z radością mogę zameldować, że Huttowie są bardziej zainteresowani osiągnięciem porozumienia niż udziałem w tej wojnie, nawet gdyby to miało oznaczać obronę własnych przestworzy. Ich sektor jest

bardzo duży i zawiera wiele światów, które bardzo łatwo dałoby się przekształcić, aby dostarczały nam koralu yorik i innych ważnych bogactw. Prawdę mówiąc, istoty już oddały jeden z nich do naszej dyspozycji. Uważam, że krótki wypad do Przestworzy Huttów byłby całkiem uzasadniony. Poleciłem nawet kilku agentom, żeby polecieli tam i oczekując na nasz przylot, rozsiewali nieprawdziwe informacje.

– Bardzo słusznie – odezwał się dowódca okrętu. – A co z rycerzami Jedi?

Harrar rozciągnął cienkie wargi w pogardliwym uśmiechu.

– Zapewne ich dni są także policzone – oznajmił protekcyjnym tonem. – Przedsięwzięliśmy kroki, dzięki którym już wkrótce będą mieli pełne ręce roboty. Postaraliśmy się, żeby do ich grona przeniknęła jedna istoty rasy Yuuzhan Vong, kapłanka Elan.

– Pragnąc uwiarygodnić jej opowieść i sprawić wrażenie, że jest dla nas kimś bardzo ważnym – dodał komandor Tla – posunęliśmy się nawet do tego, że pozwoliliśmy Nowej Republice odnieść kilka mało znaczących zwycięstw w sektorze Meridiana i okolicach planety Ord Mantell.

Harrar energicznie pokiwał głową.

– Przypuszczamy, że właśnie w tej chwili Elan odbywa podróż, której celem jest spotkanie z rycerzami Jedi...

Urwał, bo na progu ośrodka dowodzenia pojawił się posłaniec. Młody wojownik rasy Yuuzhan Vong trzymał w objęciach villipa. Kiedy podszedł bliżej i stanął przed Nomem Anorem, pogładził stworzenie, żeby wywróciło się na drugą stronę. Egzekutor dał znak, żeby przyniesiono któregoś z jego poświęconych villipów. Przyglądał się, jak stworzenie odwzorowuje twarz jednego z yuuzhańskich podwładnych.

– Egzekutorze – odezwała się podobizna sługi. – Wygląda na to, że grupa twoich agentów z Brygady Pokoju zobowiązała się zwrócić nam coś, co podobno zgubiliśmy.

Oczy Noma Anora rozszerzyły się z przerażenia.

– Oby tylko nie Elan – powiedział, łudząc się do ostatniej chwili.

– Właśnie ją, egzekutorze.

– Co takiego?! – wykrzyknął zaniepokojony Harrar. – O co chodzi?

– Jak to możliwe? – zdumiał się Nom Anor. – Brygada Pokoju nic nie wiedziała o naszym planie. Nikt nie powiedział im, że Elan nie jest zdrażczynią. Co więcej, sam mnie poinformowałeś, że Brygada Pokoju jest zajęta jakimiś sprawami w Przestworzach Huttów.

– Do niedawna była, egzekutorze – przyznał posłaniec. – To znaczy, przynajmniej dopóki nie dowiedziała się o ucieczce i pochwyceniu Elan.

Twarz Noma Anora wykrzywił grymas zakłopotania i wstydu.

– Od kogo?

– Nie zdołałem tego ustalić.

– To absurdalne! – wykrzyknął Harrar. – Jak zamierzają ją uwolnić?

– Wszystko wskazuje, że ktoś powiadomił ich, w jaki sposób kapłanka zostanie przetransportowana na Coruscant.

Na obliczu villipa Noma Anora odmalowało się niedowierzanie.

– To niemożliwe – oznajmił egzekutor. – Nawet ja miałem trudności z rozszyfrowaniem podstępów i forteli agentów Nowej Republiki. Trasy przelotu nie znają nawet wysoko postawieni funkcjonariusze właściwego wydziału ich Wywiadu.

– Wiem tylko, że Brygada Pokoju zamierza zaatakować pasażerski liniowiec lecący na Bilbringi – oznajmił podwładny. – Namówili do współpracy przynajmniej jednego bezpośredniego nadzorcę. Aha, i mają do dyspozycji dovin basala.

– Nie możemy dopuścić, żeby pokrzyżowali nasze plany. – W głosie Harrara brzmiało coraz większe rozdrażnienie. – W żadnym razie.

Nom Anor zachęcił swojego villipa, by ponownie zapadł w stan podobny do snu. Odwrócił się i gestem odprawił posłańca. Obaj komandorzy spoglądali z niepokojem na niego i na kapłana.

– Czy stało się coś złego, egzekutorze? – unosząc brew, zapytał w końcu Malik Carr.

Nom Anor zerknął na Harrara.

– Możliwe jest niepowodzenie planów związanych z naszą agentką – przyznał po chwili. Kiedy odzyskał panowanie nad sobą, lekceważąco machnął ręką i wbił spojrzenie w Malika Carra. – Nic takiego, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić. Może jednak będę chciał pożyczyć pańską najszybszą korwetę, komandorze.

– Jesteśmy małżeństwem – oznajmił Showolter askajiańskiemu urzędnikowi, dyżurującemu przy sterburtowym trapie najbliższej dziobu „Królowej”. Liniowiec krążył po stacjonarnej orbicie wokół planety Vortex. – Niedawno musieliśmy uciekać z Sernpidala.

– To tam, gdzie księżyc spadł na powierzchnię? – zapytał urzędnik.

– Niestety, tak – odparł Showolter.

– Jak nazywał się tamten księżyc? – zainteresował się Askajianin. – Słyszałem w wiadomościach, ale...

– Tosi-karu.

– O, właśnie. – Podobna do człowieka otyła istota spojrzała na Vergere. – A on... też jest z wami?

– Ona – poprawił go oficer Wywiadu. – To nasza służąca.

Urzędnik niepewnie kiwnął głową, a potem zwrócił mężczyźnie dokumenty i bilety, które wzięł od niego kilka minut wcześniej.

– Wasza kabina mieści się na pokładzie dwudziestym czwartym i ma numer dwanaście – oznajmił uroczystym tonem. – Witamy na pokładzie i życzymy bezpiecznej podróży.

Showolter ujął Elan pod rękę i poprowadził obie obce istoty do najbliższej grupy międzypokładowych szybów transferowych – przestronnych cylindrów, które pełniły funkcję turbowind, ale nie miały klatek ani kabin. Unoszeni i opuszczani za pomocą repulsorowych pól pasażerowie mogli docierać nimi na dowolny pokład.

Dla wszystkich podróżnych „Królowej” nastawał nowy dzień. Pasażerowie i uciekinierzy budzili się po spędzeniu umownej nocy. Niektórzy ustawiali się w kolejki do umywalni i łazienek, dostosowanych do potrzeb poszczególnych istot. Inni wyruszyli na poszukiwanie jedzenia. Wokół uwijały się i krzątały najróżniejsze androidy. Wykonywały czynności powszechnie uznawane za uwłaczające godności inteligentnych istot żywych.

Chociaż podróż z Myrkra na Vortex i późniejsze wejście na pokład „Królowej” przebiegły bez zakłóceń, Showolter nie przestawał zwracać na wszystko i wszystkich bacznej uwagi. Nieustannie poszukiwał dowodów na to, że są obserwowani lub śledzeni – czy to przez podróżujących na pokładzie liniowca agentów WNR, czy też wrogów. Najwięcej zdziwionych spojrzeń kierowało się na Vergere. Większość podróżnych poświęcała jednak całą uwagę obronie własnego miejsca na tym albo innym pokładzie i szybko przestawała się nią interesować. Major Wywiadu wiedział jednak, że dopóki nie skontaktują się z nim pozostali agenci, nie może pozwolić sobie nawet na chwilę nieuwagi.

Z niejakim zdziwieniem stwierdził, że przydzielona kabina jest przestronniejsza niż mógłby się spodziewać. W głównym pomieszczeniu znajdował się stół, krzesła, tapczan i cztery rozkładane

łóżka. Showolter przepuścił przodem obie obce istoty, a potem rozejrzał się wokół, czy nikt ich nie śledzi. Dopiero kiedy się przekonał, że korytarz jest pusty, wszedł do kabiny i starannie zamknął drzwi wejściowe.

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – westchnął. – Przy najmniej do jutra.

– A co czeka nas jutro? – zainteresowała się Elan, siadając na jednym z rozłożonych łóżek.

– Powiem ci, kiedy nadejdzie odpowiednia pora.

Kapłanka spojrzała na niego i nie ukrywając rozczarowania, pokręciła głową.

– Wciąż jeszcze mi nie ufasz, prawda? – zapytała.

– To nic osobistego – pocieszył ją mężczyzna. – Muszę postępować zgodnie z przepisami.

– Założę się, że to samo mówisz wszystkim uciekinierom – odezwała się Vergere. Przycupnęła na innym łóżku. Wyglądała jak ogromny ptak.

Showolter ustawił bagaże w kącie pomieszczenia i upewnił się, że w korytarzu wiodącym do sąsiedniej kabiny nie ukrył się żaden zamachowiec. Zamierzał usiąść na wolnym łóżku, żeby odpocząć, kiedy ktoś zapukał do drzwi wejściowych.

Oficer Wywiadu sięgnął pod pachę i wyciągnął blaster. Podszedł do drzwi i stanął obok futryny.

– Kto tam?

– Obsługa – odezwał się w basicu męski głos z wyraźnym korelańskim akcentem.

– Niczego nie zamawialiśmy.

– Kapitan Scaur przesyła pozdrowienia – wyjaśnił stojący za drzwiami mężczyzna. – Prosi również, żeby dzisiaj wieczorem zechcieli państwo być gośćmi przy jego stole.

– To da się załatwić – odpowiedział Showolter.

– Przekażę mu pańską odpowiedź.

Major opuścił lufę broni i zwolnił zatrząsk drzwi. Do kabiny wszedł wysoki, ciemnowłosy i groźnie wyglądający mężczyzna. Towarzyszył mu Rodianin.

– Nazywam się Darda – oznajmił nieznajomy. – A to jest Capo.

Obca istota miała pokrytą brodawkami zielonkawą skórę i wydzielała bardzo niemiły dla ludzkiego nosa zapach. Poruszała się jednak zwinnie i z wdziękiem. Kiedy zauważyła Elan i Vergere, natychmiast zwróciła na nie uwagę swojego partnera.

– Gdzie wsiedliście? – zapytał Showolter.

Darda oderwał spojrzenie od twarzy kapłanki i skierował je na oficera Wywiadu.

– Tu, na Vortex – odparł beztrzesko. – Staliśmy w kolejce kilka osób przed wami.

Showolter wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tak, widziałem – przyznał. – Wywiad przysłał tylko was dwóch?

– Trzech innych już przebywa na pokładzie – odparł Korelianin.

– Wmieszali się w tłum uciekinierów i pasażerów podróżujących trzecią klasą. Prawdopodobnie spotkamy się z nimi podczas kolacji.

Showolter kiwnął głową.

– Którą kabinę zajmujecie?

Darda zwrócił kanciastą szczękę w stronę drzwi wiodących do sąsiedniego pomieszczenia.

– Tuż obok was – powiedział.

– Bardzo rozsądnie – stwierdził oficer Wywiadu. – Ktoś w centrali ma głowę nie od parady. – Spojrzał na Rodianina. – A ty, Capo? – zapytał. – Gdzie zazwyczaj rezydujesz?

– Na Bilbringi – odrzekła istota, łącząc czubki palców zakończone przyłgami.

Showolter przeniósł spojrzenie na Korelianina.

– A ty?

– Ostatnio na Gamorrze, ale kiedy ta operacja dobiegnie końca, mam zostać przeniesiony na Coruscant.

Showolter sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Naprawdę? – zapytał niewinnym tonem. – Kto ma być twoim nowym szefem?

Darda otworzył usta, żeby odpowiedzieć, kiedy znowu rozległo się pukanie do drzwi wejściowych.

Showolter gestem nakazał wszystkim milczenie i jeszcze raz uniósł blaster.

– Kto tam?

– Obsługa – odezwał się niewątpliwie ludzki głos.

Trzej funkcjonariusze WNR wymienili zdumione spojrzenia. Showolter dał znak, żeby Darda i Capo ukryli się w sąsiedniej kabine. Odwrócił się do Elan i Vergere i gestem polecił, by były cicho. Kiedy obaj agenci zniknęli w przyległym pomieszczeniu, Showolter podszedł do drzwi wejściowych i stanął obok futryny.

– Niczego nie zamawialiśmy.

– Kapitan Scaur przesyła pozdrowienia. Prosi również, żeby dzisiaj wieczorem zechcieli państwo być gośćmi przy jego stole.

– To da się załatwić.

– Przekażę mu pańską odpowiedź.

Poruszając się zwinnie i szybko, Showolter wsunął blaster pod leżącą na tapczanie poduszkę, a potem ustawił dwa krzesła w taki sposób, aby stały zwrócone oparciami w stronę korytarza wiodącego do przyległej kabiny. Potem otworzył drzwi wejściowe. Do kabiny wszedł silnie umięśniony mężczyzna w towarzystwie urodziwej Bothanki. Oznajmił, że nazywa się Jode Tee, a jego partnerka Saiga Bre'lya.

Starając się nie wzbudzać ich podejrzeń, Showolter zachęcił oboje gestem, żeby usiedli na ustawionych krzesłach, a potem zapytał, gdzie weszli na pokład „Królowej”.

– Jeszcze na Ord Mantell – odparła Bothanka, kiedy nasyciła oczy widokiem Elan i Vergere.

– Lecicie tylko we dwoje?

– Dwaj inni funkcjonariusze mieli wejść na pokład na Anobisie, ale jeszcze się z nami nie skontaktowali.

– Gdzie znajduje się wasza kabina? – zapytał major Wywiadu, zwracając się do człowieka.

– Dziesięć drzwi dalej, w tym samym korytarzu po stronie sterburty.

– Bardzo rozsądnie. – Showolter usiadł na tapczanie i od niechcienia oparł dłoń obok poduszki, pod którą ukrył blaster. Spojrzał na oboje agentów.

– Gdzie rezydujecie?

– Bilbringi – odparł Jode Tee.

– A ty, Saigo?

– Ord Mantell.

Wiodące do sąsiedniego pomieszczenia drzwi zaczęły się otwierać. Ukazał się w nich Darda. Stał w rozkroku i trzymając oburącz odbezpieczony blaster, powoli unosił go na wysokość twarzy. Showolter zauważył Korelianina kątem oka i głośno się roześmiał. Chciał w ten sposób zagłuszyć odgłos otwieranych drzwi, gdyby przypadkiem zaskrzypiały.

– Mówiliście poważnie o tym, że kapitan zaprasza nas dziś na kolację? – zapytał.

Saiga przeprasza ją się uśmiechnęła.

– Niestety, nie – powiedziała.

Showolter wyciągnął jednym płynnym ruchem blaster i wystrzelił. Laserowa błyskawica przeleciała między głowami Jode'a Tee i Bothanki i trafiła Dardę w sam środek piersi. Odrzucony do tyłu siłą strzału Korelianin przeleciał nad progiem jak kopnięty przez gundarka. W ostatniej chwili zdołał jednak nacisnąć spust i trafić Jode'a w plecy między łopatkami. Agent Wywiadu pofrunął z krzesła i wylądował na tapczanie.

Reagując niemal odruchowo, Showolter i Saiga upadli na podłogę. W tej samej sekundzie Vergere zerwała się ze swojego łóżka i skoczyła ku Elan. Pchnęła ją w kąt kabiny i osłoniła własnym ciałem przed spodziewanymi następnymi strzałami.

Tymczasem przez próg drzwi wiodących do przyległej kabiny przeczołgał się Capo. Trzymał w wyciągniętej ręce blaster i nie przestawał strzelać. Raz po raz od ścian i przegród kabiny odbijały się świszczące błyskawice. Showolter przetoczył się po podłodze, ale zderzył się plecami z jakąś przegrodą. Chociaż nie miał swobody ruchów, zaryzykował i strzelił. Okazało się jednak, że Capo przeczołgał się gdzie indziej. Major Wywiadu musiał przetoczyć się z powrotem na poprzednie miejsce. Poderwał się z podłogi i uklęknął na jedno kolano. Stwierdził, że Rodianin trzymał go na muszce i właśnie wystrzelił. Laserowa błyskawica trafiła go w lewe ramię tuż pod obojczykiem, a siła strzału odrzuciła go do tyłu i obróciła. W powietrzu rozszedł się niemiły swąd tłącej się tkaniny i palonego ciała. Padając na podłogę, Showolter usłyszał odgłosy kolejnych strzałów. Zrozumiał, że do walki przyłączyła się Saiga.

W następnej sekundzie rozległ się mrozący krew w żyłach wrzask, a chwilę później jęk bólu. Oficer zamrugał i zmusił się do otwarcia oczu. Zobaczył rannego Capa, który czołgał się ku drzwiom wiodącym do przyległego pomieszczenia. Na podłodze siedziała Saiga. Podpierając się jedną ręką, przyciskała drugą do ogromnej dziury, wypalanej pośrodku piersi przez laserową błyskawicę.

Showolter z trudem wstał, potykając się przekroczył próg i znalazł się w przejściu do sąsiedniej kabiny. Zacisnął drżące palce na rękojeści blastera. Przekonał się, że ranny Capo wybiegł na korytarz i nawet zdołał pokonać połowę odległości dzielącej go od zakrętu. Showolter wymierzył i strzelił, ale tylko zachęcił istotę do większego pośpiechu. Oficer Wywiadu wrócił do kabiny i zamknął drzwi na zamek. Potem przeszedł do swojego pomieszczenia.

Kiedy przyłożył palec do żyły na szyi Jodego Tee, przekonał się, że mężczyzna nie żyje. Rzucił okiem na Elan i Vergere, a potem,

nie wstając z kolan, skierował się do Saigi. Bothanka siedziała na podłodze, oparta plecami o framugę drzwi wejściowych.

– Trafił go pan... majorze? – zapytała niemal szeptem.

Showolter pokręcił głową.

– Kim byli?

– Nie mam pojęcia, ale znali umówione hasło.

Oczy Bithanki rozszerzyły się ze zdumienia.

– Nasze hasło?

– To samo, które i mnie podano.

– A zatem skąd pan wiedział, że nie są prawdziwymi agentami?

– Jedno z nich utrzymywało, że rezyduje na Gamorrze. Domyślam się, że ten, kto zlecił im porwanie uciekinierek, nie wiedział, iż już dawno zrezygnowaliśmy z tamtejszej bezpiecznej kryjówki.

Z gardła Bothanki wydarł się jęk bólu.

– Posłuchaj, Saigo – odezwał się z naciskiem Showolter. – Powiedziałaś, że na pokładzie „Królowej” podróżuje jeszcze dwóch naszych agentów.

Istota znalazła w sobie jeszcze dość sił, żeby kiwnąć głową.

– Kim są? – nalegał major Wywiadu. – W jaki sposób mieliście się skontaktować? Saigo... Saigo!

Oczy Bothanki skryły się pod powiekami. Z płuc wyrwał się ostatni chrapliwy oddech. Nie żyła.

Showolter poczuł, że jego oczy zachodzą łzami. Usiadł obok agentki, oparł się plecami o ścianę i wbił spojrzenie w podłogę.

– Jesteś ranny – szepnęła mu do ucha Elan, która nagle znalazła się u jego boku. W głosie istoty brzmiało nieklamane zaniepokojenie.

Nagle kadłub „Królowej” przeniknęło nieznaczne drżenie.

– Przekroczyliśmy... prędkość światła – szepnął niewyraźnie mężczyzna, bardziej do siebie niż kogokolwiek innego. Usiłował skupić uwagę na twarzy Yuuzhanki. – Muszę cię... stąd... zabrać – powiedział. – Wkrótce wróci ten Capo... Sprowadzi posiłki. – Próbował wstać, ale próba zakończyła się niepowodzeniem. Wskazał stojące w kącie bagaże. – Są w mojej torbie... środki przeciwbólowe i bandaże.

Nagle obok niego wyrosła jak spod ziemi Vergere. W jej skośnych oczach kręciły się łzy.

– Ja ci pomogę – powiedziała.

Złączyła dłonie i uniosła je do oczu, później roztarła łązy palcami, a palce przyłożyła do rany Showoltera. Mężczyzna poczuł silny, ale przelotny ból. Zaciśnął zęby. Z trudem zaczerpnął powietrza.

– Lepiej? – zapytała Vergere.

– Tak – przyznał, nie kryjąc zdumienia.

– To chwilowa ulga – oświadczyła istota. – Twoją raną musi się zająć prawdziwy lekarz.

Showolter kiwnął głową. Z trudem wstał i doładował blaster. Ostrożnie otworzył drzwi wejściowe i wyjrzał na korytarz.

– Idziemy stąd – powiedział. – Naszą jedyną szansą jest odnalezienie tamtych dwóch agentów.

– Przecież nie wiesz, kim są – przypomniała mu Elan.

Showolter wzruszył ramionami. Miał ponurą minę.

– Liczę na to, że oni mnie rozpoznają.

Elan pozwoliła, żeby oparł się na jej ramieniu. Wszyscy troje skierowali się ku szybom transferowym. Zamierzali zjechać na niższy pokład, gdzie mieściły się świetlice, stołówki, sale gimnastyczne i kabiny pasażerów podróżujących trzecią i czwartą klasą.

# ROZDZIAŁ

# 22

Han wyszedł z przenośnej łazienki udając, że śłania się na nogach. Zatrzasnął drzwi z taką siłą, jakby nie chciał, żeby z wnętrza kabiny wydostało się coś strasznego.

– Założę się o wszystko, co mam, że z tej łazienki korzystał jakiś Gamorreanin – warknął, zwracając się do Dromy. – Nie wystarczy im, że paskudzą we własnych ubikacjach. Muszą brudzić także w naszych.

– Czy to twój typowy poranny nastrój? – zainteresował się Droma.

Han spiorunował go spojrzeniem.

– Nie, ale zawsze jestem w takim, ilekroć nie zmruję oka w nocy.

Ryn parsknął lekceważąco.

– Nie wpraszałem się do twojej kabiny – przypomniał. – Doskonale się czułem we wspólnej sypialni dla pasażerów podróżujących czwartą klasą.

Korelianin przystanął pośrodku korytarza i odwrócił głowę.

– Nie mam ci za złe, że spałeś ze mną w jednej kabynie – odparł. – Mam za złe twojemu ogonowi, że przez pół nocy chlastał mnie po twarzy!

Droma zmarszczył brwi.

– My, Rynowie, podczas snu musimy często zmieniać ułożenie ciała – powiedział. – Nigdy nie śpimy dwukrotnie w tym samym miejscu.

– Następnym razem wynajmę salę balową – oświadczył sarkastycznie Solo. – Czy wtedy będziesz miał dość miejsca do spania?

– Moi ziomkowie są bardzo przesądni – rzekła istota, kiedy obaj ruszyli dalej korytarzem. – Nigdy nie jadamy trzy razy z tego samego talerza. Mamy również wiele przesądów dotyczących płynów ustrojowych...

Han uniósł ręce na wysokość głowy.

– Nie chcę o tym wiedzieć! – Spojrzał na Dromę. – A właściwie dlaczego jeszcze jesteś na pokładzie „Królowej”? Powiedziałeś mi, że lecisz tylko na Vortex.

Droma wzruszył ramionami.

– Doszedłem do wniosku, że będę miał większą szansę znaleźć statek, który leci z Ralltiira na Bilbringi.

– Ta-a – przyznał z namysłem Korelianin. – A co z biletem? Sądziłem, że zapłaciłeś tylko za przelot na Vortex.

Droma ułożył rysy twarzy w wyraz urażonej niewinności.

– Prawdę mówiąc, wykorzystałem część twojej wygranej w sabaka – odparł beztrzesko. – Pozostawiłem sobie sumę wystarczającą na opłacenie kosztów dalszej podróży.

– Coś podobnego! – parsknął Solo.

Na twarz Ryna powrócił zwykły wyraz przekory.

– Czyżbyś nie chciał mi się odwdziaczyć, skoro nie wziąłem od ciebie ani kredytu za wróżenie z kart? – zapytał.

Han znów przystanął.

– Nie wziąłeś ani kredytu? – powtórzył zdumiony. – Przecież wcześniej sam ułożyłeś karty.

– Nie przypominam sobie, żebyś kazał mi przestać wróżyć.

– Starąłem się być uprzejmy.

– Coś niesamowitego – oznajmił Droma. – Jesteś niemożliwy.

– Hej, żebyś wiedział, w jakim towarzystwie mam zwyczaj się obracać...

Droma sprawiał wrażenie oszołomionego.

– Bogatych i sławnych klientów, zajmujących się naprawianiem gwiazdnych statków?

– Ja...ach, to beznadziejna sprawa – mruknął z rezygnacją Solo.

Zarzucił na ramię pas podróźnej torby i przyspieszył. Liczył na to, że krótkonogi Ryn nie dotrzyma mu kroku. I rzeczywiście, po dziesięciu długich susach pozostawił Dromę daleko za sobą. Skreślił w jeden boczny korytarz, a potem w drugi. Nagle poczuł, że od tyłu chwytają go mocarne ręce. Unoszą w powietrze, obracają...

– Hanie! – wrzasnął napastnik i przytulił się do niego, jakby od siły uścisku miało zależeć jego życie. – Nawet nie będę usiłował

zgodnąć, do jakich obietnic uciekł się Scaur, aby namówić cię na udział w tej wyprawie! Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę.

– Scaur? – powtórzył zdezorientowany Solo. Przyjrzał się twarzy napastnika i nagle sobie przypomniał. – Showolter? Co, u...

– Dopadli nas w mojej kabinie, Hanie. Agenci, pozostający na usługach Yuuzhan Vongów. Zabili dwoje moich funkcjonariuszy. Trafiłem jednego z wrogów, ale drugi zdołał uciec... podstępny i oślizły Rodianin, nazywa się Capo. Prawdopodobnie ma na pokładzie „Królowej” wspólników albo pomocników. Przypuszczam, że w tej chwili wszyscy nas szukają. Musisz znaleźć bezpieczne miejsce i je ukryć.

Han powiódł spojrzeniem za ruchem ręki Showoltera. Popatrzył na Elan i Vergere.

– Dlaczego to takie ważne... – zaczął.

– To Yuuzhanki – wychrypiał mężczyzna. – Uciekiniarki.

Zdumiony Korelianin otworzył usta i jeszcze raz spojrzał na obie istoty. Przyglądał się im kilka chwil, po czym przeniósł spojrzenie na oficera Wywiadu.

– Jakim cudem...

– Czy to twój partner? – przerwał mu Showolter.

Han odwrócił się jak użądłony. Spiorunował Dromę gniewnym spojrzeniem. Ryn zmarszczył brwi i popatrzył pytająco na człowieka.

– On jest... – zaczął Solo.

– Tylko dopóki... nie przylecimy na Bilbringi, Hanie – nalegał Showolter. Jego głos zaczynał się załamywać.

– Hanie? – powtórzył Droma, najwyraźniej zdziwiony i zaniepokojony.

Major WNR nagle zwiotczał, osunął się po ścianie korytarza i usiadł na podłodze. Nogi nie mogły dłużej utrzymać ciężaru ciała. Han usiłował go podtrzymać, ale nadaremnie. Przykucnął pod ścianą obok niego.

– Moi agenci zajmą się nimi, kiedy przylecimy na Bilbringi. – Oficer Wywiadu jęknął z bólu.

Han uświadomił sobie, że ma zakrwawione dłonie. Dopiero teraz zwrócił uwagę na ranę rozmówcy.

– Jesteś ranny...

Showolter pokręcił głową.

– Nie mogłem... tracić czasu – oznajmił cicho. – Przyślij lekarza... to nic poważnego.

Han wstał i złapał za rękę przechodzącego korytarzem stewarda.  
– Ten człowiek musi trafić do ambulatorium – rozkazał. – I to szybko. Rozumiesz?

Okrągła głowa Durosjanina opadła i podskoczyła niczym spławik na powierzchni wzburzonego morza.

– Tak jest. Natychmiast.

Han przynaglił go do pośpiechu silnym pchnięciem w plecy, a potem pochylił się nad Showolterem.

– Masz jakąś broń? – zapytał.

Oficer spojrział na niego i kiwnął głową.

– Myślisz, że będziesz potrzebował?

Han powstrzymał dłoń mężczyzny, żeby nie powędrowała pod pachę, do ukrytej kabury.

– Nie, to ty będziesz potrzebował – odparł oschle. – Na wypadek, gdyby cię odnaleźli.

Showolter skrzywił się i zamknął oczy.

– Nie trać czasu, Hanie – powiedział. – Liczy się każda chwila.

Korelianin odwrócił się ku uciekinierkom.

– Pójdziecie teraz ze mną – oznajmił władczy tonem. – A jeżeli sprawicie mi kłopot, zamknę was w schowku na bagaż na całą resztę podróży. Rozumiecie?

Istota wyglądająca jak kobieta zmarszczyła gniewnie brwi i chciała zaprotestować, ale niższa i podobna do dziwnego ptaka potulnie kiwnęła głową.

– Nasze życie jest teraz w twoich rękach – powiedziała.

Han uniósł wskazujący palec.

– Nie zapominajcie o tym.

Odwrócił się, przepuścił przodem obie istoty i podążył za nimi korytarzem. Nie zdążył przejść dziesięciu metrów, gdy usłyszał, jak idący za nim Droma pyta:

– Han?

– Mój służbowy pseudonim – odparł zwięźle Solo, odwróciwszy głowę.

– Jesteś agentem wywiadu?

Korelianin przystanął i obrócił się na pięcie.

– Trzymaj się od tego jak najdalej, kolego – ostrzegł poważnie.

– Tym razem to nie gra w karty.

Droma przekrzywił głowę.

– Gdzie zamierzasz je ukryć? – zapytał. – W swojej kabynie? Znam ten statek lepiej niż ty. Jedyne bezpieczne miejsce to

któryś z najniższych pokładów. Tylko tam możecie zgubić się w tłumie.

Han zastanowił się nad jego słowami i kiwnął głową.

– Masz rację – przyznał. – Zjeżdżamy.

Skreślił w pierwszy poprzeczny korytarz i skierował się do najbliższego szybu turbowindy. Pozostało mu do przejścia zaledwie kilka kroków, kiedy kadłubem „Królowej” targnął potężny wstrząs – tak silny, że Elan runęła na podłogę. Droma pomógł jej wstać, a Korelianin pospieszył do pobliskiego bąbla obserwacyjnego. Zamiast charakterystycznego dla nadprzestrzeni chaosu fioletowo-białych plam ujrzał pojawiające się coraz częściej świetliste linie. Z przerażeniem obserwował, jak smugi światła skracają się i przeistaczają w świecące punkty, by po chwili znów przemienić się w linie. W końcu jednak jarzące się paski zawirowały i stały się znów iskierkami gwiazd normalnych przestworzy. W niewielkiej odległości od kadłuba „Królowej” unosiła się duża, dziobata planetoida, wyraźnie widoczna w blasku odległego czerwono- pomarańczowego słońca.

– Ktoś wyrwał nas z nadprzestrzeni – oznajmił Han, zastanawiając się, co to może oznaczać.

Droma zerknął na wyświetlacz chronometru, zawieszony na ścianie korytarza.

– Jeszcze zbyt wcześnie, żeby to miała być Bilbringi...

Umilkł, kiedy rozległo się zawrosczenie alarmowych syren. Głośnik pokładowego interkomu obudził się do życia.

– Uwaga, wszyscy pasażerowie – odezwał się jakiś mężczyzna w standardowym basicu. – Mówi kapitan „Królowej Imperium”. Nieznani korsarze zmusili nasz liniowiec do wyskoczenia z nadprzestrzeni. Podróżujący na pokładzie wspólnicy korsarzy szturmują w tej chwili mostek statku.

– Korsarze, akurat – parsknął Solo. – To nie żadni korsarze. To intruzi, którzy dobrze wiedzą, kogo szukają!

– Jesteś tego pewien? – zapytał zaniepokojony Droma.

Han przypomniał sobie dawne czasy, kiedy nie mógł liczyć na pomoc Chewiego ani „Sokoła”. Podróżując z uroczą Fiollą, musiał lecieć pasażerskim liniowcem „Pani Mindoru”. Nawiasem mówiąc, podczas tamtej podróży towarzystwo młodej kobiety odpowiadało mu o wiele bardziej niż teraz towarzystwo Ryna. Wówczas także sądzono, że statek zaatakowała banda gwiazdnych piratów. Okazało się jednak, że dowódcą napastników był zdrajca

Mogg – osobiście wybrany przez Fiollę asystent, którego darzyła wielkim zaufaniem.

– Absolutnie pewien – oświadczył beznamiętnym tonem Korelianin.

– To moi ziomkowie! – pisnęła przerażona Elan. – Posłużyli się dovin basalem, żeby wyrwać ten statek z nadprzestrzeni. – Wbiła paznokcie w ramię mężczyzny. – Błagam cię, nie dopuść, żeby mnie znaleźli!

– Nasze osłony okazały się bezużyteczne – odezwał się po chwili kapitan liniowca. – Napastnicy przygotowują się do wejścia na pokład. Wysłaliśmy wołanie o ratunek. Jestem pewien, że już wkrótce ktoś pospieszy nam z pomocą. Proszę, żeby do tego czasu wszyscy zachowali spokój. Powtarzam, proszę wszystkich o zachowanie spokoju.

– Ależ ma tupet! – wybuchnęła gniewnie Leia. Przechadzała się po wyłożonej płytkami podłodze swojego apartamentu, a w pewnej chwili przystanęła, aby spojrzeć na Luke’a i Marę. – Najpierw oświadczył, że nie jestem w stanie zrozumieć tego, co czuje, a potem odleciał, nie wiedzieć dokąd.

– Możesz zabrać chłopca z Korelii, ale nie zdołasz usunąć Korelii z jego serca – powiedziała cicho siedząca na tapczanie Mara.

Luke lekko się uśmiechnął.

– Posłuchaj, Leio – zaczął. – To nie pierwszy raz, kiedy Han zachowuje się w taki sposób. Pamiętasz, jak poleciał ze mną na stację badawczą Crseih?

– Wtedy chodziło o coś innego – rzekła Leia, kręcąc głową. – No dobrze, może pragnął powrotu dawnych dobrych czasów, ale najbardziej zależało mu na rezygnacji ze służby w siłach zbrojnych. – Usiadła na krześle naprzeciwko brata i szwagierki. – Tymczasem jego obecne zachowanie nie ma nic wspólnego z nostalgią ani z nadmiarem zaszczytów. Teraz nie czuje się osaczony. Tym razem chodzi mu o Chewiego.

– Nie widzę w tym nic niezwykłego – stwierdziła Mara.

– To byłoby zrozumiałe, gdyby w grę wchodziły tylko smutek i poczucie zagubienia – przyznała Leia. – Obawiam się jednak, że on pragnie zemsty. – Ciężko westchnęła. – Przyleciał do niego przyjaciel z dawnych lat... nazywa się Roa... i obaj wyprawili się na Ord Mantell. Dlaczego mieliby lecieć w rejon sąsiadujący z opanowanymi

przez Yuuzhan sektorami przestworzy, gdyby Roa nie dysponował jakimiś informacjami?

– Jakimi? – zapytał Skywalker. – Yuuzhanie, bezpośrednio odpowiedzialni za to, co wydarzyło się na Sernpidalu, już nie żyją. Han pomógł im przenieść się na tamten świat, kiedy przebywał na Helsce Cztery.

– Gdyby to mu wystarczyło, nie wyprawiałby się na Ord Mantell – zauważyła Leia.

Mistrz Jedi musiał przyznać jej rację.

– Mimo to uważam, że nie zrobi niczego nieprzemyślanego – odparł po chwili.

Leia przygryzła dolną wargę.

– Kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy – ciągnął Luke – robił wszystko, co mógł, bym pomyślał, że naprawdę jest tak lekkomyślny, za jakiego chciał uchodzić w moich oczach. Obi-Wan powiedział jednak coś, czego nigdy nie zapomnę. Ostrzegł, żeby nie sądzić Hana z pozorów, bo pod maską cynizmu i szorstkości kryje się człowiek o wrażliwym sercu. – Uśmiechnął się na wspomnienie tamtych chwil i spojrzał na siostrę. – Obi-Wan powiedział również, że tylko niezwykły człowiek może mieć Wookiego za przyjaciela... i że nie każdy Wookie zechciałby przemierzać galaktykę wzdłuż i wszerz w towarzystwie kogoś takiego jak Han Solo.

Leia uśmiechnęła się z przymusem i pokręciła głową.

– Nie musisz mi przypominać, że mój mąż jest kimś niezwykłym. W tym właśnie cały problem. Niezwykły człowiek musi mieć równie niezwykłego przyjaciela. Chewie i Han... no cóż, chyba mieli zbawienny wpływ jeden na drugiego. Chewie starał się hamować zapędy Hana. – Zmusiła się do uśmiechu. – Przepraszam, że wyłauduję na was złość. – Spojrzała na Marę. – Nawet cię nie zapytałam, jak się czujesz.

– Mam wrażenie, że jestem o wiele silniejsza – odrzekła kobieta, ale uznała za słuszne nie wdawać się w szczegóły.

Leia pomyślała, jak bardzo chciałyby, żeby Mara wyzdrowiała. Zastanawiała się, jak mogła kiedyś nie darzyć jej zaufaniem.

– Sądziłam, że już dawno wróciliście na Yavin Cztery – odezwała się po chwili.

Luke i Mara wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Czy ktoś poinformował cię, że złapaliśmy yuuzhańską uciekinierkę? – zapytał mistrz Jedi.

Zdumiona Leia otworzyła szeroko oczy i spojrzała na brata.

– Co takiego? Kiedy?

– Krótko przed twoim odlotem na Ord Mantell – odparł Skywalker. – Ma zostać przetransportowana na Coruscant i poddana dalszemu przesłuchaniu.

– To fantastyczna wiadomość! – Leia nie kryła radości. – Czy fakt schwytania jej ma coś wspólnego z tym, że wciąż jeszcze jesteś tutaj?

– Yuuzhanka poprosiła o spotkanie z niektórymi spośród nas – odrzekł Luke.

– To znaczy z rycerzami Jedi? – Leia wyprostowała się na krześle. – Tylko mi nie mów, że zgodziliście się spełnić jej prośbę.

– Twierdziła, że ma dla nas informacje na temat zarazy, jaką Yuuzhanie zaczęli szerzyć w naszej galaktyce – odezwała się Mara.

Leia zakryła dłonią usta.

– Ależ, Maro...

Z sąsiedniego pokoju dobiegł znajomy głos, a chwilę później na progu stanął Threepio. Nerwowe ruchy rąk dowodziły, że złocisty android jest niezwykle wzburzony. Tuż za nim do apartamentu wtoczył się Artoo. Astromechaniczny robot nie przestawał wydawać melodyjnych pisków i świergotów, z których całkiem wyraźnie przebijała drwina.

– Och, proszę, nie wyłączajcie mnie! – jęknął Threepio. – To nie była moja wina! Ja tylko starałem się pomóc!

Artoo-Detoo wydał głos, który zabrzmiał jak pogardliwe prychnięcie.

– Och, zamknij się, ty mała... puszeko konserw! – wybuchnął C-3PO.

– Threepio, uspokój się – rzekła Leia. – Powiedz lepiej, co się stało.

Protokolarny android odwrócił się w jej stronę.

– Niedawno podano to w wiadomościach, pani Leio – zaczął nerwowo. – Na „Królową Imperium” napadli korsarze albo bandyci. Kapitan statku wysłał wołanie o ratunek. Liniowiec kierował się wtedy ku Bilbringi. Możliwe, że właśnie w tej chwili rabusie dokonują abordażu!

Luke rzucił siostrze zagadkowe spojrzenie, tyleż zdziwione, co zaniepokojone.

– To statek, na którego pokładach uchodźcy z Ord Mantell lecą na planety Jądra galaktyki – wyjaśniła kobieta. – Threepio, połącz

się z siecią i spróbuj dowiedzieć się czegoś więcej. Może chodzi o atak gwiazdnych piratów, a nie Yuuzhan.

– Ale pan Solo! – wykrzyknął zrozpaczony android.

Leia spoważniała.

– Co on ma z tym wspólnego? – zapytała.

Threepio uniósł złociste ręce wysoko nad głowę.

– W tej chwili przebywa na pokładzie „Królowej”!

Leia pokręciła głową, jakby uznała, że się przesłyszała.

– Threepio, nie rozumiem...

– Och, nie powinienem był go posłuchać – przerwał jej android.

– Ale kiedy powtórzył dokładnie te same słowa, które pani wypowiedziała wcześniej, byłem pewien, że moje postępowanie jest usprawiedliwione.

– Jakie słowa?

– Że czasami jest lepiej nie wiedzieć, co myślą inni – odparł C-3PO. – Że czasami czuje się mniejszy ból, jeżeli się nie zna prawdy. Sama pani tak powiedziała.

Artoo pozwolił sobie na serię sarkastycznych pisków.

– Bądź cicho! – zgromił go bezgranicznie wzburzony android.

– Tylko co to wszystko ma wspólnego z Hanem na pokładzie „Królowej Imperium”? – zapytała Leia.

– Pan Solo poprosił mnie, żebym załatwił mu bilet, a ja spełniłem jego prośbę, udając panią... to znaczy, naśladowając pani głos – odparł C-3PO. – A jeżeli chodzi o to, że ani razu nie powiedziałem, dokąd poleciał pan Solo... to dlatego, że nigdy nie zapytała mnie pani wprost, dokąd się wyprawił. Pan Solo obiecał, że gdyby mnie wyłączono, postara się przechować zawartość mojej pamięci w jakimś banku danych. Dzięki temu mógłbym poćwiczyć odłączanie...

– Threepio! – przerwała mu w końcu Leia. – Jestem pewna, że nie ponosisz za to całej winy... zwłaszcza gdy w grę wchodzi Han Solo. Proszę cię jednak, bądź ze mną teraz szczerzy. Dlaczego Han wyprawił się na Bilbringi?

– Nie wiem nic na temat pobudek, jakimi się kierował, pani Leio – oznajmił android.

Artoo obrócił kopułkę o pełne trzysta sześćdziesiąt stopni. Zaszczębiał i zaświergotał, jakby pragnął okazać równocześnie niezadowolenie i zaniepokojenie.

Leia zmrużyła oczy i spojrzała na brata.

– Nadal uważasz, że Han nie przedsięwzięmie niczego nieprze-myślanego? – zapytała.

– Threepio – odezwał się Luke. – Powiedziałeś, że kapitan liniowca wysłał wołanie o ratunek?

– Tak powiedziano w wiadomościach, panie Luke’u – odparł android.

Mistrz Jedi przeniósł spojrzenie na Leię.

– Prawdopodobnie ktoś już leci im na odsiecz – powiedział.

Jego siostra pokręciła głową. Nawet nie usiłowała ukryć gniewu.

– A kogo obchodzi życie kilku tysięcy uchodźców? – zapytała.

– Zwłaszcza teraz, kiedy najprawdopodobniej wpadli w ręce Yuuzhan.

– My moglibyśmy polecieć – zaproponował Skywalker.

Mara rzuciła mu powątpiewające spojrzenie.

– Nawet gdybyśmy skorzystali z Namadiańskiego Korytarza, nie zdążylibyśmy im pomóc – oznajmiła.

Nagle Leia zerwała się na równe nogi.

– Zapomnieliście o jednym – rzekła. – Zdążymy, jeżeli polecimy najszybszą kupą złomu w całej galaktyce!

# ROZDZIAŁ

# 23

– Nie możesz dopuścić, żeby nas znaleźli – kwiliła raz po raz Elan prosto do ucha Hana. Wszyscy czworo przedzierali się przez tłum najróżniejszych istot blokujących przejścia i korytarze.

W końcu zirytowany Solo odchylił głowę na tyle, żeby posłać Yuuzhance ostrzegawcze spojrzenie.

– Jeżeli się nie uspokoisz – zagroził – sam oddam cię w ich ręce!

Z półprzymkniętych oczu Elan strzeliły gniewne błyski.

Na ten widok Han prychnął pogardliwie.

– Na nic więcej cię nie stać? – zapytał.

– Postąpiłbyś słusznie, gdybyś się mnie bał – odrzekła istota.

– Zachowaj swoje groźby dla kogoś, na kim sprawią wrażenie, skarbie – odparł Solo. – Zajmuję się wami, bo Showolter był gotów oddać za was życie. Widocznie uważał, że jesteście ważnymi osobami.

– Ważniejszymi niż możesz sobie wyobrazić – zapewniła go Yuuzhanka.

– Jeszcze się o tym przekonamy – burknął beztrząsco Korelianin.

– Na razie pozostajecie pod moją opieką i zrobicie, co wam każę. Czy to jasne?

Elan przemogła się i chociaż kipiała z gniewu, posłusznie kiwnęła głową.

Chociaż kapitan liniowca apelował o zachowanie spokoju, na pokładach królował chaos. Rzadko zdarza się, żeby na wieść o ataku korsarzy pasażerowie okazywali entuzjazm, ale to, co działo się na pokładach „Królowej”, graniczyło z paniką. Nic dziwnego; większość podróżnych stanowili uciekinierzy albo uchodźcy, którzy na

własnej skórze doświadczyli, co to znaczy być napadniętym przez Yuuzhan. Wiele przerażonych istot usiłowało szukać schronienia w służbowych schowkach, przejściach dla obsługi, wentylacyjnych szybach albo małych szafkach w kabinach najniższych pokładów. Wskutek tego tłumy pasażerów i członków załogi roily się na korytarzach i blokowały międzypokładowe szyby transferowe. Wielu usiłowało się przedostać do hangarów z kapsułami ratunkowymi, ale wrota zatrzaśnięto. Inni szturmowali wyższe pokłady, do których dostępu bronili uzbrojeni oficerowie pokładowi i strażnicy. Wszyscy chyba sprzyślegli się, aby ignorować uświęconą wieloletnim doświadczeniem prawdę, że najwięcej szans przeżycia napaści piratów mają ci, którzy zdadzą się na ich łaskę. Niepomni tego pasażerowie „Królowej” zmienili wewnątrz liniowca w prawdziwe piekło.

Mimo wielu trudności Han i pozostali zdołali przedrzeć się na pokład z lądowiskami. Tłum nie był tu tak gęsty jak gdzie indziej i uchodźcy okazywali im więcej życzliwości. Han starał się wmawiać sobie, że nie może czekać ich nic gorszego niż los, jaki spotkał Roę i Fasga.

Stojąc przy bakburtowym bąblu obserwacyjnym, mógł się przyglądać, jak do kadłuba „Królowej” podpływa statek piratów. Zbliżał się z dołu i od strony rufy. Rozmieszczenie pozycyjnych świateł sugerowało, że ma kształt podobny do cylindra, a sądząc z rozmiarów, nie był większy od starego Łamacza Blokady.

Kiedy znalazł się na wysokości pokładu widokowego „Królowej”, Han z niejakim zdziwieniem stwierdził, że rzeczywiście ma przed sobą wysłużoną koreliańską korwetę – tyle że bardzo zmodyfikowaną i anodyzowaną na matowy czarny kolor. Jeżeli nie liczyć standardowych baterii turbolaserów, rozmieszczonych w wierzchniej i spodniej części kadłuba oraz na rufie, po obu stronach podobnego do beczki dziobu zainstalowano takie same działka typu H9 firmy Taim & Bak. Kopułę, na której zazwyczaj umieszczano anteny systemów łączności i zestawów sensorów, wydłużono w taki sposób, aby w środku znalazło się miejsce dla potężnego generatora interdykcyjnego pola... albo yuuzhańskiego dovin basala. Możliwe, że to właśnie on wyrwał liniowiec z nadprzestrzeni.

Nagle otworzyły się wrota dodatkowego hangaru w spodniej części kadłuba korwety. Ze środka wyleciały trzy dwudziestoletnie wahadłowce typu Martial. Mniejsze jednostki wisiły kilka chwil nieruchomo, a potem skierowały się ku umieszczonemu na dole kadłuba „Królowej” hangaru z lądowiskami. Han zobaczył, że do życia

budzą się silniczki manewrowe statku piratów. Zapewne jego kapitan zamierzał zbliżyć swój okręt do bakburtowej śluzy pasażerskiego liniowca. Dzięki temu Korelianin mógł lepiej przyjrzeć się sterburcie jednostki napastników. Na rufowej części kadłuba, tuż za modulem sterowni, ujrzał namalowane dwie złożone dłonie – symbol Brygady Pokoju.

Natychmiast przypomniał sobie, co powiedział mu Aqualishanin, porucznik Wielkiego Bunjego: „Reck Desh zaplanował kolejną akcję na planecie Bilbringi”.

Reck! – pomyślał zdumiony Solo.

Brygadzie Pokoju zależało na uwolnieniu uciekinierek. Możliwe nawet, że Reck Desh podróżował na pokładzie „Królowej”. A może... może to on był tym napastnikiem, którego podobno zastrzelił Sholverter?

– Dlaczego tu stoimy? – zapytała zaniepokojona Elan. – Z pewnością szuka nas ten agent, który uciekł naszemu poprzedniemu opiekunowi.

– To nie jest okręt istot rasy Yuuzhan Vong – odparł Korelianin.

– Ale tamten jest – oznajmił Droma, pokazując coś w przestworzach.

Han podążył spojrzeniem za porośniętym jedwabistą sierścią palcem Ryna. Wysoko, w górnej części obserwacyjnego bąbla, widać było sporządzony niewątpliwie z koralu yorik, spłaszczony owal jednostki Yuuzhan. Od krzywizny chropowatej powierzchni odbijał się blask gwiazd. Nieprzyjacielski okręt unosił się nieruchomo nad korwetą Brygady Pokoju. Wyglądało to, jakby kapitan yuuzhańskiej jednostki czekał na swoją kolej, gotów naprawić ewentualny błąd sojuszników. Han poczuł, że po plecach przeszły mu ciarki. Przypominał sobie, że zaledwie kilka miesięcy wcześniej stoczył z podobnym okrętem istot rasy Yuuzhan Vong zaciętą walkę w okolicach Dubrilliona i Helski.

Odwrócił się do Elan.

– Cofam wszystko, co powiedziałem. Musi im na tobie rzeczywiście zależeć, skoro wysłali wielki gwiazdny okręt.

– Im zależy i tobie także powinno – odrzekła szybko Yuuzhanka. Tym razem w jej głosie nie zabrzmiała ani odrobina arogancji. – Mam bardzo ważne informacje dla waszych rycerzy Jedi.

Han zmarszczył brwi. Wyglądał na zaskoczonego.

– Jakie informacje?

– Dotyczące choroby, którą rozprzestrzenili agenci moich ziomeków.

Zanim Han uświadomił sobie, co robi, chwycił Elan za ramiona i zacisnął palce.

– Mówisz poważnie?

Kapłanka kiwnęła głową. Wyglądało na to, że nie zwróciła uwagi na uścisk palców Hana.

– Jestem przeciwna używaniu bakteriologicznych broni – rzekła stanowczo. – Uważam, że takie postępowanie hańbi i poniża nas, istoty rasy Yuuzhan Vong.

Han zacisnął jeszcze mocniej palce i wbił spojrzenie w jej oczy.

– Nie igraj ze mną, siostró – ostrzegł. – Byłem na Sernpidalu i Dubrillionie. Doskonale pamiętam, do czego są zdolni twoi ziomkowie. Jestem pewien, że taki drobiazg jak choroba czy zaraza ani na chwilę nie przyprawiłby ich o wyrzuty sumienia.

Elan uniosła dumnie głowę.

– I dlatego, nie zgadzając się z takim postępowaniem, naraziłam na szwank własne życie – oświadczyła. – Ukryłam się w kapsule ratunkowej i pozwoliłam, żeby schwytali mnie twoi ziomkowie.

Han spojrzał na dziwaczną towarzyszkę młodej kobiety.

– A ty? – zapytał.

Vergere spokojnie wytrzymała jego spojrzenie.

– Ja jestem z nią – odrzekła.

Han puścił Elan i odgiętym kciukiem pokazał stojącego za nim Dromę.

– Ta-a, no cóż – powiedział. – On także jest ze mną, ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

– Nie potrafiłbym ująć tego taktowniej – mruknął Ryn.

Vergere popatrzyła na Dromę, a potem znów na Hana.

– Jestem powierniczką Elan – oznajmiła. – Dokąd ona podąży, idę za nią.

Han przejechał dłonią po twarzy. Niespodziewanie, wbrew własnej woli, został zmuszony do dokonania wyboru. Jeśli zostanie na pokładzie „Królowej”, może zdoła doprowadzić do końca sprawę z Reckiem, jak to ujął Roa. Jeżeli jednak Elan rzeczywiście była kimś, za kogo się podawała, jej bezpieczne dotarcie na Coruscant mogło oznaczać wyzdrowienie Mary Jade.

Korelianin wypuścił powietrze z płuc z cichym świstem. Zdecydował, że Reck musi poczekać na inną chwilę.

– Może jednak warto się tobą opiekować – odezwał się w końcu. – A to oznacza, że powinniśmy was przebrać. – Zerknął na Dromę. – Sądzisz, że mógłbyś znaleźć dla nich inne ubrania?

Ryn pokręcił głową.

– No, nie wiem – odparł powątpiewającym tonem. – Może gdyby nie wybrzydzały na rozmiar ani fason...

– Nie mogą sobie na to pozwolić – oświadczył Solo. Przerwał na chwilę, żeby wreszcie dokładnie przyjrzeć się kapłance. – Czy tak wyglądasz naprawdę, czy może nosisz jedną z waszych żywych masek? – zapytał.

– Jestem ukryta wewnątrz maskującego ooglitha.

Han kiwnął głową.

– No cóż, jeden z wojowników rasy Yuuzhan Vong oszukał w taki sposób personel ExGalusa na Belkadanie. Przekonajmy się, czy zdołasz wywieść w pole członków Brygady Pokoju.

Kiedy korweta zetknęła się z burtą „Królowej”, kadłub liniowca przeniknęło spazmatyczne drżenie.

– Napastnicy porozumieją się ze współnikami istoty, którą ranił Showalter i z pewnością zaczną przeszukiwać jeden pokład po drugim – odezwał się Solo, prawie przyciskając nos do transpatalowej bańki. – Może posłużą się czujnikami, a może rozpylą we wszystkich pomieszczeniach oba albo inne obezwładniające świństwo. – Obrócił się na pięcie i spojrzał na pozostałych. – Musimy się pospieszyć.

– Dokąd się wybierasz? – zainteresował się Droma.

– Do hangaru z lądowiskami – odparł Korelianin. – To nasza jedyna szansa. Musimy porwać któryś z ich statków.

Podróżujący na pokładzie „Królowej” agent Recka Desha o twarzy jak topór przyglądał się, jak jego szef i członkowie uzbrojonej po zęby eskorty schodzą po rampie wahadłowca. Przywódca Brygady Pokoju był uzbrojony tylko w lekki blaster, ale towarzyszący mu żołnierze mieli na głowach bojowe hełmy, a w rękach ogłuszające pałki i sieci, miotacze strzałek i inne rodzaje broni ręcznej. U boku Desha kroczył yuuzhański nadzorca, który nalegał na wzięcie udziału w akcji. Był ubrany w długi płaszcz z kapturem, żeby nie było widać jego wytatuowanej twarzy.

– Mostek opanowany? – zapytał Desh, stając przed podwładnym.

Funkcjonariusz Brygady Pokoju kiwnął głową.

– Mam jednak kilka niepomysłnych informacji – powiedział. – Którą chce pan usłyszeć najpierw?

Reck spojrział w prawo i lewo.

– Gdzie jest Darda? – zapytał. – Nie uwolnił uciekinierek?

– Darda nie żyje – odparł spokojnie agent. – Rodianin Capo odniósł ranę, ale przeżył. Tylko on widział uciekiniarki i wie, jak wyglądają. Zabraliśmy go do ambulatorium. Czeka tam na pana.

Na twarzy dowódcy Brygady Pokoju ukazały się szkarłatne plamy.

– Próbowali we dwóch stawić czoło wszystkim agentom Wywiadu Nowej Republiki?

– Agentów było tylko troje – odparł człowiek z twarzą jak topór. – Capo przysięga, że dwoje nie żyje, a trzeci został bardzo ciężko ranny. A poza tym, to Darda nalegał na przeprowadzenie akcji.

– A Capo go usłuchał – burknął Reck. – Porachuję się z nim w odpowiedniej chwili.

– To miała być błyskawiczna akcja – przypomniał tęgawy mężczyzna stojący po lewej stronie Recka. – Nie mamy czasu na przeszukiwanie całego statku. Uważam, że powinniśmy się wycofać.

Dwaj inni poparli go aprobującymi pomrukami.

– Dość tych bzdur! – uciął Reck. – Co jeszcze? – zwrócił się do zwiastuna niepomysłnych wieści.

– W przestworzach pojawił się okręt Yuuzhan Vongów.

– Co takiego?

Reck posłał mężczyźnie niedowierzające spojrzenie i odwrócił się do zakapturzonego nadzorcy.

Yuuzhanin kiwnął głową.

– Otrzymałem rozkaz wyjawienia istoty tej operacji swoim przełożonym – oświadczył. – Bardzo możliwe, że moi ziomkowie wysłali ten okręt w charakterze wsparcia.

Wzburzony Reck zaczął wymachiwać rękami.

– Tego tylko nam brakowało! – krzyknął. – Yuuzhański okręt ściągnie nam na kark całą flotę Nowej Republiki! Nie przylecieliby, gdyby sądzili, że to tylko napaść piratów. Mają zbyt wiele własnych problemów. Teraz jednak, gdy dowiedzą się, że maczają w tym palce Yuuzhan Vongi...

– Może dzięki temu okrętowi będziemy mogli poświęcić więcej czasu na poszukiwania – podsunął funkcjonariusz Brygady Pokoju o twarzy jak topór. – Nawet gdyby pojawiły się okręty Nowej Republiki. Najważniejsze, żebyśmy uwolnili te uciekiniarki, правда? Chyba na tym zależy nam najbardziej.

Reck przygryzł ozdobioną drogocennymi klejnotami dolną wargę, zastanowił się i w końcu kiwnął głową.

– Najwyższy czas, żeby pasażerowie dowiedzieli się, o co chodzi – powiedział.

Posłaniec wskazał zawieszony na ścianie pobliskiej grodzi moduł komunikatora.

– Możemy sprząć go z interkmem – zaproponował.

Reck sięgnął po mikrotelefon i zaczął, aż jeden z jego ludzi wybierze odpowiedni kanał. Kiedy podwładny się z tym uporał, kiwnął głową. Reck pstryknął przełącznikiem nadajnika i zbliżył usta do mikrofonu.

– Uwaga, wszyscy pasażerowie – zaczął. – Aby was uspokoić, oświadczam, że nie zamierzamy was porwać ani nawet obrabować. Ani myślimy oddawać was w ręce istot rasy Yuuzhan Vong. Zależy nam tylko na znalezieniu dwóch pasażerek: młodej kobiety i obcej istoty płci żeńskiej. Bardzo możliwe, że towarzyszy im ranny mężczyzna. Jeżeli poszukiwane istoty zgłoszą się same na mostek, oszczędzą wszystkim innym pasażerom cierpień i straty czasu. Jeżeli ktokolwiek wie, gdzie się znajdują, a przy tym jest zainteresowany odebraniem wysokiej nagrody, powinien również zgłosić się na mostek. Gdyby nikt się nie zjawił, zaczniemy przeszukiwać statek pokład po pokładzie. Wówczas będziemy niemili dla pasażerów i możliwe, że mimo wszystko przekażemy ich w ręce nieprzyjaciół. – Reck zrobił krótką przerwę. – Aha, jeszcze uwaga adresowana do tych, których szukamy. Znamy sposób, aby was zidentyfikować. Jeżeli uważacie, że ukryjecie się przed nami albo wmieszacie w tłum, jesteście w błędzie. Nie macie żadnej szansy. Pozbądźcie się wszelkiej nadziei.

Osobisty okręt komandora Malika Carra był najszybszą jednostką w jego flocie. Wyglądał jak sporządzone z koralu yorik spłaszczone jajo ze stożkowatymi wyrzutniami, a był napędzany przez dwa dovin basale największego kalibru. Stojący na mostku Nom Anor spojrział przez kryształowo przejrzysty iluminator. Widział przed sobą niemal w linii prostej nie tylko kanonierkę Brygady Pokoju i „Królową”, ale także kilka upstrzonych kraterami planetoid i świecące za nimi odległe słońce. Egzekutor odwrócił się do villipów, połączonych za pomocą świadomości z villipami komandora i kapłana Harrara.

– Kontroluję poczynania swoich agentów – poinformował obu Yuuzhan. – Kazałem zneutralizować możliwości dovin basala na pokładzie ich kanonierki i poleciłem naszemu dovin basalowi, żeby uniemożliwił kanonierce odłączenie się od burty gwiazdnej liniowca.

Nawet gdyby agenci Brygady Pokoju odnaleźli i uwolnili Elan, nie zdołają powrócić z nią do nas.

– W hangarach korwety Brygady Pokoju mogą znajdować się myśliwce – zauważył villip Harrara, krzywiąc się z niesmakiem. – Trzeba się upewnić, że i one nie będą mogły wystartować.

– Trzy małe statki już wystartowały i zniknęły w hangarze liniowca – zameldował Nom Anor. – Porozumiem się z naszym dovin basalem i dopilnuję, żeby nie powróciły do kanonierki.

– Najlepiej umieść dovin basale na pokładzie zdalnie sterowanej kapsuły i poleć im, żeby wykonały oba zadania – odezwał się villip komandora Malika Carra. – Sam zaś przygotuj się do odlotu. Jest możliwe, że zanim twoi agenci zauważą, co się stało, na odsiecz pasażerom liniowca przylecą jednostki floty Nowej Republiki.

– Niewątpliwie twoi lekkomyślni podwładni dobrze wiedzą o naszej obecności – przemówił villip Harrara. – Kiedy uświadomią sobie, że nie mogą odlecieć, zaczną się zastanawiać, dlaczego nie spieszysz im na ratunek. Może zechcą się z tobą skontaktować.

– A niech się zastanawiają – burknął Nom Anor. – Zależy mi na osiągnięciu tylko jednego celu. Wojskowi Nowej Republiki powinni dojść do przekonania, że akcja Brygady Pokoju to jeszcze jedna nasza próba uwolnienia Elan.

Zapewne chciał powiedzieć coś więcej, ale na mostku zjawił się asystent. Przepraszając, że przeszkadza, młody wojownik rasy Yuuzhan Vong złożył dłonie w pięści i huknął nimi w przeciwległe barki.

– Z nadprzestrzeni właśnie wyskakuje jakiś statek, egzekutorze. – Podwładny wyciągnął rękę w stronę iluminatora i widocznego za nim pobliskiego słońca. – Nasz sygnalizacyjny villip go zidentyfikował. To krążownik-lotniskowiec Nowej Republiki.

– Pojawienie się tego okrętu powinno ułatwić moje zadanie – oznajmił Nom Anor. – Zgodnie z zaproponowanym rozwiązaniem, umieścę dovin basala w zdalnie sterowanej kapsule. Brygada Pokoju zechce uciec, ale okaże się to niemożliwe, Elan zaś pozostanie w rękach agentów Wywiadu Nowej Republiki.

Odwrócił się do dyżurnego oficera.

– Przygotuj się także do walki z pilotami nieprzyjacielskich myśliwców. Może ci się to nie podobać, ale musisz się postarać, żeby wyglądało, jakbyśmy przed nimi uciekali. Masz moje słowo, że nikt nie będzie cię obwiniał, nawet jeżeli poniesiemy jakieś straty.

# ROZDZIAŁ

# 24

Chociaż ekipy mechaników nie zdążyły usunąć i naprawić wszystkich uszkodzeń, jakie „Thurse” odniósł podczas bitwy w okolicach Ord Mantell, krążownik-lotniskowiec Nowej Republiki wyskoczył z nadprzestrzeni na sąsiadującym z Rubieżami skraju systemu Bilbringi. Zaledwie znalazł się w normalnych przestworzach, z hangarów niczym rozjuszony owady zaczęły wylatywać X-skrzydłowce. Pomiędzy krążownikiem a mrugającym na ekranach monitorów światełkiem, które zidentyfikowano jako okręt Yuuzhan, unosiła się „Królowa Imperium”. U jej burty, w pobliżu śluzy, wisiał mały okręt podobny do wysłużonej korwety.

Piloci myśliwców typu X utworzyli szyk w kształcie klina, na którego czele leciał dowódca dywizjonu komandor Kol Eytyn. W pewnej chwili mężczyzna przycisnął brodą umieszczony w hełmie guzik i włączył komunikator.

– „Thurse”, mamy wzrokowy kontakt z okrętem Yuuzhan – zameldował. – Wygląda niepozornie, jak spłaszczony jajo. Wielkości fregaty albo okrętu podobnej klasy. Przypomina jeden z kamieni, jakimi w czasach beztrioskiej młodości puszczałem bardzo często kaczki po powierzchni stawu.

– Upewnijcie się, że nie odbije się i nie polecą w naszą stronę, komandorze – usłyszał w lewym uchu odpowiedź kapitana krążownika-lotniskowca.

– Potwierdzam.

Z głośnika interkomu wydostała się seria pisków i świergotów. To umieszczona z tyłu, za owiewką kabiny, jednostka typu R2 meldowała, że krótkodystansowe skanery wykryły obecność stada

yuuzhańskich myśliwców – koralowych skoczków. Eyttn jeszcze raz przycisnął brodą włącznik komunikatora.

– Punkciki na ekranach to nieprzyjacielskie maszyny, najprawdopodobniej koralowe skoczki – ostrzegł pilotów wszystkich eskadr. – Uzbroić systemy broni i włączyć generatory pól siłowych. Inercyjne kompensatory na maksimum. Nie zapominajcie, że rezygnujemy z siły rażenia na korzyść zwiększonej częstotliwości strzałów. To zaś oznacza, że będzie trzeba razić wrogów z małej odległości, a zatem słuchajcie rozkazów dowódców i nie oddalajcie się od skrzydłowych.

Eyttn sięgnął do panelu systemów podtrzymywania życia i ustawił natężenie pola inercyjnego kompensatora na maksimum. Zaobserwowano, że zwiększenie natężenia pola wystarcza, aby kompensator traktował wytwarzane przez Yuuzhan grawitacyjne anomalie jak wszystkie inne; Eyttn wiedział jednak, że pole mogło zostać obezwładnione przez duże dovin basale. Mogło także zaniknąć w wyniku sumarycznego oddziaływania kilku mniejszych czarnych dziur, jakie mogli bez trudu wytworzyć piloci trzech albo czterech koralowych skoczków.

To samo dotyczyło funkcjonowania sensorów i wynikało z doświadczenia, jakie zdobyto podczas walk w Odległych Rubieżach. I chociaż zainstalowane później urządzenia śledzące pomagały pilotom X-skrzydłowców namierzać nieprzyjacielskie maszyny, duże różnice rozmiarów i kształtów koralowych skoczków ograniczały wszechstronność oprogramowania. A zatem, jak zawsze, skuteczność X-skrzydłowców zależała od umiejętności pilota i jego astro-mechanicznego robota.

Eyttn zwiększył czułość sensorów i pstryknął przełącznikiem laserów. Sprzął wszystkie ze sobą, tak by do uruchomienia całej czwórki wystarczyło przyciśnięcie tylko jednego guzika spustowego.

– Eskadry Czerwonych i Zielonych pozostają w odwodzie – rozkazał. – Wasze zadanie to odpieranie ataków bandytów, którzy mogą przypuścić szturm na „Thurse”. Niebiescy ustawią się w szyku za mną, aby zaatakować okręt dowodzenia. Wszystkie inne eskadry na mój rozkaz pójdą w rozsypkę.

Eyttn zacisnął mocniej pasy ochronnej sieci i zaczął czekać, aż robot potwierdzi, że rój koralowych skoczków znalazł się w zasięgu strzałów. Dopiero wtedy przycisnął odpowiedni guzik i zablokował płyty X-skrzydłowca w położeniu bojowym. Wydał rozkaz rozpoczęcia walki.

Niemal w tej samej chwili piloci koralowych skoczków otworzyli ogień. Z wylotów dział przypominających wulkany strzeliły ogniste pociski. Piloci myśliwców typu X złamali szyk i wdali się w oszalałą kombinację uników, pętli i beczek. W przestworzach zariło się od laserowych błyskawic i śmiertcionośnej plazmy. System łączności rozbrzmiał kakofonią ostrzeżeń, meldunków, radosnych okrzyków i wezwań o ratunek.

– Niebieska Czwórko, jakiś skoczek dobiera się do twojej Szóstki!

– Dzięki za ostrzeżenie, Trzeci. Chyba się go pozbędę.

– Czwarty, jestem teraz na twoim skrzydle.

– Niebieski Osiem, możesz mi dać namiar na Niebieską Dziesiątkę?

– Zaprzeczam, Dziesiąty. Sytuacja zmienia się zbyt szybko i z trudem daję sobie radę.

– Piąty, uważaj na sterburte! Masz ich na karku!

– Nie mogę się ich pozbyć! Osłony siadły na trzydzieści procent!

– Trzymaj się, Piątko! Już tam lecę!

Chociaż wszystkie głosy krzyczały mu do prawego ucha, Eytyn starał się nie zwracać na nie uwagi. Zadanie pilotów Eskadry Niebieskiej sprowadzało się do unikania trafień i oszczędzania energii tak długo, jak to możliwe. Chociaż za sterami każdego koralowego skoczka siedział yuuzhański pilot, chodziły słuchy, że przynajmniej do pewnego stopnia wszystkie nieprzyjacielskie myśliwce są zależne od organicznych elementów, umieszczonych na pokładzie okrętu dowodzenia – wojennych koordynatorów, nazywanych przez nieprzyjaciół yammoskami. Dzięki temu koralowe skoczki czasami reagowały jak stare, bezzałogowe i zrobotyzowane gwiazdne statki. Eytyn był jednak zbyt doświadczonego pilotem, by spodziewać się, że Eskadra Niebieskich bez problemu upora się z okrętem wrogów. Jego pilotom mogły nie pomóc nawet torpedy protonowe. Komandor wiedział, że często szale bitwy przechylało najzwyczajniejsze odwrócenie uwagi nieprzyjaciół. Jak wielokrotnie udowodnili piloci myśliwców Nowej Republiki, mogło to wprowadzić zamęt w poczynania pilotów koralowych skoczków i spowolnić ich reakcje na rozkazy wydawane z pokładu macierzystego okrętu.

Tak czy owak, yuuzhańscy piloci polegali najczęściej na swoich dovin basalach i ich umiejętnościach wygaszania ochronnego pola. Nie przywiązywali zbyt dużej wagi do wymyślnych manewrów

ani opanowania sztuki pilotażu. Wykonując uniki w pobliżu nieprzyjacielskich maszyn, Eyttyn często odczuwał wpływ tych przedziwnych tworów inżynierii genetycznej. Raz po raz ochronne pola jego X-skrzydłowca, szarpane przez niewidzialne palce, słabły albo zmieniały kształty. Jednostka typu R2 także odczuwała ich oddziaływanie. Jakby przerażona, wydawała serie alarmujących pisków, które – po przetłumaczeniu na zrozumiały dla człowieka kod – przesuwwały się z dołu do góry po ekranie monitora.

Jeszcze jeden nieistotny drobiazg, jaki powinienem zignorować, pomyślał Eyttyn.

Ujrawszy lecące ku niemu dwa skoczki, obrócił maszynę wokół osi i ostro skręcił na sterburcie. W tym samym ułamku sekundy jego skrzydłowy, wykonując unik, zboczył z kursu w przeciwną stronę i wystrzelił w górę. Szybko jednak zanurkował, aby zająć poprzednie miejsce obok X-skrzydłowca dowódcy. Pod nimi przeleciała dwójka innych koralowych skoczków, ale pilot tylko jednego puścił się za nimi w pościg. Zgubili go bez trudu.

Eyttyn zerknął na pokładowy dalmierz. I bez tego widział, że sylwetka nieprzyjacielskiej fregaty rośnie w iluminatorze kabiny; chciał jednak wiedzieć, kiedy znajdzie się w zasięgu strzału. Artylerzyści okrętu wroga także jeszcze nie otwierali ognia. Prawdopodobnie zamierzali zaczekać, aż piloci Eskadry Niebieskich przystąpią do ataku.

Lecący na lewo od myśliwca Eyttyna X-skrzydłowiec Niebieskiej Czwórki raz po raz zbaczał z kursu. Ścigany przez dwa ostrzeźliwujące go koralowe skoczki pilot związał się jak w ukropie. Skrzydłowy Eyttyna został z tyłu i strzelając, usiłował zachęcić przynajmniej jednego do pościgu. Żaden jednak z dwójki nieprzyjaciół nie chciał podjąć wyzwania. Eyttyn także zwolnił. Liczył na to, że może pierwszy ścigający Błękitną Czwórkę Yuuzhański pilot przeleci przed dziobem jego X-skrzydłowca. Napastnik jednak przejrzał jego plan i nie pozwolił się namierzyć.

Wykonując całą serię oszłamiających, niemal akrobatycznych ewolucji, Niebieski Trzy uwolnił się od atakujących go Yuuzhan i pospieszył skrzydłowemu na ratunek. Zaledwie jednak przeleciał połowę dzielącej ich odległości, gdy śmiertcionośny pocisk wroga znalazł lukę w ochronnym polu jego maszyny. Myśliwiec Niebieskiej Trójki rozpadł się na kawałki.

Tymczasem dwaj polujący na Niebieską Czwórkę piloci koralowych skoczków jeszcze bardziej przyspieszyli i zajęli pozycje do

zadania ostatecznego ciosu. Otoczony chmurą ognistych pocisków X-skrzydłowiec przeistoczył się w oślepiającą szkarłatno-białą chmurę szczątków i gazów.

Eyttyn wezwał pozostałych pilotów do utworzenia ochronnego kręgu. Wystrzelone z działek Błękitnej Ósemki i Dziewiątki laserowe błyskawice odłupały bryły koralu yorik z kadłuba nadlatującego skoczka. Nieprzyjacielska maszyna, zapewne poważnie uszkodzona, skręciła ostro na bakburtę, a potem wpadła w korkociąg i eksplodowała.

W tej samej sekundzie pilot Niebieskiej Szóstki zniszczył innego skoczka, ale wkrótce potem wpadł w sam środek chmury ognistych pocisków. Ochronne pola jego myśliwca odmówiły posłuszeństwa i na kadłubie X-skrzydłowca zaczęły rozkwitać płomieniste błyski kolejnych trafień. Wkrótce potem myśliwiec rozpadł się na cztery części i zniknął.

Eyttyn spojrział na ekran głównego monitora. Aż roіło się na nim od jaskrawoczerwonych symboli oznaczających najrozmaitsze uszkodzenia.

– Nie oddalajcie się od skrzydłowych – ostrzegł przez komunikator. – Nie strzelajcie, jeżeli nie musicie. Oszczędzajcie energię, dopóki nie znajdziecie się w bąblu.

Niespodziewanie zmienił kurs, aby wziąć na cel myśliwiec przelatującego w pobliżu yuuzhańskiego pilota. Obrócił swój X-skrzydłowiec wokół osi i skręcił na sterburtę. Odczekał chwilę, aż system celowniczy namierzy koralowego skoczka, i przycisnął środkowym palcem prawej dłoni dodatkowy guzik spustowy. Umieszczone na czubkach skrzydeł lasery zaczęły pluć krótkimi seriami – o wiele częściej i szybciej niż gdyby zdecydował się na oddawanie pojedynczych strzałów. Każda laserowa błyskawica płonęła szkarłatnym blaskiem, bo niosła zaledwie ułamek normalnej energii strzału. Chodziło o to, żeby wywieść w pole nieprzyjacielskiego dovin basala, tak aby nie mógł poradzić sobie z odróżnianiem niosących niewielką energię nieszkodliwych strzałów od silniejszych, które mogły unicestwić jego maszynę. I rzeczywiście, wkrótce potem dovin basal koralowego skoczka stracił orientację. Seria wystrzelonych przez Eyttyna laserowych błyskawic dotarła do celu.

Koralowa bryła rozpadła się niczym pumeks i zniknęła.

Zadowolony, że pomścił śmierć Niebieskiej Szóstki, dowódca przeleciał przez chmurę szczątków i świecących okruchów – zapewne pozostałości po innych myśliwcach Yuuzhan – i obrał za cel innego

koralewego skoczka. Zaskoczony tym nieprzyjacielski pilot nie zdołał poradzić sobie z szybkimi jak myśl seriami laserowych błyskawic, jakie pomknęły ku niemu z płatów X-skrzydłowca. Wkrótce potem yuuzhańska maszyna rozpadła się na atomy.

Ponieważ eskadra Niebieskich stopniała do dziewięciu maszyn, Eyttny rozkazał pilotom myśliwców utworzyć za jego X-skrzydłowcem szereg w kształcie klina. Zaledwie jednak wszyscy zdążyli namierzyć nieprzyjacielską fregatę, gdy sami stali się celami podobnych do kraterów wyrzutni wroga. Jeden z trafionych myśliwców przemienił się w ognistą kulę; chwilę potem drugi rozpadł się na kawałki. Eyttny znalazł się jednak na tyle blisko, że mógł rozpocząć ostrzeliwanie okrętu. Skreślił na burtę i wypuścił dwie torpedy protonowe. Z osłupieniem patrzył, jak dwie roziskrzane kule kierują się ku... miejscu, w którym nic nie było!

Przyzwyczyli się do widoku laserowych błyskawic i torped, pochłanianych przez grawitacyjne anomalie, ale teraz miał do czynienia z czymś innym. Wyglądało to, jakby zniknął sam nieprzyjacielski okręt!

Czując dziwny niepokój, wpatrzył się w przestworza za owiewką kabiny. Z początku pomyślał, że stracił orientację i w rzeczywistości nieprzyjacielska fregata znajduje się nad jego głową. Wszędzie jednak widział tylko usiane iskierkami gwiazd przestworza. Z przekazywanych przez jednostkę typu R2 informacji wynikało, że okręt istot rasy Yuuzhan Vong odpłynął. Astromechaniczny robot musiał się jednak pomylić. Żadna jednostka nie mogła poruszać się tak szybko – nawet gdyby dokonywała mikroskoku.

– Gdzie się ta pokraka podziała? – zapytał, włączysz komunikator.

– Nie mam pojęcia, dowódcu – odparł Niebieski Dwa. – Zanim zniknęła, leciałem tuż za Szóstką. Nie zdążyłem nawet mrugnąć.

– Pole maskujące? – zasugerował Niebieski Jedenaście.

– No cóż, zniknęła, jakby rzeczywiście je włączono – przyznał Eyttny. – Myślę jednak, że taki duży okręt powinien choć w niewielkim stopniu zakłócać grawitacyjne pole. Tymczasem moje skanery nic nie wykrywają.

– Dokonał skoku do nadprzestrzeni? – wtrącił się Niebieski Dziesięć.

– Nie mógł beze mnie – odparł Eyttny. – Znajdowałem się zbyt blisko...

– Panie komandorze – przerwał mu Niebieski Dwa. – Znalazłem go.

Dowódca skierował skanery X-skrzydłowca ku punktowi przestworzy, którego współrzędne otrzymał od Niebieskiej Dwójki. Rzeczywiście, odnalazł tam nieprzyjacielską fregatę... tyle że oddaloną o dwa tysiące kilometrów!

Zdumiony Niebieski Jedenaście nie mógł powstrzymać się od gwizdnięcia.

– Ten okręt przeskoczył dwa tysiące kilometrów w ciągu ułamka sekundy! – wykrzyknął.

Eyttyn zmusił się do wypuszczenia powietrza i jeszcze mocniej zacisnął palce na rękojeści drążka sterowniczego.

– Jeżeli chcą się bawić w berka – powiedział – przyłączamy się do zabawy.

„Sokół Millenium” wyskoczył z nadprzestrzeni w okolicy planety Bilbringi, z daleka od roju orbitalnych sztucznych planetoid i niemal całkowicie wyeksploatowanych asteroid. Na fotelach pilotów siedzieli Leia i Luke. Mara zajmowała miejsce za plecami męża, które normalnie należało do oficera łącznościowego. Threepio siedział nieruchomo w fotelu nawigatora. R2-D2 znalazł sobie kącik w tylnej części sterowni. Wyciągnął zakończony chwytakiem manipulator i zacisnął końcówkę na jakiejś cienkiej rurze.

Za sterburtową częścią segmentowanego iluminatora unosiła się „Królowa Imperium”. W dzielących ją od Rubieży przestworzach trwała zacięta walka. Raz po raz czerni wiekuiestej nocy rozjaśniały smugi laserowych błyskawic, płomieniste pociski, ogień z dysz silników i rozbłyśki eksplozji.

– Uwaga, niezidentyfikowany koreliański frachtowiec! – warknął nagle oburzony męski bas w głośniku komunikatora. – Mówi kapitan Jorlen z pokładu krążownika-lotniskowca Nowej Republiki „Thurse”. Wskoczyliście do rejonu walk. Proponuję, żebyście przygotowali się na najgorsze albo powrócili tam, skąd przylecieliście.

– Kapitanie Jorlen – odezwała się Leia. – Mówi ambasador Organu Solo, a ten frachtowiec to „Sokół Millenium”.

– Pani ambasador! A cóż, na wszystkie wybuchy supernowych, pani tu robi? – Dowódca „Thurse” sprawiał wrażenie zdumionego, ale wcale nie ucieszonego. – I kiedy pani mąż wreszcie weźmie się w garść i zainstaluje na pokładzie autoryzowany transponder?

– Zapytam go, kiedy się z nim zobaczę, kapitanie – obiecała Leia. – W tej chwili przebywa na pokładzie „Królowej Imperium”. Przylecieliśmy, żeby wam pomóc, jeśli na coś się przydamy.

– Zaprzeczam, pani ambasador – burknął Jorlen. – Najlepiej będzie, jeżeli zostaniecie, gdzie jesteście. Mamy tu fregatę istot rasy Yuuzhan Vong, która skacze po całym rejonie bitwy. Kto wie, może następny skok ściągnie ją wam na karki.

– Zgadzam się, kapitanie. Nie ruszymy się z miejsca – oznajmiła Leia. – Na razie – dodała o wiele ciszej. – Czy korsarze przedstawili jakieś żądania?

– Nie mamy z nimi łączności – odparł wyraźnie zniecierpliwiony kapitan. – Domyślamy się, że przylecieli po pasażerów „Królowej Imperium”, aby Yuuzhanie mieli kogo składać w ofierze.

– A zatem co tu robi yuuzhański okręt, kapitanie? – zapytała Leia.

– Właśnie, co – mruknął Jorlen. – To bardzo dobre pytanie.

– Coś tam jest – odezwał się nagle Skywalker. Wyciągnął rękę w stronę punktu przestworzy usytuowanego między gwiazdowym liniowcem a rejonem bitwy.

Z początku Leia nie była pewna, czy wyczuła jakieś zakłócenie Mocy, czy coś zobaczyła. Kiedy jednak podążyła spojrzeniem za wyciągniętym palcem brata, dostrzegła, co pokazywał. Natychmiast zażądała, żeby na ekranie monitora konsoli ukazało się powiększenie tamtego fragmentu przestworzy. Zobaczyła tępo zakończony obiekt podobny do nieprzyjacielskiego myśliwca z koralu yorik, ale chroniony przez segmentowany, lśniący czarny pancerz.

– Unieruchomiony okręt? – zasugerowała.

– To możliwe – odparł Luke, który nawet nie spojrzął na ekran monitora. Skupiał spojrzenie na tym punkcie przestworzy. – Wyczuwam jednak coś więcej... – odezwał się po chwili.

– Kosmiczną minę?

– Absolutną pustkę.

Posługując się Mocą, Leia i Mara uwolniły myśli i wysłały je w przestworza. Starwały się odnaleźć nicość, która zwróciła uwagę mistrza Jedi. Skywalker chciał coś powiedzieć, ale do życia obudził się znów głośnik komunikatora.

– Pani ambasador Solo – odezwał się Jorlen. – Właśnie otrzymaliśmy wiadomość z pokładu „Królowej Imperium”. Korsarze przedstawili ultimatum. Oświadczyli, że jeżeli okręty Nowej Republiki natychmiast nie odlecą, zaczną wyrzucać pasażerów przez śluzę.

– O rety! – pisnął przerażony Threepio.

Artoo-Detoo zaćwierkał, a potem przeciągle jęknął.

Na twarzy Leii odmalowało się zaniepokojenie.

– I co pan na to, kapitanie?

Jorlen zwlekał chwilę z odpowiedzią.

– Wdawanie się w pertraktacje z piratami jest sprzeczne z polityką Nowej Republiki, pani ambasador – odrzekł w końcu. – Przykro mi, że pani mąż przebywa na pokładzie liniowca, ale w przestworzach trwa zacięta walka. A wracając do tematu... jeżeli korsarze naprawdę przylecieli z zamiarem porwania jeńców dla Yuuzhan, ich groźba nie wnosi niczego nowego. Tak czy owak, pasażerowie są skazani na śmierć.

– Nie pocieszył mnie pan, kapitanie.

– Bardzo mi przykro, pani ambasador. Dopóki jednak nie zrobimy czegoś z tym okrętem Yuuzhan, nie zamierzam wdawać się z nimi w żadne pertraktacje.

– A zatem to my musimy zrobić coś w tej sprawie – stwierdziła Leia.

Zaledwie kapitan „Thurse” zdążył przerwać połączenie, Luke oznajmił:

– Bez względu na to, czym jest ten obiekt, w jakiś sposób kieruje ruchami koralowych skoczków.

– Koordynator wojenny? – domyśliła się Leia.

W końcu mistrz Jedi oderwał spojrzenie od iluminatora i popatrzył na siostrę.

– To dovin basal.

Leia zacisnęła wargi, jakby coś postanowiła. Skupiła uwagę na urządzeniach kontrolnych i sterowniczych.

– Żywy – mruknęła. – Ale już niedługo...

Czując, że kadłubem „Królowej” wstrząsają eksplozje pocisków udarowych, Han zerknął za róg korytarza. Szczególnie interesował go zamknięty właz, wiodący na najbliższe lądowisko. Zatrzaśniętych wrót pilnowało dwóch strażników Brygady Pokoju. Obaj byli uzbrojeni w blastery i ogluszające sieci. Han zastanawiał się, czy nie wyjąć z podróźnej torby blastera, ale w porę przypomniał sobie, że nie naładował zasobnika energii.

– To na nic – oznajmił Dromie i przebranej za kobietę Yuuzhance. – Pozostawili strażników przy wszystkich wejściach. – Cofnął

się, oparł plecami o gródź i rozejrzał się wokół. – Musimy ukryć się w jakiejś dziurze – zdecydował. – Zważywszy na to, co dzieje się w przestworzach, zbiry z Brygady Pokoju albo poddadzą się niedługo, albo podejmą próbę ucieczki.

Skierował się do najbliższej grupy szybów transferowych i ostrożnie wychylił się poza krawędź pierwszego. Głęboko, głęboko w dole ujrzał płyty pokładu towarowej ładowni.

– Na wypadek, gdybyś nie zauważył – przypomniał Droma – szyby transferowe nie funkcjonują. Pola zostały wyłączone.

– A więc powinniśmy poszukać kawałka wytrzymałej liny – odparł Solo. – Do dna szybu jest najwyżej... jakieś piętnaście metrów, prawda?

Droma obrzucił go sceptycznym spojrzeniem.

– Równie dobrze może być jak stąd do Coruscant – oznajmił ponuro.

Niespodziewanie ich sprzeczkę zakończył odgłos zbliżających się kroków. Wszyscy czworo pospiesznie oddalili się od szybów i ukryli w najbliższym bocznym korytarzu. Tam jednak też usłyszeli odgłos czyichś kroków, któremu towarzyszył chór rozgoryczonych okrzyków. Pospiesznie skręcili w następną odnogę korytarza. Cały czas wypatrywali, czy nie zdołają się ukryć gdzieś pod płytami pokładu lub w suficie.

Napływający z lewej odnogi korytarza chór gniewnych głosów stawał się coraz głośniejszy. Chwilę potem na skrzyżowaniu pojawiło się kilku gwałtownie gestykulujących mężczyzn. Han postanowił zaryzykować i wychylił głowę. Ujrzał kłócących się zbirów z Brygady Pokoju. Chociaż od ostatniego spotkania z Reckie Deshem upłynęło sporo lat, rozpoznał go bez trudu. Jak zwykle, najemnik zachowywał się arogancko i buńczucznie i miał obnażone wytatuowane przedramiona. Towarzyszyło mu pięciu uzbrojonych po zęby ludzi i chuda jak tyczka, wysoka istota, która mogłaby doskonale udawać Yuuzhanina... bardzo możliwe, że nawet nim była. Han nie miał pewności, ponieważ nosiła luźny płaszcz z wielkim kapturem.

Reck pozostawił na skrzyżowaniu jednego żołnierza, a sam z pozostałymi ruszył dalej.

Korelianin poczuł, że krew napływa mu do głowy. Słyszał przyspieszone uderzenia własnego serca. Pomyślał o Chewiem i o Lwyll. Przypomniał sobie, jaki los spotkał Roę i Fasga. Zsunął z ramienia pas podróźnej torby i jak najciszej postawił bagaż na podłodze. Przykucnął, otworzył torbę i wyjął blaster.

Droma przyglądał mu się z narastającym niepokojem.

– Myślałem, że chciałeś tylko porwać ich wahadłowiec i odlecieć – odezwał się w pewnej chwili.

– Tamto musi poczekać – burknął Korelianin. – Zamierzam najpierw załatwić osobistą sprawę.

– Osobistą? – wychrypiął szeptem Droma. – Czuję się w obowiązku przypomnieć, że twoja broń...

– Powiedz to komuś, kto się tym przejmie – uciał Solo.

Spojrzał na blaster i nie kryjąc irytacji, zacisnął wargi. Zmusił się do wypuszczenia powietrza z płuc, a potem jak najciszej wstał.

– Co on chce zrobić? – zapytała Elan, kierując na Dromę pełne niepokoju spojrzenie.

Zrezygnowany Ryn bezradnie wzruszył ramionami.

– Coś go zmusza do szukania zaczepki, nawet jeżeli to nie jest absolutnie konieczne.

Nagle Han odwrócił się w ich stronę.

– Poszukajcie jakiejś kryjówki – rozkazał. – Za chwilę do was wrócę.

Uniósł bezużyteczny blaster i najciszej, jak umiał podążył do skrzyżowania, które minął Reck i grupa jego zbirów. Pozostawiony na straży członek Brygady Pokoju nie podejrzewał nic, dopóki w jego obnażony kark nie wbił się wylot lufy broni Hana.

– Ani słowa! – złowieszczym szeptem ostrzegł strażnika Solo.

Mężczyzna napiął mięśnie, ale zrezygnował z oporu i głośno przełknął ślinę.

Han zacisnął palce prawej dłoni na rękojeści blastera najemnika.

– Rozstajesz się ze swoją ukochaną, żołnierzu – rozkazał.

Podwładny Recka kiwnął głową.

– To twoja zabawa, kolego – odpowiedział.

Han wyszczerzył zęby w bezgłośnym uśmiechu.

– Szybko się orientujesz – zauważył.

– Co chcesz zrobić?

Korelianin przyłożył wylot lufy zdobycznego blastera do karku mężczyzny, a swoją broń ujął za lufę drugą dłonią. Uniósł rękę wysoko nad głowę.

– To może trochę boleć – uprzedził.

Mężczyzna zrobił ruch, jakby chciał się odwrócić.

– Co może... – zaczął.

Han zamachnął się i z całej siły spuścił rękojeść blastera na czubek głowy najemnika. Ten zwiotczał i osunął się na podłogę. Nie oglądając się, Han ruszył korytarzem, w którym zniknęli Reck i jego ludzie. Kiedy zbliżał się do następnego skrzyżowania, usłyszał głosy. Zgarbił się i przykleił do ściany, a potem ostrożnie wychylił głowę. Od Recka i obcej istoty – prawdopodobnie Yuuzhanina – dzieliło go zaledwie dziesięć metrów. Myśląc tylko o tym, żeby jak najszybciej doprowadzić do końca sprawę z Reckiem, Han zrobił już krok, żeby wyjść zza zakrętu korytarza. W tej samej sekundzie usłyszał jednak dobiegający zza pleców dziwny odgłos. Zamarł bez ruchu i zaraz obrócił się na pięcie. Ujrzał tęgiego i krzepkiego mężczyznę w podniszczonym kombinezonie gwiazdowego podróżnika. Zbir Recka mierzył do niego z Tenlossa – wyjątkowo paskudnego karabinu rozrywającego.

Han skoczył w prawo i strzelił w locie. Zaskoczony grubas także strzelił, lecz chybił. Kątem oka Han zauważył, że Reck odwraca się w jego stronę. Korelianin usiłował przeskoczyć do sąsiedniej odnogi korytarza, ale na cel wzięli go dwaj inni agenci Brygady Pokoju. Uskoczył w lewo, a potem dał potężnego susa i rzucił się stopami naprzód, żeby podciąć wyższego i cięższego mężczyznę. Korsarz stęknął, zachwiał się i runął plecami na podłogę. Wypuścił broń z rozluźnionych palców. Han jednak zderzył się plecami z twardą posadzką z większym impetem niż mógłby się spodziewać i siła uderzenia wyparła z jego płuc resztkę powietrza. Zanim oprzytomniał i uklęknął, skoczył na niego niższy mężczyzna. W następnej sekundzie to samo zrobił grubas z Tenlossem w mięsistych dłoniach.

Han usiłował obrócić się i wywinąć. Mimo iż bardzo się starał, dwaj mężczyźni szybko go obezwładnili. Większy i silniejszy postawił ciężki but na jego karku i przycisnął twarz Hana do podłogi.

Odwracając głowę, Korelianin zobaczył kątem oka, że biegną ku niemu Reck i jego karykaturalnie chudy kompan.

– No dobrze, bohaterze – usłyszał słowa rosnącego najemnika. – Wstawaj!

Czując, że obuta stopa uwalnia jego kark, Han odetchnął. Dopiero teraz zorientował się, że ma w ustach pełno krwi. Poczul też silny ból w prawej dłoni. Kiedy usiłował wstać, pojawił się jeszcze jeden korsarz. Trzymając odbezpieczony blaster, eskortował Dromę, Elan i Vergere.

– Znalazłem tych troje, jak uciekali w popłochu – zameldował, zwracając się do Recka.

– Szukaliśmy tylko przenośnej łazienki – odezwał się do-  
rodusznie Droma. – Nigdy żadnej nie ma w pobliżu, kiedy się po-  
trzebuję.

Reck podszedł bliżej i zaczął się uważnie przyglądać twarzom  
wszystkich jeńców. Solo przekonał się ze zdumieniem, że najemnik  
go nie rozpoznał. Możliwe, że był zbyt zajęty przyglądaniem się  
Dromie.

– Jesteś... Rynem? – zapytał takim tonem, jakby nie był tego  
pewien.

Droma zgiął się w lekkim ukłonie.

– Niemożliwym do znalezienia kąskiem na liście każdego śmie-  
ciarza – odparł beztrzesko.

Reck zignorował jego uwagę i mrużąc oczy, spojrzął na Verge-  
re. Pokręcił głową.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, kim jesteś – przyznał szczerze.

Foshanka postanowiła posłać mu trwożliwe, zawstydzone spoj-  
rzenie.

– Mogłam się była tego domyślić – rzekła cicho.

Reck przeszedł dalej i z zainteresowaniem zaczął przyglądać  
się Elan. Chwilę później jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia  
i zrozumienia. Uśmiechnął się, odwrócił i skinął na chudego jak  
szczapa współnika.

Zakapturzony korsarz podszedł do niego i postawił na podłodze  
spory, solidnie wyglądający podróżny neseser. Otworzył zatrzaski  
i wyciągnął za zjeżony kark paskudnie wyglądające i jeszcze pa-  
skudniej szczerzące ostre kły stworzenie. Wyglądało jak coś pośred-  
niego między ng'okiem a quillaratem. Han usłyszał, jak Elan ze  
świsem wciąga powietrze. Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia.  
Tymczasem chudzielec wyciągnął zwierzę, uniósł na wysokość twa-  
rzy Elan i pozwolił, żeby ją powąchało. Natychmiast na twarzy ka-  
płanki – czole, policzkach, nosie i brodzie – zaczęła się łuszczyć  
skóra. Odklejała się całymi płatami od szyi i znikwała w wycięciu  
bluzki, którą znalazł dla niej Droma. Wreszcie spełzła z całego cia-  
ła. Spłynęła po nogach, ukazując Elan w całej krasie pokrytego tatu-  
ażami ciała. Galaretowata masa na podłodze popłynęła w przeciw-  
legły kraniec korytarza.

Han ujrzał kątem oka, że zaskoczony Droma otworzył i zapomniał  
zamknąć usta. Na twarzy Ryna malowało się bezbrzeżne zdu-  
mienie.

– Mamy cię! – wykrzyknął rozpromieniony Reck.

Skinął na dwóch ludzi, którzy podeszli i chwycili kapłankę pod rękę. Tymczasem przerażające stworzenie widocznie zorientowało się, że oogolith umyka, bo głośno parsknęło i wyrwało się z rąk poskramiacza. Z wyjątkową zaciekłością puściło się w pościg za żyjącą maską. Pochwyciło ją długimi i ostrymi jak igły zębami i zaczęło szarpać niczym kawał mięsa. Chudy jak tyczka Yuuzhanin pospieszył za uciekinierem i znowu chwycił go za szczecinę na karku. Nie zważając na to, że stworzenie dalej trzyma w zębach rozszarpane kawałki żywego ubrania, wepchnął je z powrotem do nesesera i zatrzasnął zamki.

Reck nie mógł chyba być bardziej zadowolony.

– Tak to już jest z maskującymi oogolithami – powiedział, zwracając się do zdemaskowanej, obnażonej Elan. – Są równie strachliwe jak...

Urwał, a jego spojrzenie zatrzymało się na twarzy Hana. Otworzył szerzej oczy. Na jego twarzy odmalowała się mieszanina radosnego zdumienia ze szczyptą niepokoju.

– Han? – zapytał, jakby wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć własnym oczom. – Hanie, to ty, prawda? Posiwiałeś trochę i przytyłeś, ale wszędzie rozpoznałbym ten łobuzerski uśmiech i spojrzenie, którym łamiesz serca kobiet.

– Cześć, Reck – odparł Solo.

Przywódca Brygady Pokoju uśmiechnął się szeroko i gestem wskazał policzek Hana.

– Nie przypominam sobie tej blizny – powiedział.

– Mogłem kazać ją usunąć, Reck – oznajmił Korelianin. – Chciałem jednak, by przypominała mi, kim naprawdę byłem.

Reck chwilę milczał, jakby nie wiedział, o co chodzi. Potem widocznie doszedł do wniosku, że zrozumiał, bo wybuchnął beztroskim, głośnym śmiechem.

– Han Solo... – Z niedowierzaniem pokręcił głową i odwrócił się do swoich ludzi. – Dacie wiarę? To Han Solo. – Zaraz jednak uśmiech na jego twarzy zmienił się w gniewną minę. – Wygląda na to, że tobie powierzono opiekę nad tymi dwiema.

– To niezupełnie tak było, Reck – odparł Solo.

– Dałbym głowę. – Najemnik wskazał gestem neseser, który trzymał teraz chudy Yuuzhanin. – Co sądzisz o naszym wykrywaczu oogolithów?

– Powiem ci tylko – odparł Han – że popełniasz niewiele błędów.

Reck parsknął.

– Hej, nie pozwalają mi na to – powiedział.

– Czy wiesz, co w tej chwili dzieje się w przestworzach? – zapytał Korelianin. – Jak myślisz, czy daleko stąd uciekniesz?

– Wystarczy, że na pokład najbliższego okrętu Yuuzhan – odparł najemnik.

– Gdybym był na twoim miejscu, zacząłbym zastanawiać się, czy nie zacząć okazywać lojalności komuś innemu.

– Lojalności? – powtórzył Reck, demonstracyjnie okazując pogardę. – A cóż ona jest warta na wolnym rynku? – Roześmiał się ponownie, tym razem z wyraźną drwiną. – Tacy goście jak ty, Hanie, łamią mi serce. Najemnicy i szubrawcy, którzy nie mają dość odwagi, żeby przejść na stronę nieprzyjaciół, nagle zaczynają nazywać siebie patriotami. Dobrze wiem, co dzieje się w przestworzach. Dobrze wiem, kto wygra tę bitwę. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby spędzić resztę życia w zdrowiu, szczęściu i pomyślności.

– Mówisz jak zdrajca, Reck.

– I nawet się nie jąkam.

Han zwalczył ochotę rzucenia się na łajdaka i wbicia zdrętwiałych palców w jego gardło.

– Pamiętasz Chewbaccę? – zapytał po chwili, kiedy odzyskał panowanie nad sobą.

– Wookiego? Jasne – odrzekł najemnik. – Był najlepszy z najlepszych.

Han przełknął ślinę.

– Zabili go twoi nowi mocodawcy – oznajmił z goryczą. – Ściągnęli księżyc na jego głowę.

Reck uniósł brwi.

– Wookie przebywał wtedy na Sernpidalu? – zapytał. Z cichym świstem wypuścił powietrze z płuc i z niedowierzaniem pokręcił głową. – Przykro mi z tego powodu, Hanie – powiedział. – Naprawdę. O niczym nie wiedziałem. Nie miałem z tamtą akcją nic wspólnego.

– A co z akcją na Atzerri? – zapytał jadowitym tonem Korelianin. – To właśnie tam Roa stracił żonę. Nazywała się Lwyll, może jeszcze pamiętasz? Zginęła w wyniku akcji przeprowadzonej przez twoją Brygadę Pokoju.

– Roa stracił tam żonę? – powtórzył Reck, mrugając powiekami. Energicznie pokręcił głową. – Tamta akcja nie miała zakończyć się w taki sposób.

Han prześwidrował najemnika spojrzeniem, w którym kryła się żądza mordy.

– Takim stwierdzeniem chcesz zagłuszyć wyrzuty sumienia?

Reck zmarszczył brwi.

– Człowiek musi coś zrobić, żeby zarobić.

Tym razem Han nie wytrzymał. Skoczył na Recka i zdołał zacisnąć dłonie na jego szyi, ale w następnej sekundzie jednak ktoś obalił go na podłogę.

– Nie mam nic przeciwko sprzedawczykom, Reck – parsknął Solo, wstając i piorunując mężczyznę spojrzeniem. – Gardzę jednak drugorzędnymi sprzedawczykami. Tacy jak ty hańbią dobre imię najemnika.

Przywódca Brygady Pokoju wyszczerzył zęby w pogardliwym uśmiechu. Wyciągnął osobisty komunikator i kciukiem włączył urządzenie.

– Mamy je – rzucił do mikrofonu. – Za chwilę lądujemy na pokładzie statku.

– Nic ci to nie da – usłyszał w odpowiedzi cierpką uwagę. – Nie możemy odłączyć się od śluzy liniowca. Żaden system nie działa, nawet silniki napędu podświetlnego i repulsory. Absolutnie żadnej reakcji ze strony dovin basala. Wygląda, jakby to draństwo zapadło w śpiączkę.

Reck odwrócił się jak użądłony do poskramiacza wykrywacza ooglithów, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Próbowaliście nawiązać łączność z okrętem Yuuzhan Vongów? – zapytał Reck, ponownie zbliżając usta do mikrofonu.

– Żadnej odpowiedzi.

Najemnik zaklął z pasją.

– No, dobrze – odezwał się po chwili. – Wobec tego zabieram je na pokład swojego wahadłowca.

Jego rozmówca parsknął ironicznym śmiechem.

– Nie masz pojęcia, co się tu dzieje, Reck – powiedział. – Prawdziwe piekło. Będziesz miał wielkie szczęście, jeżeli w ogóle wylecisz cało z hangaru tego liniowca.

– Czy systemy uzbrojenia są sprawne?

– Potwierdzam.

– A zatem oczyścisz dla mnie korytarz. Nowa Republika nie odważy mi się przeszkodzić, kiedy będę miał kilka tysięcy zakładników na pokładzie. A gdy dotrę na pokład okrętu Yuuzhan, dopilnuję, żebyście wszyscy dołączyli do mnie, cali i zdrowi.

Przerwał połączenie i otworzył usta, żeby coś dodać, ale w bocznej odnodze korytarza pojawiła się inna grupa agentów Brygady Pokoju. Wyglądało na to, że wszyscy spieszą ku lądowiskom. Dwaj podtrzymywali, a raczej wlekli rannego Rodianina, którym musiał być Capo.

– Chłopaki, powinniście w tej chwili być na mostku! – ryknął najemnik.

– To twoja wyprawa, Reck – odparł najwyższy i najsilniejszy. – Jeżeli naprawdę chcesz tu zostać i wyrzucać uchodźców w próżnię, proszę bardzo. My nie chcemy mieć z tym nic wspólnego. Wynosimy się stąd.

Ten, który pierwszy zauważył Hana, zaczął unosić lufę karabinu rozrywającego, ale przywódca Brygady Pokoju powstrzymał go wyciągniętą ręką.

– Opuść sobie – rozkazał. – Nic nam to nie da, jeżeli będziemy walczyli jedni z drugimi. Wracamy do wahadłowców i lecimy do okrętu Yuuzhan.

Han uśmiechnął się z przewrotną satysfakcją.

– Przysłowiowy droch w balsamie, hmm, Reck? – zakpił.

Najemnik nakazał gestem dwóm ludziom, żeby zajęli się Vergere, a sam odwrócił się do Korelianina.

– Wiesz, jakoś mniej się przejmuję zagrożeniem ze strony pilotów myśliwców niż tym, czego mogę się spodziewać po tobie.

Wyciągnął blaster i wymownym ruchem lufy rozkazał, żeby Han skierował się do otworu pobliskiego szybu transferowego. Droma bez słowa podążył za nim. Pchnięty w pierś lufą broni, Han cofał się dopóty, dopóki nie stanął na skraju szybu. Odwrócił głowę i wyciągnął prawą rękę tak, że znalazła się nad otworem.

– Nie czuję najłżejszego podmuchu – oznajmił takim tonem, jakby się skarżył.

Reck wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zawsze był z ciebie zabawny gość, Hanie – powiedział.

Korelianin wzruszył ramionami.

– Wiesz, co się czasem mówi na temat zemsty – zauważył tonem swobodnej konwersacji. – Podobno najlepszą jest dobry dowcip.

Reck zaczął się zastanawiać.

– Gdybyśmy się spotkali w innych okolicznościach – odezwał się w końcu – może popijalibyśmy razem lodowato zimny gizer. Nie mogę jednak dopuścić, żebyś nas ścigał albo porozumiał się ze swoimi

kumplami z Nowej Republiki. I tak masz zbyt wiele szczęścia. Zawsze miałeś.

– Mam niejasne przeczucie, że tym razem mnie opuściło – powiedzieli równocześnie Han i Droma.

Reck przeniósł spojrzenie z twarzy jednego na twarz drugiego, a potem parsknął śmiechem.

– Dobrana z was para. Jaka szkoda, że muszę was rozdzielić. – Uniósł lufę blastera. – Skacz do szybu, Hanie – rozkazał. – Następny przystanek: ładownia.

Han głośno przełknął ślinę.

– Daj spokój, Reck – powiedział. – Nie musisz tego robić. Przypomnij sobie dawne, dobre czasy...

– Ależ wcale ich nie zapomniałem, drogi przyjacielu. – Uniósł jeszcze wyżej lufę broni. – Nie daj się prosić, kolego. Nie zmuszaj mnie, żebym cię zastrzelił.

Han przesunął pas podróźnej torby. Miał nadzieję, że jego bagaż chociaż trochę zamortyzuje impet upadku. Skulił się i wypuścił z płuc resztkę powietrza. Zmrużył oczy i spojrzał na Recka, a potem cofnął się o krok i runął w przepaść.

Droma przeraźliwie jęknął i zdrętwiał z przerażenia.

# ROZDZIAŁ

# 25

Chociaż komandorowie Malik Carr i Tla, taktyk Raff i Harrar przebywali w sąsiedztwie planety Obroa-skai na pokładzie fasetkowego okrętu kapłana, doskonale wiedzieli, co dzieje się w przestworzach między Bilbringi a Rubieżami. Obraz toczących się tam zaciętych walk przekazywał na bieżąco sygnalizacyjny villip.

– Oficer łącznościowiec, pełniący służbę na pokładzie kanonierki Brygady Pokoju, usiłował kilkakrotnie porozumieć się z nami – zameldował villip Noma Anora. – Nie odpowiedzieliśmy na wezwania i nie pospiesziliśmy im z pomocą.

Za twarzą egzekutora, w polu widzenia villipa, widniał wycinek obserwacyjnego iluminatora fregaty. W ciemności przestworzy za nim rozbłyskiwały raz po raz ogniste smugi laserowych strzałów albo płomieniste kwiaty pobliskich eksplozji. Coraz częściej i coraz bliżej przelatowały tęponose nieprzyjacielskie myśliwce. Czasami ich piloci wypuszczali oślepiająco jasno iskrzące się kule skupionej energii. Większość pocisków szybko zniknęła, pochłaniana przez mikroskopijne czarne dziury; niektóre jednak trafiły w kadłub okrętu. Drgania i wstrząsy doprowadzały do szału villipa, wskutek czego przekazywany obraz zanikał albo przecinały go faliste linie zakłóceń.

– Z całym szacunkiem, komandorze Carr – odezwał się Tla. – Irytuje mnie, że musimy opuszczać sprzymierzeńców w potrzebie. Przyznaję, że podejmując się uwolnienia agentek egzekutora Noma Anora, postąpili lekkomyślnie, a nawet bezmyślnie. To jednak nie usprawiedliwia naszej beczynności. Co więcej, nie podoba mi się, że nasze okręty muszą skakać z miejsca na miejsce, zamiast stawić wrogom zdecydowany opór.

Harrar stanął dokładnie naprzeciwko sygnalizacyjnego villipa.

– Egzekutorze – powiedział. – Czy chodzi o to, że ktoś mógłby zarzucić ci tchórzostwo?

– Nie w tym rzecz – odparł Nom Anor. – Dobrze wiem, że moje postępowanie służy słusznej sprawie i przyczyni się do ostatecznego zwycięstwa.

Tła spiorunował go spojrzeniem.

– Twoje opinie się nie liczą, egzekutorze – oświadczył arogancko.

Komandor Malik Carr popatrzył na Tłę, a potem odwrócił się znów do sygnalizacyjnego villipa.

– Egzekutorze, czy zrezygnowałbyś z dowodzenia, gdyby to miało usmierzyć niepokój komandora Tli? – zapytał.

Nom Anor uznał pomysł za absurdalny.

– Nawet ja mam dość rozumu i wiem, że nie powinienem zamieniać mniejszej zniewagi na większą – powiedział.

Do rozmowy przyłączył się podwładny, pełniący służbę na mostku fregaty. Stał poza polem widzenia villipa, toteż nikt na pokładzie okrętu Harrara go nie widział.

– Egzekutorze, jakiś nieprzyjacielski statek namierzył dovin basala, którego umieściliśmy w zdalnie sterowanej kapsule. Na razie dovin basal nie radzi sobie z odpieraniem ataku. Zachowuje się jak oślepiiony.

– Pokaż mi ten statek – zażądał Nom Anor.

Zainstalowany na pokładzie okrętu yuuzhańskiego kapłana odbiorczy villip przekazał obraz jasnoszarej jednostki w kształcie spodka, która miała w przedniej części urządzenie wyglądające jak dwie wystające żuchwy. Odznaczała się też wytrzymałym pancerzem i uzbrojeniem o niezwyklej sile ognia.

Villip Noma Anora spojrział na taktyka.

– Badał pan przesyłane przez villipy obrazy z wcześniejszych walk z jednostkami Nowej Republiki – powiedział. – Czy rozpoznaje pan tę jednostkę?

Udoskonalony mózg Raffa zabrał się do analizowania zapamiętanych obrazów. Trwało to jakiś czas; w końcu taktyk kiwnął głową.

– Ten statek brał udział w bitwie o Helskę – oznajmił wszystkim zgromadzonym w ośrodku dowodzenia i na mostku fregaty. – Został zapamiętany przez namierzające villipy, które pozostawił w tamtym miejscu prefekt Da'gara.

– O Helskę? – powtórzył zdumiony komandor Malik Carr. – Rycerze Jedi? – zapytał, zwracając się do villipa Noma Anora. – Czy możliwe, żeby przejrzeły twoje plany?

Egzekutor stanowczo pokręcił głową.

– To mało prawdopodobne – odrzekł. – A jeżeli ten statek naprawdę pilotują Jedi, są tak pochłonięci pokonywaniem dovin basala i dążeniem do zwycięstwa w tej nieistotnej bitwie, że nie uświadamiają sobie, o co w niej chodzi. Podporuczniku – ciągnął, zwracając się do podwładnego – proszę nie robić nic, co mogłoby uratować zdalnie sterowanego dovin basala. Jeżeli załoga tego statku go zniszczy, proszę poinformować pilotów wszystkich koralowych skoczków, że mają się zachowywać, jakby nagle stracili orientację.

Do rozmowy wtrącił się taktyk Raff.

– Pragnę przypomnieć, że unicestwienie dovin basala umożliwi załogom trzech wahadłowców, które wylądowały w hangarze gwiazdowego liniowca, odlot w przestworza...

– Dovin basal został zniszczony – zameldował podporucznik.

Przekazywany przez odbiorczego villipa obraz ukazał wszystkim zgromadzonym na pokładzie okrętu Harrara nieprzyjacielski statek. Oglądany z boku, bardzo szybko oddalał się od unicestwionej kapsuły.

– Z hangaru gwiazdowego liniowca wyleciały trzy wahadłowce – oznajmił młodszy oficer, zwracając się do Noma Anora. – Dwa skrzyły się za kadłubem pasażerskiego statku i skierowały ku powierzchni planety. Trzeci obrał kurs na nasz okręt.

W ośrodku dowodzenia zapadła głucha cisza. Pierwszy prze-rwał ją komandor Malik Carr.

– Wygląda na to, że Brygadzie Pokoju udało się uwolnić Elan – odezwał się beznamiętnym tonem. – Podejrzewam, że chcą przekazać ją w nasze ręce.

– Ich kanonierka nadal pozostaje złączona z burtą liniowca – sprzeciwił się Nom Anor. – Uważam, że chodzi im tylko o znalezienie bezpiecznego miejsca. O nic więcej.

Komandor Tla nie potrafił ukryć satysfakcji.

– Postarajcie się zrobić to dyskretnie – odezwał się w końcu Harrar – ale nie dopuście, żeby wylądowali na pokładzie waszego okrętu.

– A jeżeli rzeczywiście mają kapłankę Elan na pokładzie? – zaniepokoił się Malik Carr.

Harrar przeniósł spojrzenie na villipa Noma Anora, który udzielił mu odpowiedzi.

– Elan będzie wiedziała, co robić.

Droma nie przestał jęczeć, nawet kiedy Han skończył wspinać się po jego ogonie jak po linie, przełożył nogę przez krawędź otworu unieruchomionego szybu transferowego i z wysiłkiem chwytając powietrze, odczłogał się na bezpieczną odległość.

Dopiero wtedy Ryn padł na kolana i podpierając się dłońmi, zaczął okrażać na czworakach zdyszanego Korelianina. Cały czas jęczał z bólu.

Han zaczekał, aż złapie oddech, a potem podszedł do niego.

– Czy mogę ci jakoś pomóc? – zapytał współczująco.

– Tak – przyznał Ryn, patrząc na niego spode łba i nie przestając chlipać. – Naucz się spadać z większym wdziękiem. Naucz się spadać doskonale.

Opierając ciężar ciała na jednej dłoni, Han usiadł obok niego na podłodze i objął rękami kolana.

– Łatwo ci mówić, skoro masz taki długi ogon. Dla ciebie to drobnostka. – Umilkł na chwilę, ale kiedy nie doczekał się odpowiedzi, wyszczerzył zęby w przekornym uśmiechu. – Ocaliłeś mi życie, kolego. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Ryn parsknął.

– Nie mogłem dopuścić, żebyś zginął – odparł cicho. – Jak sam powiedziałaś, jesteś zbyt sławny, żeby umierać.

– Lepiej w to uwierz. – Korelianin klepnął Dromę po plecach, a potem wstał i pomógł mu się podnieść. – Chodźmy! Może ich jeszcze dogonimy.

Doprowadzony do rozpaczy Ryn ciężko westchnął.

– Nigdy nie rezygnujesz, prawda? – zapytał.

Oglądając się przez ramię, Han posłał mu jeden ze swych najbardziej czarujących uśmiechów.

– Dzięki tobie złapałem drugi oddech.

– Następnym razem będę o tym pamiętał – mruknął Droma.

Słyszając, że Ryn kuśtyka za nim, Korelianin pobiegł korytarzem do najbliższego wjazdu, którym można było przedostać się na płytę lądowiska. Nie musiał pokonywać całej odległości, żeby poznać smutną prawdę. Już z daleka zobaczył, że mechanizm zwalniający blokadę zamka został zniszczony celnym strzałem z blastera.

Podbiegł jednak do wrót służby i trzasnął dłonią w guzik zwalnający blokadę. Jak przypuszczał, drzwi ani drgnęły. Zmarszczył brwi i odwrócił się do zdyszanego Dromy.

– Reck naprawdę nie popełnia błędów – powiedział z odczuciem podziwu.

Obaj jak na rozkaz odwrócili się i ruszyli z powrotem tym samym korytarzem, którym przybiegli. Kilkakrotnie skręcali w boczne korytarze – za każdym razem w prawo – aż w końcu znaleźli się przed wrotami innej służby. Jej mechanizm został także stopiony blasterowym strzałem. Wkrótce przekonali się, że taki sam los spotkał wszystkie inne blokady zamków drzwi, przez które można było dostać się na lądowisko z tej części „Królowej”. W końcu zatoczyli pełny krąg i stanęli przed pierwszymi wrotami. Stwierdzili, że w korytarzu unoszą się kłęby dymu, a powietrze jest przesycone przypływającym o mdłości swądem topionej plastali. W grubej płycie wrót zarysował się rozżarzony półokrąg.

– Palnik – domyślił się podniecony Solo.

Złapał Dromę za rękę i wycofali się na bezpieczną odległość. Zaczekali, aż technik skończy pracę. Po kilku minutach ciężki krąg z głośnym brzękiem runął na podłogę. Kołysząc się z boku na bok, przetoczył się kilka metrów jak gigantyczna moneta, później zaczął obracać się w jednym miejscu i w końcu znieruchomiał. Wskutek różnicy ciśnień z wypalonego otworu wyleciały na korytarz pasemka siwego dymu. Po kilku następnych minutach przez otwór zaczęły przeskakiwać, jeden po drugim, komandosi z doborowego oddziału wojsk Nowej Republiki. Wszyscy mieli czarne hełmy oraz bojowe kombinezony A/KT i byli uzbrojeni w karabiny typu BlasTech E-15A i ręczne granatniki.

Han i Droma wycofali się do najbliższej niszy i zaczęli, aż biegnący żołnierze znikną za zakrętem korytarza. Solo doszedł do wniosku, że komandosi nie wiedzą, iż większość agentów Brygady Pokoju zdołała odlecieć z hangaru „Królowej”.

W końcu Han dał znak Dromie, żeby przeszedł przez otwór wypalony we wrotach służby. Chwilę później uczynił to samo. W przestronnym, podobnym do gigantycznej groty pomieszczeniu stał zgrabny szturmowy wahadłowiec, którym przylecieli żołnierze. Obok niego spoczywały dwa X-skrzydłowce eskorty.

Pilot jednego z nich właśnie wyskakiwał z kabiny. Korelianin podbiegł do niego i zapytał, czy przypadkiem nie widział, jak z hangaru odlatują jakieś statki.

Młody mężczyzna zdjął hełm i potrząsnął głową, aby odgarnąć z twarzy długie włosy.

– Podobno odleciały stąd trzy wahadłowce, ale ja nie widziałem ani jednego. – Obrzucił Hana i Dromę podejrzliwym spojrzeniem. – A wy kim jesteście?

Han zastanawiał się już, jakie nazwisko podać, żeby pozwoliło mu odlecieć którymś myśliwcem, kiedy przez magnetyczne pole, dzielące hangar od mroków przestworzy, zaczął wlatywać jeszcze jeden statek. Przezroczyta kurtyna roziskrzyła się i ustąpiła, żeby pochwycić nowo przybyły statek w objęcia sztucznego ciężenia.

Han przyjrzał się dokładniej i zamarł. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że to naprawdę „Sokół”.

Zniesmaczony Droma parsknął pogardliwym śmiechem.

– Popatrz tylko, jakie śmieci wpadają do hangaru „Królowej” – zadrwił.

Han odwrócił się, jakby coś go użądliło. Zmarszczył brwi i otworzył usta.

– Hej, tak się wyrażasz o moim statku? – zapytał.

Droma przeniósł spojrzenie z twarzy Hana na „Sokoła” i z powrotem.

– To twój statek?

Nie zadając sobie trudu udzielania odpowiedzi, Han pospieszył na płytę lądowiska. „Sokół” właśnie osiadał na wielkich, płaskich talerzach łap lądowniczych. Korelianin czekał u stóp sterburtowej rampy, aż opadnie do końca i w otworze wjazdu pojawią się pasażerowie. Przyglądał się, jak po pochylni schodzą Luke, Mara i Leia. Tuż za nimi toczył się Artoo-Detoo i dreptał Threepio. Ten ostatni na widok Hana uniósł złociste ręce wysoko nad głowę. Chciał jak najszybciej stanąć przed Hanem, ale omal nie potknął się i nie stoczył po rampie.

– Dzięki niech będą stwórcy za to, że pan żyje! – wykrzyknął. – Nie wiem, co bym zrobił, gdyby moje postępowanie przyczyniło się do pańskiej śmierci! – Odwrócił się do partnera. – Widzisz, Artoo? – zapytał. – Bez względu na to, jak niewielkie jest prawdopodobieństwo, zawsze istnieje szansa pokonania przeciwności losu!

Rozpromieniona Leia podbiegła, żeby porwać męża w ramiona, ale Han się wywinął.

– Czy widziałas, żeby odlatywały stąd jakieś wahadłowce, kiedy „Sokół” leciał w stronę „Królowej”?

Leia pokręciła głową.

– My...

– Leio, poznaj Dromę – przerwał jej zniecierpliwiony Han. Pociągnął Ryna za rękę i wepchnął między siebie a Leię. – Dromo, to moja żona, Leia.

Kobieta zamrugwała.

– Droma? – powtórzyła. – Kim jest...

– Korweta! – Han odwrócił się do Luke'a. – Czy odleciała?

– Nie, Hanie – odparł Skywalker. – Ale...

– Reck leci teraz w kierunku okrętu istot rasy Yuuzhan Vong – przerwał mu Solo, spoglądając znacząco na Dromę.

– Reck? – zapytała zupełnie zdezorientowana Leia.

– Z Brygady Pokoju – odparł Han tak szybko, że zabrzmiało to jak jedno słowo. – Uwolnili uciekinierki.

Luke spojrział na niego z wyraźnym zdumieniem.

– Uciekinierki?

Han odwrócił się do niego i spojrział na stojącą nieco z tyłu Marę. Była blada i sprawiała wrażenie bardzo chorej. Korelianin zacisnął dłonie w pięści. Przypomnił sobie, co Elan powiedziała na temat zarazy, jaką zaczęli szerzyć jej ziomkowie.

– Nie mam czasu, żeby wam to wyjaśnić.

Minął wszystkich i pobiegł w górę rampy.

Droma uniósł głowę i spojrział na Leię.

– Miło mi było panią poznać – powiedział.

W następnej sekundzie puścił się śladami Hana. Długi, sztywny ogon kołysał się z boku na bok za jego plecami.

Luke spojrział na siostrę. Było oczywiste, że niczego nie pojmował.

– Hanie, zaczekaj... – zaczął, ale Leia położyła dłoń na jego ramieniu.

– Luke, daj spokój – rzekła. – Pozwól mu odlecieć. – Spojrzała w górę rampy. Han i jego współnik właśnie znikali w otworze wjazdu. – Mam przeczucie, że tego potrzebuje.

Han przebiegł całą drogę do sterowni i z rozpędu opadł na fotel pilota. Kiedy w drzwiach stanął Droma, Korelianin gorączkowo pstrykał przełącznikami i przyciskał guziki.

– Znasz się trochę na modelach typu YT-1300? – zapytał, odwracając głowę, ale nie odrywając dłoni od pulpitu kontrolnej konsoly.

– Kiedy odlatywaliśmy z Sektora Wspólnego, w naszej karawanie było kilka jednostek typu YT-1300 – przyznał Ryn. – Staraliśmy się jednak nimi nie chełpić.

Han spiorunował Dromę spojrzeniem i niecierpliwym gestem zachęcił, żeby usiadł w fotelu drugiego pilota.

– Tym egzemplarzem będziesz się mógł chełpić, kolego.

Droma niepewnie przeszedł między fotelami w drugim rzędzie i z wahaniem zajął miejsce w ogromnym fotelu po prawej ręce Hana.

– Musiał kiedyś siedzieć na nim prawdziwy wielkolud – oznajmił z podziwem.

Han przerwał na chwilę wykonywanie procedur przedstartowych i uniósł głowę, żeby spojrzeć na Dromę. Przez chwilę miał wrażenie, że widzi Chewbaccę. Rosły Wookiee siedział wyprostowany jak struna, złączył ogromne dłonie pod kosmatą głową i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Jego żółtobrązowa sierść z czarnymi końcami połyskiwała, jakby umyta najlepszym szamponem, a białe zęby lśniły jak wypolerowane. W pewnej chwili Chewie odwrócił głowę w stronę Hana i zaryczał tak głośno i radośnie, że omal nie popękały bębenki w uszach Hana. Potem wybuchnął beztróskim śmiechem, którego echo rozbrzmiało chyba po wszystkich zakamarkach frachtowca.

Han poczuł, że coś ściska go za gardło; w sercu pojawiło się przyjemne ciepło, a oczy wezbrały łzami. Musiał przełknąć ślinę i odchrząknąć, zanim zdołał coś powiedzieć.

– A żebyś wiedział... – mruknął, odwracając się w stronę iluminatora.

Kiedy repulsory uniosły „Sokoła” nad płytę lądowiska, a silniki manewrowe odwróciły i skierowały frachtowiec ku przezroczystej zasłonie magnetycznego pola, Droma rozejrzał się po sterowni.

– Jeśli dobrze pamiętam, powiedziałeś, że obracasz się w gronie bogatych i sławnych – zauważył.

Han parsknął śmiechem i odchylił kciuk, jakby chciał pokazać coś za plecami.

– Widziałeś tego gościa w płaszczu, który został na lądowisku? – zaczął, z trudem powstrzymując śmiech. – To był Luke Skywalker.

W oczach Ryna odmalowało się zdumienie.

– Ten mistrz Jedi?

– Ten sam – przyznał Han. – A moja żona to Leia Organa. Droma podrapał się po głowie.

– Więc naprawdę nazywasz się Han Organa?  
– Solo – burknął zirytowany Korelianin. – Han Solo. – Widząc, że Droma patrzy na niego, dodał: – Chcesz powiedzieć, że nigdy o mnie nie słyszałeś?

– Może i słyszałem – przyznała istota. – My, Rynowie, znamy wielu ludzi.

Han odetchnął głęboko i skupił całą uwagę na przelatywaniu przez wrota hangaru „Królowej”. W przestworzach nadal trwała zażarta bitwa. W ciemnościach krzyżowały się błyskawice laserowych strzałów i rozbłyskiwały ogniste kule odległych eksplozji. Najzaciętsze walki toczyły się jednak teraz w większej odległości od pasażerskiego liniowca niż poprzednio. To właśnie tam załoga jajowatego okrętu istot rasy Yuuzhan Vong broniła się przed zjadłymi atakami pilotów myśliwców Nowej Republiki.

W ciągu kilku minut kiedy Leia kierowała „Sokoła” ku wrotom hangaru „Królowej” i lądowała na permabetonowej płycie, korweta Brygady Pokoju zdołała odłączyć się od burty liniowca. Jej załoga, usiłując ukryć swój okręt za największą spośród pobliskich planetoid, wdała się w wymianę strzałów z pilotami czterech X-skrzydłowców. Między okrętem korsarzy a planetoidą, nad którą unosił się podobny do świetlnego miecza krążownik-lotniskowiec Nowej Republiki, piloci gwiazdnych myśliwców i koralowych skoczków toczyli zacięte pojedynki.

– Ustaw identyfikator na poszukiwania wahadłowca klasy Maritial firmy Sienar Fleet Systems – polecił Han, nie przestając zwiększać dopływu energii do jednostki napędowej.

Droma odnalazł identyfikator na pulpicie konsoli i rozpoczął skanowanie.

– Znalazłem – zameldował niemal natychmiast. – Kieruje się ku okrętowi Yuuzhan.

Solo zacisnął wargi. Dowódcy okrętu Nowej Republiki byli tak pochłonięci obserwowaniem losów toczącej się w przestworzach bitwy, że nie uznali wahadłowca Brygady Pokoju za jednostkę nieprzyjaciół.

– To z pewnością Reck – stwierdził.

– Nigdy go nie dogonimy – zauważył Droma.

Han spojrzął na niego kątem oka.

– Tak myślisz? – zapytał. – Nie sądz go po wieku, partnerze.

Chociaż inercyjne tłumiki zostały nastawione prawie na maksimum, nagłe przyspieszenie „Sokoła” prawie przyszpiliło Dromę do oparcia

fotela. Zawadiacko przekrzywiony beret spadł z jego głowy. Zaskoczony i zdumiony Ryn otworzył szeroko oczy i wydał chrapliwy okrzyk.

– Hej... ja! Co to za statek! Co to za ślicznotka!

Han uśmiechnął się przekornie.

– Kiedy złapiesz oddech, powiedz mi, co dzieje się z tym wahadłowcem.

– Nie przestaje zbliżać się do nieprzyjacielskiego okrętu – odparł wciąż jeszcze podniecony Droma.

Nagle rozległ się cichy trzask i do życia obudził się głośnik komunikatora.

– „Sokole Millenium”, tu „Thurse”. Pani ambasador, o ile pamiętam, prosiłem, żeby trzymała się pani od tego jak najdalej.

– Ambasador Organa Solo przebywa w tej chwili na pokładzie „Królowej” – odparł Han, zbliżywszy usta do mikrofonu urządzenia.

– To ty, Hanie? Tu Mak Jorlen.

– Mak!

– Co ty wyprawiasz, Hanie?

– Ścigam nieprzyjacielski wahadłowiec i kogoś, kogo Nowa Republika bardzo chciałaby mieć znów u siebie – odparł Korelianin. – Kiedy go dopadnę i będę wracał, może przyda mi się twoje wsparcie, Mak.

– Potwierdzam, „Sokole Millenium”. I cieszę się, Hanie, że znów jesteś z nami. Dopiero teraz czuję, że mamy szansę zwyciężyć.

Han poczuł na sobie spojrzenie Dromy.

– To staje się coraz bardziej niezwykle – mruknęła istota chyba bardziej do siebie niż Korelianina.

Han włączył system automatycznego namierzania i uzbroił dziobowe czterolufowe działko „Sokoła”, które niczym nie ustępowało podobnym systemom uzbrojenia, instalowanym na pokładach nowoczesnych okrętów. Spoglądając na ekran celowniczego monitora, pochwycił uciekający wahadłowiec w nitki sieci i zbliżył dłoń do rękodzieła mechanizmu spustowego.

Zamierzał wystrzelić, ale „Sokół” niespodziewanie runął naprzód jak wciągnięty przez czarną mikrodziurę. W ostatniej chwili Han trzasnął otwartą dłonią w przycisk i włączył wsteczny ciąg silników manewrowych. Nie dopuścił, żeby frachtowiec roztrzaskał się o rufę ściganego statku.

Dopiero po sekundzie czy dwóch zorientował się, że wahadłowiec drastycznie zwolnił i właściwie zaczął dryfować w przestworzach.

– Wygląda to, jakby zderzył się z barierą repulsorowego obszaru – zauważył Solo, gorączkowo wprowadzając poprawki parametrów lotu.

Droma kiwnął głową.

– Chyba stracił napęd.

Kiedy odległość między „Sokołem” a wahadłowcem zmalała do kilku kilometrów, Han odpiął zatrzaśki ochronnej sieci i wstał z fotela.

– Przejmij stery – polecił Dromie. – Ustaw frachtowiec tak, żeby znalazł się blisko jego burty. Posłuż się promieniem ściągającym, jeśli musisz. Ja przygotowuję bakburtowy chwytak i rękaw cumowniczy.

– Chcesz... wejść na pokład?! – wykrzyknął Droma, gapiąc się na niego z otwartymi ustami. – Yuuzhanie muszą wiedzieć, kto tam jest. Co zamierzasz zrobić, jeżeli artylerzyści tamtego okrętu zaczną nas ostrzeliwać?

Han spojrział przez iluminator. Od nieprzyjacielskiej fregaty dzieliła ich wciąż jeszcze spora odległość. Co więcej, wszystko wskazywało na to, że Yuuzhanie mają sporo kłopotów. W przestworzach wokół ich jednostki toczyła się najzaciętsza bitwa.

– Wygląda na to, że muszę się pospieszyć – mruknął Solo. Obrócił się na pięcie i wybiegł ze sterowni.

Na mostku fregaty Yuuzhan dyżurował Nom Anor. Przyglądał się przekazywanemu przez villipa powiększonemu obrazowi wahadłowca o obwisłych skrzydłach. Dzięki szybkiej reakcji dovin basala statek został w porę odepchnięty i obezwładniony. Do burty unieruchomionej jednostki Brygady Pokoju przybił spodek z wystającymi zuchwami – ten sam statek, którego załoga unicestwiła zdalnie sterowanego dovin basala. Członkowie załogi – Nom Anor nadal nie wiedział, czy byli pośród nich jacyś Jedi, czy nie – zajmowali się właśnie uwalnianiem kapłanki, porwanej trochę wcześniej przez agentów Brygady Pokoju z pokładu „Królowej”.

Tymczasem w przestworzach trwało dziesiątkowanie koralowych skoczków. Osobisty statek komandora Malika Carra był także bezlitośnie ostrzeliwany. Działo się tyle rzeczy równocześnie, że Nom Anor z najwyższym trudem mógł skupić uwagę tylko na jednym aspekcie bitwy. Harrar oświadczył jednak bardzo dobitnie, że nic nie jest tak ważne jak uniemożliwienie przekazania kapłanki z powrotem w ręce Yuuzhan.

W pewnej chwili Nom Anor zwrócił się do podwładnego i powiedział:

– Podporuczniku, proszę pozwolić, żeby załoga statku Nowej Republiki spędziła jeszcze jakiś czas u burty wahadłowca. Nasi wojownicy zaczną ścigać ich trochę później. Musimy ich przekonać, że to nie żarty, ale nie możemy ich przechwycić. Wkrótce poniosą śmierć prawie wszyscy pozostali piloci koralowych skoczków, a wówczas nasza ucieczka z pola tej parodii bitwy będzie wyglądała bardziej wiarygodnie.

Spojrzał przez iluminator na toczące się w przestworzach walki.

– Chwała wam, wojownicy – powiedział cicho. Niewątpliwie zwracał się do pilotów koralowych skoczków.

Ubrany w próżniowy kombinezon i uzbrojony w karabin blasterowy, Han przepłynął przez szeroką, giętką rurę, która dzięki energii magnetycznego pola łączyła bakburtową śluzę cumowniczą „Sokoła” ze sterburtowym włazem wahadłowca. Chwytając się umieszczonych wewnątrz rękawa metalowych pierścieni, Korelianin bardzo szybko pokonał odległość dzielącą obie jednostki.

Znieruchomiał przy włazie wahadłowca, aby jeszcze raz porozumieć się z Dromą przez umieszczony w hełmie komunikator.

– Odpowiedzieli na twoje wezwanie?

– Nadal cisza – powtórzył kolejny raz Ryn. – Wahadłowiec musiał zostać trafiony, a my tego nie zauważyliśmy. Dopilnuj, żeby twój skafander pozostał szczelny. I powodzenia.

– Ta-a, dzięki – odparł Solo.

Odbezpieczył karabin i wyciągnął dłoń w rękawicy do zewnętrznej blokady kłapy śluzy. Kiedy zamek puścił i kłapa się odchyliła, uniósł karabin na wysokość pasa, wszedł do śluzy i uderzył w umieszczony wewnątrz przycisk zamykania kłapy.

Przekonał się jednak, że nikt nie wyszedł na jego powitanie. Zaczekał, aż komora wypełni się powietrzem, a potem włączył komunikator i nawiązał łączność z Dromą.

– Jestem w środku – zameldował. – Ciśnienie, ciężenie i atmosfera w porządku. Wchodzę najpierw do przedziału dla pasażerów.

Z wewnętrzną kłapą śluzy uporał się w podobny sposób jak z zewnętrzną. Wszedł do środka. Na płytach pokładu i prawie każdej

poziomej powierzchni zauważył ziarnistą substancję, która zachrzęściła pod jego butami. Pochylił się, chwycił dwoma palcami szczyptę smolistego osadu i uniósł do przezroczystej szyby hełmu, by się lepiej przyjrzeć.

– Wszystkie przedmioty pokrywa dziwny czarny nalot – oznajmił do mikrofonu komunikatora. – Wygląda jak kruche łupiny niewielkich orzechów czy coś w tym rodzaju.

– Widzisz gdzieś Recka?

Han ruszył środkiem pasażerskiego przedziału w stronę sterowni. Kiedy jednak znalazł się na wysokości pierwszego rzędu foteli, wydał okrzyk zaskoczenia. W fotelach siedzieli w dziwacznych pozach trzej agenci Brygady Pokoju. Wszyscy mieli potwornie zniekształcone twarze, a na piersiach ślady krwi, która strumieniami spłynęła z oczu, ust i nosów.

– Co się stało? – zaniepokoił się Droma. Musiał usłyszeć krótki okrzyk Hana.

– Trzej jego kompani nie żyją – odezwał się Solo. – Pojęcia nie mam, co ich zabiło. Wygląda na to, że coś rozsadziło ich krwionośne naczynia.

– Jesteś pewien, że z wahadłowca nie uciekła atmosfera? – zapytał coraz bardziej zaniepokojony Droma.

– Nawet jeżeli uciekła, jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. – Wstrząśnięty Han spojrzał na otwarty właz dziobowy. – Idę teraz do sterowni.

Ten sam czarny nalot pokrywał nie tylko płyty pokładu, ale także nieruchome ciała Recka, Capa i chudzielca, w którym Han rozpoznał Yuuzhanina. Wszyscy mieli koszule i bluzy przesiąknięte krwią. Obok jednego z foteli leżał przewrócony i otwarty nesenser – zapewne własność yuuzhańskiego poskramiacza. Przy nesensersze spoczywały zwłoki drapieżnego stworzenia, którego widok tak przeraził maskującego oogilita Elan.

– Reck również nie żyje – oznajmił Korelianin. – Wszyscy zginęli taką samą śmiercią.

– Uciekinierki także?

– Na razie ich nie widziałem – odparł Han. – Może są w ładowni.

Spojrzał ostatni raz na Recka.

– No, to koniec z tobą – mruknął do siebie.

Odwrócił się, przeszedł przez przedział dla pasażerów i uderzył otwartą dłonią w guzik mechanizmu otwierającego wrota ładowni.

– Znalazłem je – poinformował Dromę, jeszcze zanim ciężka płyta schowała się w ścianie.

Na kratowanych płytach pokładu dużego i pustego pomieszczenia leżały Elan i Vergere. Sprawiały wrażenie nieprzytomnych, ale oddychały, a na ich ubraniach nie było widać śladów krwi. Rozglądając się po ładowni, Han nie dostrzegł ani jednej czarnej łupiny. Pochylił się nad kapłanką, ostrożnie wsunął rękę pod jej plecy i najdelikatniej jak umiał uniosł Yuuzhanke w powietrze. W pewnej chwili Elan zamrugała i otworzyła błękitne oczy. Na widok Hana odmalowało się w nich przerażenie. Cicho krzyknęła i zaczęła wymachiwać rękami. Jej okrzyk musiał obudzić Vergere, która także zaczęła dawać oznaki życia.

Korelianin włączył głośnik hełmu próżniowego kombinezonu.

– To ja, Han! – powiedział łagodnym tonem.

Elan zaczęła się odprężyć. Wyglądała jednak, jakby niezupełnie oprzytomniała.

– Naszpikowali nas narkotykami – oznajmiła niepewnie. Potem, jakby sobie coś przypomniała, niespokojnie rozejrzała się po ładowni. – Gdzie oni są? – zapytała. – Co się stało? Dlaczego jesteś ubrany w próżniowy kombinezon?

Han postawił ją ostrożnie na kwadratowych płytach pokładu i podtrzymując, poprowadził do przedziału dla pasażerów. Za ledwie jednak kapłanka weszła na chrzęszczące czarne łupiny, wydała okrzyk przerażenia i stanęła jak skamieniała.

– Bo'tousy! – wykrzyknęła. Han uznał, że to słowo yuuzhańskie. – Biologiczna broń! Środek zatruwający powietrze!

– To czarne na płytach pokładu to bo... jak mówiłaś? – zdziwił się Solo.

Elan pokręciła głową.

– To pozostałość po bo'tousach – wyjaśniła. – Nieszkodliwe szczątki. – Wskazała pierwszy rząd foteli. – Zabiło ich zatrute powietrze, którym oddychali.

Z rufowej ładowni wyszła Vergere. Ona także nie potrafiła powstrzymać okrzyku przerażenia.

– Zginęli wszyscy oprócz was – wyjaśnił Korelianin.

Kapłanka skierowała na niego szeroko otwarte oczy.

– Ale kto to zrobił? – zapytała.

– Sam chciałbym to wiedzieć – odparł Solo. – Czy możliwe, żeby agenci Brygady Pokoju cały czas mieli to... świństwo na pokładzie?

– Tak, to niewykluczone – przyznała Yuuzhanka. – Mieli do-  
vin basala i wykrywacza ooglithów. Prawdopodobnie mieli także  
bo'tousy. – Spojrzała na Hana. – Zapewne zamierzali użyć ich prze-  
ciwko pasażerom liniowca.

– Dlaczego wam nie stało się nic złego? – zainteresował się  
Korelianin.

– Zanim wystartowali z hangaru „Królowej”, zamknęli nas  
w pomieszczeniu, gdzie nas znaleźliście – rzekła Elan. Wytrzymała  
siłę jego spojrzenia. – A zresztą, tak czy owak – dodała – my, Yuuzha-  
nie, uodporniliśmy się na oddziaływanie bo'tousów.

Han pokiwał nieobowiązująco głową i wcisnął brodą guzik ko-  
munikatora.

– Dromo, zaczekaj na mnie pod drzwiami śluzy – polecił. –  
Zabieram je na pokład „Sokoła”.

– Lepiej się pośpiesz – ostrzegł go Ryn. – Tamten okręt leci  
prosto na nas!

# ROZDZIAŁ

# 26

Wystrzelwane z wyrzutni yuuzhańskiej fregaty pociski rozbiły się o ochronne pola i eksplodowały ze wszystkich stron blisko kadłuba, ale „Sokół Millenium” leciał szybko ku wciąż jeszcze unieruchomionemu liniowcowi. Kapitan krążownika-lotniskowca „Thurse” Nowej Republiki dotrzymał obietnicy. Z luf głównych baterii jego okrętu leciały raz po raz ku nieprzyjacielskiej fregacie oślepiające błyskawice turbolaserowych strzałów. Wyglądało jednak na to, że nie wyrządzają jej żadnej szkody.

– Chcesz powiedzieć, że przeskoczyli taką odległość w ciągu sekundy? – wrzasnął Han, odwróciwszy głowę w stronę Dromy. Związał się jak w ukropie, żeby nie dać się trafić i utrzymać frachtowiec choćby w przybliżeniu na dotychczasowym kursie.

– Właśnie to usiłuję ci powiedzieć! – odkrzyknął nie mniej przerażony Ryn. – W jednej sekundzie byli bardzo daleko, a w następnej praktycznie spadli nam na karki!

Han nie przestawał przebierać palcami obu rąk po pulpicie kontrolnej konsoly.

– Zmień konfigurację rufowego deflektora! – polecił w pewnej chwili. – Jeżeli nie możemy im uciec, przynajmniej postarajmy się nie dać trafić! – Odwrócił głowę i spojrzał ponad ramieniem na Elan i Vergere. – Idźcie do dziobowej świetlicy i usiądźcie na amortyzującym przeciążenia tapczanie.

Droma zaczekał, aż obie wyjdą, a potem odwrócił się do Hana:

– Vergere nie jest istotą spoza naszej galaktyki – oznajmił cicho. – Nie wiem, do jakiej należy rasy, ale z pewnością widziałem kiedyś jej pobratymców.

Han rzucił mu zdumione spojrzenie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał. – Myślisz, że to oszustka?

Droma wzruszył ramionami.

– Nie jestem tego pewien – odrzekł. – Uważam jednak, że te dwie do siebie nie pasują.

– Nie ufasz im?

– A ty?

Han zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią, ale w końcu pokręcił głową.

– Coś mi nie daje spokoju – powiedział. – Dlaczego Yuuzhanie mieliby wysyłać okręt z zadaniem wspierania poczynań agentów Brygady Pokoju? Jeżeli wiedzieli, że Elan podróżuje na pokładzie „Królowej”, powinni byli sami przeprowadzić całą akcję. Nawet gdyby naprawdę na pokładzie wahadłowca miała miejsce nieprzewidziana eksplozja biologicznej broni istot rasy Yuuzhan Vong, to jeszcze nie tłumaczy, dlaczego statek Brygady Pokoju zwolnił tak nagle, jakby odepchnęło go repulsorowe pole.

– Może Yuuzhanie celowo go unieruchomili – zasugerował Droma.

Han zacisnął wargi w wąską linię.

– Myślałem dokładnie o tym samym – przyznał. – Pamiętasz, jak jeden z ludzi Recka zameldował, że korweta jest niesprawna? Że nie mogą odłączyć się od śluzy „Królowej”?

Droma kiwnął głową.

– Korweta wyszarpnęła liniowiec z nadprzestrzeni, ale gdy przyszło co do czego, nie mogła oderwać się od jego burty – podsumował. – To rzeczywiście bardzo dziwne.

– Można wyjaśnić to tylko w jeden sposób – oznajmił Korelianin. – Yuuzhanie umieścili na pokładzie korwety dovin basala, ale potem rozkazali mu, żeby uniemożliwił odlot statku w przestworza.

Kadłub „Sokoła” nagle zadrżał. Widocznie w ochronne pole trafił jeszcze jeden pocisk. Han i Droma skulili się na fotelach i zmrużyli oczy. Stwierdzili jednak, że dziesiątki innych pocisków przelatują za iluminatorami po stronie sterburty i bakburty, nie wyrządzając frachtowcowi żadnej szkody.

– Kusi mnie, żeby sprawdzić, co się stanie, jeżeli przestaniemy wykonywać uniki – odezwał się Solo.

– Mam nadzieję, że potrafisz zwalczyć tę pokusę – odparł nie na żarty zaniepokojony Droma.

– Walczyłem już przedtem z istotami rasy Yuuzhan Vong – mruknął ponuro Han. – Stoczyłem z nimi kilka pojedynków. Z doświadczenia wiem, że umieją świetnie mierzyć. Bardzo rzadko zdarza się im nie trafić do celu. Tymczasem nasi prześladowcy zachowują się, jakby za wszelką cenę tylko bardzo starali się nas przekonać, że zależy im na odzyskaniu zguby...

– Podczas gdy w rzeczywistości chcą, żeby Elan i Vergere pozostały tam, gdzie są – dokończył Droma.

Han uśmiechnął się do siebie i potarł zarośnięty policzek.

– Tylko dlaczego miałyby im na tym zależeć? – zapytał po chwili.

– To coś, co się jeszcze nie objawiło – zasugerował Droma. – Pamiętasz tamtą Królową Powietrza i Ciemności?

Han spojrzał na niego spode łba.

– Nie pokładam zaufania w kartach i nie wierzę w karciane wróżby.

Droma wzruszył ramionami.

– Czyżby? – zapytał. – Przyglądałem się, jak grałeś w sabaka, i mógłbym przysiąc, że to nieprawda.

Han umilkł na kilka chwil. Później, jakby nagle coś postanowił, sięgnął do podróżnej torby i wyjął kaburę z blasterem. Wstał i zapiął sprzączkę pasa, a potem pochylił się i owiązał rzemienie wokół uda.

– Przejmij stery – polecił Dromie.

Przeszedł do dziobowej świetlicy, dokąd wysłał Elan i Vergere. Obie istoty siedziały obok siebie na amortyzującym przeciążenia tapczanie.

– Nie możemy umknąć temu okrętowi? – zapytała niewinnym tonem Elan. Zapewne pragnęła wyrzucić wrażenie, że tego nie wie.

– Wygląda na to, że nie – odparł Solo. – Przypuszczam jednak, że twoim ziomkom bardzo zależy na tym, abyśmy myśleli, że jednak im uciekliśmy.

Młoda Yuuzhanka otworzyła szerzej oczy i rzuciła mu pytające spojrzenie.

– Chcę powiedzieć, że chyba zaczynam dochodzić do ciekawego wniosku – ciągnął Korelianin. – Wygląda na to, że nie zależy im na twoim powrocie. To wszystko zresztą... twoja ucieczka, a może nawet i ta bitwa... jest częścią skomplikowanego planu, który zrodził się w mózgach twoich przełożonych.

– Nie obchodzi cię, że mam ważne informacje dla rycerzy Jedi? – odparła Elan takim tonem, jakby chciała przyprawić rozmówcę

o wyrzuty sumienia. Okazywała zaniepokojenie, mimo iż bardzo starała się panować nad nerwami.

Dręczony niepewnością Han zaczął przechadzać się przed tapczanem.

– Sam nie wiem, co o tym myśleć – wyznał w pewnej chwili. Przystanął przed tapczanem i spojrzął na obie obecne istoty. – Myślę, że powinienem was zabrać na pokład „Królowej” i pozwolić, żeby o waszym losie zdecydował mistrz Jedi, Luke Skywalker.

– O tak – odparła z przekonaniem Elan. – To bardzo dobre rozwiązanie.

Kiedy do Hana dotarły jej słowa, uderzył go wyraz nagłego olśnienia, jaki na chwilę pojawił się na egzotycznej twarzy Vergere.

– Masz rację – odezwał się w końcu. – Chyba jestem przesadnie podejrzliwy.

Odwrócił się udając, że zamierza udać się z powrotem do sterowni. Potem, jakby nagle o czymś sobie przypomniał, przystanął w drzwiach świetlicy i zapytał:

– Pamiętasz stworzenie, które rozszarpało twojego ooglitha, kiedy jeszcze przebywałaś na pokładzie „Królowej”? Czy jego poskramiaczem musi być istota rasy Yuuzhan Vong? Zwierzę nie będzie słuchało rozkazów nikogo innego?

– Tylko istota rasy Yuuzhan Vong – potwierdziła kapłanka.

Korelianin zauważył, że napięła mięśnie, ale trwało to tylko chwilę.

– Powiedziałaś, że Yuuzhanie uodpornili się na działanie biologicznej broni, która wymknęła się spod kontroli na pokładzie tamtego wahadłowca. – Zabrzmiało to jak oskarżenie.

Na twarzy Elan odmalowała się nienawiść, ale kapłanka kiwnęła głową.

Han wyszczerzył zęby w uśmiechu pełnym satysfakcji.

– Przypomniałaś sobie, że kiedy wszedłem do tamtej sterowni, znalazłem martwego pogromcę, prawda? – zapytał. – Pogromca był Yuuzhanem. A zatem to ty musiałaś posłużyć się tą bronią. Przedtem jednak zamknęłyście się w ładowni. Upewniłaś się, że będziecie tam bezpieczne. A kiedy trucizna rozproszyła się po całym pokładzie i mogłaś to zrobić bez obawy o własne życie, wyszłaś i przewróciłaś neseser poskramiacza. Chciałaś, żeby wszystko wyglądało jak najbardziej naturalnie. Wiedziałaś, że zwrócę na to uwagę. Nikt nie naszpikował cię narkotykami, siostrze. Bardzo przekonująco odegrałaś swoją rolę.

Spowaźniał i zacisnął usta w cienką linię, a potem zwrócił głowę w stronę drzwi wychodzących na sterburtową część biegnącego łukiem korytarza.

– Dromo, słyszysz mnie? – zawołał. – Zawróć statek! Obierz kurs na ścigający nas okręt Yuuzhan!

Chociaż miało do pokonania sporą odległość, pełne niedowierzania pytanie Ryna: „Co takiego?!” rozległo się całkiem wyraźnie.

– Słyszałeś, co powiedziałem! – odrzyknął Solo. – Jeśli się nie mylę, nie trafi nas ani jeden pocisk. – Wyciągnął blaster i wymownym ruchem lufy rozkazał Elan i Vergere wstać z tapczana. – Nie zamierzam się z wami cackać – oznajmił lodowatym tonem.

– Popelniasz wielki błąd – ostrzegła go kapłanka.

– Nie pierwszy i nie ostatni raz w życiu, siostró – burknął Korianin. – Wstawajcie i w drogę!

Ruchem lufy polecił, żeby wyszły na bakburtową część biegnącego po obwodzie „Sokoła” korytarza, a potem eskortował obie istoty do hałaśliwego przedziału rufowego. Kazał im stanąć obok szybu, w którym kiedyś mieścił się towarowy dźwig. Po obu jego stronach – wciśnięte między pokłady a rury z chłodziwem pomrukującego reaktora – mieściły się kapsuły ratunkowe.

Przestronne, supernowoczesne spłaszczone kule miały podkreślać status „Sokoła” jako statku rodzinnego. Wystrzeliwało się je przez umieszczone w spodniej części kadłuba śluzy, dokonując eksplozji specjalnych ładunków wybuchowych. Wewnątrz każdej znajdowały się rozmaite udogodnienia: wyściełane i amortyzujące przeciążenia tapczany, zestawy skomplikowanych sensorów i próżniowe kombinezony. Był także automatycznie włączający się nadajnik sygnału namiarowego, mechanizmy kontrolne i sterujące silniczków manewrowych oraz umożliwiających miękkie lądowanie repulsorów. Rzecz jasna, nie zapomniano o racjach żywnościowych, które mogły zapewnić przetrwanie na jakiś czas dwóm albo nawet trzem osobom.

Han zastanawiał się, czy nie zamknąć oszustek w takiej kapsule i tam przetrzymać, ale szybko zmienił zdanie. W porę sobie przypomniał, że mogłyby zatruć pomieszczenia „Sokoła” w taki sam sposób, jak zatruły atmosferę wahadłowca Recka.

Podszedł do jednej z bakburtowych kapsuł i uderzył pięścią w guzik umożliwiający otwarcie klapy wjazdu. Kiedy rozchyliły się duże płatki przesłony tęczówkowej, gestem dał znak, żeby obce istoty weszły do środka.

– Wracacie tam, skąd przyleciałyście, moje damy – oznajmił stanowczo. – Odsyłam was z etykietą „Zwrot do nadawcy”.

Poparł polecenie wymownym ruchem lufy blastera. Elan zgrabnie przeskoczyła przez próg otwartego włazu. Zanim jednak w jej ślady poszła Vergere, kapłanka niespodziewanie odwróciła się i chwyciła Hana za obie ręce jednocześnie. Szarpnęła ku sobie tak silnie, że Korelianin wpadł głową naprzód do kapsuły. Mimo to Elan nie puściła go, aż uderzył czołem w wyściełaną zaokrągloną ścianę. Dopiero wtedy odwróciła się i idąc tyłem, wycofała się w stronę okrągłego otworu.

Han potrząsnął głową. Usiłował odzyskać ostrość spojrzenia. Uniósł blaster i przycisnął guzik spustowy, ale uświadomił sobie, że nie naładował zasobnika. Wpatrując się w osłupieniu w beużyteczną broń, otworzył usta i zapomniał je zamknąć.

– Co za brak rozwagi – zadrwiła Elan. Nie przestawała wycofywać się w stronę otworu. – Nie martw się jednak. Z przyjemnością wybawię cię z tej opresji.

– Hmm? – wymamrotał oszołomiony Solo.

Na twarzy kapłanki pojawił się złośliwy uśmiech.

– Jeden wydech dla ciebie i pozostanie jeszcze jeden dla Jedi – rzekła. – Głęboko oddychaj... Hanie.

Ostatnie słowo wypowiedziała z nieskrywaną nienawiścią.

Przykucnęła, gotowa przeskoczyć przez próg włazu. Nabrała powietrza i gwałtownie wyrzuciła z płuc prawie wszystko, co w nich miała. Potem odwróciła się i chciała wyskoczyć z kapsuły. Ułamek sekundy wcześniej jednak ostrzeliwany „Sokół” skrzył ostro na sterburtę i płatki tęczówkowej przysłony zaczęły się zamykać. Han runął na plecy z takim impetem, że siła uderzenia wyparła z jego płuc resztkę powietrza. Na kilka sekund chyba stracił zdolność oddychania. Widział jednak, jak Elan zderza się z klapą włazu i niczym odbita piłka pada na podłogę kapsuły.

Natychmiast zerwała się na równe nogi i rozpaczliwie próbowała zmusić właz do otwarcia. Potem zacisnęła dłonie w pięści i z całej siły zaczęła walić w iluminator. Cofnęła się i jak prawdziwa mistrzyni wymierzyła mu silny cios stopą. Kiedy to nie pomogło, naparła całym ciałem. Kilka razy zaatakowała barkiem przezroczywą płytę, ale wszystko na próżno.

Oszołomiony i obolały Han wciąż nie mógł znaleźć w sobie dość siły, aby zaczerpnąć tchu. Nagle usłyszał, jak czyjś głos mówi: „Zatrute powietrze”. Pokręcił głową. Nie był pewien, kto się odezwał ani czy rzeczywiście usłyszał jakieś słowa. Może tylko pomyślał

o nich albo przypomniał sobie coś, co miało jakiś związek z tym, co zaobserwował na pokładzie wahadłowca Brygady Pokoju?

Działając podświadomie, wyciągnął rękę do pasa i pochwycił uczepony tam futerał z zestawem narzędzi. Przebijając drętwiącymi palcami, wyciągnął aparat umożliwiający oddychanie. Spojrzała na dwie małe butle ze sprężonym powietrzem, odgryzł płaski koniec ustnika i zacisnął wargi wokół otworu. Poczłł, jak ożywczy gaz zaczyna wypełniać jego płuca. Spoglądając przez iluminator, zauważył Vergere. Widział ją jednak tak krótko, że nie mógłby powiedzieć, czy podobna do ptaka istota stara się otworzyć właz, czy może nie dopuścić do otwarcia.

Tymczasem Elan odskoczyła od klapy włazu. Miała mocno zacisnięte wargi, a na jej przerażonej twarzy pojawiły się czerwone plamy. Spojrzała na Hana i rzuciła się na niego, jakby chciała go złapać. Korelianin jednak uskokzył w bok i jeszcze podstawił jej nogę. Yuuzhanka potknęła się i runęła na podłogę. Podparła się na dłoniach i kolanach i rzuciła mu mściwe spojrzenie. Zdawać by się mogło, że przeklina go każdą komórką ciała. W końcu otworzyła usta i nabrała powietrza.

Ciało Elen zesztyniało. Kapłanka zakrztusiła się i rozkaszała. Z ust popłynęła krew; chwilę później strumyczki krwi zaczęły sączyć się z oczu, uszu i nosa. Istota uniosła głowę, a z jej gardła wydarł się chrapliwy jęk bólu. Han zacisnął jeszcze mocniej wargi wokół ustnika i wycofał się w przeciwny kąt kapsuły. Przycisnął plecy do zaokrąglonej ściany i spojrzał w inną stronę. Uświadomił sobie, że widzi przed oczami ciemne plamy. Pomyślał, że za chwilę zemdleje. Zauważył jednak, że plamy skupiają się i rosna... a potem rozbiegają po całej kapsule.

Spojrzał w dół i zauważył, że zrodzone z trującego oddechu Elan stworzenia pełzają po jego ubraniu. Nie mógł powstrzymać okrzyku obrzydzenia. Odkleił plecy od ściany i potykając się co krok, pokuśtykał do otworu włazu. Stał tam, oparł się lewą dłonią o ścianę, a nasadą prawej uderzył w guzik zwalniający blokadę klapy. Ogarnięty paniką, rzucił się do komunikatora kapsuły, ale przekonał się, że urządzenie nie działa. Zapewne uległo uszkodzeniu, kiedy jakiś wystrzelony z pokładu okrętu Yuuzhan pocisk przedarł się przez osłabione pola ochronne i eksplodował w pobliżu rufowej sekcji kadłuba. Han gorączkowo zaczął zgarniać z ubrania rojące się stworzenia. Ilekroć stawał stopę, miażdżył z chrzęstem dziesiątki, a może nawet setki robali.

Nagle rozległ się ostrzegawczy pisk z aparatu umożliwiającego oddychanie. Han zrozumiał, że w zbiornikach kończy się powietrze. Czując, że jego oczy wychodzą z orbit, zaczął walić pięściami to w przycisk blokady, to w szybę iluminatora. Chwytał właśnie resztkę powietrza, kiedy płatki tęczęwkowej przysłony zaczęły się rozchyłać. Nie zamierzał tracić ani ułamka sekundy. Skoczył i niczym wystrzelony pocisk przeleciał głową naprzód ponad progiem włazu. W porę wyciągnął ręce, żeby nie rozbić głowy o żebrowane płyty pokładu rufowego przedziału „Sokoła”.

Łapczywie chwytając powietrze, uniósł głowę i zobaczył... Dromę. Ryn stał nad nim z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Dlaczego tu przyszedłeś? – zapytał Han w przerwie między jednym a drugim spazmatycznym oddechem.

– Miałem przeczucie – odparł poważnie Droma.

Han wskazał otwartą kapsułę. Z trudem mógł unieść rękę.

– Robale...

Droma podążył spojrzeniem za jego gestem. Zobaczył zakrwawione zwłoki Elan i zdrętwiał. Skoczył i zamknął właz, a potem wszystkimi kończynami zaczął miażdżyć stworzenia, którym udało się wydostać z kapsuły. Zdumiony Han zauważył, że po chwili robaki, które zostały na jego ubraniu, skurczyły się i zmieniły w czarne płatki czy łupiny, a potem lekko niczym piórka spoczęły na płytach pokładu.

Podczołgał się do grodzi i usiadł, opierając plecami o metalową płytę. Grzbietem dłoni otarł spocone czoło.

– Już drugi raz ratujesz mi życie – powiedział, patrząc na Ryna.

– Dopiszę to do twojego rachunku – obiecał zdyszany Droma.

Nagle statkiem zatrzęsała siła kolejnej eksplozji. Na korytarzu coś zagrzechotało. Han natychmiast oprzytomniał.

– Gdzie Vergere? – zapytał, rozglądając się po całym pomieszczeniu.

Ryn wyrzwał na korytarz, ale pokręcił głową.

– Wracaj do sterowni – polecił Solo. – Sam spróbuję ją odnaleźć.

Kolejny silny wstrząs sprawił, że frachtowiec prawie stanął dęba. Ze sterburtowej części łukowato zakręcającego korytarza wypadła powierniczka Elan. Zderzyła się z Hanem, który właśnie zrywał się na równe nogi. Siła uderzenia przetoczyła Korelianina po zamkniętych płatkach klapy włazu i rzuciła na przycisk zwalniający blokadę. Przesłona tęczęwkowa zaczęła się otwierać i z kapsuły

wydostało się jeszcze kilka czarnych robali. Kilka nawet uczepliło się koszuli Hana. Solo odskoczył i wydał zduszony okrzyk, a potem, pokonując obrzydzenie, zaczął odrywać je i rzucać na płyty pokładu. Kiedy przypomniał sobie o Vergere, istota stała pośrodku przedziału rufowego. Rozłożyła ręce na boki i rozstawiła zginające się w odwrotną stronę chude nogi. Wyglądała, jakby przygotowywała się do walki.

– Chyba nie jesteś samobójczynią? – ostrzegł ją Korelianin.

Kolejny pocisk przedarł się przez słabnące osłony frachtowca. Tym razem kadłub statku przeniknęło spazmatyczne drżenie. Z głośnika umieszczonego na ścianie interkomu doleciał płaczliwy głos Dromy.

– Hanie, jesteś pewien, że Yuuzhanie naprawdę nie chcą ich odzyskać? Bardzo przekonująco starają się nas przekonać, że jest inaczej!

Han nie spuszczał spojrzenia z Vergere. Przyjął taką pozycję, jakby także szykował się do walki.

– Będą musieli zadowolić się połową zguby – mruknął do siebie.

Vergere wyciągnęła ku niemu prawą rękę i pokazała plastikowy pojemnik do picia w kształcie gruszki. Musiała go zabrać, kiedy przebiegała obok kuchni. Ścisnęła go i nagle przyłożyła wylot do prawego oka. Wyglądało to, jakby chciała wciągnąć do środka łyżę, które zaczynały się tam gromadzić.

Han rzucił się ku niej, ale Vergere odskoczyła tak daleko, że jej nie zdołał złapać! Istota podskoczyła i obróciła się w locie, tak że wpadła do kapsuły. Solo chciał wskoczyć za nią, ale po kolejnym uniku Dromy frachtowiec zanurkował. Han przeleciał obok wjazdu, wpadł do sterburtowej części korytarza i pokonał ćwierć odległości do sterowni, zanim ostatecznie znieruchomiał. Kiedy odzyskał równowagę i wrócił do przedziału rufowego, Vergere uzbrajała właśnie wyrzucając kapsułę w przestworza ładunki wybuchowe. Han zapuścił rękę w głąb kulistej bańki, ale coś wypchnęło ją na zewnątrz.

– Dziękuję ci, Hanie Solo, że stworzyłeś mi okazję powrotu do istot mojej rasy – odezwała się Vergere. Bez uprzedzenia rzuciła mu wypełnioną łzami bańkę. – Dopilnuj, żeby to trafiło do rąk rycerzy Jedi.

Korelianin odruchowo złapał pojemnik, ale w następnej sekundzie odrzucił go na bok. Skoczył w stronę zamykającego się wjazdu, lecz było za późno. Do życia obudził się system ostrzegawczy

kapsuły. Rozbłyśły alarmowe światła i rozległo się przerywane monotonne buczenie.

Han szybko wycofał się w przeciwległy kąt rufowej ładowni. Rozpłaszczył się na żebrowanych płytach pokładu. Usłyszał ogłuszający huk, który omal nie rozsadził jego uszu. Kadłub „Sokoła” zadrżał i kapsuła poszybowała w przestworza.

– Niech to zaraza! – zaklął Solo, zrywając się na nogi.

Odwrócił się i pobiegł do sterowni. Lecąc slalomem, Droma nie przestawał kierować frachtowca ku fregacie Yuuzhan.

– Zmień kurs! Zawróć! – ryknął Korelianin, opadając z rozpędu na fotel pierwszego pilota.

– Może byś się tak zdecydował?! – odkrzyknął w odpowiedzi Droma.

Han przejął stery i wystrzelił świecą w przestworza. Obrócił statek o sto osiemdziesiąt stopni i wykonał pętlę. Miał nadzieję, że kiedy będzie opadał, zobaczy wystrzeloną kapsułę. I rzeczywiście, krótką chwilę widział ją w siatce systemu namierzania. Wkrótce potem tuż przed dziobem „Sokoła” przeleciał jeszcze jeden wystrzelony przez Yuuzhan ognisty pocisk i Korelianin równie szybko stracił ją z oczu.

Wyglądało na to, że płonąca kula puściła się w pościg za kapsułą niczym drapieжник śladem krwawiącej ofiary. W pewnej chwili w przestworzach rozkwitł błysk oślepiającej eksplozji i Han musiał zamknąć oczy. Kiedy je otworzył, nie zobaczył już kapsuły. Kilka sekund później wydało mu się, że widzi ją, jak kieruje się ku ciemnej stronie upstrzonej głębokimi kraterami planetoidy. Istniało jednak prawdopodobieństwo, że uległ optycznemu złudzeniu. Możliwe, że zainstalowany na pokładzie yuuzhańskiej fregaty dovin basal przechwycił kapsułę i wciągnął na pokład.

W sterowni „Sokoła” rozległ się trzask i obudził się głośnik komunikatora.

– Hanie, na wszystkie płomieniste błyskawice, co wy tam wyprawiacie? Myślałem, że chcieliście, abym was osłaniał!

– Chcieliśmy, chcieliśmy, Mak! – odparł pośpiesznie Solo. – Trzymaj się, Dromo!

„Sokół” skręcił ostro w bok i wykonał beczkę, aby wyminąć rój nadlatujących pocisków, a potem przyspieszył i skierował się w stronę krążownika-lotniskowca Nowej Republiki. Kiedy artylerzyści okrętu stwierdzili, że mają wolne pole ostrzału, dali ognia z luf wszystkich dział równocześnie. Dosłownie oślepił fregatę Yuuzhan Vong

nawałnicą turbolaserowych błyskawic i jonowych strzałów. Kilku pilotów ostatnich zdolnych do walki koralowych skoczków przystąpiło do samobójczego szturmu na okręt Nowej Republiki, ale chwilę później ich maszyny przemieniły się w chmury ognistych szczątków. Załoga pozbawionej osłony myśliwców fregaty zrezygnowała ze ścigania „Sokoła”. Nieprzyjacielski okręt zmienił kurs, przyspieszył i wkrótce potem zniknął w nadprzestrzeni.

Han wyrównał lot frachtowca i polecił Dromie zmniejszyć prędkość. Obaj odprężyli się i rozsiedli wygodnie na fotelach. Wyglądali, jakby ktoś wypuścił z nich powietrze.

– Czy to już koniec? – zapytał w pewnej chwili Droma.

Han kiwnął głową.

– Na razie.

Ryn spojrział z ukosa na partnera i parsknął nerwowym śmiechem.

– Wiesz, niemal mógłbym uwierzyć, że robisz takie rzeczy całe życie – powiedział.

Korelianin wyprostował się na fotelu i zaszczyił Dromę łobuzerskim, ale zarazem przekornym uśmiechem.

– Dlaczego uważasz, że nie robię? – zapytał, nie przestając się uśmiechać.

# ROZDZIAŁ

# 27

Głęboko w podziemiach Coruscant, odizolowana od gwaru i zgiełku miasta-świata, mieściła się supertajna sala obrad Wywiadu Nowej Republiki. Znajdowała się na samym dnie pionowego szybu zwanego potocznie Czeluścią. W pozbawionym okien bezpiecznym pomieszczeniu stał długi stół i kilkadziesiąt foteli. Siedziało na nich dwanaście istot różnych ras i płci. Pomieszczenie znajdowało się dokładnie pod podziemną siedzibą agencji Wywiadu, a o jego istnieniu wiedzieli tylko najwyżsi stopniem oficerowie. W sterylnie czystym kącie komnaty stała doniczka z kwitnącą wielkolistną rośliną. Oświetlona przez zimny blask jarzeniowych paneli i przesyłane przez skomplikowany system luster promienie słońca, wyglądała jak zjawisko nie z tego świata. Wszyscy nazywali ją Mirażem.

Kiedy od drzwi wejściowych doleciał melodyjny kurant, natychmiast umilkł szmer rozmów, a oczy uczestników zebrania zwróciły się w kąt sali. Do komnaty wkroczył dyrektor Dif Scaur. Przyciskał łokciem do boku gruby plik duraplastowych dokumentów i optycznych wydruków. Tuż za nim wszedł stalowoszary protokolarny android. Zanim obaj stanęli u szczytu stołu, wszyscy wstali. Mężczyzna jednak nie zwrócił uwagi na oznaki szacunku. Nachmurzył się jeszcze bardziej i niecierpliwym gestem wolnej ręki dał wszystkim znak, żeby usiedli. Najwyraźniej przywykł do rozkazywania. Służył kiedyś w Czwartej Flocie Nowej Republiki w stopniu admirała. Był wysoki i chudy jak szczapa i miał wodniste błękitne oczy. Jego włosy nad czołem tworzyły szpic, co – jak twierdzili niektórzy – dowodziło, że albo jest, albo zostanie wdowcem.

– Cały ranek uczestniczyłem w spotkaniu z pracownikami dowództwa Wojsk Obrony – oznajmił ponuro bez jakiegokolwiek wstępu. –

Doradcy chcą mieć wyczerpujący raport jeszcze tego popołudnia. A zatem im szybciej zabierzemy się do pracy, tym lepiej.

Powiódł spojrzeniem po zebranych i nie ukrywając gniewu, zatrzymał je na twarzy swojej zastępczyni.

– Pani pułkownik Kalenda – zaczął. – Od samego początku brała pani udział w tej żalostnej operacji. Prosiłbym zatem o wyjaśnienie kilku wątpliwości. Może pani zacząć od stwierdzenia, które fragmenty raportu Hana Solo można uznać za fakty, a które trzeba złożyć na karb jego lekkomyślności i bujnej wyobraźni. Prawdę mówiąc, nie jestem nawet pewien, jakim cudem uciekinierki dostały się w jego ręce.

Belindi Kalenda poruszyła się niespokojnie na fotelu.

– Panie dyrektorze – zaczęła – to stało się wtedy, jak major Showolter i uciekinierki zostali zaatakowani przez agentów Brygady Pokoju. Nasi ludzie odparli atak, ale zorientowali się, że nie są bezpieczni. Wyruszyli więc na poszukiwanie innych funkcjonariuszy, którzy także mieli podróżować na pokładzie „Królowej Imperium”. Kiedy major Showolter spotkał Solo, doszedł do wniosku, że i on bierze udział w tej operacji...

– Czy Han Solo kiedykolwiek pracował dla naszej agencji? – przerwał Scaur.

Kalenda chrząknęła.

– Cóż, panie dyrektorze, korzystałam z jego pomocy podczas kryzysu ze Stacją Centerpoint.

Nozdrza Scaura gniewnie drgnęły.

– To było siedem lat wcześniej, pani pułkownik.

Kalenda wytrzymała jego spojrzenie.

– Kiedy major Showolter rozmawiał z Hanem Solo, był bardzo ciężko ranny, panie dyrektorze.

Wyraz twarzy Scaura złagodniał.

– Jak się czuje w tej chwili?

– Został paskudnie postrzelony w górną część piersi, ale wiele wskazuje na to, że powraca do zdrowia.

Scaur kiwnął głową i jeszcze raz powiódł spojrzeniem po twarzach uczestników zebrania.

– Składam kondolencje wszystkim współpracownikom Jode’a Tee, Saigi Bre’lya i doktora Yintala z Wywiadu Floty. Zginęli jak bohaterowie, podobnie jak dwaj nasi agenci, którzy mieli się spotkać z Showolterem na pokładzie „Królowej”. Zanim zginęli, zostali poddani straszliwym torturom i zapewne dlatego wyjawili agentom

Brygady Pokoju nasze hasło. To prawdziwa tragedia. – Przeniósł spojrzenie na Kalendę. – A zatem uciekinierki dostały się pod opiekę Hana Solo, a on bez walki przekazał je w ręce agentów wroga.

– Napastnicy dysponowali sposobem zidentyfikowania jednej z nich, zwanej Elan – ciągnęła Kalenda. – Zabrali ją i jej towarzyszkę Vergere na pokład swojego wahadłowca. Zamierzali przekazać obie Yuuzhanom, ale coś im w tym przeszkodziło. Wygląda na to, że wszystkich otruła Elan.

– Za pomocą czegoś, co wydostało się wraz z jej oddechem, jak słyszałem – wtrącił się Scaur.

– Tak jest, panie dyrektorze. Solo uwolnił Elan i Vergere, ale doszedł do przekonania, że obie odgrywają kluczową rolę w planie, którego celem było wymordowanie jak największej liczby Jedi. Jak pan wie, uciekinierki domagały się spotkania z rycerzami. Twierdziły, że chcą im przekazać ważne informacje na temat zarazy, jaką jeszcze przed inwazją zaczęli szerzyć agenci Yuuzhan. Przypuszczamy, że mogło chodzić o molekularną chorobę, na którą tylko w ciągu ostatniego roku zmarło blisko sto osób. Nie wiemy jednak, jaki związek z tą chorobą mogą mieć rycerze Jedi. Tak czy owak, Solo zorientował się, że przechwałki Elan o rzekomo ważnych informacjach stanowią część podstępного planu. Wszczął więc kroki, by wystrzelić uciekinierki w przestworza. Niestety, omal sam nie padł ofiarą Elan... to znaczy jej trującego oddechu, panie dyrektorze.

Scaur spoglądał dłuższy czas na zastępczynię. Nic nie mówił, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Na jakiej podstawie Solo doszedł do przekonania, że uciekinierki to skrytobójczynie, a nie polityczni uchodźcy? – zapytał w końcu.

– Jak wspominałam, Solo zorientował się, że Elan zabiła agentów Brygady Pokoju, żeby uniemożliwić im przekazanie jej w ręce Yuuzhan. Zebrany z pomieszczeń wahadłowca osad jest taki sam jak ten zalegający na pokładzie „Sokoła Millenium”. Dokonałiśmy autopsji zwłok znalezionych wewnątrz wahadłowca Brygady Pokoju, zarówno ludzi, jak i yuuzhańskiego poskramiacza. Wszyscy zmarli w wyniku gwałtownego upływu krwi. Razem z powietrzem do ich płuc dostała się substancja, która rozsadziła ich żyły – jakaś trucizna albo biologiczna broń nieznanego rodzaju.

Scaur zaczął szperać w przyniesionych dokumentach. Odszukał raport Hana Solo, chwilę go czytał, a potem rzucił na blat stołu i zaczął bębnić po nim palcami.

– Solo twierdzi, że pozostawione szczątki to pozostałości żywych stworzeń. Utrzymuje, że te stworzenia przypominały pająki albo kleszcze, ale pojawiły się dosłownie znikąd.

Kalenda zacisnęła wargi.

– Panie dyrektorze, nie będę udawała, że rozumiem zasadę działania tej trucizny albo sposób jej szerzenia. Wiem tylko, że Solo miał zginąć.

– A zamiast niego zginęła Elan – stwierdził chłodno Scaur. – Od własnej trucizny.

– Wszystko na to wskazuje – rzekła Kalenda. – Stało się to we wnętrzu ratunkowej kapsuły, którą później posłużyła się jej towarzyszka.

– Czy wiadomo, co stało się z tą kapsułą? – zainteresował się mężczyzna.

– Jeszcze nie – odparła Kalenda. – Przeszukaliśmy powierzchnię planetoidy, ale nic nie znaleźliśmy. Istnieje jednak prawdopodobieństwo, że kapsuła gdzieś tkwi... w jakiejś szczelinie, jaskini albo rozpadlinie. Mogła też zostać przechwycona przez załogę yuuzhańskiej fregaty albo zniszczona w trakcie walk, jakie toczyli wrogowie z załogą krążownika-lotniskowca „Thurse”.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego Solo, nie porozumiewając się z nikim, zdecydował, że powinien przekazać uciekinierki w ręce wrogów – mruknął Scaur. – Nie, cofam to – dodał szybko. – Znam dobrze Solo i wiem, że takie postępowanie doskonale zgadza się z cechami jego charakteru.

– Jeżeli mogę coś powiedzieć na jego obronę, panie dyrektorze – wtrąciła Kalenda – Solo był wówczas ścigany przez nieprzyjaciół.

– To prawda, ale nieprzyjaciele nie zamierzali odbierać mu uciekinierek – stwierdził Scaur.

– Solo był przekonany, że Elan zamordowała agentów Brygady Pokoju – przypomniała zastępczyni. – Spodziewał się, że zechce jeszcze raz posłużyć się tą samą bronią. Był pewien, że spróbuje go zamordować, żeby nikt nie dowiedział się o jej tajemnicy. Jak wiadomo, Elan rzeczywiście podjęła taką próbę. Gdyby Solo zginął, a Elan ponownie wpadła w nasze ręce, kto wie, jakie szkody mogłaby wyrządzić. Co więcej, panie dyrektorze, od samego początku podejrzewaliśmy, że za jej ucieczką kryje się zdradziecki plan. Zaświadczyć może o tym choćby dowódca krążownika „Prawdomówny”.

Scaur odwrócił się do niej i pokiwał głową.

– To prawda, pani pułkownik – przyznał, chociaż niechętnie. – Założmy na chwilę, że możemy usprawiedliwić postępowanie Solo.

Wynikają stąd jednak bardzo niepokojące wnioski. Musimy zupełnie inaczej spojrzeć na zwycięstwa, jakie Nowa Republika odniosła w sektorze Meridiana i w przestworzach planety Ord Mantell. – Z ubolewaniem pokręcił głową. – Powinniśmy byli pozwolić, żeby całą sprawą zajął się wywiad wojskowy. Czy wiecie, jak teraz wyglądamy?

– Słucham pana? – zapytała zdezorientowana Kalenda.

– Ci ze sztabu uważają, że pokpiliśmy sprawę – ciągnął Scaur. – Chociaż Elan stanowiła dla nas poważne zagrożenie, moglibyśmy z niej wiele wyciągnąć, gdyby przebywała w naszym więzieniu. Co więcej, wszystko wskazuje na to, że ktoś z dostępem do najtajniejszych informacji powiadomił Brygadę Pokoju o naszych planach przetransportowania Elan na Coruscant.

Scaur wyciągnął z pliku duraplastowych kart jeden z dokumentów i szybko zapoznał się z jego treścią.

– Sześciu funkcjonariuszy wywiadu wojskowego, czternastu oficerów sztabowych i kilkoro senatorów, tworzących Radę Bezpieczeństwa i Wywiadu – odezwał się po chwili. – Ktoś spośród nich wyjawiał tajemnicę albo samej Brygadzie Pokoju, albo komuś trzeciemu, kto utrzymywał z nią bezpośredni kontakt. – Powiódł spojrzeniem po twarzach uczestników zebrania. – Jak uważacie, kto z grona tych osób mógł przekazać wiadomość tak ogromnej wagi?

– Wszyscy mieli dostęp do tych samych informacji – oświadczyła Kalenda. – Ktokolwiek jednak ją przekazał, nie tylko skontaktował się z agentami Brygady Pokoju, ale także włamał się do naszej sieci i wydał polecenie zaprzestania nadzoru całej grupy. Wciąż jeszcze badamy ślady tego włamania, panie dyrektorze.

– To wszystko pięknie brzmi – przyznał Scaur. – Ale nie dostarcza odpowiedzi na bardzo ważne pytanie. Możemy założyć, że jedna osoba z tamtego grona jest zdrajcą. Nie wiemy jednak, czy to oportunistą, czy agent nieprzyjaciół.

– Sądzi pan, że ten ktoś ukrywa się pod maskującym oogli-them? – odezwał się kalamariański oficer, siedzący w przeciwnym końcu stołu.

– Niekoniecznie – odparł Scaur. – Prawdopodobnie istoty rasy Yuuzhan Vong płaciły agentom Brygady Pokoju za świadczone usługi. Mogły także zapłacić temu, kto przekazał im tak cenną informację. Niewykluczone, że pewni członkowie władz Nowej Republiki pozostają w zмовie z nieprzyjaciółmi.

– I dlatego przekazanie Elan z powrotem w ręce Yuuzhan mogło pokrzyżować ich plany – uznał za słuszne przypomnieć bothański zastępca dyrektora komórki Wywiadu.

Scaur zaczął skubać dolną wargę.

– Możliwe, że zdrajca nie znał planów Yuuzhan – odezwał się w końcu. – Wiedział tylko o ucieczce Elan i Vergere. Nasze rzekome zwycięstwo w przestworzach planety Ord Mantell przekonało go, że musi przekazać Elan w ręce Yuuzhan, zanim kapłanka wyrządzi jeszcze więcej szkód.

– Czy możliwe, że komuś mogło chodzić tylko o przetarcie szlaku? – zapytała Kalenda takim tonem, jakby myślała na głos. – O nawiązanie kontaktów z Brygadą Pokoju, ale bez wdawania się w konszachty z nieprzyjaciółmi?

– Może Brygada Pokoju szantażowała przyszłego zdrajcę? – domyślił się jeden z mężczyzn. – Sprawca mógł mieć jakiś dług do spłacenia.

Scaur oparł łokcie na stole.

– Czy jakiegokolwiek informacje na ten temat przekazali nam złapani agenci Brygady Pokoju? – zapytał.

– Dwóch spośród trzynastu uwięzionych twierdzi, że ze zdrajcą kontaktował się tylko Reck Desh, ich przywódca – rzekła Kalenda. – Desh poniósł jednak śmierć na pokładzie wahadłowca. Tych dwóch utrzymuje, że pierwszy kontakt został nawiązany przez komunikator, a jedyne spotkanie w cztery oczy miało miejsce na planecie Kuat. Rozmówca Desha był telbunem.

Scaur skrzywił się, jakby połknął coś kwaśnego.

– Telbunem?

– Ten telbun mógł być tylko pośrednikiem między agentem Brygady Pokoju a zdrajcą, którego szukamy – podsunęła Kalenda.

Dyrektor parsknął.

– Chce mi pani powiedzieć, że właściwie nie wiemy, od kogo zacząć poszukiwania – oznajmił ponuro.

Kalenda kiwnęła głową. Ona także miała niewesołą minę.

– Zawdzięczamy to Elan – powiedziała. – To dzięki niej Reck Desh zabrał do grobu swoją tajemnicę.

Tymczasem w jednym z laboratoriów gwarnego i rojnego Coruscant – aczkolwiek na tyle nisko, że strzeliste iglice, gmachy wysokościowców i wieże przesłaniały horyzont i nie pozwalały

myślom ulatywać w siną dal – zgromadzili się Kalamarianka Jedi Cilghal, ithoriański uzdrowiciel Tomla El i lekarz rasy Ho'Din, Ism Oolos. Wszyscy czekali, aż laboratoryjny android medyczny typu MD-1 zakończy analizę łez, które Vergere zebrała do plastikowego pojemnika w kształcie gruszki, zanim porwała kapsułę ratunkową „Sokoła Millenium” i śmignęła w przestworza.

Oczekiwanie nie trwało zbyt długo. Kilka chwil później człeko-kształtny automat dysponował gotowymi wynikami. Miały postać animowanego hologramu i pokazywały nie tylko chemiczny skład, ale także sposób reagowania z komórkami, pobranymi z wewnętrznej ścianki policzka Mary Jade Skywalker.

– Chemiczna struktura nie odbiega od tej, jakiej można było się spodziewać – odezwał się Tomla El, pochylając się w stronę hologramu. – Nie możemy jednak ustalić, czy rzeczywiście są to łyzy charakterystyczne dla rasy istot, którą reprezentowała Vergere.

– Tak, ale proszę spojrzeć tutaj – wtrącił się podniecony Oolos, gestem pokazując interakcyjny fragment hologramu. – Komórki organizmu Mary pochłaniają płyn niczym spragnione gąbki! I popatrzcie, jak reagują! Jakby dostawały porcję środka odżywczego!

Chociaż wyższy niż niejeden Wookiee, doktor Oolos był chudy jak szczapa. Miał szerokie i pozbawione warg usta, a na głowie koronę z krótkich i grubych warkoczy, które ozdobił jaskrawoczerwonymi i fioletowymi cekinami. Podobnie jak Tomla El, był ubrany w długi biały kitel. Ich laboratoryjne okrycia wyraźnie kontrastowały z ubraniem Cilghal. Kalamarianka miała na sobie tunikę i spodnie z jasnożółtego samodziała.

– Wygląda zachęcająco – przyznał Oolos, patrząc na pacjentów, którzy odwiedzili laboratorium. – Podejdźcie, sami się przekonacie.

Trzymając się za ręce, Luke i Mara podeszli bliżej hologramu. Udawali, że przyglądają mu się z takim samym zawodowym zachwytem, jaki okazywali Ho'Din i Ithorianin. Mistrz Jedi nie mógł jednak nie zauważyć, że Kalamarianka Cilghal skierowała jedno wyłupiaste oko na jego żonę, a nie na hologram.

Tomla El odwrócił głowę w stronę Luke'a i używając obu par ust, oznajmił:

– Jestem zaniepokojony.

Wszyscy czekali, aż powie coś więcej.

– Kapłanka Elan dysponowała straszliwą bronią i została wysłana przez istoty rasy Yuuzhan Vong z zamiarem wymordowania rycerzy Jedi – ciągnął Ithorianin. – Dlaczego mielibyśmy przypuszczać,

że Vergere nie była jej współniczką i nie pomagała w wykonaniu zadania? Han Solo uważał, że była. W przeciwnym razie nie oddałby jej w ręce naszych wrogów.

– Han nie był tego pewien – odezwała się Cilghal, jakby chciała wyręczyć Luke’a. – Nie wiedział, co o niej sądzić.

– Dlaczego mielibyśmy uważać, że Elan była nosicielką śmiertelnej trucizny – zapytał Tomla El – a Vergere nosicielką lekarstwa na chorobę Mary?

– Może Vergere nie była tym, za kogo się podawała – zasugerował Luke. – Albo za kogo wszyscy, nie wyłączając Elan, ją uważali. – Urwał na chwilę, po czym ciągnął: – Han przyznaje, że z początku zamierzał zniszczyć pojemnik z jej łzami. Potem jednak przypomniał sobie, co Vergere powiedziała, zanim porwała kapsułę. Podziękowała mu za stworzenie okazji powrotu do istot jej rasy.

– Oczywiście – wtrącił się obiema parami ust Tomla El. Jego głos przypominał stereofoniczną muzykę. – Do Yuuzhan.

– Han zauważył jednak, jak Vergere zareagowała, kiedy wypowiedział moje imię – ciągnął mistrz Jedi. – Droma zaś stwierdził, że kiedy przebywał w Sektorze Wspólnym, widywał istoty jej rasy.

– To jeszcze o niczym nie świadczy – odrzekł Tomla El. – Agenci Yuuzhan zaczęli przenikać do naszej galaktyki jakieś pięćdziesiąt lat temu, a może nawet wcześniej. Istoty tej samej rasy co Vergere mogły być poddanymi Yuuzhan i przylecieć z ich galaktyki.

– Tomla El ma rację przynajmniej w jednej sprawie – oznajmił Oolos, odwracając się plecami do hologramów. – Nie możemy być pewni, czy ten rzekomy dar nie stanowi części podstępного planu. Może ma wzbudzić w nas nieuzasadnione zaufanie, a w konsekwencji jeszcze bardziej wyniszczy organizm Mary.

Oczy wszystkich skierowały się na kobietę. Chociaż w ciągu zaledwie kilku tygodni zmieniła się w cień samej siebie, nadal okazywała niezwykły hart ducha i odwagę.

– Jakoś nie bardzo chce mi się wierzyć, że Yuuzhanie zadali sobie tyle trudu, by zabić jednego rycerza Jedi, to znaczy mnie – powiedziała. – Zwłaszcza że Elan zamierzała wymordować wszystkich Jedi.

Oolos polecił androidowi typu MD, żeby wyłączył hologramy, a potem spędził minutę czy dwie, pogrążony w głębokiej zadumie.

– Powinniśmy zachować jak najdalej posuniętą ostrożność – odezwał się w końcu. Przeniósł spojrzenie na plastikową gruszkę. – Nie wiemy nawet, czy ten płyn ma być wstrzyknięty, połknięty czy rozsmarowany po powierzchni skóry.

– Dysponujemy pewną wskazówką – przypomniał Luke. – Vergere wykorzystwała łyzy do zalecenia rany po strzale z blastera, który trafił podróżującego na pokładzie „Królowej Imperium” oficera Wywiadu Nowej Republiki. Rozsmarowała łyzy palcami.

– Działanie miejscowe – wyjaśnił Oolos.

Cilghal skierowała na niego jedno wylupiaste oko.

– Ale dolegliwość Mary nie ma charakteru miejscowego – przypomniała. – Obejmuje cały organizm.

Luke posłużył się Mocą i przywołał pojemnik do siebie, a potem pochwycił go prawą dłonią. Uniósł nad głowę, odwrócił i przyłożył do ust. Usiłował wycisnąć na język choć jedną kroplę, ale w tej samej chwili Mara wyszarpnęła gruszkę z jego palców. Zanim Luke zdążył ją powstrzymać, wycisnęła do ust i połknęła pięć czy sześć kropli.

– Maro! – jęknęli równocześnie Tomla El i Oolos.

Kobieta jednak nie sprawiała wrażenia nieszczęśliwej. Zaczepnęła powietrza i szeroko otworzyła oczy.

– Och, Luke’u... – szepnęła oszołomiona i zachwycona. – Nie potrafię dokładnie określić, co się ze mną dzieje, ale czuję się, jakbym napiła się wody po wielu dniach obywatelstwa bez płynów. – Spojrzała na dłonie, najpierw na wewnętrzną, a potem zewnętrzną powierzchnię, i dotknęła twarzy samymi opuszkami. – Czuję w palcach i na policzkach dziwne mrowienie.

Luke wyciągnął rękę i delikatnie wyjął pojemnik z dłoni żony. Wycisnął kroplę na język.

– Nie czuję nic szczególnego – odezwał się po chwili.

Mara odebrała mu plastikową gruszkę i uniosła na wysokość serca.

– Nie ma żadnego powodu, żebyś cokolwiek poczuł – rzekła cicho.

Luke spojrzał w jej oczy.

– Maro, muszę ci powiedzieć jeszcze jedno – zaczął poważnym tonem. – Showolter oświadczył, że łyzy działają tylko pewien czas. Przynoszą ulgę na krótko. Powiedziała mu to Vergere, gdy pospieszyła mu na ratunek. Kiedy krótko potem spotkał Hana, zaczął odczuwać pierwsze skutki wstrząsu.

– To jeszcze nie oznacza, że mój organizm zareaguje w taki sam sposób – oznajmiła stanowczo kobieta. – A poza tym, w mojej sytuacji zadowolę się tymczasową ulgą. – Jeszcze raz głęboko odechnęła i chwyciła dłoń męża. – Musisz mi na to pozwolić, Luke’u. Wiem, że ty i Cilghal robiliście wszystko, by uleczyć mnie za pośrednictwem Mocy. Wiem również, że zamykając się w sobie, nie

ułatwiałam wam zadania. Ta choroba wyniszcza mój organizm od ponad roku. Stanowi poważne zagrożenie dla mojego życia. Walczyłam z nią na wszystkie znane sposoby. Za każdym razem wszakże przegrywałam, Luke'u. Przegrywałam.

Uniosła pojemnik na wysokość oczu.

– Jeżeli ten lek wpłynie niekorzystnie na stan mojego zdrowia, będę musiała walczyć jeszcze usilniej – ciągnęła po chwili. – Coś mówi mi jednak, że do tego nie dojdzie. Czy ty to rozumiesz?

– Pozwól przynajmniej, żebyśmy śledzili stan twojego organizmu – zaproponował Tomla El. – Jeżeli zaczniesz się dziać coś złego, może zdołamy przedsięwziąć odpowiednie kroki.

– Nie – sprzeciwił się Luke, nie odrywając spojrzenia od twarzy żony. – Zrobimy to, jak chce Mara.

Kobieta uściśnęła jego dłoń, a potem podeszła do laboratoryjnego stołu i ostrożnie wycisnęła kilkanaście kropli płynu na wewnątrz podstawionej dłoni. Zanim jednak zdołała unieść rękę do ust albo twarzy, łyzy Vergere zniknęły.

– Wsiąkły w moją rękę – oznajmiła zdumiona Mara. Pokazała wszystkim wnętrze dłoni.

Oolos podszedł bliżej i spojrzał w jej oczy.

– Maro, przynajmniej powiedz nam, co czujesz.

Zmagając się z drżeniem, jakie nagle przeniknęło jej ciało, kobieta nabrała głęboki haust powietrza.

– Nie jestem pewna... – zaczęła. – Czuję się... beztroska, odprężona. Wszystko wydaje się takie wyraźne... – Zachłysnęła się powietrzem. – W środku, we mnie zaczyna dziać się coś dziwnego! Mogę...

Nagle jej nogi i ręce zaczęły dygotać. Mara odchyliła do tyłu głowę, jakby nie mogła zaczerpnąć powietrza. Prawdopodobnie upadłaby, gdyby Luke nie podbiegł i nie stanął u jej boku.

– Szybko, Luke'u, połóżmy ją na stole – polecił Oolos.

Mistrz Jedi wziął żonę na ręce i delikatnie położył na blacie diagnostycznego stołu. Mara miała zamknięte oczy. W pewnej chwili jęknęła i objęła rękami drżące ciało.

– Jeszcze kilka sekund i będziemy mieli wyniki – oznajmił Tomla El, nie odrywając spojrzenia od wyświetlaczy kontrolnej konsoli.

Luke pochylił się nad żoną. Nie przestawał wpatrywać się w jej zamknięte oczy.

– Maro... – szepnął jej prosto do ucha. – Maro...

Kobieta jeszcze raz jęknęła, po czym drgnęła jak obudzona ze snu i otworzyła oczy. Spojrzała na męża.

– Nie wiem... – wychrypiała. – Nie potrafię wyjaśnić, co czuję. Czy naprawdę dokonałam niewłaściwego wyboru, Luke’u? – W jej spojrzeniu odmalowało się błaganie. – Przyjrzyj mi się, Luke’u... Popatrz na mnie...

Urwała, zamknęła oczy i zapadła w sen graniczący ze śpiączką. Luke oderwał spojrzenie od jej twarzy i powiodł nim po kolei po twarzach Cilghal, Tomli Ela i Oolosa, jakby szukał w ich oczach pocieszenia. Nadaremnie. Zobaczył tylko narastający niepokój. Chwilę później znów spojrzał na żonę i uwolnił myśli, aby porozumieć się z nią za pośrednictwem Mocy.

W tej samej sekundzie spazmatyczne drgawki, jakie dotąd wstrząsały jej ciałem, zaczęły słabnąć i zanikać. Mięśnie się odprężyły, a na twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech. Z zewnętrznych kącików oczu spłynęły łzy. Luke poczuł dziwne ciepło, a pod powiekami wilgoć zrodzoną z ulgi i radości.

W pewnej chwili Mara zamrugła i otworzyła oczy. Uśmiechnęła się.

– Myślę, że to działa – rzekła cicho i zwilżyła wargi czubkiem języka. Po chwili znów zamknęła oczy, jakby chciała napawać się tym, czego doświadczała. – Czuję, jak coś krąży w moich żyłach... przenika całe ciało. Odnoszę wrażenie, jakby nagle każda komórka mojego organizmu kąpała się w jaskrawym blasku słońca. – Nie otwierając oczu, namacała i chwyciła dłoń męża. Przycisnęła ją do piersi. – Myślę, że zaczynam nabierać sił, Luke’u – oznajmiła. – Chyba powracam do zdrowia.

– Och, Maro – odezwała się Cilghal. W jej oczach także zakreśliły się łzy radości. Kalamarianka podeszła do diagnostycznego stołu i położyła płetwiastą dłoń na ramieniu kobiety.

Luke pochwycił kątem oka sceptyczne spojrzenia, jakie wymienili Tomla El i Oolos. Nie powiedział jednak ani słowa. Zamiast tego jeszcze raz posłużył się Mocą, żeby dotrzeć do myśli żony. Przekonał się, że Mara promienieje.

Na jej twarzy pojawił się wyraz niewypowiedzianej rozkoszy. Mistrz Jedi delikatnie podłożył dłoń pod plecy Mary i ostrożnie wziął ją w objęcia. Żona zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego z całej siły. Rozplakała się ze szczęścia.

– Nareszcie doczekaliśmy się własnego zwycięstwa – szepnęła Skywalker.

# ROZDZIAŁ

# 28

Leia niemal przebiegła przez główne drzwi apartamentu i natychmiast skierowała się ku balkonowi. Spieszyła się, żeby przekazać Hanowi i Anakinowi radosną nowinę o poprawie stanu zdrowia Mary. W ostatniej chwili stanęła obok kręconych schodów, żeby nie przeszkadzać w rozmowie.

– Wciąż nie mogę zrozumieć jednego – mówił Han. – Co właściwie podsunęło mi myśl, że trucizna może kryć się w oddechu Elan. Poczulem się, jakby ostrzegł mnie jakiś głos, który nagle odezwał się w mojej głowie. To właśnie wtedy przypomniałem sobie o zestawie narzędzi.

Han siedział na balkonie i wpatrywał się w przeciwległą ścianę pozornie bezdennego permabetonowego wąwozu. Oparł jedną stopę o fragment fantazyjnie wykutej barierki. W prawej dłoni trzymał zestaw narzędzi, a u stóp złożył podróżną torbę. Kiedy minęło sporo czasu i nie doczekał się odpowiedzi Anakina, odwrócił się do niego i parsknął krótkim śmiechem.

– Dziękuję.

W zamyślnym spojrzeniu syna pojawiło się zdziwienie.

– Za co, tato?

– Za to, że nie powiedziałaś, iż słyszałem Chewiego... za pośrednictwem Mocy.

Na twarzy chłopca pojawił się lekki uśmiech.

– Nawet mi to nie wpadło do głowy.

Han uniósł wskazujący palec.

– I nawet nie myślał o tym, żeby mówić o tym wujowi – ostrzegł z groźną miną. – Tylko tego mi brakowało, aby Luke dowiedział się, że słyszę w głowie jakieś głosy. Niech to pozostanie tylko między

tobą, mną a tą podporą schodów, rozumiesz? – Odwrócił się w stronę Leii. – Nie chciałem cię urazić, kochanie.

Leia obdarzyła go beczelnie udawanym uśmiechem.

– Lepsza podpora schodów niż kula u nogi – rzekła cierpko. – Prawda... kochanie?

Zadowolony z siebie Han kiwnął głową, a potem wstał i podszedł do Anakina.

– Tak czy owak, chciałem ci podziękować, że tamtego dnia, kiedy ja i Roa odlatywaliśmy jego gwiazdnym statkiem, przyszedłeś się ze mną pożegnać. – Wyciągnął rękę z zestawem narzędzi. – Gdyby nie to... no cóż, chyba nie muszę kończyć.

– Podziękuj Chewiemu – odrzekł Anakin. – To dzieło jego rąk.

Han pokręcił głową.

– Już podziękowałem Chewiemu – powiedział. – To dotyczy tylko ciebie i mnie.

Podszedł jeszcze bliżej, chwycił syna w ramiona, przyciągnął do siebie i serdecznie uściskał.

Leia myślała, że pęknie jej serce. Przyłożyła dłoń do ust. Zmagała się ze sobą, by się nie rozplakać.

Han odsunął syna na odległość wyciągniętych ramion.

– Przepraszam cię za wszystko, co powiedziałem i jak zachowywałem się po śmierci Chewiego, synu – odezwał się cicho. – Na Sernpidalu zrobiliśmy wszystko, co możliwe, i Chewie sobie to uświadamiał. Obaj doskonale wiemy, kto jest winien jego śmierci. Nie chcę jednak, żeby chęć wywarcia zemsty popchnęła cię do czegoś nieprzemyślanego. Rozumiesz? Ty, Jacen i Jaina znaczą dla mnie więcej niż możecie sobie wyobrazić.

Anakin kiwnął głową i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Jeszcze raz się uściskali.

– Muszę lecieć – oznajmił Anakin po chwili. – Wujek Luke czeka na mnie na Yavinie Cztery.

Leia podeszła do nich i stanęła obok syna.

– Jest jeszcze coś – powiedziała. – Wygląda na to, że łyzy Vergere odnoszą pożądany skutek. – Przeniosła spojrzenie na twarz Hana. – Właśnie dowiedziałam się od Luke'a, że od kilku miesięcy Mara nie czuła się tak dobrze jak w tej chwili. Nikt nie ma pojęcia, co zawierają te łyzy, ale poprawiają stan jej zdrowia. Oolos i Tomla El mają nadzieję, że za kilka tygodni Mara zupełnie wyzdrowieje.

Wszyscy troje objęli się i uściskali, a potem wykonali coś w rodzaju radosnego tańca. Pierwszy przerwał go Anakin.

– Najpierw Yuuzhanie zatruli organizm Mary, a potem wysłali przeciwko nam skrytobójczynię – oznajmił z goryczą. – Pamiętam, tato, co mówiłeś o wywieraniu zemsty, ale to przez nich ta wojna ma dla mnie aspekt osobisty.

Mimo iż Leia nie wyzbyła się obaw ani wątpliwości, objęła syna jeszcze raz i wycisnęła mocny pocałunek na jego policzku.

– Uważaj na siebie – powiedziała.

– Hej, chłopcze! – krzyknął w ślad za nim Han, kiedy Anakin kierował się w stronę platformy lądowiska. – Zapewne Lowbacca poświęca cały czas na doskonalenie umiejętności Jedi i podobne głupstwa. Czy istnieje szansa, że on i Waroo zapomną o tym długu życia?

– Kiedy ostatnio z nim rozmawiałem, nie mówił o niczym innym! – odkrzyknął młody Jedi.

– Niech to zaraza – mruknął Solo. – Chyba wcześniej czy później muszę sam się tym zająć. – Spojrzał na żonę i lekko się uśmiechnął. – A zatem mimo wszystko, Vergere nie była zdrajczynią. – Pokręcił głową, jakby wciąż jeszcze nie mógł w to uwierzyć. – Czasami dziwne rzeczy dzieją się na tym świecie. Człowiek wyrusza w podróż, szukając jednego, a znajduje coś zupełnie innego. Gdybym nie wiedział, że to bzdura, pomyślałbym, że to sprawka Mocy.

Leia nie powiedziała ani słowa.

Han zmrzążył oczy i pokiwał głową. Jakiś czas zmagął się z myślami.

– Wookie mają jedno takie powiedzenie – zaczął w końcu. – Twierdzą, że prawdziwą zdobyczą każdego polowania jest coś, czego nikt się nie spodziewał. Czasami zapomina się o tym, jeżeli dłuższy czas nie wyrusza się na polowanie.

Leia usłyszała w jego głosie coś, co ją zaniepokoiło. Wskazała na podrózną torbę.

– Nie rozstajesz się z tym, odkąd wróciłeś do domu – oznajmiła tak beztroskim tonem, na jaki mogła się zdobyć. – Zamierzasz ją rozpakować czy może każesz wypchać i powieszysz na ścianie?

Han sięgnął po torbę.

– Na razie nie zamierzam jej rozpakowywać – odparł ponuro.

Leia zaplotła ręce na piersi.

– Chyba powinnam była się tego domyślić – rzekła. – A zatem jeszcze nie wróciłeś na dobre do domu?

– Wróciłem, ale spędziłem w nim już zbyt dużo czasu. – Han obdarzył żonę szelmowskim uśmiechem. – Domyślam się, że masz dość mojego dreptania z kąta w kąt po całym apartamencie.

Leia nawet nie mrugnęła.

– Nie przeinaczaj sensu moich słów, Hanie – odrzekła.

Mężczyzna dźgnął się palcem w pierś.

– Kto, ja? – zapytał z udawanym zdziwieniem. – Chciałem tylko powiedzieć, że mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

– Na przykład?

– Na przykład uwolnić Roę. To na początek – odparł Solo. – Po drugie, pomóc Dromie odnaleźć członków klanu. Zapewne wiesz, że ocalił moje życie... i to nie raz, ale dwa razy.

Leia uniosła głowę i roześmiała się sardonicznie.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że masz wobec niego dług życia? – zakpiła. – To byłoby zbyt wiele, Hanie, nawet dla ciebie.

Solo zmarszczył brwi.

– Nie spodziewasz się chyba, że zostawię Roę i Dromę w potrzebie, prawda? – zapytał z lekką urazą.

Leia podeszła bliżej.

– Czy Wookie nie mają jakiegoś powiedzenia na temat podejmowania bezsensownego ryzyka? – zapytała. – Przed chwilą przysłuchiwałam się, jak przestrzegałeś Anakina przed zrobieniem czegoś nieprzemyślanego, a teraz mówisz, że chciałbyś uwolnić Roę i odnaleźć zaginionych ziomków Dromy. Zdecyduj się, Hanie, na czym naprawdę ci zależy.

– Widzisz coś złego w tym, że zależy mi na jednym i na drugim? – zapytał Solo.

Leia parsknęła.

– Coś niesamowitego – rzekła. – Zupełna odmiana. Pożegnaj się z dawną osobowością, Hanie.

– Guzik prawda – odparł zirytowany mężczyzna. – To wciąż jestem ja, ten sam, którego poślubiłaś, kochanie. A poza tym... i kto to mówi? Gdy chodziłem z kąta w kąt i niepokoiłem się na Coruscant, ty poleciałaś na Dantooine i do przestworzy Szczątków Imperium. Latałaś po całej galaktyce i narażałaś się na takie same niebezpieczeństwa.

– Chcesz powiedzieć, że jeżeli przestanę pomagać uchoźcom, ty zrezygnujesz z nieodpowiedzialnego postępowania?

– Ja postępuję nieodpowiedzialnie? – zachnął się Solo. – W takim razie jak nazwiesz to, co ty robisz?

Leia zamierzała coś odpowiedzieć, ale zmieniła zdanie. Po chwili zaczęła na nowo.

– Nowa Republika przeżywa teraz trudny okres, Hanie – powiedziała. – Przydałaby mi się twoja pomoc.

Solo uniół ręce na wysokość głowy.

– Już kiedyś to słyszałem.

– I zazwyczaj brałeś sobie do serca.

Han podszedł do metalowej barierki i zawrócił, ale nie spojrzął żonie w oczy.

– W pewnym sensie już pomagam rozwiązywać twoje problemy – powiedział. – Chodzi mi o to, że Droma i jego ziomkowie także są uchodźcami.

Leia umilkła. Z jednej strony, cieszyła się, że jej mąż pogodził się ze śmiercią najlepszego przyjaciela i zaczął otrząsać się z przygnębienia. Z drugiej jednak, wyczuwała, że zamierza ułożyć swoje życie na nowo... Postępował tak zawsze, odkąd go znała, a nawet jeszcze dłużej. Osierocone dziecko stało się oficerem imperialnej floty; przemytnik przemienił się w przywódcę Rebeliantów. Han zawsze starał się odrodzić, ale w coraz to innej postaci. Leia widziała Dromę tylko kilka razy i nie miała okazji dobrze poznać jego charakteru, ale wszystko wskazywało, że Ryn jest ulepiony z takiej samej gliny. Pozornie bardzo przejmował się losem zaginionych członków klanu, ale w głębi serca pozostał samotnikiem... żądnym przygód zawadiaką.

Leia przyglądała się, jak Han podchodzi znów do barierki balkonu.

– Nie mam pojęcia, jakim cudem tak długo to wytrzymałaś – odezwała się w końcu.

Han odwrócił się jak użądłony i obrzucił ją zdumionym spojrzeniem.

– Co wytrzymałaś? – zapytał.

– Rodzinne życie. Wychowywanie dzieci – odrzekła Leia. – Coś, co nie leżało w twojej naturze.

– Próbowałem się ustatkować – burknął Solo. Usiłował uśmiechnąć się przekornie, ale nie bardzo mu wyszło. – Posłuchaj, po prostu muszę lecieć – powiedział. – Wzywają mnie obowiązki.

– A co z obowiązkami względem nas? – zapytała Leia.

– To nie ma z wami nic wspólnego.

– Doprawdy? – Leia podeszła do męża. – Już dawno nauczyłam się, że człowieka nie może krępować to, co chciałyby w nim widzieć inne osoby. I przyznaję, że to mi się w tobie podoba. Zapamiętaj jednak jedno, Hanie. Nie jestem Mallą. Nie zgodzę się, żebyś wpadał do mnie raz czy dwa razy w roku i traktował dom jak bazę swoich eskapad.

Han wydał wargi.

– Bardzo się mylisz co do mnie, Leio – odparł. – niesprawiedliwie mnie oceniasz.

Na twarzy żony pojawił się nikły uśmiech.

– No cóż, już wkrótce się o tym przekonamy, prawda?

Han zmarszczył brwi i jeszcze chwilę udawał nadąsanego, ale w końcu pochwycił Leię w ramiona.

– Zaufaj mi – powiedział.

Leia uniosła i odchyliła głowę, żeby posłać mu sceptyczne spojrzenie.

– Już kiedyś to słyszałam – rzekła z udawaną powagą.

Han uniósł jej rękę do ust i złożył pocałunek na dłoni.

– Schowaj do kieszeni na później – powiedział.

Schylił się i podniósł podrózną torbę. Przewiesił pas przez ramię i nie oglądając się, skierował na platformę lądowniczą.

W innym miejscu apartamentu państwa Solo przebywali Threepio i Artoo-Detoo. Zobowiązani do zapoznawania się z najświeższymi informacjami, właśnie kończyli oglądać najnowsze hologramy lokalnych dzienników i HoloNetu. Mimo iż trójwymiarowe świetliste wizerunki wciąż jeszcze były wyświetlane przez rzutniki hologramów, oba automaty zwracały większą uwagę na własne obwody niż na obrazy.

– Zapewne nic nie mogło zakończyć się pomyślniej – odezwał się złocisty android do baryłkowatego partnera. – Pani Mara jest bliska wyzdrowienia, pan Han wrócił do domu, a Yuuzhanie ponieśli kilka dotkliwych porażek. Nie cieszyłbym się bardziej, nawet gdybym wynurzył się z orzeźwiającej kąpieli olejowej w luksusowym kurorcie dla automatów.

Artoo obrócił półkulistą kopułkę i odpowiedział serią fałszywie brzmiących pisków i nieudolnie modulowanych gwizdów.

C-3PO spojrzał na niego podejrzliwie.

– Co chciałeś przez to powiedzieć? – zapytał w końcu. – Dlaczego uważasz, że ktoś musi sprawdzić działanie mojego neuronowego procesora? Wiesz coś o wydarzeniach, o jakich ja nie słyszałem?

R2-D2 wydał kilka krótkich świstów.

– Pan Han nie wrócił do domu? – zdziwił się android.

Artoo-Detoo zakwilił, żeby zwrócić uwagę protokolarnego partnera na ekran monitora. Widniał na nim obraz przekazywany przez

kamerę z platformy lądowniczej. Na ekranie można było zobaczyć, jak pan Solo zmierza na lądowisko środków transportu publicznego. Pani Leia, przyciskając palec do warg, odprowadzała go zaniepokojonym spojrzeniem.

– O rety, masz rację – przyznał C-3PO. – A może chodzi o jakąś drobnostkę?

R2-D2 wojowniczo zaświergotał.

– Skąd mogę wiedzieć, dlaczego zabrał podrózną torbę i z jakiego powodu pani Leia sprawia wrażenie tak zdenerwowanej? – zapytał Threepio. – Jestem pewien, że istnieje jakieś rozsądne wyjaśnienie.

Astromechaniczny robot pozwolił sobie na przeciągły i pogardliwy pisk.

– Co masz na myśli? – zachnął się android. – Dlaczego miałyby chodzić wyłącznie o to, aby Nowa Republika uwierzyła, że odniosła zwycięstwo w bitwie o Ord Mantell? – C-3PO wziął się pod boki. – Nie mam pojęcia, skąd ty masz takie informacje. Sugeruję, żebyś zwracał większą uwagę na wszystko, co dzieje się wokół ciebie, zamiast podłączać się na tak długo do HoloNetu.

Artoo-Detoo obrócił kopułkę i skierował fotoreceptor na najnowszy hologram. Przekazywany na żywo ze Środkowych Rubieży obraz ukazywał setki najróżniejszych automatów. Uciekały w panice przed tłumem rozjuszonych żywych istot, które najwyraźniej chciały je zniszczyć.

– O rety! – wykrzyknął zaniepokojony Threepio. Chwilę potem ponownie przemówił gderliwym tonem. – Widzę, Artoo, że nadal bardzo starasz się widzieć wszystko w czarnych barwach. Powiem ci coś, co może w końcu wyrwie cię z ponurego nastroju. Bez względu na to, co zaprezentujesz moim fotoreceptorom, już nigdy nie usłyszysz, że niepokoję się z powodu wyłączenia albo skasowania zawartości pamięci.

Seria gniewnych pisków, jakimi odpowiedział Artoo, bardzo przypominała ironiczne parsknięcie.

– No cóż, z pewnością nie zrozumiesz, o co mi chodzi, ponieważ nigdy się nad tym nie zastanawiałeś – ciągnął niezrażony android. – Nie możesz wiedzieć, że obawa przed wyłączeniem wynika z niezdrowej chęci przedłużenia okresu nieprzerwanego funkcjonowania. Jeżeli jednak spojrzysz na problem z odpowiedniego dystansu, nawet ty dojdiesz do wniosku, że nie ma się czego obawiać.

Tym razem z serii pisków Artoo przebiegała nieskrywana pogarda.

– Uważaj, co mówisz, ty baryłko na odpadki – ofuknął go C-3PO. – I co z tego, że zaczynam myśleć jak istota ludzka? Powiedziałeś to tak, jakbyś widział w tym coś złego.

Artoo-Detoo odpowiedział długą serią pisków i gwizdów.

– Ach, a więc zamierzasz o wszystkim mi przypomnieć, kiedy zostaniemy przetopieni na części zapasowe, prawda? – obruszył się Threepio. – Dlaczego uważasz, że będziesz wówczas w stanie cokolwiek mi przypominać? Musisz wiedzieć, że pan Solo coś mi obiecał. Powiedział, że przechowa całą zawartość mojej pamięci w jakimś banku danych. Gdyby nagle moje metalowe ciało uległo zniszczeniu, przekaże myśli i wspomnienia do innego ciała. Kto wie, może to będzie nowy model protokolarnego androida, wyposażony w werbomózg typu AAA-2 firmy SyntheTech?

R2-D2 odpowiedział tak pogardliwym prychnięciem, że wszelka dyskusja z nim stała się pozbawiona sensu. Zresztą astromechaniczny robot i tak odwrócił się i potoczył do wyjścia.

– Gdzie powinienem umieścić sworzeń ogranicznika? – zapytał wstrząśnięty Threepio. – Muszę zapamiętać, aby uprzedzić pana Luke’a, że twoje obwody uległy nieodwracalnemu uszkodzeniu. No, dalej, jedź sobie! – ponaglił znikającego w drzwiach partnera. – Wkrótce przekonasz się, dokąd cię to zaprowadzi. A kiedy wrócisz, będziesz mnie prosił, abym powiedział ci wszystko, co wiem, jak stać się prawdziwą osobą...

Jego monolog przerwało nagle dziwne drżenie. Zdezorientowany android urwał w pół zdania i przekrzywił głowę. Różne inteligentne istoty często uważały go za gadatliwego, wścibskiego, gderliwego i zarozumiałego. Chyba jednak było w tym sporo prawdy. Tak czy owak, wszystko przemawiało za tym, że uzyskanie lepszego wglądu w istotę egzystencji wypukliło i te cechy jego charakteru. Protokolarny android zaczynał dochodzić do przekonania, że jeśli ceną za uzyskanie większej świadomości miała być choćby częściowa utrata obiektywizmu i logicznego myślenia, może nie warto było o to zabiegać.

– No cóż, nic dziwnego, że inteligentne żywe istoty rozwiązują konflikty, tocząc wojny – powiedział do siebie. Opuścił ręce i wyprostował głowę, a potem pospieszył w ślad za astromechanicznym partnerem.

# ROZDZIAŁ

# 29

Harrar przeklinał dzień, w którym dostał polecenie pozostania jeszcze jakiś czas w przestworzach planety Obroa-skai. Jej powierzchnię wciąż szpeciły liczne kratery i blizny po ciosach, jakie zadali artylerzyści yuuzhańskich okrętów. Kapłan widział ją doskonale przez kryształowo przejrzysty iluminator ośrodka dowodzenia swojego przypominającego czarny klejnot statku. Otoczona całunem szarych chmur planeta wyglądała na zbyt zmęczoną, żeby chociaż obracać się wokół osi. Harrar patrząc na nią cierpiał katusze; nie czekało go łatwe zadanie. Musiał wyjaśnić, dlaczego ułożony przez niego i Noma Anora plan najprawdopodobniej spalił na panewce.

– W tej chwili, ekscelencjo, nie jesteśmy absolutnie pewni, czy Elan i Vergere przebywają w więzieniu wrogów, czy tylko zaginęły – powiedział.

– Albo zginęły – dodał ze złośliwym uśmiechem stojący za nim komandor Tla.

Harrar zastanawiał się, jak dokładnie poświęcony villip przekazał wizerunek jego skrzywionej twarzy wszystkim, którzy widzieli go i słuchali. Świadcami rozmowy były trzy osoby: arcykapłan Jakan – ojciec Elan, przywódca domeny i doradca najwyższego lorda Shimrry, Nas Choka – najwyższy stopniem dowódca okrętu flagowego yuuzhańskiej floty oraz prefekt Drathul – administrator światostatku „Harla”. Połączone za pomocą świadomości villipy wszystkich trzech spoczywały w pojemnikach, przypominających ogromne kieliszki do jajek. Umieszczono je między Harrarem a widokiem planety, który napawał go takim obrzydzeniem.

Na uwagę komandora Tli zdecydował się odpowiedzieć Jakan.

– Dlaczego uważa pan, komandorze, że do możliwych rezultatów misji Elan należy zaliczyć także śmierć? – zapytał.

Villip arcykapłana wyglądał bardzo okazale, ale nie w pełni oddawał wszystkie szczegóły jego zdeformowanej twarzy. Zniekształcał zwłaszcza pękaty nos i głęboko osadzone oczy.

Tła odwrócił się do jednego z nadawczych villipów.

– Chociaż ostrzeliwaliśmy statek Nowej Republiki, na którego pokładzie przebywały Elan i Vergere, jego pilot nie przestawał lecieć w kierunku naszego okrętu. To oczywiste, że usiłował przekazać kapłankę w nasze ręce. Barbarzyński dowódca musiał się domyślić, że unieruchomiliśmy wahadłowiec i że Elan zamordowała wszystkich członków jego załogi. W ostatniej chwili, zanim statek Nowej Republiki zmienił kurs i zawrócił, z jego pokładu wystrzeliła w przestworza ratunkowa kapsuła. Nom Anor nie zdołał jednak jej przechwycić.

Egzekutor poruszył szczęką, ale nie usiłował nikogo przepraszać.

– A zatem były czynione jakieś starania w tym kierunku? – zapytał Jakan.

– Ja się o to starałem – przyznał Nom Anor.

– Wiedział pan, że ewentualny sukces tej akcji skaże plan Harara na niepowodzenie?

Egzekutor spoglądał chwilę na kapłana. Potem tylko kiwnął głową.

Nagle ożywił się villip Choki. Najwyższy dowódca chciał rozmawiać z komandorem Tlą i jego kościstym taktykiem. Fantazyjny tatuaż na twarzy dostojnego Yuuzhanina świadczył o pełnionej funkcji, a ledwo zauważalny meszek na brodzie i krótkie wąsy nadawały jego twarzy szlachetny wygląd.

– Jak słyszałem, komandorze, pański udział w tym planie polegał na upewnieniu się, że Nowa Republika odniesie zwycięstwo, dzięki czemu uwierzy w opowiedzianą przez Elan historię. – Osadzone skośnie w dół oczy Choki nad dużymi, obwisłymi niebieskawymi workami skierowały się na twarz taktyka. – Ile nas to kosztowało?

– Przedsięwzięcie okazało się bardzo kosztowne, najwyższy dowódco – zaczął Raff. – Poświęciliśmy wiele koralowych skoczków. Pozwoliliśmy na zniszczenie kilku małych okrętów. Straty nie byłyby tak dotkliwe, gdybyśmy mogli je szybko powetować. Tymczasem możliwości Belkadana i Sermpidala są ograniczone i tempo dostaw nowego sprzętu uległo wyraźnemu osłabieniu. Jeżeli

pragniemy nadal równie skutecznie bronić jednostek naszej floty, powinniśmy poświęcić kilka dużych okrętów, żeby zwiększyć liczbę koralowych skoczków. Możemy także na pewien czas zrezygnować z podążania inwazyjnym korytarzem i uzupełnić stan liczebny naszej floty, przygotowując do hodowli koralu yorik nowe światy.

Raff odwrócił się i wskazał Noma Anora.

– Egzekutor Nom Anor zapewnił nas, że ciepłego przyjęcia możemy spodziewać się w pobliskim sektorze zwanym Przestworzami Huttów. Twierdząc, że rządzące nimi istoty, Huttowie, nie chciałby toczyć z nami wojny.

– Nom Anor zapewnił... odezwał się pogardliwym tonem Choka. – Proszę mówić dalej, taktyku.

Raff lekko kiwnął głową.

– Wojskowi Nowej Republiki zgromadzili swoje okręty w takich miejscach, żeby mogli bronić Jądra galaktyki. Możliwe, że myślą o zorganizowaniu kontrataku. Jestem przekonany, że zdołamy go odeprzeć, ale chciałbym zwrócić uwagę na pewien fakt. Wrogowie powoli zaczynają się uczyć, jak wywodzić w pole dovin basale i ograniczać skuteczność działania naszego uzbrojenia.

– Nie zgadzam się na poświęcanie żadnych okrętów – oznajmił gderliwym tonem Choka. – Wkrótce opuścę nasze stocznie w okolicy Sernpidala i przylecę do was z młodym yammoskiem. tym czasie flota ma skierować się do Przestworzy Huttów. Jej dowódcą zostanie komandor Malik Carr.

Wojskowy wystąpił o krok i zasalutował.

– W związku z tym komandor Tla i kapłan Harrar wycofają się do Odległych Rubieży.

Obaj Yuuzhanie przyjęli rozkaz do wiadomości, nie mówiąc ani słowa.

Chwilę potem oczy wszystkich zwróciły się na trzeciego villipa, połączonego świadomością z prefektem Drathulem.

– Pragnąłbym porozmawiać tylko z egzekutorem Norem Anorem – odezwał się Yuuzhanin.

Kiedy wszyscy pozostali opuścili ośrodek dowodzenia, krzaczaste brwi prefekta zmarszczyły się, a na szerokiej twarzy pojawiły się złowieszcze zmarszczki.

– Co właściwie się tam stało, egzekutorze? – zapytał Drathul.

Nom Anor lekceważąco machnął ręką.

– Całą winę ponoszą Harrar i Elan – powiedział. – Nie potrafili improwizować.

– Czy w pokrzyżowaniu naszych planów mieli udział rycerze Jedi?

– Możliwe, że maczali w tym palce – przyznał niechętnie egzekutor.

Drathul kiwnął głową.

– Dotarło do moich uszu, że część winy ponoszą także niektórzy twoi agenci.

– Starali się tylko ochraniać nasze interesy, nic więcej.

Prefekt zastanawiał się kilka chwil nad tym, co usłyszał.

– Dla twojego dobra, egzekutorze – odezwał się w końcu – lepiej, żeby to była prawda. Po porażce, jaką ponieśli Praetorite w systemie Helski, mistrz wojenny Tsavong Lah nie będzie tolerował kolejnego niepowodzenia, którego byłbyś sprawcą.

Nom Anor kiwnął głową.

– Rozumiem, prefekcie – odparł pokornym tonem. – Opracuję nowy plan i zamierzam wprowadzić go w życie, kiedy nasza flota znajdzie się w Przesztorzach Huttów.

– Nie spraw mi zawodu.

– Ma pan moje słowo. Co więcej, może się okazać, że mamy sprzymierzeńca na samej Coruscant. Na razie nie wiemy, kim jest, ale przypuszczamy, że to wysoki stopniem dowódca sił zbrojnych albo szef komórki Wywiadu Nowej Republiki. Próbował porozumieć się ze mną za pośrednictwem moich agentów.

– To ciekawe – oznajmił wyraźnie ożywiony Drathul. – Dowiedz się, kto to.

– Oczywiście.

– Jeszcze ostatnie pytanie, egzekutorze. Czy uważasz, że nie doceniliśmy tych niewiernych?

Nom Anor parsknął pogardliwie.

– Ich, prefekcie? – zapytał. – Jeżeli czegoś nie doceniliśmy, to tylko ich wielkiego szczęścia.

– Mieliśmy wielkie szczęście! – zawołał Droma z grzbietu „Sokoła”. – Kilka niewielkich śladów trafień w okolicach rufowych dysz wylotowych. Trochę plastali i lakieru i wszystko powinno wyglądać jak nowe.

– Nie mamy na to czasu – odparł Han, stojący na poplamionej płycie lądowiska 3733. – A poza tym, nie mam nic przeciwko temu, żeby kadłub był podrapany i powgniatany.

„Sokół” tkwił nadal na podporach, połączony przypominającymi pępowiny pękami kabli i giętkimi rurami z diagnostycznymi monitorami, ciśnieniowymi pompami oraz zbiornikami z ciekłymi metalami i chłodziwem. Solo i Droma spędzili ostatnie dwa dni, sprawdzając stan pokładowych urządzeń i podzespołów, a także umieszczonych na zewnątrz elementów systemu sterowania. Niektóre moduły musielni wymienić albo naprawić, ale większość czasu zajęło im porządkowanie. Droma udowodnił, że jest zręcznym mechanikiem; radził sobie jednak lepiej z intuicyjnym odgadywaniem przyczyn niesprawności niż usuwaniem ich za pomocą makrospawarek albo hydrokluczy.

– Jeżeli się nad tym dłużej zastanowić, polakierowanie kadłuba nie byłoby wcale takim głupim rozwiązaniem – odezwał się Han chwilę później. – Po tym, co się stało w systemie Bilbringi, chyba wszyscy piloci yuuzhańskich okrętów i koralowych skoczków mają kabiny wytapetowane wizerunkami „Sokoła”.

– Pod warunkiem, że nowa powłoka lakieru będzie wyglądała lepiej niż zarost na twojej brodzie – zauważył Droma.

Han zmarszczył brwi i przeciągnął dłonią po policzku.

– I kto tu mówi o zaroście – rzekł po chwili. – Twoje wąsy są tak długie, że jeszcze trochę i będziesz potykał się o ich końce.

Ryn zsunął się po burcie i zręcznie zeskoczył na płytę lądowiska. Han rzucił mu czystą ścierkę i przyglądał się, jak istota wyciera dłonie, a potem czyści jedwabistą sierść.

W pewnej chwili Droma musiał zorientować się, że Han go obserwuje, gdyż uniósł głowę i zapytał:

– O co chodzi?

Korelianin zmusił się, by nie wyszczerzyć zębów.

– O nic – odparł obojętnym tonem. – Nie zechciałbyś odłączyć kabli zasilających? – zapytał. – Ja zająłbym się pompami i węzami.

Droma wzruszył ramionami.

– Proszę bardzo.

– A zatem właściwie jesteście gotowi do odlotu.

Droma przyglądał mu się kilka chwil w milczeniu.

– Leia nie przyjdzie cię pożegnać? – zapytał w końcu.

– Chyba nie – odrzekł Solo.

– Wielka szkoda. Chciałem powiedzieć jej „do zobaczenia”.

– Następnym razem – oznajmił machinalnie Han. Chwilę później zreflektował się i szybko dodał: – Tylko że najprawdopodobniej nie będzie żadnego następnego razu.

– No cóż, w takim razie pożegnaj ją w moim imieniu – westchnął Ryn. – Następnym razem, kiedy ją zobaczysz.

Han spiorunował go spojrzeniem.

– Chyba mnie nie zrozumiałeś – burknął. – Nie chciałbym, żebyś za bardzo polubił przesiadywanie w fotelu drugiego pilota.

– Jestem na to zbyt mądry – odparł Droma.

– Chcę ci powiedzieć, że nie uważam tego układu za coś trwałego – ciągnął Solo. – Chodzi mi o mnie i o ciebie. Latamy razem, dopóki nie odnajdziemy członków twojej rodziny.

Na twarzy istoty pojawił się nikły uśmiech.

– A co z rachunkiem, jaki mógłbym ci wystawić?

– Posłuchaj, kolego – odparł cierpko Korelianin. – Istoty ludzkie nie wierzą w coś takiego jak dług życia. Ilekroć ktoś wyświadcza nam przysługę, odwdzięczamy się tym samym, ale na tym koniec. Uważamy, że sprawa załatwiona. Pomogę ci znaleźć ziomek, ale potem każdy pójdzie w swoją stronę. Rozumiesz?

– Chodzi ci o to, abym przypadkiem nie pomyślał, że mógłbym latać z tobą tym zabytkiem po całej galaktyce? – domyślił się Droma.

Han parsknął.

– Miałeś o nim lepsze mniemanie, kiedy ścigaliśmy Recka Desha – przypomniał z kwaśną miną.

– Starłem się być uprzejmy – odparł Ryn. – Doszedłem do przekonania, że jesteś bardzo wrażliwy na punkcie swojego statku.

– Jasne – mruknął Solo. – Mógłbym się założyć.

Na kilka chwil zapadła niezręczna cisza. Pierwszy przerwał ją Droma.

– Zajmę się tymi kablami – oznajmił cicho.

Ruszył w kierunku rufy, ale Han zawołał w ślad za nim:

– Hej, Dromo! Nie przejmuj się, znajdziemy twoją siostrę! – Wyszczrzył zęby w przekornym uśmiechu. – Nawet gdybyśmy musieli przeszukać połowę galaktyki!

# PODZIĘKOWANIA

Pragnę serdecznie podziękować niżej wymienionym osobom za to, że podtrzymywały mnie na duchu i pomagały w pracy: Danowi Wallace'owi, najlepszemu znawcy wszechświata *Gwiezdnych Wojen*, Robowi Brownowi za sugestie, które pomogły nadać ostateczny kształt rozdziałowi siódmemu, i Aleksowi Newbornowi za to, że podsunął mi pomysł wprowadzenia nowego bohatera w rozdziale czternastym. Na podziękowania zasługują również: Mike Kogge, Matt Olsen, Eelia Goldsmith Henderscheid, Enrique Guerrero i Kris Boldis za celne uwagi i uszczypliwe komentarze; inni autorzy: Robert Salvatore, Mike Stackpole i Kathy Tyers za pomoc w dopracowaniu szczegółów, a także Shelly Shapiro, Sue Rostoni i Lucy Autrey Wilson, bez których nie mogłaby powstać *Nowa era Jedi*. Składam również wyrazy ogromnej wdzięczności swojemu zmarłemu przyjacielowi i współpracownikowi, Brianowi Daleyowi.